

A close-up photograph of a man's face and torso. He is wearing a dark suit, a white shirt, and a dark tie. He is adjusting the tie with his right hand. On his left wrist, he wears a gold watch with a dark face and a leather strap. The background is a blurred city skyline at night with lights from buildings.

Mój SZEF

Cięte riposty, skrywane pożądanie, namiętny seks.

Melissa Darwood

Mój SZEF

Melissa Darwood

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Epilog

Od Autorki

Przypisy

Inne książki Melissy Darwood

Copyright © Melissa Darwood
All rights reserved
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
Łódź, 2020

Redakcja:
Iga Wiśniewska

Korekta:
D. B. Foryś

Skład, łamanie, przygotowanie do druku:
Mateusz Cichosz | Poskładane Studio DTP

Okładka:
Melissa Darwood
Aleksandra Bartczak

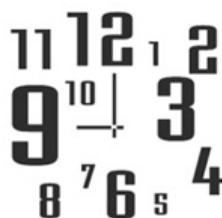
Powieść ta jest wyłącznie fikcją literacką.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

ISBN 978-83-956816-3-9

www.melissadarwood.com
md@melissadarwood.com

Konwersja
[eLitera s.c.](#)

*Mój szef jest dla Was, drogie czytelniczki.
Dziękuję za Waszą motywację i ekscytujący przedświąteczny czas,
który spędziłyśmy wspólnie z (twardym/sztywnym) Janem! :)*



– Pani Maria Gabara?

Unoszę głowę i napotykam szare oczy, które mierzą mnie zimnym spojrzeniem. Po kilku zmarszczkach na czole i surowym wyrazie twarzy wnioskuję, że mężczyzna ma około czterdziestki. Mocna szczęka, brak zarostu, starannie zaczesane włosy, twardy wzrok, zacięte usta. Choć stoi w odległości dwóch metrów ode mnie, wyczuwam od niego męski zapach – klasyczny, ciężki i elegancki – taki wywołujący mrowienie w dole brzucha.

Przesuwam wzrokiem po nienagannie skrojonym szarym garniturze, który leży idealnie na postawnej sylwetce. Żadnego marszczenia, zagięć, niedopasowania. Perfekcyjny – jakby prosto od krawca. Do tego biała koszula, spinki w mankietach, stylowy zegarek (na moje oko antyk), wzorowo zawiązany czarny krawat, spodnie w kant, buty na błysk. Facet jest rośli jak buk w stuletnim lesie i chociaż nie należę do niskich osób, muszę zadzierać głowę, by popatrzeć mu w oczy. Biję od nich taki dystans i powaga, że aż strach się odezwać.

Domyślam się, że to mój nowy szef. Wygląda na szefa – zdecydowanie wyróżnia się z tłumu.

– Zgadza się. Pan Jan Engler?

Odpowiada mi pojedyncze mruknięcie.

No cóż, to chyba było „tak”.

– Bardzo mi miło... – Wyciągam dłoń, lecz on nawet na nią nie patrzy.

– Ma pani być codziennie na ósmą rano i ani minuty później – oświadcza stanowczo, poprawia krawat, po czym odchodzi, uważając najwyraźniej naszą rozmowę za zakończoną.

Żadnego: dzień dobry, witamy w naszej firmie, tu jest pani biurko, tu komputer, miłej pracy, pocałuj mnie w dupę...

Co za pacan. Po cholere wyjechał z takim „powitaniem”, skoro nie spóźniłam się dzisiaj nawet minuty? Ba, byłam w biurze za pięć ósma! Co jest dla mnie sporym wyczynem, bo jestem raczej typem sowy niż skowronka.

Wyśmienity początek dnia i końca roku. Nie dosyć, że jestem zestresowana zmianami zawodowymi, to najwyraźniej trafiłam z deszczu pod rynnę. W poprzedniej robocie – niedużej firmie konsultingowej – miałam posadę referenta do spraw finansów, bez szans na awans i podwyżkę. Szef był uprzejmy i starał się być miły (a przynajmniej stwarzał takie pozory). Tu zaś na wejściu dostałam o tysiąc siedemset złotych większą pensję, samodzielne stanowisko starszego specjalisty oraz opiekę medyczną w pakiecie. I wszystko byłoby zajebiście, gdyby nie fakt, że na starcie szef potraktował mnie, jakbym była sznurówką jego eleganckich butów. Niby taka potrzebna, jednak dopóki się nie rozwiąże, nikt nie zwraca na nią uwagi.

Dobra, bez stresu, nie ma co dramatyzować. Może miał po prostu gorszy moment. Każdemu się zdarza. Szkoda tylko, że trafiło akurat na mnie. Pozostaje żywić nadzieję, że mój przełożony nie okaże się totalnym gburem.

Ale się nim okazuje. I to jeszcze tego samego dnia. Nie bez powodu mówi się, że to nie szata zdoła człowieka. Mój szef być może przyciąga uwagę atrakcyjnym wyglądem, ale sposób bycia ma odpychający. Żadnego wprowadzenia do pracy, zero wyjaśnień: co, gdzie, jak i kiedy. W zamian dziesiątki wiadomości na skrzynce pocztowej i jedno wypowiedziane zdanie w ciągu ostatnich jedenastu godzin (tak, chujek od razu wrobił mnie w nadgodziny!).

– Wysłałem pani e-maila, sprawa na teraz – rzuca chłodno, gdy mija moje biurko. Nawet się, kutasina, nie zatrzyma. Zmierza sprężystym krokiem w stronę windy, roztaczając wokół irytująco męski zapach. Chcę go ignorować, ale nie potrafię. Mimowolnie czuję dziwne pobudzenie i jestem na siebie wściekła. Bo po pierwsze: nie podniecają mnie starsi faceci, a mój szef jest ode mnie starszy o jakieś dziesięć lat. Po drugie: nie trawię takich sztywniaków. Po trzecie: jest moim przełożonym, a to mój pierwszy dzień w firmie...

Rozlega się dźwięk nadejścia wiadomości. Otwieram skrzynkę pocztową.

Świetnie, kurna, już jest. Suchy jak wiór e-mail. Kolejny! Przecież do wakacji nie zdołam się zapoznać z tymi wszystkimi załącznikami.

A pieprzę to. Muszę zrobić sobie przerwę.

Ruszam do pokoju socjalnego. Staram się iść pewnie, mijając nowych współpracowników, którzy są tak pochłonięci pracą przy komputerach, że nie zwracają na mnie uwagi. I dobrze, bo mój chód nie należy do reprezentacyjnych. Nie jestem przyzwyczajona do ołówkowej spódnicy, żakietu i szpilek. Musiałam jednak zrobić dobre pierwsze wrażenie i wpisać się ubiorem w *dress code* firmy, o którym nasłuchiłam się podczas rozmowy z HR-ką. Dała mi jasno do zrozumienia, że w biurze obowiązuje strój biznesowy, po czym wręczyła mi plik kartek z regulaminem, który miałam podpisać wraz z umową. Przyznaję się bez

bicia, nie przeczytałam tego, co podpisałam. Bo niby jak miałam to zrobić, skoro kobieta siedziała naprzeciwko, wbijając we mnie niecierpliwy wzrok mówiący: „no podpisz i miejmy to z głowy, mam jeszcze dzisiaj kupę roboty”?

Z inteligentnym wyrazem twarzy prześledziłam więc pobieżnie tekst, tak jak to robią w prawniczych serialach, i zamaszystym ruchem złożyłam podpis z nadzieją, że nie oddałam właśnie nerki do przeszczepu. W liczeniu może jestem świetna, ale czytać to ja zdecydowanie wolę powieści niż umowy.

– Doskonale. Witamy na pokładzie. – Usłyszałam, gdy tylko odłożyłam długopis.

– Już? Szybko.

– Szybko? – HR-ka popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. – Przeszła pani pięciostopniowy proces rekrutacji.

Fakt. Trochę mnie maglowali.

– No tak, ale to były wyłącznie testy i rozmowa z panią...

– Oczekiwała pani czegoś więcej?

– Nie, nie. Po prostu sądziłam, że czeka mnie jeszcze rozmowa z przełożoną.

– Przełożonym – sprostowała kobieta. – Pan Engler nie prowadzi rozmów kwalifikacyjnych. W kwestii rekrutacji zdaje się całkowicie na nasz dział. Przeszła pani bardzo pozytywnie cztery początkowe etapy selekcji, za które byłam odpowiedzialna. Zarekomendowałam i przesłałam pani zwierzchnikowi wyniki testów, na podstawie których podjął decyzję o zatrudnieniu pani na stanowisku starszego specjalisty do spraw finansów.

– Wyniki testów? A co z moim doświadczeniem, kompetencjami, osobowością... To go nie interesuje?

– Woli fakty, konkretne dane, liczby. Ocena kompetencji miękkich to już nasze zadanie. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Tak, ile przerw na kawę i papierosa przysługuje mi w ciągu dnia?

*

Kiedy przekraczam próg pokoju socjalnego, mój wzrok od razu pada na ekspres do kawy, przy którym stoją dwie dziewczyny. Kojarzę je z widzenia, mają biurka na drugim końcu open space’u.

– O, cześć! To twój pierwszy dzień, prawda? – Niska brunetka z okrągłą buzią wciska przycisk na automacie. – Jestem Agata. Od pół roku pod rządami sztywnego Jana.

– Kogo? – Unoszę brwi, na co dziewczyny parskają śmiechem.

– Englera – tłumaczy druga, również brunetka, ale nieco starsza, wyższa i szczuplejsza. – Jestem Olga. Pracuję tu od trzech lat. – Podaje mi dłoń.

– Maria. – Odpowiadam uściskiem. – Trzy lata to szmat czasu.

– Wystarczająco długo, by przywyknąć. Gratuluję stanowiska. Będiesz teraz prawą ręką szefa. Musisz być naprawdę dobra, skoro cię wybrał.

– Wybrał wyniki mojego testu, nie mnie. I jakoś nie wydaje mi się, żebym była jego prawą ręką. W ogóle się do mnie nie odzywa, tylko zapycha mi skrzynkę e-mailami co pół godziny.

Dziewczyny zerkają na siebie.

– Jan jest specyficzny, przyzwyczaisz się – stwierdza Olga. – Wcześniej na twoim stanowisku pracował Jerzy. Był cholernie dobry, szef bardzo na nim polegał.

– To dlaczego już go nie ma?

– Miał zawał serca. Teraz jest na rencie.

Zawał serca? No pięknie, świetnie się zapowiada. Ciekawe w takim razie, jak długo tu wytrzymam, skoro mój poprzednik skończył na rencie.

– Był grubo po pięćdziesiątce i od dawna się leczył. Jakieś migotanie przedsionków czy coś – uspokaja Olga. – Jan jest może wymagający, aspołeczny i trudno się z nim rozmawia, ale przynajmniej jest na co popatrzeć. Taki widok przy pracy to sama przyjemność. – Upija łyk kawy, uśmiechając się pod nosem.

– O tak, jest jak senne, mokre marzenie... – wtóruje jej Agata.

Że co? Dobra, facet może i jest przystojny, ale nie ma w sobie za grosz seksapilu. Na pierwszy rzut oka widać, że to beznamiętny mruk. Daję sobie rękę odciąć, i to prawą, że seks z nim jest pasjonujący niczym oglądanie serialu *Ojciec Mateusz*, a jedynym podmiotem, który czerpie jakąś przyjemność z fizycznego obcowania z Janem, jest wyłącznie brzydal mieszkający w jego gaciach.

Nie zamierzam jednak dzielić się swoimi przemyśleniami z nowo poznanymi koleżankami z pracy. Nie znam ich, nie wiem, czy mnie przypadkiem nie sprawdzają. Nie będę plotkować o przełożonym już pierwszego dnia.

– Czy istnieje szansa, że to bombardowanie e-mailami w końcu się uspokoi? – zmieniam temat.

– Przywykniesz. – Pada niejednoznaczna odpowiedź. – Musisz patrzeć na pozytywy: dobra pensja, benefity, benefity, dobra pensja. Czy wspominałam o dobrej pensji i benefitach?

– Muszą być w takim razie cholernie dobre – stwierdzam.

– Karnety na siłownię, na basen, opieka medyczna, premie uznaniowe, wyjazdy integracyjne, dofinansowania do lunchów, nisko oprocentowane pożyczki, wczasy pod gruszą, wyprawki dla noworodków, bony i paczki świąteczne dla dzieciaków... Masz dzieci? – Wzrok Olgi wędruje na moją dłoń.

– Nie, jestem sama.

– To korzystaj, póki możesz. Ja po urodzeniu przestałam czuć zmęczenie, dopiero kiedy mały skończył pięć lat. Wierzcie mi na słowo, opieka nad dzieckiem to zupełnie inny rodzaj zmęczenia: bardziej nużący i wkurwiający. Przez ostatnie dwa lata miałam względny spokój, aż syn poszedł do szkoły, a ja niejako razem z nim. Jego prace domowe doprowadzają mnie do nerwicy. – Wzdycha ciężko. – Dobra, czas wracać do roboty. Dasz sobie radę z ekspresem?

– Jasne. Dzięki.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, to daj znać.

– Właściwie... Gdzie tu jest palarnia?

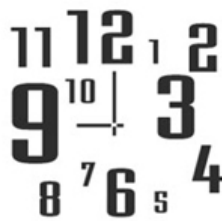
Dziewczyny wymieniają się spojrzeniami.

– Nie czytałaś regulaminu? – pyta Agata.

– Yyy... Czytałam. Ale byłam w stresie. Wiecie, podpisywanie umowy, formalności... Pewnie coś mi umknęło. Powinnam o czymś wiedzieć?

– Firma prowadzi aktywną politykę prozdrowotną – tłumaczy Olga. – Zresztą sama się przekonasz, kiedy dostaniesz comiesięczny biuletyn. Zdrowe żywienie, aktywny tryb życia, wolni od nałogów et cetera. Rozumiesz, zdrowy pracownik to mniejsze koszty. Jeśli chcesz wychodzić na fajkę, to najlepiej przed budynek. I tak, żeby nikt cię nie widział.

Cudownie.



Kolejne dni są jak zimny prysznic. Siedzę w robocie do siódmej, ósmej, dziewiętej wieczorem. Analizuję zaległe raporty, zestawienia, robię plan na najbliższe tygodnie. Jednym słowem zapieprzam i jestem tak zmordowana, że nie wiem, jak się nazywam.

Mój kontakt z szefem ogranicza się do wymiany paru zdań w służbowym tonie. Głównie komunikujemy się za pomocą e-maili, bo tego życzy sobie Jan. Czasami burknie coś pod nosem, gdy przechodzi obok mojego biurka, rozsiewając tę swoją woń drogiej wody kolońskiej. Zastanawiam się, czy on nie ma przypadkiem jakichś problemów z aparatem mowy.

– Proszę nie używać emotikonów w e-mailach – rzuca szorstko, mijając moje stanowisko. Nawet się, cholera, nie zatrzyma i nie spojrzy w moim kierunku.

Bubek.

Mówi się emotikonek, sztywniaku. One są ładne i słodkie, i powinno się je nazywać emotikonkami, a nie EMOTIKONAMI!

– Ma pan na myśli jakieś konkretne?! – wołam za nim.

– Wszystkie. Proszę się skupić na treści. Emotikony wybijają z rytmu. Nie mam ochoty czytać tego typu wiadomości.

A ja mam ochotę wybić ci zęby, i co ty na to? Wtedy przynajmniej będziesz miał naprawdę poważny powód, żeby się nie uśmiechać, pieprzony formalisto.

Zerkam na e-maila, którego właśnie miałam mu wysłać.

Do: Jan Engler

Temat: Raport dla Uniremu

Dzień dobry! :)

W załączniku znajdzie Pan raport. Udało mi się skończyć go przed terminem, choć przyznam, że analiza opłacalności ich nowej inwestycji w produkcję sygnalizatorów akustycznych przepaliła mi obwody w mózgu i chyba będę musiała wziąć dzień wolnego :P ;)

Temat dla mnie mało ciekawy, ale opłacalny dla klienta. Moja analiza i wstępne dane wskazują na to, że innowacyjne rozwiązanie dotyczące niskiego poboru prądu, odporności na pył i wodoodporności eco ledowych świateł, chociaż kosztochłonne, jest opłacalne i wysoko konkurencyjne. Przewidywany zwrot z inwestycji szacuję na jeden rok i dwa miesiące :D Więcej informacji w samym raporcie.

Miłego dnia :)

Maria

Wzdycham, kasuję wszystkie uśmieszki, przeredagowuję wiadomość i usuwam końcowe „miłego dnia”. Wcale nie życzę mu miłego dnia. Życzę mu, żeby dostał rozwolnienia i wydalil z siebie kij, który ewidentnie napiera od wewnątrz na jego odbył. Nie wiem, dlaczego sądziłam, że może luźny ton wiadomości wniesie jakiś powiew serdeczności do mojej korespondencji z Janem.

Myliłam się. Od dzisiaj nie zamierzam się dłużej starać być dla niego miłą.

Do: Jan Engler

Temat: Raport dla Uniremu

W załączniku znajdzie Pan raport. Skończyłam przed terminem. Analiza i wstępne dane wskazują na to, że innowacyjne rozwiązanie dotyczące niskiego poboru prądu, odporności na pył i wodoodporności eco ledowych świateł, chociaż kosztochłonne, jest opłacalne i wysoko konkurencyjne. Przewidywany zwrot z inwestycji szacuję na jeden rok i dwa miesiące. Więcej informacji w samym raporcie.

Zamierzam jutro wziąć dzień wolny.

Maria

Wysyłam e-maila i zbieram się na fajkę. Postanawiam, że od teraz będę równie oziębła w stosunku do Jana, jak on do mnie. To mój szef, nie muszę mieć z nim ciepłych relacji. W pracy wystarczą mi Olga i Agata, z którymi fajnie się gada przy kawie, oraz ludzie, z którymi spędzam przerwy na papierosie.

Zabieram kurtkę z wieszaka, zjeżdżam windą na parter i wychodzę na zewnątrz. Podmuch wiatru wywołuje dreszcz na skórze. Przynajmniej nie pada śnieg.

Idę za winkiel, żeby skryć się przed chłodem i kamerami z monitoringu, a tam stoją już stali palacze – Monika, Tomek i...

O, a to kto? Całkiem niezły facet. Widzę go po raz pierwszy i muszę przyznać, że miło się na niego patrzy. Mój typ. Ciemne blond włosy, broda jak u drwala, wesołe bursztynowe oczy, szeroki zawadiacki uśmiech, wytarte džinsy, skórzana kurtka. Bije od niego pozytywna energia, którą uwielbiam w ludziach, zwłaszcza w facetach. Totalne przeciwieństwo takiego Jana, który swoim sztywniactwem nawet trupa wprowadziłby w zakłopotanie.

Jezu, dlaczego ja w ogóle o nim myślę? Przecież mam przerwę!

– Jak ci mija ten cudowny dzień, dziewczyno od finansów? – Monika wita mnie śpiewnym tonem.

– Jak zwykle. Nudno. – Wyjmuję paczkę fajek z kieszeni. – Mój szef to gbur jakich mało.

– Gdybym był twoim szefem, na pewno nie pozwoliłbym ci się nudzić. – Nowy podchodzi do mnie, odpala srebrną zapalniczkę i wyciąga ją w moją stronę.

Nachylam się z papierosem w ustach, a kiedy płomień zajmuje białą bibułę, podnoszę wzrok i napotykam figlarne spojrzenie. O rany, oczy Nowego z bliska naprawdę przypominają bursztyny.

– Gdybyś był moim szefem, to od razu bym się zwolniła. – Zaciągam się papierosem, po czym wypuszczam dym do góry.

– Tak? Dlaczego? – Wpatruje się we mnie, nie przestając się uśmiechać.

– Stara dobra fraternizacja.

Widzę po nim, że chyba nie załapał.

– Bo regulamin firmy zabrania umawiania się ze współpracownikami i przełożonym – doprecyzowuję.

Monika z Tomkiem wydają z siebie przeciągłe „uuu...!”, a oczy Nowego błyszczą. Wyciąga do mnie dłoń.

– Jestem Karol. Co robisz dzisiaj wieczorem?

– Maria. – Ściskam jego rękę. – Wybieram się na kolację do meksykańskiej restauracji.

– Odwołaj.

– Nie da rady.

– Dlaczego?

– Bo nie można odwołać czegoś, co nie zostało jeszcze umówione. – Przechyliłam głowę z prowokacyjnym uśmiechem.

Karol się śmieje.

- Ósma ci pasuje? – pyta.
- Jak najbardziej.
- To jesteśmy umówieni.

*

Kolacja – na piątkę. Drink u niego w domu – na czwórkę. Seks – trzy z dwoma.

Ale przecież nie samym seksem człowiek żyje, prawda? Karol jest zabawny, mało skomplikowany, lubi się dobrze bawić. Taki dwudziestoośmioletni chłopiec, co to gra na PlayStation, jada obiady u mamy, spłaca kredyt za mieszkanie, ma panią do sprzątania, nie dba specjalnie o wygląd i w soboty lubi chodzić do klubów. To nic poważnego, i dobrze, tak ma być. Nie śpieszy mi się, broń Boże, do ołtarza. O dzieciach nawet nie myślę. Szczerze, nie nadaję się na matkę. Chyba jestem zbyt egocentryczna. Moje życie to rozgardiasz, zarówno pod względem zawodowym, jak i prywatnym. Muszę najpierw je uporządkować, zanim w ogóle pomyślę o jakiegokolwiek stabilizacji.

Jestem cztery lata po studiach i już w pierwszym roku swojej kariery zawodowej zdałam sobie sprawę z tego, że wybór kierunku „finanse i bankowość” to była jedna z najgorszych decyzji życiowych, jakie podjęłam. W sumie zmarnowałam dziewięć lat na coś, co totalnie mnie nie interesuje. I choć jestem cholernie dobra w tym, co robię, to nie odczuwam żadnej satysfakcji ze swojej pracy.

Codziennie rano, gdy stoję przed lustrem, mam ochotę dać sobie po mordzie za to, że zdradzam samą siebie. Ale nie mam wyboru. Muszę jakoś zapłacić za czynsz i media, mieć pieniądze na życie i odłożyć w końcu kasę, żeby rozkręcić własny biznes – czuję się podle, że po pracy nie mogę znaleźć czasu na rozwijanie swojej pasji. I tak się zastanawiam, czy w ogóle ten mój pomysł na interes ma sens. Bo jaki zdrowy na umyśle człowiek będzie czekał trzy miesiące na renowację starej komody „po babci”, kiedy od ręki może sobie kupić nową komódkę za trzysta złotych? To nic, że ta rozpieprzy się po roku, skoro jest ładna, modna i tania. A stara „po babci” to najlepiej do wyjebania.

Aktualnie muszę się zadowolić tym, co zaoferowało mi życie. Nie powinnam narzekać. Mam dobrze płatną pracę (z popieprzonym szefem), świetnych przyjaciół jeszcze z czasów liceum (którzy ostatnio też narzekają na brak czasu), zdrowych rodziców (którzy uważają mnie za totalne dno) i nowego chłopaka (który jest przekonany o tym, że kiedy on dochodzi, dochodzę i ja) – ale jak wspomniałam, nie samym seksem człowiek żyje. Ważne, że czuję się przy Karolu swobodnie, nie muszę się spinać, przejmować, że powiem lub zrobię coś głupiego, bo w naszym związku to on jest tym mniej inteligentnym. Widujemy

się dwa razy w tygodniu, głównie w weekendy. Nie częściej, bo od dwóch miesięcy, czyli odkąd zaczęłam pracować w pieprzonej korporacji, zasuwam w kołowrotku po dwanaście godzin dziennie. Po wyjściu z pracy marzę tylko o tym, żeby znieczulić się winem (i chipsami), odmóżyć jakimś filmem (najlepiej komedią romantyczną), po czym pójść spać i porządnie się wyspać (sama!). Czasami, kiedy Jan łaskawie pozwoli mi wyjść z biura przed osiemną, spotykamy się z Karolem na mieście, aby coś zjeść, później idziemy do kina albo na kręgle, a następnie spędzamy noc u niego w mieszkaniu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz, żebyśmy weszli razem – mówi Karol po tym, jak puszczam jego rękę, gdy zbliżamy się do firmy.

– Bo nie chcę, by mnie zwolnili za łamanie regulaminu.

– To, że wejdziemy razem, nie oznacza, że jesteśmy razem. Chyba się mnie nie wstydzisz?

– Oczywiście, że nie.

– To w czym rzecz?

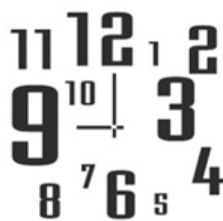
– Już ci mówiłam: nie chcę, żeby ktoś doniósł o nas mojemu szefowi. Jeszcze sobie pomyśli, że co dwie godziny wychodzę na bzykanko ze swoim chłopakiem, który pracuje dwa piętra niżej. Już i tak zwrócił mi uwagę, że zbyt często robię sobie przerwy.

– To powiedz mu prawdę, że chodzisz na fajkę. Mój szef nie ma nic przeciwko temu, że palę.

– Bo sam pali. Mój nie.

– Może zrozumie...

– Nie zrozumie. Jest jak suche drzewo w lesie. To skostniały nudziarz, który ma pierdolca na punkcie przestrzegania zasad. Mogę się założyć, że najbardziej szaloną rzeczą, jaką zrobił w życiu, była gra w szachy na czas. Z komputerem. Offline.



Kolejny dzień za biurkiem, kolejne obliczenia i do tego ten pieprzony klimatyzator, który jest w dupę zepsuty, bo albo ziele mi ogniem w twarz, albo zimową zawieruchą po plecach. Zgłaszałam już Englerowi e-mailowo, że nawiew mi przeszkadza, lecz on uparcie twierdzi, że przekazał problem technikom, którzy z kolei twierdzą, że klimatyzacja działa poprawnie. Sra, a nie działa. Nienawidzę swojej pracy! Staram się sumiennie wykonywać swoje zadania, na czas, żeby szef nie miał żadnych zastrzeżeń. I faktycznie ich nie ma, ale też ani razu nie usłyszałam od niego słowa pochwały.

Po wykonaniu kolejnego raportu i wysłaniu go na skrzynkę szefa postanawiam złapać oddech. Tym razem jednak nie wychodzę na fajkę, bo Jan już chyba zaczyna coś podejrzewać – łypie na mnie złowrogo za każdym razem, kiedy wstaję od biurka. Zostaję więc na swoim miejscu i odwiedzam stronę internetową z ogłoszeniami „oddam za darmo”. Przeglądam zniszczone fotele, krzesła i stoliki, które aż proszą się o to, by dać im nowe życie. Nagle mój wzrok przykuwa beżowy uszak. Cudo! Ludwikowski, dostojny, piękny! Powiększam zdjęcie. Zdarta tapicerka, wytarte podłokietniki. Będzie wymagał sporo pracy, ale ten kształt, te nogi. Boże drogi, zaraz dostanę orgazmu. Muszę go mieć, muszę go ocalić! Toż to okazja na wagę złota. Sięgam po telefon i wybieram numer podany w ogłoszeniu.

- Słucham. – Odzywa się kobiecy głos.
- Dzień dobry. Ja w sprawie fotela. Aktualne?
- Aktualne.
- Świetnie, kiedy mogę odebrać?
- Najlepiej od razu. Dzwoniło już kilka zainteresowanych osób...
- O Boże.
- Jaki adres?
- Piłsudskiego 23, mieszkania 35.

Przelatuję w myślach po mapie miasta, a moje serce bije tak szybko, jakbym już tam biegła. Dzisiaj znów jestem bez mojego Pandziaka, bo po raz kolejny padł w nim akumulator.

Piłsudskiego... To niedaleko, na nogach jednak kawałek drogi. Ale mam bezpośredni autobus spod firmy.

– Będę za trzydzieści minut.

– Dobrze, tylko to czwarte piętro w bloku, bez windy...

– Dam radę. Proszę nikomu go nie oddawać. Moje nazwisko Maria Gabara. Już do pani jadę.

Rozłączam się, zatrzymuję klapę laptopa, wrzucam telefon do torebki, zrywam się z krzesła, odwracam i zderzam z czymś, co pachnie niepokojąco znajomo.

– Gdzieś się pani wybiera? – Dobiega mnie szorstki głos.

Podnoszę wzrok i napotykam surowy wyraz twarzy szefa. Momentalnie spadam z obłoków na ziemię.

Do diabła! Zupełnie straciłam kontakt z rzeczywistością. Przecież jestem w cholernej pracy, jest południe i nie ma żadnych szans, żeby udało mi się wyskoczyć z roboty nawet na godzinę.

Chyba że...

– Moja matka źle się poczuła. Muszę natychmiast do niej jechać. – Poprawiam nerwowo torbę na ramieniu.

– Matka? – Jan unosi brew.

– Tak, jest już wiekowa i...

– Ma cztery nogi oraz beżową tapicerkę? – Jan splata ręce na piersi, wbijając we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

Yyy... Przetykam ślinę.

– Chyba nie rozumiem.

– Myślę, że doskonale pani rozumie. A ja nie toleruję kłamstwa. Jeśli chce pani załatwiać prywatne sprawy, to proszę to robić po pracy. Poza tym Piłsudskiego jest rozkopana. Nie dotrze tam pani w trzydzieści minut.

Zatyka mnie. Engler musiał stać za mną na tyle długo, by zorientować się w sytuacji. Robi mi się głupio, ale jakiś wewnętrzny sprzeciw nie pozwala mi dać po sobie poznać, że jestem na przegranej pozycji. Przyjmuję obronę przez atak.

– Podśluchiwał pan moją rozmowę?

– Nie musiałem. Mówiła pani tak głośno, że cała sala panią słyszała.

Odruchowo odrywam od niego spojrzenie i przebiegam wzorkiem po biurze. W odpowiedzi pracownicy momentalnie spuszczaają oczy na swoje laptopy, udają, że patrzą w okno, podziwiają oświetlenie, białe ściany.

Pocieram dłonią czoło. Jestem w ciemnej dupie. Nie dosyć, że stracę fotel moich marzeń, to dodatkowo naraziłam się szefowi, kłamiąc jak z nut. I to na

oczach połowy działu. Niewesoło. Jedyne sensowne wyjście to przeprosić, usiąść na tyłku i wrócić pokornie do pracy przy biurku. Ale na samą myśl o tym, że przepuszczę szansę na zyskanie pięknego uszaka, chce mi się wyć. A że wyjąca przed Janem Maria oznacza to samo, co spakowanie manatków i pożegnanie się z dobrze płatną robotą, to wybieram inną taktykę.

Uśmiecham się najmilej, jak potrafię, i odzywam się słodziutkim głosem:

– Szefie, tylko na godzinę. – Robię przymilne oczka. – To naprawdę ważne.

– To? – Lustruje mnie chłodnym wzrokiem.

– Ten fotel. Zajmuję się hobbystycznie renowacją mebli, a to чудо aż się prosi, żeby je odnowić. Czy mogę wyjść? Wrócę, nim się pan obejrzy.

Jan patrzy na mnie twardo. Milczy. Próbuje z jego twarzy wyczytać jakiegokolwiek oznaki zrozumienia... I gdy już wydaje mi się, że dostrzegam w jego stalowych oczach błysk przychylności, rozdzwania się jego komórka. Jan ściąga brwi i kręci głową.

– Proszę wracać do pracy. – Pada beznamiętna odpowiedź.

Odwraca się, wyjmując telefon z kieszeni i odbiera, odchodząc w stronę swojego biura.

Fantakurwastycznie! O nie. Tak łatwo nie odpuszczę.

– Ale panie Engler... – Idę za nim, a w zasadzie biegnę, bo kuta fon ma nogi długie jak szczudła. Wiem, że to niegrzecznie przeszkadzać w rozmowie telefonicznej, ale mam cichą nadzieję, że szef zgodzi się na moją prośbę, tylko po to, żebym dała mu święty spokój. – Proszę poczekać... – Wyprzedzam go i zagradzam mu drogę.

Jan się zatrzymuje. Marszczy czoło, po czym przesuwając po mnie takim wzrokiem, jakbym wytarzała właśnie bilans naszego najważniejszego klienta w krowim łajnie.

– Zaraz oddzwonię – mówi do słuchawki, rozłącza się i wkłada telefon do kieszeni spodni.

– Naprawdę nie może mnie pan zwolnić nawet na chwilę? Przecież i tak siedzę codziennie po godzinach...

Odpowiada mi cisza. Cholernie głucha cisza. Jest tak przenikliwa, dudniąca, że zaraz rozsadzi mi bębenki. Tylko milczenie kogoś takiego jak Jan może zagłuszać. Nie muszę mieć trzeciego oka z tyłu głowy, by się domyślić, że wzrok wszystkich jest teraz skierowany na nas. Odnoszę wrażenie, jakby czasoprzestrzeń zastygła w nieruchomej próżni.

Jan patrzy mi prosto w oczy. Świdrująco, paraliżująco, przenikliwie. Nie potrafię wyczytać z wyrazu jego twarzy żadnych emocji, choć pulsująca żyłka na

szyi tuż nad kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli raczej nie wróży niczego dobrego. Czuję, jak kropla potu spływa mi po plecach. Kurna, chyba jednak ten pomysł z przerwaniem mu rozmowy nie był tak genialny, jak mi się wydawało. Poprawiam nerwowo pasek od torby na ramieniu. Jest mi coraz goręcej. Muszę się wreszcie odezwać, bo to milczenie połączone z lodowatym wzrokiem Nocnego Króla z *Gry o tron* zaraz mnie zabije.

– Dlaczego nic pan nie mówi?

Jan mruży oczy i nie spuszczaając ze mnie wzroku, poprawia krawat (to chyba jakiś tik, bo robi to średnio dwieście razy dziennie).

– Myślę.

O! Czyli są jednak jakieś szanse. Brawo, Mario. Widzisz, kto nie ryzykuje, ten nie pije...

– Proszę odszukać dokumenty sprawozdawcze Spendimexu z ostatniej fuzji. Nie zgłosili zamiaru koncentracji i czeka ich kontrola z Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Muszę je mieć za godzinę – dodaje chłodno, po czym najzwyczajniej w świecie mnie omija.

Co?! Ale z niego parszywiec!

Aż się cała gotuję. Zaraz mu nawrzucam. Serio. Tutaj. Teraz. Przy wszystkich. Nie zważając na konsekwencje.

– Nie ma pan ani krzty uczuć – wyrzucam z siebie ze złością, widząc, jak się oddala. – I proszę zrobić coś z tym klimatyzatorem, bo jest ewidentnie zepsuty. Wysuszę się przez niego jak kabanos albo dostanę zapalenia płuc! – wołam za nim.

Ale ten drań nawet się nie zatrzyma, nie odwróci, by spojrzeć w moją stronę. Odpowiada tylko beznamiętnym głosem:

– Proszę wracać do pracy, pani Mario.

Wrrr...

To już pewne: Jan Engler otrzymał w genach od samego diabła wygląd kusiciela, podczas gdy pod skórą czai się obślizgły, wredny, nieczuły gad. Zaskroniec. Boa dusiciel. Grzechotnik jeden. A kysz!

Odwracam się na pięcie. Mój wzrok mimowolnie wędruje po pracownikach działu. Jedni uśmiechają się pod nosem, inni patrzą na mnie z politowaniem, niektórzy ze współczuciem...

I co się, kurna felek, gapicie? Ja przynajmniej miałam odwagę skonfrontować się z szefem twarzą w twarz, tymczasem każdy z was trzęsie przed nim tyłkiem, nawet kiedy chce złożyć podanie o urlop.

Rzucam torbę na biurko, wyciągam komórkę, po czym jak w amoku idę do łazienki, obmyślając plan awaryjny. Oszukam system!

Zamykam się w kabinie i wybieram numer Tośki.

– Cześć, słońce! – Przyjaciółka wita mnie pogodnym głosem, który powinien nastroić mnie pozytywnie, jednak tylko dodatkowo mnie nakręca. Uświadamia mi bowiem, że inni ludzie mają na tyle fajną pracę, że w ciągu dnia mogą mieć dobry humor.

– Pieprzony szefobot nie chce mnie wypuścić z roboty. Potrzebuję twojej pomocy.

– Szefobot?

– Szef i robot w jednym. Człowiek-maszyna bez serca!

– Maryś, co się stało?

– Znalazłam piękny fotel do renowacji. Za darmo, do odbioru na już. A ten... Ten... – Głos więźnie mi w gardle od emocji. – Ten egoista, nadęty bufon, narcyz zafajdany nie pozwala mi wyjść z biura. Błagam cię, Tosia, powiedz, że dasz radę podjechać teraz na Piłsudskiego i odebrać ten fotel.

– Nie ma sprawy. Właśnie skończyłam pracę i wychodzę ze szkoły. Jaki dokładnie adres?

O Boże, toż to wspaniale!

Podaję przyjaciółce numer ulicy i mieszkania. Jestem wniebowzięta... Mam ochotę pisać i skakać z radości. I nagle przypominam sobie, że odbiór jest na czwartym piętrze. Mój optymizm gaśnie jak zdmuchnięta zapalka. Kuźwa, przecież Tośka jest w ciąży! Powinna się wreszcie zaktualizować, ale jakoś mi z tym nie po drodze. Mimo upływu lat Tosia nadal pozostaje w mojej świadomości zwariowaną nastolatką z czerwonymi włosami i kolczykiem w nosie. Tymczasem Antonia Tkaczyk od czterech lat jest panią psycholog w jednym z lepszych ogólniaków w mieście, ma męża dewelopera, mieszka w pięknym domu pod miastem i spodziewa się dziecka.

– Tosia, zapomnij. Uszaka trzeba znieść samemu z czwartego piętra. Zadzwoń do Niny – dodaję zrezygnowanym głosem.

– A Nina nie wyjechała do Barcelony na jakieś sympozjum dla anestezjologów?

KURNA!!! Oczywiście, że wyjechała.

– To może Artur? – sugeruję.

– Ma dyżur w klinice od czternastej. Wspominał, że dzisiaj kastruje jakiegoś labradora.

Z mojego gardła wydobywa się zbolący jęk zawodu.

– Powinien raczej wykastrować mojego szefa, a nie biednego psa. – Opieram czoło o ściankę kabiny i robię w myślach przegląd osób, które mogłyby mnie poratować. Prawda jest jednak taka, że w swoim prawie trzydziestoletnim życiu dorobiłam się tylko trójki prawdziwych przyjaciół, na których mogę liczyć: Tośki, Niny i Artiego. Niby mam ojca, matkę, brata i bratową, ale taki z nich pożytek jak z szalupy ratunkowej na pustyni...

Ale zaraz, zaraz, przecież mam jeszcze chłopaka! Dlaczego od razu o nim nie pomyślałam?!

– Tosia, dzwonię do Karola, on ma mniej pojebanego szefa ode mnie. Na razie. – Rozłączam się i chwilę później słyszę w słuchawce zaspany głos.

– Maryśka? Coś się stało? – pyta zaskoczony i w zasadzie wcale nie dziwne, że się dziwi. Nigdy do niego nie dzwonię o tej porze.

– Muszę odebrać fotel, a Jan sztywniak nie chce mnie wypuścić z pracy. Dasz radę wyskoczyć na godzinkę? Piłsudskiego 23, mieszkania 35.

– Kurczę, nie za bardzo. Jestem zarobiony – odpowiada i w tej samej chwili w słuchawce rozlega się stłumiony dziewczęcy chichot, któremu wtóruje dźwięk przypominający skrzypienie łóżka.

Momentalnie się napinam. Nie należę do podejrzliwych osób, ale akurat te odgłosy nie wydają mi się czymś normalnym, kiedy dzwonisz w środku dnia do swojego chłopaka.

– Gdzie jesteś? – pytam wprost.

– Jak to gdzie? W pracy.

– To znaczy gdzie konkretnie? – dopytuję, bo Karol pracuje w dziale marketingu i handlu, w którym oprócz niego zatrudnionych jest dwunastu innych mężczyzn i ani jednej kobiety.

– Za biurkiem. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Po prostu odniosłam wrażenie, że jesteś poza firmą. Słyszałam kobiecy śmiech...

Cisza.

– Karol?

– To żona Andrzeja wpadła z ciastem. Ma dzisiaj imieniny.

– Kto, żona?

– Nie, Andrzej.

– Jest luty. Andrzeja nie jest przypadkiem w listopadzie?

– Tak? – Śmieje się nerwowo. – To może jednak obchodzi urodziny... – Zawiesza głos. – Słuchaj, postaram się wyrwać do ciebie za pół godziny. Skoczę na pięć minut na górę i zrobię ci jakiś masaż relaksacyjny?

Pocieram czoło dłonią. Jestem cała spięta. I najwyraźniej dostaję paranoi, skoro podejrzewam biednego Karola o Bóg wie co, kiedy ten pracuje sobie grzecznie dwa piętra niżej. Wszystko przez pieprzonego Jana.

– Nie. Nie przychodź. W porządku. Po prostu cholerny Engler wyprowadził mnie z równowagi. Muszę ochłonać.

– Rozumiem. Trzymaj się. Widzimy się wieczorem?

– Nie wiem. – Wzdycham. – Mogę mieć dużo roboty. U klienta szykuje się kontrola ze skarbówki.

– Jak coś, to dzwoń. Pójdziemy gdzieś na miasto, a później skoczymy do mnie.

– Jasne. Trzymaj się. Pa.

Rozłączam się, chowam telefon do kieszeni garsonki, podnoszę deskę sedesową i robię siku. Chce mi się płakać z niemocy. Że też nie trafiłam na to ogłoszenie trzy godziny wcześniej. Mogłabym wykorzystać przerwę na lunch, którą zmarnowałam na opychaniu się ciastkami i gadaniu o dupie Maryny z Agatą i Olgą w pokoju socjalnym.

Jezu, jaka szkoda. Ten uszak jest taki piękny...

– Pieprzony Jan, sztywny drań. Jezu, jak ja go nienawidzę – warczę pod nosem, podcieram się, spuszczam wodę, otwieram drzwi kabiny i...

O kurwa.

Cztery metry przede mną, tuż przy umywalkach, stoi Engler, który jak gdyby nigdy nic myje ręce. Dostrzegam w odbiciu lustra jego pochyloną twarz i momentalnie cofam się do kabiny. Może mnie nie widział i lada moment sobie pójdzie?

Ale zaraz! Co on, u diabła, robi w damskim kiblu? Mam nadzieję, że nie słyszał, jak go wyzwalam od sztywnego drania. Jezu...

– Czy znalazła już pani dokumenty, o które prosiłem? – Stanowczy głos niesie się po łazience.

A jednak mnie widział. Kurna, co za pojebany dzień. Przymykam powieki, biorę głęboki wdech, po nim kolejny.

Dobra, idę.

Podchodzę do umywalki pewnym krokiem i naciskam na dozownik z mydłem.

– Proszę się nie obrazić, ale korzystanie z toalety przeznaczonej dla przeciwnej płci jest co najmniej niestosowne. Nie uważa pan? – Obrzucam go w lustrze

karcącym spojrzeniem.

– Jestem podobnego zdania. – Jan sięga po papierowy ręcznik i wyciera starannie dłonie. Są silne, męskie, z wyraźnie zaznaczonymi liniami żył i czarnymi włoskami wystającymi spod białego mankietu koszuli.

Niby banalna czynność – wycieranie rąk. Tymczasem, nie wiedzieć czemu, przyglądam jej się z wyraźnym zainteresowaniem. Drań ma cholernie zgrabne palce. Takie, których dotyk może przyprawić o dreszcz. Zwłaszcza kiedy suną po nagiej skórze ud, odchylają bieliznę, zanurzają się pomiędzy gorącymi fałdami, pocierają o wilgotne miejsce...

Tętno mi przyspiesza, czuję mrowienie w dole brzucha.

Jezu, co ja wyrabiam?! Roztaczam jakieś popieprzone wizje. Przecież to Jan sztywniak! Mój gburowaty szef!

– Co pan tu właściwie robi?

– Powinienem zadać pani to samo pytanie. – Wyrzuca ręcznik do kosza i wskazuje głową na ścianę po prawej stronie.

Podążam wzrokiem w tamtym kierunku i zamieram. Na wielkich, brązowych, lśniących kaflach dostrzegam trzy wiszące pisuary.

W ułamku sekundy zapala mi się czerwona lampka. Niech to szlag! Pomyliłam kible!

Odwracam się zażenowana, miga mi moje odbicie w lustrze – oczy mam wielkie niczym odpływy we wspomnianych pisuarach, usta rozdziawione, a poliki różowe jak Marysieńka ze wsi. Brawo, Mario, ty debilko!

No nie, to się nie dzieje naprawdę. Zaraz spalę się żywcem ze wstydu.

– Za pięćdziesiąt minut jest spotkanie ze Spendimexem. – Jan poprawia krawat przed lustrem. – Proszę się zabrać do pracy i naszykować dokumenty, o które prosiłem. Ma pani pół godziny. – Przenosi na mnie wzrok i mierzy mnie nim od stóp do głów. Jego twarz nieco łagodnieje, w oczach pojawia się dziwny błysk, lecz tylko na chwilę. Zanim zdążę zamrużyć, rysy znów stają się ostre i niedostępne. – Powinna się pani poprawić.

– Słucham?

– Podwinęła się pani spódnica. – Odwraca się i wychodzi z łazienki.

Co?! Zerkam w dół, ale wszystko jest z nią w porządku. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze od tyłu i... Jasna cholera, mam odsłonięte pół dupy!

Naciągam szybko materiał, palą mnie policzki. Nie no, ze wstydu zaraz utopię się w kiblu, z którego wyszłam z podwiniętą kiecką.

Boże... Czy ten dzień może być jeszcze gorszy?

Ano może.

Zaraz po wyjściu z toalety dzwonię do kobiety z ogłoszenia. I co? Dowiaduję się, że dosłownie przed chwilą oddała mój ukochany uszak jakiemuś fagasowi. Na nic się zdają moje tłumaczenia, że miałyśmy umowę, że miała na mnie czekać. Babsko oświadcza, że była przekonana, iż wysłałam kogoś po fotel, a poza tym nie chce już sobie zaprzętać tym głowy, bo ma ważniejsze sprawy, po czym chamsko się rozłącza.

Co za ludzie?!!!

Siadam przy biurku rozjuszona jak byk i zerkam na zegarek. Zostało mi niespełna piętnaście minut, by naszykować dokumenty dla Englera. Przeszukuję foldery, kopiuję wszystkie pliki na pendrive'a, najważniejsze z nich zaś puszczam do druku, żeby dać Janowi do wglądu. Jak na złość, pieprzona drukarka się na mnie wypina, kwicząc jak głodna świnia, że chce żreć. Zabrakło czarnego tuszu, a ja nie mam już czasu, aby zgłosić do działu zaopatrzenia zapotrzebowanie na nowy toner.

Zmieniam pospiesznie kolor czcionki w dokumentach na granatowy z nadzieją, że ta mała wydrukuje sprawozdania w kolorze. Drukuje, ale, kurna, na różowo!

Zaraz się zabiję.

– Co pani robi? – Słyszę za sobą głos Jana.

– Drukuje dokumenty, o które pan prosił. – Układam kartki równo w stosik.

– A to? Co to jest? – Engler bierze do ręki jedną z kartek, którą właśnie wypłula drukarka, i się krzywi.

– Dokumenty, o które pan prosił – powtarzam, starając się trzymać nerwy na wodzy.

Jan podchwytuje moje spojrzenie, patrzy mi prosto w oczy. Nie jest ani zły, ani dezorientowany, ani rozbawiony (choć to akurat nie powinno mnie dziwić, przecież on się nigdy nie uśmiecha, ponurak jeden). Nie potrafię odczytać z wyrazu jego twarzy żadnych emocji, do których mogłabym się ustosunkować. Czuję się niepewnie, a zarazem pozostaję w gotowości do odparcia ewentualnego ataku. Totalne rozchwianie. Jak ja nie znoszę tego typu, wykończę się w tej robocie. Nie nadaję się do takiej pracy – w stresie, pośpiechu, na już, teraz, jak maszyna. Bez żadnego: dziękuję, dobra robota, tak trzymaj...

– Pani Mario. Co to jest? – ponawia pytanie stonowanym głosem.

Zaciskam zęby. Mam ochotę zwinąć kartkę w rulon i odpowiedzieć tym samym opanowanym tonem, co on: „To jest kalejdoskop. Pomalowałam twój

czarno-biały świat na różowo, podziękuj ładnie albo daj mi święty spokój i pocałuj mnie w dupę. Do widzenia”.

Ale zdrowy rozsądek zwycięża.

– Tusz się skończył – oznajmiam.

– Co?

Chujów sto!

– Skończył się tusz w drukarce i musiałam zmienić kolor czcionki.

– Mogła pani przesłać plik na drukarkę działową.

W sumie... Ma rację. Dlaczego o tym nie pomyślałam?

– Dobrze. Zaraz to zrobię.

Jan odsłania mankiet koszuli i zerka na swój szykowny (i na oko cholernie drogi) zegarek. Jeszcze go u niego nie widziałam. Ile on ich ma?

– Nie mamy już na to czasu. Proszę zabrać to, co jest. Przeczyta mi pani wszystko w aucie.

Yyy... Co zrobię? Gdzie?

– Mam jechać z panem?

Jan nie odpowiada, tylko spogląda na mnie tymi swoimi szarymi mrożonkami, które zdają się mówić: „A której części w zdaniu: *Przeczyta mi pani wszystko w aucie*, pani nie zrozumiała?”, po czym odchodzi bez słowa.

Pacan.

– Włożę tylko wydruki do teczki. Dołączę do pana na parkingu na dole... – dodaję, a w odpowiedzi słyszę wyłącznie mruknięcie.

Engler podchodzi do wieszaków na końcu korytarza, zakłada płaszcz i rusza do windy.

Chryste, co z niego jest za dziwne stworzenie. Mógłby chociaż odpowiedzieć jak normalny człowiek: „jasne, do zobaczenia”. Ale on nie... Gbur jeden. Mruk.

Mój pochrzaniony szef jest namacalnym dowodem na to, że nie należy oceniać książki po okładce. To, że wygląda w tym cholernym garniaku i rozpiętym płaszczu jak pieprzony James Bond, nie zmienia faktu, że nadal pozostaje Janem ponurakiem, draniem i sztywniakiem.

Gdy tylko wychodzę na podziemny parking, dobiega mnie dźwięk uruchamianego silnika. Rozglądam się po rzędach aut i dostrzegam włączone reflektory jednego z nich.

Wielkie bydlę, z przyciemnianymi bocznymi szybami, drogie pewnie jak diabli, ze znaczkiem na kuprze BMW X4. No tak, jakie ego, takie auto. Podchodzę do SUV-a, otwieram drzwi i pakuję się do środka. Momentalnie

zostaje osaczona przez eleganckie wnętrza, męski zapach i bliskość mojego szefa, którego postawna, emanująca pewnością siebie sylwetka zdaje się zagarniać całą przestrzeń.

– Jestem – odzywam się jak głupia, bo przecież widać, że jestem.

– Ma pani wszystko, o co prosiłem?

– Tak.

– Proszę zacząć od bilansów z ostatnich pięciu lat w kolejności achronologicznej. – Jan rusza z parkingu.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Wystarczy rok poprzedzający fuzję.

– Widocznie pani nie zrozumiała, więc powtórzę. Klient ma kontrolę z powodu niezgłoszenia...

– Zrozumiałam doskonale – przerywam mu w połowie zdania. – A kontrola jest bezpodstawna. Spendimex nie miał obowiązku zgłaszania fuzji. Ich obrót w roku poprzedzającym połączenie z Viramo i Kodo wyniósł czterdzieści dziewięć milionów siedemset dwadzieścia osiem tysięcy euro. Obowiązek zgłoszenia w przypadku polskich firm następuje zaś wówczas, gdy obrót wynosi powyżej pięćdziesięciu milionów euro.

Engler zerka na mnie z ukosa. Chyba go zaskoczyłam.

– Proszę wyjąć wydruk z sumą obrotów.

– Nie mamy zbiorczego dokumentu. Każdy miesiąc jest osobno.

Ściąga brwi.

– To skąd pani wie, jaki był obrót za cały rok, skoro dopiero wydrukowała pani pliki?

– Policzyłam w windzie.

Samochód zwalnia, rozlega się dźwięk włączanego kierunkowskazu, zjeżdżamy na pobocze. Engler zaciąga ręczny, włącza awaryjne światła, odwraca się w moją stronę...

– Pani Mario, być może nie wyraziłem się wystarczająco jasno – zaczyna poważnym tonem. – Nasz klient dopuścił się poważnego uchybienia, oczekuje od nas fachowej pomocy i rzetelnego podejścia, a nie zliczania na kolanie kwot wynoszących miliony euro.

– Nie na kolanie, tylko na stojąco, w windzie. – Otwieram teczkę, wyciągam wydruki z ostatnich dwunastu miesięcy poprzedzających fuzję i podaję je Janowi. – Jak pan nie wierzy, proszę samemu sprawdzić.

Jego nozdrza się rozszerzają, ale wyraz twarzy nadal pozostaje niezachwiany. Stoik jak się patrzy.

– Pani Mario. To nie są warunki i nie czas na takie wyliczenia. Analiza takich danych to godziny pracy w Excelu, a nie cztery minuty wklepywania kwot w kalkulator na telefonie, czego najwyraźniej dokonała pani podczas przejazdu windą z trzydziestego trzeciego piętra na minus pierwsze.

– Nie liczyłam tego na kalkulatorze, tylko w pamięci.

Jego brwi podjeżdżają wysoko do góry. Na bank myśli, że jestem niespełna rozumu. A że zdecydowanie wolę być postrzegana jako dziwoląg (do czego przyzwyczaiałam się już w szkole), niż jako osoba, której brakuje kilku zwojów pod czaszką, dodaję z uśmiechem:

– Proszę podać dwie dowolne, skomplikowane liczby powyżej stu tysięcy.

– Słucham?

– Nie wierzy mi pan, że obliczyłam prawidłowo obrót roczny w cztery minuty, bez użycia Excela. Proszę więc zaproponować dwie dowolne liczby, a ja podam panu wynik ich dodawania. Jeśli się pomyłę, ma pan prawo mnie zwolnić. Jeśli natomiast wynik będzie poprawny, przeprosi mnie pan, da mi premię uznaniową za ten miesiąc i zrobi coś z tym zepsutym klimatyzatorem nad moim biurkiem, który podobno jest sprawny.

Widok miny Jana – bezcenny. Wygląda, jakby właśnie zdał sobie sprawę z tego, że zatrudnił wariatkę. Patrzy na mnie. Myśli. Albo mnie zaraz wypieprzy z auta na zbity pysk, albo...

Sięga do kieszeni spodni po telefon, wpisuje coś na ekranie, a ja, choć nie jestem w stanie wyczytać żadnych emocji z jego twarzy, jestem pewna, że właśnie wysyła SMS-a do szefowej działu HR z poleceniem przygotowania wypowiedzenia dla Marii Gabary.

Robi mi się gorąco. No to pozamiatane. I po co się, debilko, wychylałaś? Po co?

– Siedemset osiem tysięcy dziewięćset dwadzieścia jeden plus osiemset trzydzieści dziewięć tysięcy dziewięćdziesiąt sześć. – Nieoczekiwanie rozlega się głos Jana.

Rozdziawiam usta, bo, cholera, zaskoczył mnie. Ale nie na tyle, by mój umysł nie przestawił się automatycznie na logiczny tor. Mój mózg w ułamku sekundy wysyła sygnał – przed oczami zjawia się ciąg liczb, które wypowiadam na jednym wydechu:

– Milion pięćset czterdzieści osiem tysięcy siedemnaście.

Jan mruży oczy.

– Dodać trzysta dwadzieścia siedem tysięcy czterysta pięćdziesiąt trzy – rzuca, a jego kciuki sprawnie poruszają się po ekranie telefonu.

Uśmiecham się pod nosem.

– Milion osiemset siedemdziesiąt pięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt – odpowiadam bez wahania.

Engler zerka na wyświetlacz, na mnie, po czym wpisuje coś na telefonie, wymawiając kolejne liczby:

– Dodać trzy miliony dziewięćset siedemdziesiąt trzy tysiące dziewięćset sześćdziesiąt osiem.

Och, ty niewierny Janie. Wywracam oczami i odpowiadam bez zająknięcia:

– Pięć milionów osiemset czterdzieści dziewięć tysięcy czterysta trzydzieści osiem. – Przechylam głowę i przyglądam się szefowi. – Możemy to ciągnąć do googola^[1]. Ja nie mam nic przeciwko, ale czy przypadkiem pan nie spieszył się do klienta?

Jan podnosi na mnie wzrok znad telefonu. Ma excelowy #ARG! wypisany na twarzy. Widzę po nim, że nie potrafi racjonalnie wytłumaczyć tego, co się dzieje. He, he, he. To go zażyłam. Pierwszy raz widzę u niego taką minę. I ja pierdzielę, ten widok wart jest tych pięciu milionów, które spłodziłam z sumowania w ciągu ostatniej minuty.

Wkłada komórkę w uchwyt na szybie, zerka w tylne lustro, spuszcza ręczny, wyłącza światła awaryjne, włącza kierunkowskaz, rusza z miejsca i po przejechaniu jakichś dwudziestu metrów zawraca na środku drogi.

– Yyy... Zapomniał pan czegoś z biura?

Zamiast odpowiedzieć, wypowiada komendę głosową, by połączyć się z klientem.

Następuje łączenie przez bluetooth, w głośnikach rozlega się męski głos:

– A dzień dobry. Właśnie przygotowujemy się do spotkania i...

– Spotkanie nie jest konieczne. – Rozlega się opanowany głos Jana. – Kontrola z UOKiK-u jest nieuzasadniona. Pana księgowy powinien jeszcze raz sprawdzić obrót za rok poprzedzający fuzję i wystosować odpowiednie pismo do Urzędu. Wynik nie przekroczył pięćdziesięciu milionów euro.

– Jest pan pewien? – W głosie rozmówcy słychać zdziwienie.

– Jestem pewien. – Pada zdecydowana odpowiedź, która sprawia, że czuję rój motyli w żołądku.

– Dobrze, zaraz to sprawdzimy...

Jan się rozłącza.

Patrzę na jego powściągliwy wyraz twarzy i czuję się tak cholernie doceniona, jak nigdy wcześniej. Być może dałam mu niezbity dowód na to, że moje

zdolności kalkulacji matematycznej wykraczają ponad przeciętność, ale przecież nie musiał ślepo wierzyć w to, że dobrze obliczyłam obrót Spendimexu. A jednak uwierzył.

W aucie zapada cisza. Nie mam pojęcia, co powinnam teraz powiedzieć. Chyba jestem w szoku, że Jan odwołał spotkanie i...

– Jest pani wolna. – Samochód się zatrzymuje.

Zatyka mnie. Zaraz, zaraz. Czy on mnie zwalnia? A może to było pytanie o to, czy jestem wolna? Przętykam ślinę, bo aż zaschło mi w ustach.

– Słucham?

– Na dzisiaj skończyła pani pracę. – Jan wskazuje głową na przednią szybę. Podążam wzrokiem za trajektorią jego spojrzenia i orientuję się, że jesteśmy pod moim blokiem.

O w mordę! Skąd on, cholera, zna mój adres?

Jak to skąd, bystrzaku? Z twoich akt. Jesteś przecież jego podwładną – podpowiada logika.

Niby jestem, ale to nie tłumaczy tego, że Jan przywiózł mnie pod sam dom, do tego daje mi wolne na resztę dnia, gdzie zazwyczaj wychodzę z pracy najwcześniej o osiemnastej.

Zerkam na niego zaskoczona. Dostał gorączki czy jak? Obserwuję jego ostry profil: koloryt skóry w normie, nie poci się, nie wydaje się chory. Wygląda jak zwykle – zdystansowany i perfekcyjny. Wpisuje coś w smartfonie – skupiony, nieobecny.

– Dziękuję... To miłe z pana strony – mówię cicho, bo głos utkwił mi w gardle.

Jan przenosi na mnie wzrok. Nasze spojrzenia się spotykają.

– Jest tak, jak sobie pani życzyła. Premia pojawi się jutro na pani koncie, załatwię sprawę z klimatyzatorem i mówię: przepraszam – oznajmia krótko, rzeczowo, konkretnie i odkłada telefon na deskę rozdzielczą.

„Mówię: przepraszam”? O matko, to najsłabsze przeprosiny, jakie w życiu słyszałam. Mimo to zaraz upadnę z wrażenia (choć siedzę). Zamurowało mnie, gorąco mi jak diabli. Czy ten fotel jest podgrzewany? Jan mnie przeprosił. Na swój sztywny sposób, ale i tak zbieram szczękę z podłogi. A w zasadzie z wycieraczki pod stopami, która, notabene, jest tak nieskazitelnie czysta, że gdybym miała sztuczną szczękę, to nawet nie musiałabym jej myć, żeby umieścić ją z powrotem w gębie.

Ale cóż, po kilku miesiącach pracy z Janem wypucowana wycieraczka w aucie nie powinna mnie wcale dziwić. Engler niezaprzeczalnie jest czyścioszkiem – zawsze śnieżnobiała koszula, nienagannie odprasowany garnitur, starannie

zawiązany krawat, buty na błysk, idealnie ogolona twarz, uczesane włosy, przycięte równo paznokcie. Jego gabinet to same kąty proste: ustawione pod linijkę segregatory na półkach, biurko przypominające przygotowany do operacji stół chirurgiczny – mucha nie siada. Firma Sarantis Polska powinna umieszczać zdjęcie mojego szefa na opakowaniach ściereczek do czyszczenia z mikrofibry pod jakże znaną marką Jan Niezbędny. O tak, Engler to pedant w całym tego słowa znaczeniu, do tego tak boleśnie oszczędny w słowach, że człowiek aż się zastanawia, czy przypadkiem mówienie nie jest czymś złym, zbytecznym i niepoprawnym społecznie...

Cisza między nami z każdą sekundą staje się coraz dotkliwsza. Wzbudza we mnie zakłopotanie. Ale najwyraźniej tylko ja mam z tym problem, bo mój szef po prostu siedzi, patrzy mi w oczy tym swoim chłodnym spojrzeniem, pozostając wciąż tym samym wstrzemięźliwym i niewzruszonym Janem. Głównie, żeby zabłysnąć jakimś mądrym słowem, ale w głowie pusto jak o północy w lesie. Najchętniej skorzystałabym z możliwości bycia ponownie przepytaną z dodawania w zakresie biliarza. Jak to jest, że bez problemu nawiązuję kontakty interpersonalne z niemal każdą napotkaną osobą, a za cholerę nie potrafię zamienić kilku zdań z własnym szefem?

Jak nie potrafisz, to nie gadaj, Mario.

– Dziękuję w takim razie za podwózkę. Jutro na ósmą? – pytam z nadzieją w głosie, bo może zaimponowałam dzisiaj Englerowi na tyle, że zgodzi się na elastyczny czas pracy? To by dopiero było...

– Na ósmą – odpowiada bez zająknięcia.

No dobra. Może źle sformułowałam pytanie.

– A czy dziewiąta wchodziłaby w grę? I tak zostaję codziennie po godzinach...

– Punkt ósma, pani Mario.

Hm. No tak. Ale przynajmniej spróbowałam.

– To szkoda. Dziewiąta jest znacznie lepsza niż ósma. To moja ulubiona cyfra, bo zawsze stawia na swoim.

Jan ściąga brwi.

– Nie rozumiem.

– Suma liczb powstałych z pomnożenia jakiegokolwiek liczby przez dziewięć zawsze daje dziewięć – śpieszę z wyjaśnieniem. – Na przykład dziewięć razy dwa to osiemnaście, a jeden plus osiem, wiadomo, daje dziewięć. Albo dziewięć razy trzynaście to sto siedemnaście, a jeden plus jeden plus siedem to również dziewięć. Jaki ma pan rozmiar buta?

– Co proszę?

– Numer buta. Czterdzieści pięć, sześć? – zgaduję.

– Czterdzieści sześć – odpowiada wyraźnie zbity z tropu.

– No więc czterdzieści sześć razy dziewięć to czterysta czternaście. Cztery plus jeden plus cztery to dziewięć. Urodził się pan w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, zgadza się?

Wiem, że tak, bo podali tę datę na firmowej stronie.

Kiwa tylko głową.

– Czyli tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden pomnożyć przez dziewięć to jest... – Daję sobie sekundę. Przemykam powieki, czuję znajome pulsowanie nad brwiami... Przed oczami pojawia się ciąg cyfr, przelatują, krążą, łączą się w pary; próbuję je instynktownie uporządkować, aż w końcu każda wskakuje na swoje miejsce. – Siedemnaście tysięcy osiemset dwadzieścia dziewięć. Czyli jeden plus siedem plus osiem plus dwa plus dziewięć daje dwadzieścia siedem, a dwa plus siedem to dziewięć – kończę na wydechu, uśmiecham się z zadowoleniem i puszczam oko do mojego szefa. – Miłego popołudnia. – Odpinam pasy, otwieram drzwi i wysiadam dumna jak paw z nadzieją, że pozostawiłam szefa z miną mówiącą: „ja pieprzę, ona jest chodzącym kalkulatorem”.

Ano jestem. I co z tego, skoro muszę jutro być na cholerną ósmą w pracy?

*

Kiedy tylko podchodzę pod drzwi mieszkania, słyszę, jak z naprzeciwka wita mnie sąsiadka. Mam na klatce dwóch sąsiadów. Jednym z nich jest Makowski – rozwodnik, cichy alkoholik, który ma szurniętego kota. Drugim jest pani Ala – kochana kobieta po siedemdziesiątce, chociaż trzyma się, jakby miała pięćdziesiątkę. Codziennie rano ćwiczy jogę, uprawia dwa razy w tygodniu nordic walking, a w soboty grywa w brydża z trójką znajomych – zachowują się głośno jak nastolatki wypuszczone na wolność po szlabanie domowym.

– Maryniu, coś do ciebie przyszło! – woła, gdy przekręcam klucz w zamku. – Piękne to, ale zawadza mi w przedpokoju. Chodź, pomożesz. – Znika w korytarzu swojego małego mieszkanka.

Podchodzę zaintrygowana do otwartych na oścież drzwi, zaglądam do środka i prawie upadam z wrażenia.

O ja cię kręcę! USZAK!

Serce robi podskok, zaczyna radośnie bić. Boże, nie mogę w to uwierzyć!!!

– Dobrze się czujesz? – Pani Ala zerka na mnie czujnie.

– Czy dobrze? Zaraz oszaleję ze szczęścia! – Rzucam na podłogę dokumenty z torebką i dopadam do fotela. Obejmuję go, jakbym odnalazła psa, którego ktoś ukradł mi spod sklepu. Nie pachnie może zbyt dobrze, ale walić to. Jest piękny, zachwycający, jest mój. Ale jakim cudem?

– Skąd go pani wytrzasnęła? Myślałam, że przepadł. – Nie odrywam oczu od fotela. Gładzę krzywiznę jego oparcia, wytartą tapicerkę... Muszę wyglądać, jakbym straciła rozum, bo pani Ala odpowiada niepewnie:

– Jakiś mężczyzna go przywiózł godzinę temu. Zapukał i zapytał, czy może go u mnie zostawić do twojego powrotu, by nikt go nie zabrał.

– Mężczyzna? – Podnoszę na nią wzrok. – Jaki mężczyzna?

– Kurier. Nie przedstawił się. Dosyć barczysty, łysawy młodzieniec. Poprosił, żebym pokwitowała odbiór... Sądziłam, że dobrze robię – dodaje spłoszona.

– Tak, tak. Bardzo dobrze pani zrobiła – zapewniam ją. – A na tym kwitku było jakieś nazwisko, nazwa firmy, cokolwiek?

– W sumie to nie wiem, dziecko. Nawet nie zdążyłam włożyć okularów. Po prostu podpisałam, a on wniósł fotel do przedpokoju.

– Hm. Rozumiem. – Patrzę na nią i niepokoi mnie fakt, że tak łatwo wpuściła obcego mężczyznę do mieszkania. – Bardzo pani dziękuję, ale na przyszłość proszę najpierw zapytać, kim jest osoba, której pozwala pani wejść do domu, dobrze? Tyle się słyszy o okradaniu starszych osób...

Pani Ala zbywa mnie machnięciem ręki.

– A co on niby mógłby mi ukraść, Maryniu? Radzieckie kryształły, naszyjnik z bursztynów, a może zaśnieźdla obrączkę ślubną? – prychnęła. – Nie jestem w ciemę bita. Gotówkę trzymam w banku – nachyliła się do mnie i ścisza głos – a w komódce mam gaz łzawiący i syrenę alarmową na wypadek, gdyby ktoś chciał wycyckać biedną emerytkę. – Puszcza do mnie oko.

Uśmiecham się, bo staruszka, jak na swój wiek, jest naprawdę zaradna. Mieszkam w jej sąsiedztwie od pięciu lat i zaledwie na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, w których potrzebowała mojej pomocy – żeby znieść dywan na trzepak, zawiesić firanki (kiedy nadwyrężyła sobie kręgosłup) albo zrobić zakupy, gdy zmogło ją przeziębienie, a na dworze panował siarczysty mróz. To najbardziej niewymagająca osoba, jaką poznałam w życiu. Od dwudziestu lat jest wdową. Syn i wnuki mieszkają w Norwegii i choć to w sumie niedaleko, widują się zaledwie raz do roku na Boże Narodzenie. Widać, że pani Ala cieszy się ich szczęściem, ale nieraz dała mi do zrozumienia, że oddycha z ulgą, kiedy wracają po świętach do domu, bo wreszcie może zająć się swoim życiem. Boże daj, abym na starość była tak samowystarczalna i obrotna jak ona.

*

Jestem tak podekscytowana, że zaraz zacznę fruwać pod sufitem. Pokój i balkon zamieniły się w warsztat stolarski. W ruch poszły szlifierka, papier ścierny, farba... Z piwnicy wydobyłam zwój kolorowego tapicerskiego materiału w pasy, który kupiłam kiedyś na wyprzedaży. Nadaje się idealnie – jakby czekał właśnie na ten dzień. A raczej noc, bo nim się spostrzegam, nastaje północ. Jedynym, co jest w stanie odciągnąć mnie od pracy, jest ssanie w żołądku. Robię sobie szybko kanapkę, przyglądając się efektom moich zabiegów. Jest jeszcze tyle detali do dopracowania.

Niemal połykam chleb z szynką, żeby tylko zaspokoić głód, po czym wracam do tapicerowania. Powinnam zadzwonić do Karola, a najlepiej pojechać do niego i odwdzińczyć mu się za taki prezent. To mnie zaskoczył. Fantastyczna niespodzianka. I nic się, skubany, nie zdradził. Kochany jest...

O, tu trzeba bardziej naciągnąć materiał – dostrzegam fałdę na oparciu fotela i zabieram się za poprawki.

Kilka godzin później budzi mnie drętwienie w dłoni. Unoszę powieki. Przed oczami dostrzegam kanarkową żółć, rozświetloną promieniami wschodzącego słońca, i uśmiecham się sama do siebie.

Auć! Boli mnie policzek, którym opierałam się o siedzisko. Nawet nie wiem, kiedy usnęłam. Jestem niewyspana, pocięta od spania w siedzącej pozycji, ale jedyne, o czym myślę, to aby dokończyć dzieła tworzenia. Rozmasowuję dłonią kark i dobiega mnie dźwięk śmieciarki, która właśnie podjechała pod pergolę na tyłach bloku. Dziwne, co oni dzisiaj tak wcześnie...? Która jest właściwie godzina?

Nagle rozlega się w mojej głowie sygnał alarmowy. Rozglądam się panicznie po podłodze w poszukiwaniu komórki, chwytam ją z walącym sercem i zamieram.

Ja pierdziele! Za dziesięć ósma!!!

Zrywam się na równe nogi, latam po mieszkaniu jak spanikowana mucha, która ucieka przed łapką.

Bluzka, rajstopy, spódnica, buty, torebka, telefon, klucze, kurtka, czapka. Śniadanie nieważne, zjem jakiś susz konferencyjny w pracy.

Wybiegam jak oparzona na zewnątrz. Zimne powietrze trzeźwi mnie tak znacząco, że zapominam, że przespałam zaledwie kilka godzin na podłodze w pozycji siedzącej, oparta o fotel. Biegnę do auta i w ostatniej chwili przypominam sobie, że przecież mam rozładowany akumulator. Noż kurwa! Pędzę na przystanek, widzę nadjeżdżający autobus. Bogu dzięki! Wpadam do

środką, ludzie zerkają na mnie jak na człowieka z liściem na głowie. Pewnie mam podkrążone powieki, dzicz w oczach i wyglądam jak szalona, ale jedyne, czym mogę się martwić w tym momencie, to fakt, że jestem już spóźniona do pracy.

Winda zatrzymuje się na piętrze mojego działu. Dopadam do wieszaka, zostawiam kurtkę (kurna, wiś no!) i biegnę do open space'u. To moje pierwsze spóźnienie, odkąd zaczęłam tu pracować. Jasna cholera, nigdy więcej! Czuję się jak małpa w zoo. Pięćdziesiąt par oczu patrzy prosto na mnie. Jedni uśmiechają się pod nosem, inni wpatrują się z uniesionymi brwiami, część kręci głową z dezaprobatą, a niektórzy kibicują niemo: „*run, Maria, run!*”.

Rzucam torbę na biurko, włączam laptopa, zerkam na zegar ścienny. Ósma dwadzieścia. I tak mam niezły czas. Opadam zziębnięta na fotel, próbuję uspokoić oddech. Może miałam fart i Jan nie zauważył, że jeszcze mnie nie ma? Siedzi w tej swojej dziupli nad jakimiś wyliczeniami...

– Czego w słowach „punkt ósma” pani nie zrozumiała? – Rozlega się za mną niski głos.

Ja pieprzę.

Przymykam powieki. Cholerny służbista. Wiem, że żadne tłumaczenia i tak mi nie pomogą, bo Engler ma świra na punkcie punktualności, a nawet jeśli wspiełabym się na wyżyny kreatywności i wymyśliła jakąś genialną wymówkę, to i tak miałby ją głęboko w dupie.

– Wszystko zrozumiałam. Po prostu się spóźniłam. Mogę zostać dłużej, jeśli jest dużo pracy. – Wstaję powoli z krzesła, prostuję się, wciągam głęboko powietrze i odwracam się w stronę mojego szefa.

Stoi w lekkim rozkroku, trzyma dłoń w kieszeni ciemnych garniturowych spodni. Marynarka zapięta na jeden guzik, koszula jak po krochmalu, perfekcyjnie zawiązany krawat, szerokie ramiona, odurzający zapach...

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym zatrzymuje spojrzenie na mojej twarzy, a jego brwi wędrują do góry.

– Co to ma znaczyć?

– Słucham?

Mruży lekko oczy, przyglądając mi się wnikliwie.

– Szukam logicznego wytłumaczenia na to, co widzę.

O czym on mówi, do diabła?

– A co pan niby widzi?

– Pani twarz.

– Coś z nią nie tak? – Łapię się odruchowo za policzki, jakbym chciała sprawdzić, czy są na swoim miejscu.

– Jeśli to nie jest przejaw pani wyznania, to prosiłbym, żeby unikała pani tego typu makijażu w miejscu pracy.

Jakiego makijażu? Przecież ja się nie maluję. To znaczy, nakładam jakiś tam puder i tusz do rzęs, ale dzisiaj zdecydowanie nie miałam na to czasu.

Słyszę za plecami przytłumione śmiechy pracowników. Oho, coś naprawdę musi być nie tak z moją facjatą.

Obracam się, sięgam do torebki po telefon, włączam aparat z trybem autoportretu i wciągam powietrze tak głęboko, że aż mnie zatyka.

– Ożeż w dupę jego mać – wyrzucam na wydechu.

Przybrudzona kamerka nieco zamazuje obraz, ale widać jak na dłoni, że wyglądam jak jakaś pieprzona zebra na obrazie pijanego artysty! Czoło, kości policzkowe i żuchwa zostały naznaczone białymi krechami po farbie.

Wybornie. Czuję, że robię się czerwona. Zebra przeobraża się w kibica barw narodowych. Maria, gola! Nie do tej bramki, fujaro!

Ja pierniczę, jaki wstyd. Jedyne, co mogę zrobić w tej sytuacji, to obrócić tę absurdalną sytuację w żart.

– Proszę wybaczyć, przyleciałam prosto z Kenii z obchodów święta Kikuju.

– Słucham? – Jan patrzy na mnie, jakbym mówiła do niego w suahili.

Boże, co za ciul.

– Nic. Muszę do łazienki.

Robię unik w bok i mknę ze spuszczonym łbem w stronę toalet.

Uszaczek, który robił mi dzisiaj za podusię, nieźle mnie urządził. Szczęście w nieszczęściu, że pomalowałam podłokietniki na biało, a nie na brązowo. Engler jeszcze gotów pomyśleć, że w drodze protestu obowiązujących godzin pracy wysmarowałam się czymś, co przypomina kupę.

„Panie Engler, to specjalna ekologiczna maseczka z odchodów andyjskiej lamy, na zmarszczki, których mam od chuja i jeszcze trochę, bo odkąd zaczęłam z panem pracować, stresuję się jak diabli”.

– Kochana, a co ty masz na twarzy? – Olga przystaje zdumiona z kubkiem w ręku, kiedy pędzę korytarzem.

– Nie pytaj. – Mijam ją, otwieram drzwi łazienki, wpadam do środka i gdy tylko widzę się w pełnej krasie w odbiciu lustrzanym, wydaję z siebie jęk rozpaczy.

O Chryste.

Włosy mam rozczochrane jak czarownica, pod oczami straszy wczorajszy rozmazany tusz (jak mogłam o nim zapomnieć?!), na twarzy rażą bielą cholerne krechy po farbie, bluzka też pozostawia wiele do życzenia, bo jest nieco pognieciona i do tego nierówno zapięta. Obraz nędzy i rozpacz.

No, Maryśka, przeszłaś samą siebie.

Wpatruję się we własne odbicie i przypomina mi się mina Jana. Ciekawe, co sobie pomyślał? On zawsze taki czysty, schludny, nienagannie ubrany, ogolony, pachnący. Dobrze, że nie dostał udaru na mój widok. W jego wieku to już nie przelewki. Biedaczek, pewnie nadal stoi tam mocno zszokowany i próbuje się pozbierać.

Zerkam ponownie na swoje powalające odbicie w lustrze i parskam śmiechem. Ale jestem piękna.

No dobra, pora to zmyć. Dobrze, że użyłam farby akrylowej, a nie olejnej, bo bez rozpuszczalnika by się nie obeszło. Odkręcam kran, dozuję mydło na dłoń i zaczynam szorować twarz. Smugi powinny bez problemu zejść po paru minutach mycia. Ale jakoś nie schodzą. To znaczy, kreski stają się bledsze, znikają pomалу, ale moja skóra zaczyna powoli wyglądać, jakbym nabawiła się porażenia słonecznego.

– No zmywaj się, franco. – Trę żuchwę, aż skóra piecze mnie żywym ogniem. – Co za cholerstwo...?

– To powinno pomóc. – Olga wchodzi do łazienki, siada na blacie z umywalkami i podaje mi gąbkę do zmywania. – Wiesz, że jesteś gwiazdą dzisiejszego poranka?

– Engler o mało nie dostał zawału na mój widok – stwierdzam.

– Przynajmniej zrobiło się wesoło.

– Na pewno nie jemu. Nawet kąciki ust mu nie drgnęły. – Pocieram gąbką czoło. Boli, ale schodzi.

– Bo on się nie zna na żartach. I nigdy się nie uśmiecha.

– Nigdy przenigdy? – Zerkam na Olę zdziwiona.

– Ja tam nigdy nie widziałam go uśmiechniętego, a trochę tu już pracuję.

– Nawet tak lekko? Wiesz, uprzejmie, zdawkowo?

– Nawet tak.

– O rany. Może on cierpi na jakieś porażenie mięśni twarzy? – Trę kość policzkową.

– Wtedy chyba nie mógłby mówić – stwierdza Olga.

– Wiesz, za rozmowny to on też nie jest.

– Taki typ. Może Bóg go stworzył do bardziej wzniosłych celów niż uśmiechanie się i gadanie?

– To znaczy? – Wysuwam brodę i ścieram z niej resztki farby.

– Do liczenia i pieprzenia?

Wybucham śmiechem.

– Proszę cię, Olga. Fakt, facet ma giętki umysł, ale fizycznie jest sztywny jak pal.

– I chyba o to chodzi, nie? Powinien być sztywny. – Porusza energicznie brwiami i zeskakuje z blatu. – Dobra, wracam do pracy, bo dzisiaj muszę wyjść o szesnastej, żeby odebrać syna ze szkoły.

– Szczęściara. Ja pewnie w ramach dwudziestominutowego spóźnienia będę musiała odsiedzieć dodatkowe cztery godziny.

– Pogadamy, jak będziesz miała dziecko. – Olga klepie mnie po ramieniu. – Ciesz się wolnością. Uwierz mi, czasami w domu tak tęsknię za pracą, że z chęcią bym się z tobą zamieniła. Na razie.

– Cześć.

Kiedy wychodzi, nadal szoruję twarz, która wygląda już o niebo lepiej (choć jest zaróżowiona i piecze). Przypomina mi się tekst Olgi o „wzniosłych celach”, do jakich Bóg stworzył Jana, i chce mi się śmiać. Mój szef i pieprzenie. Dobre sobie, te słowa są jak antonimy. Jak ciepły – zimny. Wilgotny – suchy. Młody – stary.

No właśnie – mój szef jest zimny, suchy i stary.

Boże, jestem okrutna. Powinno mi go być raczej szkoda – facet marnuje potencjał. Mógłby zostać misterem Polski. Jest cholernie inteligentny, ma łeb na karku i, jakby nie patrzeć, jest przystojny niczym model promujący ekskluzywną markę garniturów. Nie mam pojęcia jaką, bo temat jest mi obcy i zupełnie mnie nie ciekawi – nigdy nie miałam powodu, żeby przyswajać tego typu informacje. Co jest kolejnym dowodem na to, że tacy mężczyźni jak Engler (noszący garniaki, spinki do mankietów i krawaty) nigdy nie znajdowali się w sferze moich zainteresowań. Tak było, jest i będzie. Mój typ to facet w dżinsach, T-shircie, skórzanej kurtce, wyluzowany i z uśmiechem na ustach.

Taki jak Karol...

O psia mać! Miałam do niego zadzwonić.

– Cześć, piękna. Jak leci? – Karol jak zwykle wita mnie tak pogodnie, że od razu poprawia mi się humor.

– Wspaniale. Możesz sobie zrobić przerwę? Chcę z tobą porozmawiać o tym, co się wczoraj wydarzyło.

Cisza.

– Halo, jesteś tam? – Opieram się o blat w łazience.

– Tak, tak – odpowiada, choć słyszę w jego głosie już mniej entuzjazmu.

– Zejdiesz schodami? Mam dla ciebie niespodziankę.

– Niespodziankę? – dopytuje nieco spięty.

– Możesz zabrać klucze do magazynku, w którym trzymacie gadżety reklamowe?

– Wiesz, że wstęp mam tylko ja, kierownik i dwóch innych chłopaków z działu.

– Wiem. I uważam, że to doskonałe miejsce, by zrobić to, na co mam teraz ochotę – dodaje kokieteryjnie.

– Czyli...? – Po tonie jego głosu wnioskuję, że go zaintrygowałam.

– Ja na kolanach, ty oparty o ścianę... – pomrukuje do słuchawki. – To jak? Spotkamy się za pięć minut przy wejściu od strony klatki schodowej?

– Będę za dwie.

O. I to się nazywa motywacja.

Wychodzę z łazienki, rozglądam się, by sprawdzić, czy nikt mnie nie widzi, i czmycham szybko na klatkę schodową. Stukot obcasów moich kozaków rozbrzmiewa echem w rytm bicia mojego serca.

– Droga wolna. Nie mogę się doczekać... – Dobiega mnie z dołu podekscytowany szept Karola.

No pewnie, że nie możesz. Jak każdy facet, któremu dziewczyna obiecała loda w godzinach pracy.

Nie jestem entuzjastką seksu oralnego. Jakoś nigdy mi to frajdy nie sprawiało, ale jak mogłabym się nie odwzięczyć Karolowi za to, co dla mnie zrobił? Nie doceniałam go i chyba traktowałam zbyt oschle. Pora się zrehabilitować.

Wpadamy do magazynku. Drzwi zatraskują się w chwili, w której Karol przywiera do moich warg.

– Naprawdę to zrobisz? – dyszy w moje usta.

Jest tak napalony, że zaraz nastąpi samozapłon i wszystkie gadżety pójdą z dymem. A to mnie porządnie nakręca – znaczy się nie to, że zjemy się

w magazynku w towarzystwie smyczy, pendrive'ów i długopisów z logiem firmy, ale świadomość tego, że podniecam swojego faceta jak diabli.

Popycham go na metalową szafkę, patrzę mu w oczy i sięgam do paska w spodniach.

– Chcesz tego? – Zerkam na niego lubieżnie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Jego bursztynowe tęczówki błyszczą w półmroku.

Kłękam przed nim, rozpinam rozporek i opuszczam jego spodnie wraz z bokserkami.

Czuję ukłucie zawodu, choć wiem nie od dziś, że wacuś Karola nie powala rozmiarem. Ewidentnie brakuje mu kilku centymetrów wszerz i wzdłuż. Ale akurat w tej sytuacji mi to odpowiada. Przynajmniej się nie zakrztuszę, kiedy będę mu okazywać dowód wdzięczności. A zamierzam się do tego starannie przyłożyć. Podobno nic nie uszczęśliwia faceta bardziej niż widok całego kutasa w ustach robiącej mu dobrze dziewczyny.

Biorę się więc do roboty. Przesuwam po nim dłonią, czując, jak twardnieje pod moim dotykiem... Trzepoczę rzęsami, wpatruję się w mojego mężczyznę, zwilżam usta językiem, rozchyłam wargi, wkładam go do środka i...

Och, ble! Jaki niedobry. Mam odruch wymiotny.

Cofam się, zaraz puszczę pawia, słowo daję. Co to za koszmarny smak? Ja pieprzę. Że też mnie podkusiło z tą laską.

– Spokojnie, złotko. Wiem, że jest duży. – Karol odgarnia mi włosy z twarzy. Oddycha szybko. – Nie musisz od razu brać go całego. Poliz najpierw...

Oj nieeee... Biedaku ty nieszczęsny. Tobie naprawdę się wydaje, że zakrztusiłam się twoim „dużym” fiuteńkiem.

Dociera do mnie, że powinnam mu szczerze współczuć. Przecież to nie jego wina, że natura go tak skąpo obdarowała. Niebożátko zapewne nigdy nie słyszał odgłosów krztuszenia się obciągającej mu dziewczyny, a jego cherlawy wacuś nie zgłębił ciasnych zakamarków głębokiego gardła.

No dobra, może trochę przesadzam z jego cherlawością, ale mam świadka w postaci mojej cipki, która może zeznać, że karolowy wacuś nigdy tak naprawdę nie poznał jej tak do końca. Moja pochwa jest rozciągliwa jak struna lutni. Można na niej wygrywać V symfonię Beethovena, jeśli ma się tylko odpowiednio gruby i długi instrument. Przy smyczku Karola jedyne, co jestem w stanie z siebie wydać podczas bzykania, to dwa fałszywe: „och, och”. No i czasami długie „oooch”.

Tak, przyznaję. Udaję przed Karolem, że szczytuję. Jestem orgazmową kłamczuchą. Ale na swoje usprawiedliwienie dodam, że jest to kłamstwo w dobrej wierze – po prostu nie chcę, żeby mojemu chłopakowi było przykro. Jestem dobrym człowiekiem. Tak to sobie tłumaczę.

– Pomału... Będę sterował. – Wypycha biodra, a jego śmierzdel wsuwa się do moich ust.

O zgrozo. Jakie szczęście, że nic dzisiaj nie jadłam. W przeciwnym razie wacuś byłby już odziany w wymiotny kubraczek. Zaciskam powieki, kombinuję, jak tu zakończyć te męki, nie urażając przy tym uczuć Karola. Przecież on jest teraz tak napalony, że okażę się wredną małą, jeśli przerwę w tym momencie. Oczy ma rozszerzone, oddycha szybko, rumieniec wystąpił mu na policzki, a fiutek mu stoi jak pałaczek drogowy. Jego widok mógłby mnie nawet podniecić. Ale ten niesmak. Nie, nie dam rady.

Wiem, powiem mu, że złapał mnie skurcz w łydkę! Ta, a Karol wpadnie na pomysł, abym dokończyła na leżąco albo, co gorsza, zaproponuje „sześć dziewięć”. Nie zrobię tego mojej cipeczce. Język Karola ma ustawowy zakaz zbliżania się do mojej łechtaczki, choć o tym nie wie – ani język, ani jego posiadacz. Pierwsza (i ostatnia) mineta w wykonaniu Karola była przyjemna jak zapalenie cewki moczowej. Na samo wspomnienie przechodzą mnie ciarki po plecach. Karol do tej pory jest przekonany, że było mi zajebiście dobrze, a to dlatego, że uznał mój rozpaczliwy pisk za objaw orgazmu. Dlaczego on jest takim słabym kochankiem, no dlaczego? Wiem, że seks to nie wszystko, ale to chyba ważne, żeby układało nam się w łóżku, tymczasem...

– No, złotko. Weź go głębiej. Chcę dojść w twoich ustach.

Ajaj! A ja chcę zniknąć, zdezynfekować jamę ustną i wypalić sobie komórki mózgowe, które na bank zapamiętają, jak źle smakowałeś i pachniałeś.

Wycofuję się, nie mając pojęcia, jaką wymówką nakarmić Karola. Cóż, będę szyć.

I nagle rozlega się dźwięk mojej komórki. O Boże, jednak istniejesz! W ułamku sekundy porzucam wacka i zrywam się na równe nogi.

– Maria, co ty robisz? – Karol aż się zapowietrza. – Nie odbieraj...

– Muszę! – Wyciągam telefon z kieszeni marynarki. Numer zastrzeżony. Nieważne. Teraz mógłby do mnie dzwonić nawet sam diabeł z cyrografem. – Słucham?

– Pani. Mario. – Rozlegają się tylko dwa słowa, a ja już oczami wyobraźni widzę chłodne, przeszywające spojrzenie Englera.

Z jednej strony czuję ukłucie paniki, bo on nigdy do mnie nie dzwoni na komórkę. Z drugiej zaś mam ochotę go uściskać, że zrobił to akurat w takim momencie.

– Szefie?

– Czy zaszczyci mnie pani dzisiaj swoją obecnością przy biurku? – mówi powoli, opanowanym głosem.

– Oczywiście. Przepraszam. Zeszło mi trochę czasu w łazience. Już kończę – trajkoczę, rozglądając się po składziku za czymś, co mogłoby symulować dźwięk puszczanej wody w umywalce. A tu dupa. Same pudła.

W słuchawce rozlega się niski pomruk.

– To jak już pani skończy... – zawiesza głos, jakby, cholera, doskonale wiedział, że nie jestem w pieprzonej łazience – ...czeka na panią e-mail z wytycznymi do analizy *ex post* dla Origame. Zależy im na czasie. Termin do jutra, do dziewiątej – oświadcza i się rozłącza.

Wybornie. Szykuje się kolejny wieczór w pracy.

Mario, nie marudź. Zostałaś wybawiona. Bierz dupę w troki i zasuway na górę!

– Karol, przepraszam, muszę wracać. – Chowam zdecydowanym ruchem telefon do kieszeni, starając się zrobić zawiedzioną minę.

– Chyba żartujesz, że mnie tak zostawisz. – Wpatruje się we mnie, jakbym miała dwie głowy.

Patrzę z udawanym współczuciem na jego spuszczone do kolan gacie oraz wacusia śmierzdusia i nie marzę o niczym innym, jak ulotnić się stąd jak najszybciej.

– Nic nie poradzę. Sam słyszałeś. Szef mnie szuka.

– Nienawidzę tego gnoja. Przez niego prawie w ogóle się nie widzimy. – Podciąga spodnie mocno wkurzony. – Nie dosyć, że każe ci tyrać po godzinach, to jeszcze dzwoni do ciebie podczas przerwy.

– Karol, jest po dziewiątej, jeszcze nie ma przerwy. A ja się dzisiaj spóźniłam do pracy, więc w sumie nie dziwne, że Engler do mnie zadzwonił – wyjaśniam, po czym przybliżam się do niego, całuję go w policzek i szepczę mu do ucha: – Dziękuję za wczorajszy prezent. Kolacja jutro? – Uśmiecham się.

Przygląda mi się jakoś dziwnie. Może wyczuł z moich ust swojego wacusia?

– Yyy, jasne. Wpadnę do ciebie po szóstej. Może być?

– Jesteśmy umówieni.

Kiedy podążam na górę klatką schodową, zaczynają mnie nękać pytania, które pojawiły się już po pierwszym razie, gdy przespałam się z Karolem: dlaczego,

u diabła, nadal się z nim widuję, skoro jest nam tak źle w łóżku?

W odpowiedzi dostaję od razu dziesiątki argumentów, które dobrze znam i nie potrafię im zaprzeczyć: bo Karol jest zabawny, ładniusi, miły, słodki, na luzie. Potrafi mnie rozbawić. Przy nim czuję się swobodnie, mam czas dla siebie. A to, że wczoraj zorganizował dla mnie transport uszaka i nawet się z tym nie zdradził, dowodzi tego, jakim dobrym, poczciwym i skromnym jest człowiekiem.

Mam wyrzuty sumienia, że zostawiłam go dzisiaj w takim stanie. Jakoś się zrehabilituję. Obiecuję. Może przy następnym spotkaniu najpierw weźmiemy prysznic, umyję go dokładnie i wtedy dokończę to, co przerwałam?

Na samą myśl o tym, że miałabym ponownie przed nim uklęknąć, robi mi się słabo. Przejdzie mi. Spokojnie. Jakoś sobie z tym poradzę.



NIENAWIDZĘ MOJEGO SZEFA! On jest jakiś pojebany! Sądziłam, że po tym, jak zdradziłam się przed nim ze swoim „wybitnym” talentem do liczb, to mi odpuści. Ale, kurna, nie. Nie dosyć, że posiadanie algebraicznych zdolności dostarcza równie dużo przyjemności, co szczerbatemu chrupanie fistaszków, to zamiast ułatwić mi życie w pracy, jeszcze bardziej je utrudnia.

Bo Jan... Pieprzony Jan, który najwyraźniej cierpi na jakąś nerwicę natręctw liczbowych, zarzuca mnie teraz taką ilością wyliczeń, statystyk, raportów i analiz, że zastanawiam się, czy w ogóle ma co delegować innym pracownikom. Mało tego, zaczął zabierać mnie na spotkania z klientami, co sprawiło, że w ciągu normalnych godzin pracy jeżdżę z nim w teren, a papierkową babraninę muszę nadrabiać po godzinach.

Przez niego praktycznie w ogóle nie widuję się ze znajomymi, nie mam czasu na dokończenie uszaka, o obejrzeniu jakiegoś serialu na Netflixie wieczorem przy winku z Karolem nie wspominając.

Mój biedny Karolek. Teraz, jak nigdy wcześniej, powinnam spędzać z nim więcej czasu, bo pocziwina od miesiąca siedzi non stop sam w domu i wykorzystuje zaległy urlop. A to dlatego, że dzień po tym, jak spotkaliśmy się na feralne obciąganko, wylali go z roboty. I to przeze mnie. Okazało się, że ktoś nas widział, jak wchodzimy do magazynku, dał cynk ochronie, ta sprawdziła monitoring, uprawnienia i przekazała sprawę do szefostwa działu marketingu i handlu. Następnego dnia Karol wyleciał. I tak dobrze, że podpisali z nim rozwiązanie umowy za porozumieniem stron, bo jakby nie patrzeć, złamał regulamin, a zarząd naszej firmy ma pierdolca na punkcie jego przestrzegania.

Ludzie to są jednak świnię. Komu przeszkadzało, że weszliśmy do tego pieprzonego magazynku? Przecież jestem pracownikiem firmy, a nie jakimś waletem z zewnątrz. Nic nie zginęło, byliśmy tam zaledwie piętnaście minut... Szczęście w nieszczęściu, że nikt się do mnie nie dopieprzył. Nie dostałam nawet upomnienia. Pewnie uznali, że jak beknie osoba, która miała uprawnienia, to będzie to wystarczające ostrzeżenie dla reszty pracowników.

Zerkam przez okno biurowca. Zachodzące słońce odbija się od szyb sąsiedniego budynku. Pakuję ochoczo komórkę oraz pojemnik po kanapkach do

torby. Jak wspaniale, że na zewnątrz jest coraz dłużej widno i po wyjściu z pracy o godzinie dwudziestej nie mam wrażenia, że jest środek nocy. A dzisiaj wychodzę o osiemnastej! Engler puścił mnie wcześniej, więc postanawiam piątkowy wieczór poświęcić na dokończenie renowacji fotela, któremu następnie zrobię fotki i wrzucę je na moją stronę internetową „Maria Gabara – renowacja mebli”. Mam ją od jakichś dziesięciu lat. Co roku opłacam domenę, bo wciąż żywię nadzieję, że kiedyś nadejdzie taki dzień, że będę mogła zajmować się wyłącznie pracą twórczą. Nie chodzić do biura, nie patrzeć na liczby, tabelki, raporty, zestawienia, analizy, tylko posiadać swoją pracownię i dawać nowe, lepsze życie zniszczonym, porzuconym gratom. Marzenie...

A marzenia są po to, żeby je spełniać. Wierzę, że kiedyś je zrealizuję. Ale najpierw potrzebuję odłożyć jeszcze sporo kasy na wynajem i wyposażenie pracowni, promocję i ponoszenie kosztu zakupu oraz transportu używanych mebli. Mam wyliczone wszystko, co do grosza. Jest tylko jeden problem. Duża kasa równa się praca w korporacji. Praca w korporacji równa się brak czasu. Brak czasu równa się odstawienie renowacji na plan dalszy. Błędne koło – pieprzona karuzela. Co prawda premia uznaniowa od Englera nieco przybliżyła mnie do celu, ale to i tak niewielki procent budżetu, jakiego potrzebuję.

Mam plan – chcę się przenieść do departamentu rozwoju. Będę miała mniej pracy. Pensja będzie nieco niższa, ale wezmę się wreszcie za renowacje i zacznę na nowo sprzedawać meble, tak jak to robiłam, kiedy jeszcze pracowałam w poprzedniej robocie (szkoda, że tak lipnie płacili, bo przynajmniej miałam więcej czasu).

Co do departamentu rozwoju, doszły mnie słuchy, że za dwa miesiące jedna z babeczek będzie odchodzić na emeryturę. Już rozmawiałam (nieformalnie) z szefową tego działu. Złapałam ją przy recepcji naszego budynku, gdy wychodziła do domu o 16:30! Już ją lubię. Była zainteresowana moją kandydaturą i obiecała, że nie wspomni Janowi o moich zakusach na zmianę stanowiska, do momentu aż sama z nim nie porozmawiam. Na razie muszę zacisnąć zęby, robić swoje, znosić cierpliwie wymagania szefobota i odkładać kasę na konto oszczędnościowe. Będzie dobrze, dam radę. I wali mnie to, że rodzice uważają mnie za życiowego nieudacznika, bo żywię się nadzieją, że uda mi się utrzymać z renowacji mebli. Czego kolejny dowód daje mi moja matka w sobotę.

– Maryśka, już brakuje mi do ciebie słów, dziecko. – Wyjmuje talerz ze zmywarki i odstawia go do szafki. – Sądziłam, że przez tyle lat zdążyłaś sobie wybić z głowy to struganie w drewnie.

– Ja nie strugam, tylko prowadzę renowację.

– Zwał jak zwał. Rozumiem, że na studiach ci się nudziło i potrzebowałaś jakiegoś hobby, ale teraz jesteś dorosła. Bóg dał ci talent nie bez powodu. Z takimi zdolnościami już dawno powinnaś być na kierowniczym stanowisku, spłacić kredyt za mieszkanie. O posiadaniu męża i dzieci nie wspominam. Masz trzydzieści lat.

– Dwadzieścia osiem. I nie zamierzam zmarnować sobie reszty życia na pracę, której nie lubię. – Upijam łyk gorzkiej herbaty. Jest mi źle.

Znowu popełniłam ten sam błąd i odwiedziłam moje rodzinne gniazdko, a raczej smoczą jaskinię. Dlaczego zawsze sobie to robię i przyłączę do tego toksycznego domu? Dobrze chociaż, że matka jest dzisiaj sama. W duecie z ojcem to by dopiero stworzyli sympozjum. Temat wykładu: „Jak zdołować swoją córkę i pozbawić ją poczucia własnej wartości – porady kochających rodziców”.

– Nikt nie lubi swojej pracy – stwierdza matka głosem eksperta.

– Mówisz tak, jakbyś znała wszystkich pracujących ludzi na ziemi.

– Znam życie, znam ludzi. Pracujesz, zarabiasz, a po pracy czekają na ciebie obowiązki domowe, gotowanie, pranie, prasowanie, dzieci, mąż... A jeśli jesteś dobrze zorganizowana, to może znajdzie się chwila na jakieś przyjemności – wyklada mi swoje mądrości, które robią mi papkę z mózgu i wychodzą uszami. Słyszałam je już tyle razy, że mogłabym recytować je z pamięci wyrwana w środku nocy ze snu. – Myślisz, że mnie chce się wstawać o piątej rano, żeby na siódmą zdążyć do magazynu na zdanie towaru? Albo ojcu uśmiechała się praca na zmianę na taśmie? – Wyjmuje sztućce z koszyczka i otwiera szufladę. – Ocknij się wreszcie, Maryśka, i zrób z siebie jakiś użytek. Wiesz, ile osób dałoby się pokroić za dar, jaki posiadasz? A ty co? Nawet się nie starasz. Chcesz wszystko zniweczyć na rzecz jakichś starych, niewartych funta kłaków staroci.

Krzywię się, bo boli mnie jak jasna cholera, że tak się wyraża o mojej pasji.

– Ale ja uwielbiam te starocie, nie rozumiesz? Poza tym już ci tyle razy tłumaczyłam. Algebra liczona na piechotę jest obecnie przydatna ludziom jak pieniądze martwemu bogatemu. Są komputery, arkusze kalkulacyjne dużo szybsze niż mój mózg. W obecnych czasach nikt nie liczy niczego w pamięci. Wrzucasz dane w tabelkę i masz wynik w nanosekundę.

– E tam. Po prostu nie potrafisz się porządnie sprzedać.

– Nie jestem workiem kartofli na targu, żeby się sprzedawać.

– Nie pyskuj. – Rzuca mi ostre spojrzenie. – Porozmawiaj z bratem, samochody w komisie schodzą mu na pniu. Może mógłby cię nauczyć jakichś technik, coś doradzić, jak się prezentować...

Oho, zaczyna się. Wychwalanie pierworodnego.

– Samochodem też nie jestem. Ani Jarkiem. Jestem waszą córką i będę żyć po swojemu, czy wam się to podoba, czy nie.

– Wstaję z krzesła i nim matka zdąży się zapowietrzyć, zabieram torbę z oparcia i oznajmiam: – Muszę wracać do pracy. Dzięki za herbatę.

– Pracujesz w sobotę? Myślałam, że zostaniesz na obiedzie. – Matka idzie za mną, kiedy podążam do drzwi. – Ojciec będzie za pół godziny.

O tak. A ja po takim obiadku będę miała wznowę choroby wrzodowej. Dziękuję, już to przerabiałam. Żeby zachować organy wewnętrzne w zdrowiu, ograniczam spożywanie posiłków z rodziną do dwóch razy w roku – w Wigilię i pierwszy dzień świąt Wielkanocy. Większej ilości wspólnych biesiad mój organizm po prostu nie jest w stanie przetrwać.

– Muszę dokończyć raport – kłamię bez zająknięcia i wychodzę.

Gdy wysiadam z autobusu w swojej dzielnicy (bo zakup sprawnego akumulatora do Pandziaka nadal czeka na lepsze czasy), od razu poprawia mi się humor. Ptaki ćwierkają w zielonych topolach, świeci słońce, jest ciepło. Pięknie. Biorę głęboki wdech, upajając się pogodną aurą, i postanawiam, że skoczę do domu po koc, jakąś powieść, kanapki i poczytam sobie w parku przy stawie w cieniu płaczących wierzb. O osiemnastej natomiast idziemy z Tośką, Niną i Arturem na kręgle. Nie mogę się już doczekać, bo ostatnio rzadko udaje nam się spotkać we czwórkę. Zapowiada się wspaniały dalszy ciąg dnia.

Idę radosnym krokiem w stronę bloku; chwytam promienie słońca. Jest tak ciepło, że podwijam rękawy bluzki, zastanawiając się, czy może nie założyć góry od bikini do parku, wystawić nieco blade ciało do słońca, przewietrzyć je po zimie...

Moje rozmyślenia przerywa dźwięk telefonu. Wyciągam komórkę. Numer zastrzeżony.

Cholera.

Czuję, jak powoli mój dobry humor umyka w pizdu. Doskonale pamiętam, kto ostatnio do mnie dzwonił z zastrzeżonego, i absolutnie nie mam ochoty z nim teraz rozmawiać.

O nie, drogi Janie. Prędzej spadnie dzisiaj śnieg, niż pozwolę ci zepsuć mi sobotnie leniuchowanie. Wrzucam telefon do torby i podążam dalej w stronę domu. Ale ten chujek znów dzwoni. Wrrr... Zaraz mnie trafi jasna cholera. Kurzy kuper, co za upierdliwiec.

Mario, spokojnie. Nie daj sobie popsuć dnia.

Spokój, wyciszenie, relaks... Należy mi się po ostatnich tygodniach zapieprzu w robocie. Ignoruję całym swym jestestwem dzwoniący telefon, co najwyraźniej mój szef ma głęboko gdzieś, bo dzwoni, dzwoni i, kurwa mać, dzwoni nieustannie i natrętnie! Maniak jeden.

A może to jednak nie on? Może coś się stało? Może matka dostała udaru po tym, jak wyszłam z domu? A ja ją tak bezczelnie okłamałam i nie chciałam zjeść z nimi obiadu. Może gdybym została, nic by jej się nie stało...

I się, cholera jasna, nakręciłam. Teraz muszę odebrać.

– Halo.

– Jest pani potrzebna dzisiaj na spotkaniu z klientem. – Słyszę stanowczy, acz opanowany głos Jana w słuchawce.

Żadnego: „dzień dobry”, „czy nie przeszkadzam?”, „przepraszam, że zawracam pani dupę w weekend”. Tylko od razu prosto z mostu. Spotkanie. W sobotę!

Chyba go pogięło. Ani mi się śni.

– Przykro mi, ale nie dam rady. Właśnie jem obiad z rodziną. – Nawet mi powieka nie drgnie, nawet się nie zająknę.

Cisza.

– Może pani powtórzyć?

– Właśnie. Jem. Obiad. Z rodziną.

Cisza. Cisza. Cholernie długa cisza. Rozłączył się czy jak?

– Czy może się pani wyrażać jaśniej? – odzywa się wreszcie.

– Jaśniej? Stół, zupa, krzesła, ojciec, matka, ja, dzień wolny od pracy. Czego dokładnie pan nie rozumie w zdaniu: „właśnie jem obiad z rodziną”? – Przystaję. Czuję, jak się we mnie gotuje.

– Tego, jak można jeść obiad z rodziną i równocześnie podążać chodnikiem, rozmawiając ze mną przez telefon.

Że co? Serce podskakuje mi do gardła. Skąd on...?

Kieruję wzrok w stronę swojej klatki schodowej i wstrzymuję oddech.

O kurwa.

Pieprzony Jan. W garniturze, pod krawatem. Opiera się o swój wypucowany czarny samochód, trzyma słuchawkę przy uchu i patrzy prosto na mnie. Dzieli nas jakieś trzydzieści metrów, ale nawet z tej odległości jego śnieżnobiała koszula i odpicowane na błysk buty dają mi po oczach. I to jego spojrzenie – stonowane, wyczekujące, beznamienne.

Przełykam ślinę. No to wykrakałam sobie pracującą sobotę. I do tego wyszłam przed szefem na perfidną kłamczuchę.

Przez ułamek sekundy ogarnia mnie lekka panika, ale od razu tłumię ją w zarodku. Spokojnie, Mary. Jest dzień wolny od pracy i możesz robić oraz mówić, co chcesz. Nie będzie ci tu jakiś sztywniak włąził z butami w twoją prywatność.

– Co pan tu robi? – rzucam do słuchawki. Podążam w jego stronę śmiałym krokiem i utrzymuję kontakt wzrokowy.

– Czekam na panią.

– Stoi pan na zakazie. – Dzieli nas już zaledwie kilkanaście metrów, a z każdym krokiem moje serce zaczyna szybciej pompować krew, przygotowując organizm do walki. – Radzę panu odjechać. Mam wrednych sąsiadów. Zaraz pewnie zjawi się straż miejska.

– Zaryzykuję.

No proszę, Janko ryzykant. Ho, ho, cóż za brawura i odwaga.

– Skoro chce pan dostać mandat...

– Wliczę w koszty delegacji. – Rozłącza się i wkłada telefon do kieszeni spodni.

Jan wyjeżdża? Jupi! No, trzeba to dzisiaj oblać. Wrzucam komórkę do torby; mam ochotę zaklaskać z ekscytacji.

– Wybiera się pan w delegację? Na długo? – Podchodzę do niego. Staram się ukryć uśmiech zadowolenia.

Boże, cóż za wspaniała wiadomość. Nie będzie go w biurze, nie będzie nadgodzin. Jestem tak nieludzko podekscytowana, że zaraz normalnie coś zaśpiewam.

Panie Janie, powiedz, proszę, że nie będzie cię przez miesiąc albo dwa, błagam...

– Wybieramy. Razem. Na trzy dni.

Zamieram. Chyba się przesłyszałam.

– Że co?

– Proszę spakować najpotrzebniejsze rzeczy i założyć suknię wieczorową. – Zawiesza na moment głos, lecz po chwili dodaje: – Na dzisiejszy bankiet u klienta.

Suknię wieczorową? Bankiet? No zgłupiał chłop, jak babcię kocham.

– O czym pan mówi?

– Dział sprzedaży w ostatniej chwili zdobył zaproszenie na bankiet w Szczyrku. Będzie tam prezes Traperu, firmy, o której względy staramy się od dwóch lat. To doskonała okazja, by z nim pomówić półformalnie. Chcę, żeby pani ze mną pojechała.

On chce. On chce! Co za egoista!

– Dzisiaj nie pracuję. Mam wolne.

– A ja mam prawo wezwać panią do pracy w sobotę, co teraz właśnie czynię. Zaciskam zęby.

– A ja mam już plany na dzisiaj.

– To proszę je przełożyć.

Bezczelny.

– Z całym szacunkiem, ale... – „Wal się, Janie!” mam już na końcu języka, jednak w porę się powstrzymuję. Potrzebuję tej pracy, pieniędzy, nie mogę mu dać podstaw do zwolnienia, co nie oznacza, że nie zamierzam skorzystać ze swoich praw pracowniczych. – Ma pan pracowników od wacława, na co ja panu?

Jan ściąga brwi.

– Od kogo?

Od chuja!

– Od wacława.

– Kim jest Wacław?

O matko.

– Nieważne. – Omijam go, otwieram drzwi i wchodzę na klatkę.

– Gdzie pani idzie? – Jan podąża za mną.

– Do jadłodajni starochłopskiej.

– Gdzie?

Wywracam oczami. Poczucie humoru Jana jest jak śnieg na równiku – ani razu nie zanotowano od ostatniego zlodowacenia.

– Idę się przebrać. A pan?

– Potrzebuję danych z serwera.

– To pomylił pan budynki.

– Tu pani mieszka. Zgadza się?

– Ja tylko odwiedzam koleżankę.

– Taki adres widniał w pani aktach. Mam rozumieć, że podała pani nieswoje miejsce zamieszkania w kadrach?

O Jezu. Nie mam już na to siły. Czy on ma jakiś defekt? W ogóle nie rozpoznaje ironii, nie potrafi się droczyć, nie rozumie metafor, żartów, o odczytywaniu mimiki i sarkastycznego tonu nie wspomnę. Wszystko bierze tak na poważnie... Poziom komunikacji interpersonalnej na poziomie minus sto w skali od zera do dziesięciu.

– To był żart, proszę pana.

– Czyli mieszka pani tutaj.

– Tak. Tutaj mieszkam.

– Więc zapewne tutaj jest pani służbowy komputer, który ma dostęp do serwera. Nie mogę się zalogować z komórki.

Słyszę za sobą jego kroki, zerkam ukradkiem przez ramię. A niech tylko zauważę, że gapi się na mój tyłek, to go pozwę o molestowanie. Ale on ma wzrok utkwiony w telefonie. Pisze coś, poruszając sprawnie kciukami.

– Proszę patrzeć pod nogi, pani Mario, bo się pani potknie. A ja nie mam ochoty szukać nikogo na pani miejsce, kiedy będzie pani na zwolnieniu chorobowym.

Zaciskam zęby. A żebyś sam się potknął i wyrznął zębami o stopień. Ty... Ty... Nieheblowane drewno z liczydłem zamiast serca.

Przekręcam klucz w zamku, otwieram drzwi, a te suną po szeleszczącej folii malarskiej, której nie sprzątnęłam od rana po wykończeniu renowacji uszaka. Wchodzę do środka, rzucam klucze oraz torbę na stoliczek w wąskim korytarzu i podchodzę do biurka. Wpisuję hasło, na ekranie pojawia się moja strona internetowa. Widok zdjęć fotela, który wystawiłam kilka godzin temu na sprzedaż, od razu poprawia mi humor. Minimalizuję okienka ze stroną, pocztą, Photoshopem i plikiem w Excelu, w którym prowadzę wyliczenia do biznesplanu swojej firmy, i loguję się na serwer firmowy.

– Proszę. Może pan siadać. – Zerkam w stronę Jana, a ten stoi jak kołek w korytarzu i gapi się na podłogę, jakby czegoś na niej szukał. Coś mu upadło czy co? Wyteżam wzrok, śledzę uważnie folię malarską metr po metrze i nagle doznaję objawienia. Z trudem się powstrzymuję, żeby się nie roześmiać. Cała folia jest upačkana białą farbą, a Janoszek czyścioszek najwyraźniej boi się, że ubrudzi sobie buciki.

– Prawa noga na zielone, lewa ręka na niebieskie. – Nie mogę się powstrzymać.

– Słucham? – Jan podnosi na mnie wzrok.

Boże, co za drętwa.

– Nigdy nie grał pan w Twistera?

– W co?

W jajco.

– W Twistera. Taka gra zręcznościowa. Duża plastikowa mata rozłożona na podłodze? Wielkie kolorowe kropki?

Patrzy na mnie. Nie ma bladego pojęcia, o czym mówię.

– Grał pan?

Kręci głową.

Oczywiście, że nie grał. Tam trzeba się schylać, wyginać, kucać, skręcać, co jest niewykonalne dla kogoś, kto ma kij tak głęboko w dupie, że ten sięga aż po kręgi szyjne. Ciężko było, ale wszedł.

– Długie kroki, panie Engler. Prawa noga na godzinę drugą, lewa na jedenastą, następnie prawa na trzecią i jest pan bezpieczny – rzucam.

Jan zerka na folię. Wygląda, jakby miał przejść przez pole minowe. Niemal słyszę, jak jego prawa półkula boksuje się z lewą. Kreatywność walczy z logiką. Może i Engler ma finanse w jednym palcu i jest świetnie zorganizowanym szefem, ale gry i zabawy ruchowe dla przedszkolaków to dla niego czarna magia.

W końcu daje trzy długie kroki zgodnie z moją instrukcją i staje tuż przede mną. Jest tak blisko, że niemal dotykam czubkiem nosa jego klatki piersiowej. Moje serce dziwnie przyspiesza. Wyczuwam męski zapach, bijące od szerokich ramion ciepło, obserwuję, jak pierś, na której spoczywa czarny krawat, unosi się i opada.

– Robi pani remont, pani Mario? – pyta niskim głosem.

Wyczuwam na czubku głowy jego oddech. Słyszę, jak wciąga głęboko powietrze przez nos. Zaraz, czy on wacha moje włosy?

Podnoszę wzrok i napotykam stalowe oczy. Po raz pierwszy widzę je z tak bliska. Zawsze wydawało mi się, że są szare jak mgła. Tymczasem teraz dostrzegam, że mają w sobie odcień morskiego błękitu. Ładne ma te oczyska, cholera. I jak na faceta posiada imponująco długie rzęsy. To niesprawiedliwe, żaden mężczyzna nie powinien mieć dłuższych rzęs niż kobieta!

Mimowolnie przyglądam się jego twarzy i, o zgrozo, aż wstyd się przyznać, ale podoba mi się to, co widzę. Kształtne, lekko uniesione brwi, starannie zaczesane, ciemne włosy oprószone na skroniach pierwszą siwizną, lekko zarysowane zmarszczki w kącikach oczu i na czole, prosty nos z ostrym grzbietem, mocna szczeka, ledwo zauważalny ślad zarostu, idealnie skrojone, wąskie usta... Zatrzymuję na nich spojrzenie. Moje serce bije coraz szybciej, robi mi się gorąco, w żołądku smyrgają mnie motyle... Pieprzone motyle! Ja pierdzielę, wieki ich nie czułam. Ostatnio załęgły się w moich trzewiach, kiedy

byłam w trzeciej klasie ogólniaka, a Tomek W. (obiekt moich westchnień na czarnym ścigaczu) pocałował mnie na parkingu pod szkołą.

Jasny gwint. Może to jelitówka? Albo słońce mnie dzisiaj przygrzało, przysmażyło mi mózg i mam omamy (żeby się nie wyrażać wprost – że mnie pojechało!)?

Przecież to Jan Sztywniak! Fakt, jest wyglądny, ale to tyle, jeśli chodzi o jego atuty. Facet ma prawie czterdziestkę na karku, pewnie zaraz zacznie pachnieć zniczem. I ten jego charakter – jedyną osobą na świecie, która byłaby w stanie zaakceptować jego drętwe usposobienie, jest tylko jego rodzona matka. Chociaż po sposobie jego bycia i zdystansowaniu do ludzi można by wysnuć przypuszczenie, że porzuciła go jako niemowlaka w oknie życia. No dobra, przesadziłam. Mam wyrzuty sumienia, że tak pomyślałam. Bo co, jeśli to prawda? Jeśli Jan jest taki oziębły, bo nikt go nie kochał, gdy był mały? Wychowywały go siostry zakonne w domu dziecka... Trzymany na dystans, nigdy nie zaznał matczynej miłości i czułości. Może dlatego bije od niego taki chłód?

Na Boga! Co ja sobie tłukę do tego głupiego łba? Stanowczo za bardzo poniosła mnie fantazja. Poza tym mam to gdzieś. Po co w ogóle o tym myślę? To mój szef. Pewnie ma bogatych starych, którzy łożyli na jego edukację, i teraz jeździ sobie beemwicą za setki tysięcy złotych i chodzi w garniturach na wymiar.

PAS!

– Nie remontuję – odpowiadam i cofam się na bezpieczną odległość dwóch metrów. – Zajmuję się renowacją mebli.

Jan ściąga brwi, rozgląda się po pokoju i napotyka spojrzeniem moje najnowsze dzieło. Zatrzymuje na nim wzrok.

– Tutaj?

– Co tutaj?

– Zajmuję się pani renowacją mebli w mieszkaniu? – Spogląda na mnie, a ja dostrzegam w jego oczach zaciekawienie.

– Tak. Nie stać mnie na wynajęcie pracowni. Ale to tylko kwestia czasu.

Aż zarobię odpowiednią kasę i spieprzam z roboty, jak najdalej od ciebie – dopowiadam w myślach, uśmiechając się pod nosem z satysfakcją.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania czy siada do komputera? Chcę się przebrać.

Jan przygląda mi się przez chwilę, po czym przenosi spojrzenie na krzeselko i... błędnie.

Co znowu?

Podążam wzrokiem w jego ślady i parskam śmiechem. Oj tam, oj tam, trochę tylko przykurzone. Podchodzę do krzeselka i zaczynam trzepać ręką tapicerkę siedziska.

Unosi się chmura pyłu. Mina Jana – bezcenna. Zaraz biedak zejdzie na zawał.

– To od szlifowania – tłumaczę, powstrzymując śmiech. – Trochę się kurzy, kiedy cyzeluję drewno. – Tobie zresztą taka obróbka też by się przydała, drewniany chłopaku. – No. Gotowe. Można siadać. – Wskazuję na krzesło i uśmiecham się uprzejmie.

Jan patrzy na siedzisko wzrokiem mówiącym „dziękuję, postoję”, więc motywuję go do spoczynku z natarczywą gościnnością:

– Rozumiem, że nieco rozczarowały pana moje warunki lokalowe i nie umywają się do pańskich. Tym bardziej zachęcam pana do większej hojności, jeśli chodzi o przydzielanie premii uznaniowej, która znacznie podniesie mój standard mieszkaniowy.

Jan wbija we mnie spojrzenie. Nic nie mówi. Naprawdę nic. I tak przez bitych dwadzieścia sekund! Po prostu stoi i się na mnie gapi. Najwyraźniej zamiast gier ruchowych typu Twister preferuje bardziej statyczne w stylu „kto pierwszy mrugnie”. Boże, zaraz wypali mi dziurę w czole.

– Czy słyszał pan, że patrzenie komuś w oczy dłużej niż dziesięć minut może wywołać halucynacje?

W odpowiedzi rozlega się jedynie gardłowy pomruk. Jan odwraca ode mnie wzrok (wygrałam!), po czym siada sztywno na krześle i ustawia klawiaturę laptopa pod odpowiednim kątem.

Świetnie. To ty sobie pracuj dzielnie, panie Janie, a ja szykuję się na dzisiejsze popołudnie.

– Wracam za dziesięć minut – rzucam i odchodzę w stronę sypialni.

Tak jak zapowiedziałam, dziesięć minut później jestem już zwarta i gotowa. Wychodzę z małego pokoju z wypchaną po brzegi torbą na ramieniu, ubrana w bikini i szorty. Włosy związałam w wygodny kucyk.

– Skończył pan? – pytam, widząc, że Jan nadal siedzi przed komputerem.

Unosi wzrok znad monitora. Jego oczy się rozszerzają. Przesuwa po mnie powolnym spojrzeniem... W górę. W dół. Znowu w górę. Zatrzymuje się na piersiach, uchyla usta, lecz po chwili je zamyka.

Ha. Ha. I tu cię mam. Zabrakło ci słów, co?

– Co pani ma na sobie? – pyta dziwnie zduszonym głosem.

– Ludowy strój kaszubski. Piękny, prawda? – Obracam się wokół własnej osi.

– To nie jest ludowy strój kaszubski.

O Chryste.

– Jest pan szalenie spostrzegawczy.

– Pani. Mario – Jan cedzi ostrzegawczo moje imię.

– Panie. Janie – odpowiadam, próbując naśladować jego ton, ale chyba niezbyt mi to wychodzi, bo Engler to totalnie zlewa.

– Miała się pani przebrać na bankiet. W suknię wieczorową. A to nie jest suknia wieczorowa.

– Zgadza się, to nie jest suknia wieczorowa. Ma pan bystry wzrok. Martwi mnie jednak pana słuch, bo wyraźnie powiedziałam panu wcześniej, że idę się przebrać. Nie wspominałam nic o sukni wieczorowej. – Zakładam ręce na piersi, co chyba nie jest dobrym posunięciem, bo wzrok Jana ponownie zsuwa się na mój biust. Przęłyka ślinę w taki sposób, że aż podskakuje mu jabłko Adama. Patrzy na mój dekolt intensywnie, wręcz pożądliwie. Zaczynają mnie mrowić sutki. Oddech przyspiesza. Czuję pulsowanie w dole brzucha.

Jezus Maria, czy ja właśnie podniecam się tym, że mój szef gapi się na moje cycki?!

Zaraz. Stop. Stop. Stop!

Momentalnie opieram dłonie na biodrach.

– Czy dobrze mnie pan słyszy? – wymawiam przesadnie głośno, jakbym sprawdzała działanie aparatu słuchowego u osiemdziesięciolatka.

Jan od razu unosi wzrok. Podchwytuje moje spojrzenie.

No. Tak jest zdecydowanie lepiej. A może nie? Mimowolnie wstrzymuję powietrze. Spojrzenie Jana jest świdrujące i nienasycone. Boże, dlaczego on tak na mnie patrzy?

– Słyszę – odpowiada niskim, zachrypniętym głosem, który sprawia, że moje ramiona pokrywa dreszcz.

O nie, nie. Mario, schowaj ten dreszcz. Okryj ramiona, wejdź do nagrzanego piekarnika, podpal się. Zrób cokolwiek, tylko nie świruj. To przecież Jan Engler. Pinokio miał w sobie więcej werwy niż on. Ile razy trzeba ci jeszcze powtarzać?

Tylko spokojnie. Ogarniam. To nic takiego. Zaraz to naprawię.

Wpatruję się w Jana, a on we mnie. Staram się z całej siły nastawić bojowo. Zmienić punkt widzenia. Tu nie ma żadnego diabelnie przystojnego faceta, nie siedzi tu żaden mężczyzna, który patrzy na mnie tak nieprzyzwoicie, że robi mi się mokro w majtkach. Wygląd tego oto osobnika płci męskiej to jedynie pozory, kamuflaż, ściema, maska. Pod tą fasadą kryje się człowiek, którego szczerze nie

lubię, który każe mi zostawać po godzinach, który jest oschły i traktuje mnie jak byle kogo, który nakazuje mi pracować w weekend. W weekend!

– Panie Engler... – zaczynam grzecznym tonem i poprawiam torbę na ramieniu. – Jasno dałam panu do zrozumienia, że mam dzisiaj wolne. I mam już inne plany. Idę nad staw do parku. Jeśli pan nie zauważył, jest piękna pogoda, weekend, a ja zamierzam w pełni z tego skorzystać.

Oczy Jana odrobinę się zwężają, przez co w ich kącikach pojawiają się zmarszczki.

– A ja powiedziałem, że to wyjątkowa sytuacja i musi pani dzisiaj pracować. W zamian otrzyma pani dzień wolny.

– I chcę go otrzymać właśnie dzisiaj. Nie jadę.

– Jest pani w ciąży?

Co? Czy on oszalał?! Niech wypluje to słowo!

– Nie. – Odpowiadam bez zastanowienia. I dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że przecież Jan nie ma prawa mnie pytać o takie rzeczy. A ja nie muszę mu odpowiadać. No ale cóż. Stało się, emocje wzięły górę. Ale skąd w ogóle takie pytanie?

– Wychowuje pani dziecko, które nie ukończyło czwartego roku życia?

Oho. Wiem już, do czego zmierza. Dupek.

– Dobrze pan wie, że nie.

– Więc przypominam, że zgodnie z kodeksem pracy, jeśli nie wykona pani mojego polecenia wyjazdu służbowego, mam wszelkie prawo panią zwolnić.

A to kutas.

– Tak?

– Tak.

– No to biorę urlop na żądanie.

Jan mruży oczy.

– Nie udzielam.

Boże, zaraz go zamorduję.

– Nie może pan! – Podnoszę głos.

– Mogę, to ważny bankiet.

– Ale moja obecność na nim nie jest konieczna. Nie jest to sytuacja wyjątkowa, nie jest zagrożone mienie i dobro firmy. Nie wiem, dlaczego się pan na mnie wziął. Staram się, jak mogę, być dobrym pracownikiem, niemal codziennie zostaję po godzinach, wypruwam sobie żyły, robię wszystko na czas,

ale panu wciąż jest mało. – Emocje zaczynają brać górę. Słyszę, że drży mi głos ze zdenerwowania, a może z bezsilności? – Równie dobrze może pan zabrać ze sobą każdego innego pracownika z działu, ale nie. Woli pan pastwić się nade mną, zaorać mnie, choć na to nie zasłużyłam. Chce mi pan spieprzyć weekend jakimś nadętym bankietem i rozmowami z nudnymi biznesmenami. Ale wie pan co? Ja się na to nie godzę. Nie jadę. Biorę urlop na żądanie, czy się to panu podoba, czy nie. Mam do tego pełne prawo. Nie jestem pana niewolnicą, tylko wolnym człowiekiem zatrudnionym na umowę o pracę, który posiada prawa, ma własne życie i chce z niego korzystać, a nie wyłącznie siedzieć w biurze i wykonywać polecenia szefa, który traktuje mnie jak zero. – Jestem już rozpędzona jak motorówka i gnam dalej. – Potrzebuję tej pracy. Mam swój życiowy cel i marzenie, które zamierzam urzeczywistnić. Być może trudno to zrozumieć komuś, kto nie widzi świata poza cyferkami, tabelkami i raportami, ale proszę mi wierzyć, że w przeciwieństwie do pana, dla mnie bycie finansowym korposzczurem to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Nie ma pan żadnych podstaw ku temu, by mnie zwolnić. Wykonuję swoje obowiązki sumiennie, ze starannością i zawsze na czas. Nie zamierzam dać się wykorzystywać. Pana dzisiejsza wizyta świadczy o tym, że lekceważy mnie pan nie tylko jako pracownika, lecz także jako człowieka. To jest moje zdanie, a pan niech sobie zrobi z nim, co chce. Nigdzie. Dzisiaj. Nie. Jadę – wyrzucam z siebie ostro i stanowczo. Oddycham szybko; krew buzuje mi żyłach.

Jan patrzy mi prosto w oczy, a ja nie mogę odczytać żadnych emocji z jego twarzy. Gdybym miała jednak zgadywać, co sobie myśli, obstawiałabym, że zaraz mnie zwolni. Mało tego, właśnie na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka i jestem już pewna, że wypieprzy mnie na zbity pysk – bez referencji, a co za tym idzie, bez szans na znalezienie równie dobrze płatnej pracy jak ta, którą obecnie posiadam.

Narasta we mnie panika. Kuźwa, chyba trochę przesadziłam z tym monologiem, ale nie zamierzam postępować wbrew sobie. W żołądku czuję znajomy ucisk, dokładnie taki sam, jaki miewałam jako nastolatka – kiedy to pod naciskiem rodziców żyłam w niezgodzie z samą sobą. Klasa matematyczna w ogólniaku, olimpiady, konkursy, studia na ekonomii – finanse i bankowość, staż w banku, ciągła praca z liczbami... Można się było pochłastać. Nie dziwne, że dostałam wrzodów żołądka.

I zdecydowanie nie chcę znowu przez to przechodzić. Ponad rok wychodziłam z choroby wrzodowej, w której czułam się, jakbym miała strawić samą siebie. Ból, jakby ktoś przysmażał mi ścianki jamy brzusznej miotaczem ognia od wewnątrz. I tak po stresującym tygodniu w pracy mój żołądek jęczy i błaga, bym

nie powtarzała błędów z przeszłości i żyła po swojemu, tak jak podpowiada mi serce.

Jan wstaje powoli z krzesła, ustawia je równo przy stole, po czym obraca się w moją stronę i wbija we mnie stanowcze spojrzenie.

– Pani Mario... – Rozlega się jego zimny, stonowany głos.

Stoi pewnie, władczo, góruje nade mną. Jego wyraz twarzy jest tak poważny, a postawa tak dominująca, że nie trzeba mieć ukończonych żadnych kursów z mowy ciała, żeby się domyślić, co zaraz zrobi.

Wywali mnie z roboty.

Chyba że nie dam mu ku temu okazji.

Nie zastanawiając się nawet sekundy, robię w tył zwrot i wybiegam z mieszkania, zatraskując za sobą drzwi.

Zbiegam po schodach, jakby gonił mnie sam diabeł (co w zasadzie w tym wypadku nie jest stwierdzeniem aż tak bardzo metaforycznym). Wypadam na świeże powietrze, pędzę co sił w nogach, czuję klucie w boku, idę na rekord – biję Jamajczyka z wynikiem 9,57 sekundy na setkę i dopiero kiedy zdyszana i spocona zjawiam się nad stawem, dociera do mnie, co zrobiłam.

Nawiałam z własnego mieszkania, zostawiając w nim mojego szefa.

Brawo, Maria. Może i jesteś matematycznym geniuszem (i najwyraźniej masz też zadatki na sprintera), ale tchórz z ciebie pierwszorzędny i pożał się Boże dyplomata.

Staram się uspokoić oddech. Poprawiam stanik od kostiumu i majtki, które werżnęły mi się boleśnie w dupę, po czym padam na trawę.

Mam taki chaos w głowie, że zaraz zrodzi się z niego nowy mit o powstaniu świata. Spokojnie, po kolei. Uciekłam – stało się. Zostawiłam w mieszkaniu Englera – porażka. Ale co niby miałam zrobić? Czekać bezczynnie, aż mnie wypieprzy z roboty?

Sięgam po telefon (Jan na razie nie dzwonił ani nie wysyłał SMS-a, jest dobrze). Wybieram numer stacjonarny pani Ali. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty...

– Halo! – Odbiera zziajana.

– Pani Alu, to ja.

– Och, Marynia. Właśnie od ciebie wracam. Słyszałam twój podniesiony ton, później trzaśnięcie drzwiami. Wyszłam sprawdzić, czy wszystko w porządku, i spotkałam twojego znajomego. Twierdził, że wyskoczyłaś do marketu budowlanego, bo zabrakło ci piątej kleпки... Nie widziałam, że wymieniasz

parkiet. Swoją drogą przystojny z niego młody człowiek. To twój nowy chłopak? – nawija wyraźnie oczarowana diabelskim urokiem tego bałwana.

Zabrakło mi piątej klepki, tak? Serio, Janie, to było nad wyraz żenujące. Mogłeś się bardziej wysilić. Ale to tylko kolejny dowód na to, że twoja kreatywność jest na równie wysokim poziomie, jak dopiero co opróżnione szambo. Nie dosyć, że widać dno, to jeszcze śmierdzi kupą. Niech ci będzie, plus dla ciebie – użyłeś związku frazeologicznego. Oklepanego, trywialnego, jednak to zawsze coś. Jesteś gość, nie ma co.

– To mój szef. I nie jest wcale młodym człowiekiem. To stary, podły dziad, który zmusza mnie do pracy w weekend.

– Naprawdę? A wydał mi się taki uprzejmy. I nie wygląda na starego. Boże, co za czasy. – Wzdycha. – Ci kapitaliści wykończą nam młodzież.

– Już dawno nie jestem młodzieżą, ale faktycznie czuję się aktualnie wykończona – odpowiadam i kładę się na trawie. Oddech się uspokaja, choć nadal czuję gorąco na twarzy i pulsowanie w skroniach. – Pani Alu, mam do pani ogromną prośbę. Na razie nie mam ochoty tam wracać i mam nadzieję, że lada chwila mój szef stamtąd wyjdzie... – Musi wyjść, bo przecież wieczorem ma ten pieprzony bankiet w Szczyrku. – Czy ma pani nadal klucz zapasowy, który pani dałam, kiedy wyjeżdżałam na wakacje?

– Oczywiście.

– Wspaniale, czy jak ten... – Sukinkot, drewniany młot. – Czy jak mój szef wyjdzie, zamknie pani drzwi na klucz? Bogata nie jestem, ale szkoda by mi było, gdyby ktoś niepowołany przywłaszczył sobie moją szlifierkę albo telewizor. – Englera o kradzież nie podejrzewam, bo całe moje mieszkanie jest mniej warte niż jego zegarek. A ma ich chyba ze sto. Dzisiaj też miał inny, znowu jakiś antyk, srebrny, na czarnym pasku, z rzymskimi cyframi i wielkim napisem OMEGA.

– Dobrze, Maryń. Nic się nie martw.

– Dziękuję. Będę z powrotem za jakieś trzy godzinki. – Albo i nie, bo aktualnie mam ochotę zanurzyć się w stawie i wieść beztroskie życie wodnika szuwarka aż do później jesieni.

– Pewnie... – Zawiesza głos. – A dobrze się czujesz? Brzmisz jakoś nieswojo.

– To nic. – Pocieram ręką czoło. – Po prostu potrzebuję chwili, żeby odetchnąć. Dziękuję, pani Alu, jest pani kochana.

Żegnam się z sąsiadką, wyłączam komórkę, aby nie dać szansy szefowi na telefoniczne wylanie mnie z pracy, biorę głęboki wdech i zatapiam wzrok w błękitnym niebie, po którym suną białe obłoki. Docierają do mnie odgłosy natury. W gałęziach wierzby płaczącej śpiewają ptaki, kaczki kwaczą na

spokojnej tafli wody, a ja zastanawiam się, co będzie ze mną dalej. Chyba powinnam zacząć szukać nowej roboty. A byłam tak dobrej myśli. Wszystko układało się tak, jak sobie zaplanowałam.

Maryśka, i po jakiego grzyba się zamartwiasz? – przez otchłań przygnębienia przebija się pozytywna część mojej osobowości – żyj chwilą. Odpocznij sobie na kocyku, poczytaj książkę, wystaw buzię do słońca i ciesz się piękną pogodą. W drodze powrotnej do domu kup sobie bukiet konwalii od babeczki handlującej na skwerku, wejdź do Żabki po dobre piwo i ulubione czekoladki dla pani Ali (nie zeżryj ich po drodze!), a wieczorem ruszaj na kręgle z przyjaciółmi. Zapomnij o bezdusznym Janie, o tym, co mu powiedziałaś, o tym, że na bank był na ciebie wściekły, kiedy uciekłaś z mieszkania (choć i tak pewnie nie dał tego po sobie poznać). Szefuncio wróci za trzy dni, to wtedy będziesz się martwić, co dalej. Nic nie da, że będziesz o tym myśleć w weekend. Ciesz się życiem i zapomnij o pracy...

W sumie... Faktycznie, zamartwianie się nic mi nie da. Pytanie: co takiego najgorszego może się wydarzyć? Odpowiedź: zostanę zwolniona i pozbawiona pozytywnych referencji. Wniosek: to nie koniec świata. Znajdę sobie coś nowego, pewnie gorzej płatnego, będzie ciężiej, ale dam radę. Dam radę. Dam radę!!!

No, i tego się trzymam.

Wstaję z trawy, rozkładam koc, biorę książkę, wkładam słuchawki do uszu i włączam najbardziej pozytywną piosenkę, jaka przychodzi mi do głowy. *Happy* Williamsa rozbrzmiewa radośnie, a mnie momentalnie poprawia się humor.

Jeszcze tylko ostatnie złożenie do wszechświata na mojego szefa...

„Janie, życzę ci, abyś na tym cholernym bankiecie zżarł zepsute jajka z kawiozem, popił je nieświeżą wodą sodową i miał sranie jak malowanie”.

Od razu lepiej. Oby moje prośby zostały wysłuchane. Karma wraca. Zapamiętaj to, Janie.

Z satysfakcją oraz uczuciem ulgi moszczę się na kocu i pograżam w lekturze. Słońce przygrzewa, świerszcz cyka w trawie, kaczki kwaczą, pszczołki bzyczą... Ach, pięknie jest. Będzie dobrze.

*

Dawno się tak świetnie nie bawiłam. Po tym, jak olałam wartkim sikiem SMS-a od szefa: „Jeśli zmieni pani zdanie, wyruszam o siedemnastej. Mój numer 507854644”, zaczęłam szykować się do wyjścia na miasto.

Wspólnie z przyjaciółmi byliśmy na kręglach i teraz siedzimy w restauracji, gdzie pijemy alko i jemy chińskie żarcie. Szkoda mi Tosi, bo z powodu rosnącego w jej brzuchu małego człowieka ani sobie nie pograła, ani się nie napiła, ale za to zjadła dziewięć sajgonów i podwójny ryż z kurczakiem słodko-kwaśnym. Cięża to okropny stan – zupełnie jak choroba. Albo jest ci niedobrze i rzygasz, jakbyś złapała salmonellę, albo żresz na potęgę i tyjesz jak przy niedoczynności tarczycy. Całe szczęście, że to nie jest zaraźliwe, bo serio (wiem, że to zabrzmi okrutnie), ale mój kontakt z Tośką byłby wtedy przez dziewięć miesięcy wyłącznie zdalny. Cięży mówię stanowcze „nie”. Nie pić, nie palić przez prawie rok? O nie, to zdecydowanie nie dla mnie. Nie po to wyleczyłam sobie wrzody, żeby rezygnować z takich przyjemności.

Zerkam na Ninę i Artura. Przynajmniej oni nie wylewają za kołnierz. Co zresztą bardzo mi pasuje – mam ochotę się dzisiaj upić i bawić do białego rana.

– Facet ewidentnie nie rucha i stąd u niego takie spięcie zwieraczy. – Artur wychyla kieliszek wódki, przyglądając się zdjęciu Englera na firmowej stronie internetowej. – Bez dwóch zdań jest cholernie przystojny, więc nie powinien mieć z tym problemu. – Powiększa dwoma palcami obraz na telefonie, mruży oczy. – Wiesz co? Daj mi do niego numer. Od razu mu poluzuję, co trzeba.

– On nie wygląda mi na geja. – Wypijam swoją wódkę i popijam colą. Parzy mnie w przełyku. Mocne, cholera, ale dobre. Chcę jeszcze.

– Ja też ci nie wyglądałem.

Dziewczyny się śmieją, a Artur napełnia kieliszki.

– Mówię ci, daj mi jego numer – nalega całkiem serio. – Wystarczy, że zamienię z nim dwa słowa i momentalnie go wyczuję.

– Zwariowałeś. – Wypijam wódkę i patrzę na Artura z pobłażaniem. Jest śliczny (choć już w dupę pijany) i ma zabójczy uśmiech. Oprócz tego jest zdeklarowanym gejem. A w deklaracji tej brałam czynny udział i jest to jedno z gorszych wspomnień z czasów mojej młodości (dzielimy je wspólnie z przyjacielem od jedenastu lat). W ostatniej klasie liceum bujałam się w Artim jak wariatka. Znaliśmy się od trzech lat, kolegowaliśmy od roku. Miałam wielkie nadzieje. Tymczasem okazało się, że moja cipka interesuje go równo mocno, co bogacza oferta chwilówek w banku. Nim jednak się o tym dowiedziałam, postanowiłam zaprosić go na ślub ciotecznej siostry. Wszystko szło świetnie do momentu, kiedy to pod wpływem jakże romantycznej przysięgi pary młodej walnęłam tekst godny pożałowania:

– Też bym tak kiedyś chciała. A ty? – Przeniosłam na niego cielecy wzrok, a on od razu się spał.

– Niezbyt. – Poprawił się niespokojnie na siedzeniu.

– Dlaczego? Nie uważasz, że to jest piękne? Kobieta i mężczyzna. Dwie połówki. Na zawsze razem.

Artur zrobił minę, jakby wypił sok z cytryny.

– No daj spokój. – Szturchnęłam go ramieniem. – Nie mówię, że ze mną. – Zaśmiałam się nerwowo, bo oddałabym w tamtej chwili nerkę, żeby pomyślał właśnie o mnie. – Ale na pewno taki chłopak jak ty będzie miał w czym wybierać. Masz duże powodzenie u dziewczyn.

– I w tym tkwi problem.

– W czym?

– Że nie kręcą mnie dziewczyny. – Popatrzył na mnie zdecydowanym wzrokiem i w tym samym momencie mój świat runął jak domek z kart.

Nie, to nieprawda!

– Niemożliwe! Jesteś gejem? – zapytałam i chyba zrobiłam to ciut za głośno, bo oczy wszystkich gości zgromadzonych w kościele skierowały się w naszą stronę.

Momentalnie do mnie dotarło, jaki numer odwaliałam. Uderzyła mnie fala gorąca. Byłam czerwona jak wino mszalne. Artur zaś zrobił się błyśnięciem jak najświętsza hostia.

To był koniec mojej wielkiej miłości, ale za to początek wspaniałej przyjaźni. Gdybym była wówczas na miejscu Artura, przybiłabym ćwiekami bezmyślną Maryskę do wielkiego krzyża wiszącego w nawie głównej. Ale on, o dziwo, był mi wdzięczny. Wreszcie się ujawnił. Moje wystąpienie było dla niego wyzwoleniem, z którym nosił się od kilku lat. Bał się tego jak diabli. A tak, samo się stało – to znaczy za moim pośrednictwem. Widocznie Bóg tak chciał – zostałam natchniona w domu bożym, by dokonać tej misji. Ewidentnie stwórca ma słabość do Marysieńki, bo powierza nam zawsze trudne zadania do wykonania.

No dobra, zdecydowanie jestem już pijana.

– To jak, dzwonimy? – Artur uśmiecha się figlarnie.

Wódka krąży mi w żyłach. Propozycja zrobienia głupka z Jana jest tak kusząca, że aż szkoda nie skorzystać.

– Ja jestem za – popiera Nina i ciągnie ze słomki swojego drinka.

– A ja nie. – Tośka macza frytkę w keczupie i wkłada ją sobie do ust.

Jezu, ile ona wpieprza. Nawet nie zauważyłam, że zamówiła podwójne frytki.

– Dlaczego? Przecież i tak czeka ją wypowiedzenie – stwierdza Nina.

– Może chce się zemścić – stwierdza Tośka. – Zamiast wypowiedzenia wręczy jej dyscyplinarkę, narobi jej smrodu w branży i rozpuści wici, że Mary

jest niesumienne, nieodpowiedzialna, że odwala numery, a wtedy potencjalni pracodawcy nie będą chcieli nawet z nią rozmawiać.

Przez chwilę czuję ukłucie niepokoju. Czy faktycznie Jan były zdolny do zemsty i to tak okrutnej? Czy mógłby mi zniszczyć życie w odwecie za małego, niewinnego psikusa?

– Tośka, przecież on nawet nie będzie wiedział, że jestem jej znajomym. Na bank nas nie skojarzy – zapewnia Artur. – Podam mu fałszywe nazwisko i tak nim zakręcę, że sam nie będzie wiedział, jak się nazywa. O której miał się zacząć ten bankiet? – zwraca się do mnie z błyskiem podekscytowania w oku.

Przygryzam niepewnie wargę. Waham się przez chwilę. Jednak wypity alkohol i ekscytacja Artura oraz Niny dodają mi odwagi. A co mi tam. Niech się dzieje!

– Engler miał wyjechać o siedemnastej. Do Szczyrku są cztery godziny drogi.

Artur zerka na zegarek.

– Jest za dziesięć dziesiąta. Obstawiam, że impreza zaczęła się o dwudziestej pierwszej. Twój szef pewnie bawi się w najlepsze.

Parskam.

– O tak, Jan i zabawa. On jest tak sztywny, że nawet gdyby podłączyli go do elektrowstrząsów, to leżałby nieruchomo jak trup ze stężeniem pośmiertnym.

– No to się przekonajmy. – Artur porusza brwiami i nim zdążę zareagować, sięga po mój telefon ze stolika, wstukuje coś na ekranie i nagle wybucha śmiechem. – To ten Jan? – Pokazuje mi wyświetlacz, na którym widnieje kontakt, który zapisałam dzisiaj pod nazwą: *Jan Sztywniak*.

– Ten sam. – Wypijam kolejny kieliszek wódki.

– To zobaczymy, czy taki z niego sztywniak. – Z uśmiechem wpisuje numer do swojej komórki.

Patrzę na niego i nie wierzę. Artur Borus, lekarz weterynarii, dzwoni do mojego szefa z ofertą seksualną.

– Daj spokój, jesteś pijany. – Tośka jako jedyna trzeźwa próbuje go zastopować, ale on już przykładą telefon do ucha.

Chichoczę. W sumie to jest zabawne, choć dosyć popieprzone. Zachowujemy się, jakbyśmy mieli znowu kilkanaście lat – beka z Jana na sto dwa. Kto by pomyślał, że każde z nas ma wykształcenie wyższe i zbliża się do trzydziestki. Ale co tam, zrzućmy wszystko na wodę. Ona temu winna.

Artur włącza w telefonie tryb głośnomówiący i kładzie aparat na stoliku. Słysząc sygnał, po nim następnym. Moje serce przyspiesza rytm.

– Halo. – Rozlega się znajomy baryton, na dźwięk którego momentalnie zaciska mi się żołądek.

– Dobry wieczór, z tej strony Olaf Ułański – Artur odzywa się niskim, seksownym głosem, a ja wywracam oczami. To sobie wybrał nazwisko. W sam raz do sytuacji. Trzeba mieć naprawdę ułańską fantazję, żeby badać orientację seksualną szefa swojej przyjaciółki przez telefon. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Przeszkadza pan.

No tak, cały Jan.

– Zajmę panu tylko chwilkę. Nie zna mnie pan. Jesteśmy na tym samym bankiecie, a ja otrzymałem pana numer od kolegi z firmy. Przepraszam, że się nie ujawniam w bezpośrednim kontakcie. Sądziłem, że bezpieczniej będzie najpierw porozmawiać telefonicznie. Zastanawiam się, czy ma pan może jakieś plany na weekend w Szczyrku? Proponuję kolację we dwóch. Albo wspólny wypad w góry... Jakieś spa? Zostaję do poniedziałku. Oczywiście gwarantuję pełną dyskrecję. Mogę przesłać swoje zdjęcia na pana komórkę. Jest pan zainteresowany?

Cisza. Zerkamy na siebie. Jezu, ile bym dała, żeby zobaczyć teraz minę Jana. Co więcej, umieram z ciekawości, co odpowie.

– Halo, jest pan tam? – pyta Artur, a mnie przez moment przemyka przez myśl, że mój szef się rozłączył.

– Jestem. – Rozbrzmiewa niski tembr głosu Jana, z którego jak zwykle nie potrafię wyczytać żadnych emocji.

– Nic pan nie mówi.

– Namyślam się.

Namyśla się? O rany, czyżbym aż tak bardzo się pomyliła co do jego orientacji seksualnej? Jeśli tak, to mój gejradar jest faktycznie w dupę zepsuty. Ale widocznie nie tylko mój, skoro na widok Jana ślini się połowa damskiej kadry w firmie. Tymczasem on woli fiutki od cipek. Ja pierdzielę.

– I co pan myśli? – docieka Artur, a ja nastawiam uszu, czekając na odpowiedź.

W słuchawce rozlega się dobrze znany mi pomruk, po którym padają wypowiedziane powolnym i zrównoważonym tonem słowa:

– Myślę, że powinien pan przekazać pani Marii, żeby zjawiała się w poniedziałek w pracy na siódmą rano. Z pudłem na swoje rzeczy. Dobranoc.

Połączenie zostaje przerwane.

Siedzę jak sparaliżowana. Mam wrażenie, jakby ktoś zdzielił mnie mokrą szmatą w twarz.

No i się wszystko zesrało. Brawo, Mary, szczeniackich wygłupów ci się zachciało, to masz za swoje. Teraz to na bank wylatujesz z roboty.

*

Nie jest zajebiście, ale nie jest też tragicznie. A to za sprawą Artura i Niny, którzy obrali sobie za cel poprawić mi humor przez resztę wieczoru i zaciągnęli mnie do klubu, żeby potańczyć. Po tym, jak Tosia zwinęła się do domu (najpierw zdrzemnęła się na siedząco przy stu dwudziestu decybelach), impreza rozkręciła się na całego.

– Pieprz korpo. Od początku mówiłem, że to nie dla ciebie. – Artur dolewa do mojego soku zimnej wódki, którą właśnie kupił w barze. – Już po samym ogłoszeniu było wiadomo, że to zjeby. Brzmiało jak: „jesteśmy superzajebistą korporacją, szukamy trzydziestoletniej naiwniaczki z czterdziestoletnim doświadczeniem, która lubi spożywać posiłki przy komputerze, pracować po trzynaście godzin dziennie, a jej hobby to czytanie dwustu e-maili dziennie”. Znajdziesz sobie inną pracę, Mary.

– Wiem, że znajdę, ale nie tak dobrze płatną. – Upijam łyk. – Chociaż, szczerze, chyba już wolę kopać rowy, niż lizać je przełożonym w korporacji.

– Tu bym polemizował. Mógłbym wykonywać taką pracę dla twojego szefa. Oczywiście jeśli byłbym bezrobotny. – Artur puszcza mi oko.

Wybucham śmiechem. Zbok.

– Maryśka, nic się nie bój. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – odzywa się podpita Nina. – I tak chciałaś zmienić dział, to możesz zmienić i pracę. Ordynator szykuje podwyżki. Pożyczę ci kasę na rozkręcenie pracowni.

– Wiesz, że nie lubię pożyczać pieniędzy. Już Tośka mi proponowała. Jej Radosław zbija kokosy na deweloperce.

– Wiem, ale to taki *backup plan*. Jestem pewna, że szybko znajdziesz jakąś fajną robotę w finansach. Przecież jesteś matematycznym geniuszem, diwą liczb.

Prycham.

– W obecnych czasach nawet najwybitniejszy algebraiczny umysł sprowadza się do jednego: arkuszy w Excelu. Jeśli chcesz mnie tytułować, to mów mi raczej excelencjo. I skończmy już z tematem pracy, okej?

– Jak dla mnie bomba. Tylko się napiję i idziemy densować. – Nina bierze łyk swojego fioletowego drinka, a ja wykrzywiam usta z obrzydzeniem.

– Coś nie tak? – Przyjaciółka zerka na mnie znad fikuśnej szklanki.

– Co ty właściwie pijesz? Wygląda jak denaturat.

– To jest, moja droga, *Bajeczny Sen*. Srebrna tequila, likier Blue Curaçao, syrop Grenadine Monin, plus sok z cytryny i pomarańczy. Pycha. Chcesz spróbować? – Wyciąga drinka w moją stronę.

Patrzę z powątpiewaniem na fioletową ciecz, która kojarzy mi się ze szklaną butelką i granatową etykietą z kościotrupem oraz napisem „trucizna!”. Pamiętam, jak ojciec zaprosił do nas kiedyś swojego starego kumpla z dawnej pracy. Ten opowiadał, że w czasach PRL-u z braku kasy na wódkę dodawał denaturat i miód do wywaru herbacianego, odstawiał to na dwadzieścia cztery godziny, po czym dorzucał oranżadę w proszku i miał gotowe alko. Facet żyje po dziś dzień, jest w świetnej formie, co więcej – ma dobrze prosperujący własny biznes i kasy w bród.

– A daj. – Odbieram pucharek, biorę łyka i czuję na języku przyjemny słodko-kwaśny smak tequili i pomarańczy. – Eno, faktycznie dobre. – Zanurzam ponownie usta.

Nina uśmiecha się szeroko. Ma przeszklone oczy, rumieńce na twarzy i dekolcie. Znam ten widok: będzie jutro cierpieć.

– Jest twój. Na poprawę humoru. – Daje mi buziaka w policzek. – Dopijaj i idziemy tańczyć, a później zamówimy sobie jeszcze po jednym.

Rzecz jasna na jednym drinku się nie kończy i wbrew temu, na co mogłaby wskazywać jego nazwa, wcale nie czuję się po nim senna. Wręcz przeciwnie. Wstępują we mnie niespożyte pokłady energii. Zaraz odleczę w kosmos. I zarąbiście, bo nigdy tam jeszcze nie byłam. Wywijam się i prężę na parkiecie z Niną i Arturem do momentu, aż każde z nich idzie w tango z nowo poznanym facetem, a do mnie przystawia się jakiś nieznajomy. Tańczy tuż za mną tak blisko, że czuję bijące od niego ciepło. Pachnie seksownie, co sprawia, że po ciele rozchodzi się przyjemne mrowienie. W końcu kładzie dłoń na mojej talii i szepcze mi zmysłowym głosem do ucha: „masz ochotę stąd wyjść?”, a mnie ogarnia owulacyjna chcica. Sutki momentalnie sterczą na baczność. Przyśpiesza mi puls.

W sumie... Chcieć to nawet bym chciała, wiem jednak, że gdybym zrobiła dzisiaj z Karola rogacza, jutro zjadłyby mnie wyrzuty sumienia. Ja tak nie postępuję.

Odwracam się do mężczyzny. Przesuwam wzrokiem po jego umięśnionej sylwetce, napotykam pełne usta, które mogłyby mi zrobić naprawdę dobrze, i czuję skurcz między udami. Cholera, aż żal go spławiać. Akurat dzisiaj

przydałby mi się taki niezobowiązujący „haj end baj”. Ale mam swoje zasady – nie zdradzam.

– Dzięki, może innym razem. – Puszczam do niego oko i z bólem rezygnuję z upojnej nocy z nieznajomym. Co nie zmienia faktu, że nabrałam takiej ochoty na seks, że czuję żar w dole brzucha. I zamierzam sobie z nim szybko poradzić.

Karol, obyś jeszcze nie spał.

Pędzę przez parkiet w stronę łazienki. Jestem podekscytowana, jestem napalona. Zamykam się w kabinie, podciągam koszulkę, rozpinam stanik, wydaję telefon i cykam sobie fotkę topless. Eno, bimbałki jak malowane. I pomyśleć, że jeszcze w liceum doskwierało mi płaskocyckowie. Tylko głupi odmówiłby numerka po otrzymaniu takiego nudesu. Pospiesznie wpisuję wiadomość:

Jestem napalona. Śpisz czy masz ochotę na hiszpana?

Wysłałam SMS-a i szczerzę się do telefonu jak głupia, oczekując na odpowiedź. Obraz mi się nieco zamazuje, ale wciąż widzę, co jest na ekranie. Czytam drugą część pytania: „masz ochotę na hiszpana ^[2]?”.

Niecierpliwię się.

No, co tak długo? Chyba nie śpisz, mój chłopaku? Klikam na wysłaną wiadomość, aby raz jeszcze zerknąć z podziwem na swoje sterczące cycuszki, które aż proszą się o jak najszybsze macanie...

I zamieram.

Mrużę oczy, żeby nabrać lepszej ostrości i odczytać litery.

Ożeż w dupę. Co ja najlepszego zrobiłam?!!! Osuwam się na kibel i wpatruję z walącym sercem w wyświetlacz. Nie, to niemożliwe.

Ostatnia wysłana wiadomość do: Jan Sztywniak.

A tuż pod nią moje cycki.

Kurwa. Kurwa. Kurwa!!!

Serce wali mi jak szalone, pocę się, mam sucho w ustach.

COFNIJ WYSYŁANIE!

Przytrzymuję kciukiem dymek z wiadomością. Rozwija się menu... Gdzie tu jest opcja „cofnij”?!

Usuń. Kopiuj tekst. Przekaż. Udostępnij... Nie ma żadnego „cofnij” ani „usuń u odbiorcy”, ani „zawróć wiadomość i spał”!

Boże, nie!!!

Robi mi się słabo, tętno wariacko napieprza. Myśl, Maryśka, myśl, co robić, bo jest kwas stulecia.

Gapię się na zdjęcie swoich golutkich piersi ze stojącymi na sztorc brodawkami, które wręcz krzyczą: „ssij nas, gryź”! Śledzę wzrokiem tekst z jednoznaczną propozycją seksualną i jestem o krok od tego, żeby włożyć głowę do kibla i się w nim utopić.

Jezusie kochany, do każdego mogłabym wysłać taką wiadomość (i w obecnym stanie upojenia alkoholowego specjalnie bym się tym nie przejęła), ale nie do niego. Nie do pieprzonego Jana Englera! Przecież on od razu pomyśli, że chcę mu wskoczyć do łóżka, aby utrzymać pracę. Co za wstyd! Co za hańba! Co za koszmar!!!

Muszę to jak najszybciej odkręcić. Może jeszcze nie odczytał wiadomości? Jest po pierwszej, może śpi.

W pijackim widzie rozważam pojechanie BlaBlaCarem do Szczyrku, zakradnięcie się do pokoju mojego szefa i skasowanie żenującej wiadomości. Problem w tym, że nie mam pojęcia, gdzie się zatrzymał. Gdybym wiedziała, w którym hotelu nocuje, mogłabym zaproponować recepcjoniście łapówkę, by pożyczył mi kartę zapasową do drzwi... Ciekawe, ile by to wyniosło? Nieważne. Oddam wszystko! Nerkę, płuco, szpik. Yyy, ale płuca chyba nie mogę oddać za życia... Trudno, oddam część wątroby. Wątrobę mam sprawną jak mało kto, gorzej z żołądkiem.

W przypływie paniki wchodzę na booking.com i zaczynam wyszukiwać hotele w Szczyrku, które mają powyżej czterech gwiazdek. Jestem pewna, że Jan nie zatrzymałby się w żadnym o niższym standardzie.

Wyskakuje dwanaście obiektów, w tym hotele i apartamenty. A co, jeśli zatrzymał się w takim apartamencie? Gdyby to było na parterze, mogłabym się wkraść przez okno. I nie musiałabym oddawać nikomu nerki ani szpiku, ani części wątroby... Jezu, gdzie on nocuje w tym cholernym Szczyrku?!

Czuję, jak ogarnia mnie bezsilność, przez którą przebija się głos rozsądku.

To jakiś absurd... Co ja w ogóle rozważam?

Wsuwam dłoń we włosy, siedzę bezradnie na kłocie i wpatruję się tępo w telefon. Od wysłania wiadomości minęło dobrych kilka minut.

Zastanawiam się, czy Engler nie odpisał, bo faktycznie już śpi. A może dostał udaru po tym, jak odebrał SMS-a? Albo naprawdę jest gejem i moje gołe cycki interesują go równie mocno, co ptasia karma kota.

Rozważam, kombinuję, męczę się sama ze sobą. Mam już tak pogryzioną z nerwów dolną wargę, że jutro będę wyglądać jak ofiara nieudanego botoksu.

W końcu decyduję się napisać:

Ostatnią wiadomość wysłałam przez pomyłkę.
Nie była do Pana. Proszę ją usunąć i o niej zapomnieć.
Maria Gabara

Krótko i rzeczowo. Tak jak lubi Engler.

Twarz pali mnie żywym ogniem. Wysyłam. Niech się dzieje wola nieba. I tak w poniedziałek miałam wylecieć z roboty, więc oszczędzę sobie wstydu i przyjdę do pracy nie na siódmą, jak kazał sztywniak, tylko na szóstą. Przez czterdzieści minut zdążę się spakować i dzięki temu nie trafię na mojego szefa. I nigdy więcej go już nie zobaczę.

Tak, to jest idealny plan.

Zerkam na komórkę. Żadnej wiadomości. Pewnie śpi. I dobrze, im więcej czasu upłynie, tym większego dystansu nabiorę. A ten zdecydowanie mi się przyda. Dopiero teraz czuję, jaka jestem spięta. Bolą mnie szyja, mięśnie karku, plecy. Muszę się napić i jakoś rozładować emocje.

Otwieram aplikację z wiadomościami i wpisuję tekst:

Jadę do ciebie. Nie śpisz?

Pięciokrotnie upewniam się, że SMS, który zamierzam wysłać, adresowany jest do Karola, po czym naciskam „wyślij”.

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast:

Nie śpię. Co masz na sobie?

Uśmiecham się sama do siebie.

Właściwe pytanie, to czego na sobie nie mam.
Będę za dwadzieścia minut.

Czekam!

No, to jadę! Tylko najpierw wychylę przy barze jeszcze jeden *Bajeczny Sen*. I liczę na to, że za jego sprawą mój mózg uzna, że incydent z wysłaniem nudesa do Jana był wyłącznie (nomem omen) koszmarnym snem.

*

Nie wiem, dlaczego sądziłam, że skoro Karol napisał „czekam”, to naprawdę będzie na mnie czekał. I nie mówię tu o róży w zębach, romantycznych świecach i kolacji dla dwojga. Ale, na litość boską, to, co zastałam w jego domu, sprawiło, że moja cipka zacisnęła się boleśnie, skamląc: „błagam, zabierz mnie stąd!”.

Nie uważam się za czyścioszkę i często moje mieszkanie wygląda jak po przemarszu wojska. Jednak widok Karola rozwalonego na kanapie w poplamionym T-shircie, bokserkach, czarnych skarpetkach, z padem w dłoniach, w otoczeniu walających się opakowań po chipsach i unoszącym się odorze piwa, działa na mnie jak antywiagra i antyecstasy w jednej pigułce.

– Siadaj, zaraz skończę. – Wystawia czubek języka, gapiąc się w telewizor, i porusza szybko kciukami na padzie do gry.

Wzdycham ciężko, zbieram śmieci z kanapy, ławy, dywanu i wynoszę je do kuchni. A tam syf z gilem. Podłoga się klei, w zlewie krzywa wieża z talerzy, brudne sztućce, na blacie okruchy po chlebie, skrawki zzieleniałej wędliny, rozsypana kawa, rozmazane masło, ogryzek po jabłku i...

Wielkie nieba, co tu robi ten robal?!

Jest obrzydliwy – brązowy, błyszczący, z długimi wąsami. Od patrzenia na niego zaczyna mnie swędzieć skóra. Mimo to jest mi go trochę żal. Biedak przykleił się do plamy po dżemie i macha bezradnie odnóżami, próbując uciec przed moim wzrokiem.

– Już jestem. – Karol podchodzi do mnie od tyłu i obejmuje mnie ramionami.

– Nie mówiłeś, że wzięłeś sobie zwierzątko – mówię, wpatrując się w stawonoga.

– Żadnych zwierzątek. Mam tylko ciebie, mój kociaku – mruczy i ociera się zarostem o mój policzek. Wzdrygam się, bo różami to on nie pachnie.

– A on? Nie będzie zazdrosny? – Wskazuję na robaka.

Karol wciąga z sykiem powietrze.

– Kurwa, karaluch! – Odskakuje ode mnie, ściąga skarpetkę i zaczyna nawalać nią w karaczana. Skacze na jednej nodze (na jego miejscu też brzydziłabym się dotknąć gołą stopą tej podłogi), klnie, napieprza skarpetą w blat, ma dzicz w oczach. Wygląda jak opętany. Mogłoby się здаwać, że robal nie ma szans. A jednak, kiedy wiesz, że karaluch to wytrzymałe bydło, które po obcięciu głowy potrafi żyć jeszcze przez piętnaście dni, to uświadamiasz sobie, że twój chłopak wcale nie dybie na jego życie, tylko po prostu wykonuje przed nim kulawy taniec, połączony z relaksacyjnym masażem śmierdzącą skarpetą.

Jezu, zaraz się posikam. Wycofuję się do łazienki. A tam jeszcze większy rozpierdol niż w kuchni. Brudne ciuchy wylewają się z kosza na posadzkę, lustro przypomina witrynę sklepową upstrzoną sztucznym śniegiem z okazji Bożego Narodzenia, umywalka i wanna są czarne jak w łaźni górniczej, a z wnętrza muszli klozetowej wyziera gówniana krecha. Śmierdzi jak w miejskiej szczalni. Najwyraźniej Karol nie spuszczał wody przez tydzień.

Chryste, co za chlew.

Marszczę nos i tradycyjnie robię siku na stojąco.

Nie sądziłam, że Karol może się aż tak bardzo zapuścić. Kiedy pracował w korpo, stać go było na panią do sprzątania, która ogarniała mu mieszkanie dwa razy w tygodniu. Wygląda na to, że po tym, jak z niej zrezygnował, ujawniła się jego prawdziwa natura – Karolus flejtuchus pospolitus.

Kurna, nawet mydła nie ma! Fuj.

– Karol, bierz gumowe rękawice, trzeba odgruzować twoją chatę! – Wychodzę z łazienki i nie wierzę.

Mój chłopak znowu siedzi przed telewizorem i gra w jakąś cholerną strzelankę.

– Luz. Wykończę tylko tego sukinsyna i pobaraszkujemy w bedroomie. Tam jest czysto.

Przechodzę szybkim krokiem do sypialni, uchylam drzwi i uderza mnie smród spermy. Robi mi się niedobrze.

Kołdra skotłowana na łóżku, na podłodze trzy gniazda ciuchów, a pośród nich zmietolone chusteczki higieniczne. Przynajmniej wiem, skąd ten odór.

Ręce opadają.

– Jak walisz konia, to przynajmniej mógłbyś później sprzątnąć! – Otwieram okno na oścież. – Chodź tutaj i zabierz stąd te ospermione chusteczki!

Cisza.

– Karol!

– Tak?

– Posprzątaj ten syf! Ja zajmę się kuchnią.

Brak odpowiedzi.

Wychodzę z sypialni i idę do pokoju.

Karol siedzi na kanapie. Wzrok ma wbity w ekran, jest cały spięty, palce poruszają się szybko po padzie. Wygląda jak w transie.

– Słyszysz mnie? – Staję obok niego i zakładam ręce na piersi.

– Ehe.

– To co powiedziałam?

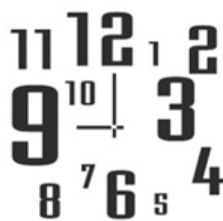
– Że... O kurwa, ale mnie sukinsyn zaskoczył! – Podskakuje na kanapie. Zaczyna poruszać kciukami na joystickach tak szybko, jakby zamiast paliczków miał sprężyny.

Dobra, dosyć tego.

– Wychodzę. Jak wydoroslejesz i posprzątasz, to daj znać.

– Ehe.

Ehe? Okej. Jak sobie chcesz.



Chce mi się pić jak diabli. Wstaję od biurka, zabieram szklankę, przemierzam opuszczony open space i idę do socjalnego. Wokół ani żywej duszy. Gdzie się wszyscy podziali?

Wchodzę do pomieszczenia, nalewam wody z baniaka i piję duszkiem. O jaka dobra. Ale mnie dzisiaj suszy.

– Myślałem nad pani SMS-em. – Słyszę tuż za plecami. Odwracam się i mój wzrok napotyka Englera. Stoi na wprost w szarym trzyczęściowym garniturze i mierzy mnie wzrokiem.

Próbuję skojarzyć, o jakiego SMS-a mu chodzi, ale żadnego nie pamiętam. Miałam coś przygotować? Pustka. Jakbym zamiast mózgu miała wydmuszkę.

– To znaczy? – Upijam łyk wody.

Podchodzi do mnie. Jest teraz tak blisko, że muszę zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy. A te patrzą na mnie tak intensywnie, że brakuje mi powietrza.

Jan się pochyla, odgarnia mi włosy z ramienia, przybliża usta do mojej szyi i odzywa się niskim głosem:

– Proszę powiedzieć tylko słowo, a będę je ssał tak długo, aż pani dojdzie... – mówi tuż przy moim uchu. – A potem przed panią uklęknię, podwinę spódnicę, ściągnę majtki i będę panią lizał do momentu, aż dojdzie pani po raz drugi. – Jego gorący oddech omiata moją szyję, a słowa sprawiają, że uderza we mnie fala gorąca. – A później wezmę panią pod ścianą i będę pieprzył tak długo, aż zacnie pani błagać, bym doprowadził ją do końca po raz trzeci.

Serce bije mi jak szalone; czuję pulsowanie między nogami. Patrzę na Jana oszołomiona. Brakuje mi powietrza. Jego wzrok błądzi po mojej twarzy, ustach i zatrzymuje się na dekolcie. Przygryza zmysłowo wargę, a z jego krtani wydobywa się niski pomruk. Ten dźwięk sprawia, że mam ochotę, żeby mnie pocałował, żeby mnie pieścił, żeby zrobił wszystko to, o czym mówił.

– Pani Mario, tylko słowo. – Jego pożądlivy wzrok niemal wypala mi dziurę w piersi. Podążam powoli spojrzeniem w dół i zamieram.

Jasna cholera, jestem naga od pasa w górę!

Szklanka wypada mi z ręki, rozlega się brzdęk, zakrywam się dłońmi. Jezus Maria, dlaczego jestem toples?!!!

Jan odrywa spojrzenie od moich piersi i zerka na podłogę. Jego twarz momentalnie tężeje, a na czole pojawia się pionowa zmarszczka. Rozgląda się, po czym klęka na jedno kolano i zaczyna zbierać potłuczone szkło.

– Proszę to zostawić. Ja się tym zajmę. – Tylko najpierw się, do jasnej cholery, ubiorę albo chociaż owinę kuchenną ścierką.

Ale on nie odpowiada. Zbiera.

– Panie Engler. Proszę dać mi chwilę. Ja to zrobię. – Nachylam się, zakrywając rękoma gołe cycki. On jednak nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Jakby ktoś włączył mu opcję „sprzątanie”. Twarz ma skupioną, mięśnie napięte. Usuwa odłamki szkła z podłogi, jeden po drugim, miejsce obok miejsca, nie omijając ani jednej drobinki.

– Szefie? – Zaglądam mu w oczy, lecz te są nieobecne.

Zero reakcji. Jakby ktoś go zahipnotyzował.

– Panie Janie? Tu ziemia...

A raczej to, co nad nią.

Macham mu dłonią przed oczami. A ten nic. Klęczy i zbiera jak ten Kopciuszek, co oddzielał mak od soczewicy. Odwaliło mu czy jak?

– Panie Engler. Dobrze się pan czuje?

Nawet nie drgnie. Ja pierdziele, co mu jest? Trochę mnie przeraża. Nie no, trzeba go postawić do pionu, bo chłop zgłupiał.

Klękam tuż przed nim i nie wiem, co strzela mi do łba, ale z moich ust wydobywają się słowa piosenki:

– Panie Janie, panie Janie, pora wstać! Pora wstać! – śpiewam z szeroko rozłożonymi rękoma. – Wszystkie dzwony biją, wszystkie dzwony biją. Bim bam bom. Bim bam bom. – Poruszam ramionami, a moje cycki falują seksownie jak u tancerki shimmy.

A ten nic.

– Halo! Gołe cycki. Szefie!

Zero reakcji. Jak zaprogramowany robot, tryb „zbieracz” aktywowany. Cholera.

– Co panu jest? Mam wezwać pogotowie? – Nachylam się nad jego twarzą.

Czoło Jana przecinają zmarszczki, wzrok skupiony jest na podłodze w poszukiwaniu kolejnego odłamka szkła.

No ładnie, mój szef zwariował.

Ale w sumie dobrze mu tak. Pieprzony pracoholik. Tylko co mam niby teraz zrobić? Tak po prostu sobie pójść i go tu zostawić, aż wszystko wyzbiera?

I nagle rozlega się piknięcie telefonu. Poraża mnie jasny blask.

Rozglądam się i rozpoznaję ściany swojego pokoju. Leżę we własnym łóżku. Kołdra skopana w nogach, prześcieradło ściągnięte, poduszki brak. W pierwszym odruchu łapię się za cycki. Uff. Zakryte. Jestem w piżamie. Co za ulga.

Uchodzi ze mnie powietrze.

Boże, co za pojebany sen. Nawet nie odważę się go zinterpretować. Wiem jedno – nigdy więcej *Bajecznego Snu*. Nie dosyć, że robię po nim głupoty, to w dodatku mam koszmary.

*

Przez pół niedzieli lecę kaca – zarówno tego alkoholowego, jak i moralnego. Zrobiłam wczoraj z siebie totalną idiotkę przed Janem – raz, kiedy Artur zaproponował mu gejowską randkę, a on jakimś cudem się domyślił, że mam z tym coś wspólnego; drugi – kiedy wysłałam mu moje nagie zdjęcie. Mam ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię. Ciągle o tym myślę, co więcej – wciąż zadaję sobie w kółko te same dwa pytania: skąd Jan wiedział, że znamy się z Arturem, i dlaczego nic nie odpisał na mojego nudesu?

Na pierwsze pytanie nie jestem w stanie wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi, a na drugie tym bardziej. Bo co niby miał mi odpisać? „Niezłe cycki, Pani Mario. Wielka szkoda, że SMS nie był przeznaczony dla mnie”? Albo „Już zapomniałem. Cycki mnie nie kręcą, zwłaszcza te należące do Pani”?

Wydaję z siebie jęk zażenowania i zanurzam dłonie we włosach w oczekiwaniu na pojawienie się pulpitu na laptopie. A ten chodzi jak żółw po tym, jak zapomniałam go wyłączyć po wczorajszej wizycie mojego szefa.

Po kilku minutach widzę, że mam otwartych pięć okienek, w tym żarłacza gigabajtów w postaci Photoshopa. Zamykam program i w okienku z pocztą dostrzegam nową wiadomość.

Od: ts@poczta.fm

Temat: Zamówienie – fotel uszak

Serce mi podskakuje. Klikam na e-maila, dłonie mi się pocą, czytam:

Dzień dobry.

Jestem zainteresowany zakupem fotela „uszak”. Czy oferta jest aktualna?

TS

Jezus Maria! Nie wierzę. Miałam czuja. Ten fotel to był strzał w dziesiątkę.

Bez zastanowienia klikam „odpowiedz” i drżącymi palcami wpisuję wiadomość:

Dzień dobry :)

Dziękuję bardzo za zainteresowanie. Oferta jest aktualna. Fotel mogę wysłać jutro. Wpłaty może Pan dokonać na moje konto bankowe – poniżej podaję dane do przelewu. Poproszę o adres do wysyłki i numer telefonu dla firmy kurierskiej.

Pozdrawiam serdecznie,

Maria Gabara

Wklejam numer swojego konta, z bananem na ustach jeszcze raz czytam wiadomość i wysyłam. Jestem mokra od potu i śmierdę. Wyłazi ze mnie wczorajsze alko i chińszczyzna. Jest godzina dwunasta, a ja nadal w piżamie. Pora na prysznic. Wstaję od stołu i w tej samej chwili rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. Zerkam na monitor.

O cholerka. To klient, już odpisał. Musi być naprawdę zainteresowany.

Kurier nie wchodzi w grę. Czy można odebrać fotel bezpośrednio od Pani i zapłacić gotówką?

TS

No pewnie, że można.

Oczywiście :D Poniżej podaję swój adres i numer telefonu do kontaktu. W tygodniu najbardziej odpowiadają mi godziny wieczorne. W weekend może być w ciągu dnia. Na kiedy chce się Pan umówić?

Maria Gabara

Tym razem nie odchodzę od komputera, bo skoro facet ostatnim razem odpisał od razu, to być może zaraz odpowie na e-maila. I się nie mylę.

Po dwóch minutach wpatrywania się w skrzynkę odbiorczą rozlega się znajomy dźwięk, a wraz z nim pojawia się wiadomość:

Na dzisiaj, o dwunastej trzydzieści.

TS

Zerkam na zegarek. Dwunasta siedem. Dobra, szybki prysznic i będę *ready*.

Jest dwadzieścia pięć po dwunastej, kiedy z mokrymi włosami wychodzę spod prysznica. Jestem prawie gotowa, oby koleś nie był punktualny, bo...

Rozlega się dzwonek domofonu.

Kurza dupa. Jezu, jak ja nie znoszę, kiedy ktoś przychodzi przed czasem. Owijam pospiesznie włosy ręcznikiem, zakładam stanik, majtki, wsuwam stopę w nogawkę dżinsów... No włącz! Balans na jednej nodze, zachwianie, tracę równowagę... O cholera! Łapię za krawędź umywalki, mokra dłoń przesuwam się po armaturze, lecę!!! Walę łbem o kibel, trącam ramieniem szczotkę od kibla, padam jak długa na kafelki, a syfiasta woda z pojemnika od szczotki wylewa się wprost na twarz, brodę, szyję... Kurwa!

Zrywam się gwałtownie i walę głową o sedes.

– AUA!!!

Chryste. Opadam na posadzkę. Widzę ciemność, łeb napieprza, dzwoni mi w uszach. Dzyń, dzyń! Dzyń, dzyń!

To dzwony kościelne. Umarłam.

Dzyń! Dzzzyyyń!

Nie. To domofon. Próbuje dojechać do siebie. Uszak, kupiec, muszę wstać.

Unoszę się z jękiem, głowa mnie boli jak diabli, śmierdzą kupą. Zapamiętać na przyszłość – opróżniać pojemnik po kiblowej szczocie przynajmniej dwa razy w tygodniu, a nie od wielkiego dzwona.

Dzyń, dzyń!

Zaraz, kuźwa! Już idę! Wciągamy spodnie, wstaję, opieram się o umywalkę, spoglądam w lusterko... O patronko spraw trudnych i beznadziejnych! Na czole mam czerwonego grejpfruta.

Dzyń, dzyń!

Dźwięk dzwonka przeszywa mnie od skroni po potylicę. Zabiję kolesia, słowo honoru.

Śpieszę do przedpokoju. Gdy tylko podchodzę do domofonu, żeby podnieść słuchawkę, rozlega się pukanie do drzwi.

Wzdrygam się, wyglądam przez judasza, a tam jakiś łysy kark. Tuż obok niego pani Ala. Jezu, facet wygląda jak bandzior.

Co do...?

Chwytam za miotłę, którą trzymam przy drzwiach, przekręcam zamek, otwieram, stoję naprzeciwko sąsiadki i kupca, a ci wbijają wzrok w moją klatkę piersiową i rozdziawiają usta.

Podążam instynktownie za ich spojrzeniem na swój dekolt i... O fuck! Oprócz tego, że jestem w samym staniku, to na skórze mam syfiastą, mokrą plamę. A od czego? Od szlamu z pojemnika od kiblowej szczoty. Na Boga, ileż tego tam było? Fuuuj.

– Maryś, pan przyszedł odebrać uszaka.

Unoszę wzrok na panią Alę. Wygląda na nieco zmieszaną. Przenoszę spojrzenie na mięśniaka, a ten cały czas gapi się na moje piersi. A niech sobie popatrzy, mam większe zmartwienie.

– Pani Alu, dlaczego wpuszcza pani nieznajomych? – Powracam wzrokiem do sąsiadki. – Tyle razy panią prosiłam, żadnych ulotek, żadnych obcych...

– Ale ten pan nie jest obcy.

– Jak to? – Zerkam na łysego. Gęste czarne brwi, szeroka szczęka, tatuaż na szyi. Jest potężny jak tur i na oko w moim wieku. W brydża z panią Alą to on raczej nie grywa.

– Już się wcześniej poznaliśmy. To ten miły pan przywiózł twój fotel... – Zawiesza głos. – Nie rozumiem tylko, dlaczego chcesz go teraz oddać, skoro tak szalenie ci się podobał.

– Oddać? – Przerzucam wzrok na łysego, a ten niczym figura woskowa stoi wciąż w tej samej pozycji, ze wzrokiem wbitym w moje bimbały. Co to za gość? – Pan jest TS?

Zero reakcji.

– Halo, proszę pana? – Macham mu miotłą przed twarzą. – To pan zamówił uszaka?

Ocknięcie. Mięśniak unosi wzrok.

– Tak, mam odebrać uszaka – odpowiada tubalnym głosem. Przypomina mi teraz wielkiego Johna z *Zielonej Mili*.

– Pani Ala twierdzi, że to pan go dostarczył ostatnim razem. Dla jakiej firmy kurierskiej pan pracuje?

– Dla żadnej – odpowiada i sięga do tylnej kieszeni spodni, z której wyciąga zgięte świstki papieru, długopis i zwitek banknotów. – Proszę to podpisać i zostawić sobie jeden egzemplarz. – Podaje mi rozłożone kartki, na których widnieje potwierdzenie odbioru. Żadnego nazwiska ani adresu, tylko tekst o potwierdzeniu wydania fotela i przyjęciu gotówki.

– Mogę najpierw przeliczyć pieniądze?

Mężczyzna podaje mi banknoty.

– To ja już pójdę, Maryś. Mam ziemniaki na gazie – odzywa się pani Ala.

– Jasne, do zobaczenia.

Sąsiadka wraca do siebie, a ja odstawiam miotłę i przeliczam sumę. Wszystko się zgadza. Wkładam kasę do kieszeni i podpisuję dokumenty.

– Fotel jest w środku, zapraszam. – Wpuszczam łysego, choć nie jestem właściwie pewna, czy dobrze robię. On naprawdę wygląda, jakby miał sporo za uszami. Lepiej trzymać kija od miotły w pogotowiu. W razie czego kopnę fagasa w jaja, zdzielię go w łeb, dam dyla i zadzwonię po policję.

Wchodzimy do środka, zgarniam z wieszaka w przedpokoju bluzę, zakładam ją na siebie... Lepiej nie prowokować sytuacji.

– To ten? – Facet wskazuje na uszaka z wyraźnym zdziwieniem.

– Tak, coś nie tak?

– Wygląda inaczej niż ostatnio.

– Wiem. Dużo lepiej, prawda? – odpowiadam, być może mało skromnie, ale naprawdę jestem dumna z efektów swojej pracy.

– Wykruwiście lepiej. Sama go pani tak...? – Porusza dłonią, jakby malował pędzlem po ścianie. Szuka odpowiedniego słowa.

– Odnowiłam?

Facet potwierdza skinieniem głowy, wpatrując się z uznaniem w fotel.

– Sama. – Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Dziewczyno, masz zajebisty talent. Jak odłożę trochę kasy, to zgłoszę się do ciebie z komodą po dziadku. Stoi w komórce i niszczeje.

O, chyba zaczynam go lubić.

– Dużo masz zleceń? – pyta.

– Różnie to bywa. Nie narzekam.

Kłamczucha!

– To dam ci znać, jak dostanę wypłatę. Zarezerwujesz mi termin? – pyta całkiem serio.

O rany, ale mam dzisiaj fajowy dzień.

– Jasne. Poczekaj, dam ci swój numer. – Odrywam kawałek kartki od potwierdzenia odbioru fotela. – Niby wiesz, gdzie mieszkam, ale w tygodniu ciężko mnie zastać. Mam zjebanego szefa, co każe mi siedzieć po godzinach. Chociaż pewnie od jutra już będę wolniejsza.

– Szykuje się urlop? – Nachyla się nade mną, kiedy zapisuję numer.

– Nie, dupek zamierza mnie zwolnić.

– O.

– No, palant widzi tylko czubek własnego nosa, jest zadufanym sztywniakiem i egoistą. – Podaję mu kartkę z numerem. Łysy wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale zasznurowuje usta i chowa świstek do kieszeni spodni.

– To może ja też zapiszę twój numer – dodaje. – Jak masz na imię? – Wyjmuję komórkę.

– Tadeo.

– Bardzo oryginalnie.

– W zasadzie to ksywka. Znajomi tak do mnie mówią.

– Tadeo od Tadeusza?

Facet momentalnie czerwienieje. Ja pierdzielę, koleś jest potężny jak byk, ma dziary, pewnie niejeden kark na jego widok zrobił w gacie, a ten się wstydzi, że ma na imię Tadeusz.

– Podoba mi się. Twoje imię jest męskie i dostojne. Jak Tadeusz Kościuszko, generał, dowódca powstania...

– Ta. – Tadeo podaje mi szybko numer telefonu, podchodzi do fotela i podnosi go z taką łatwością, jakby ten ważył dwa kilo.

– Ja jestem Maria. – Zapisuję jego numer w komórce.

– Wiem.

No tak. Chowam aparat do tylnej kieszeni dżinsów.

– Ale możesz mówić mi Maryśka. Albo Mary, jeśli drażnią cię polskie imiona. Chłopak się uśmiecha.

– Drażni mnie tylko moje. Maryśka brzmi zadziornie. Maria kobieco. Pasuje do ciebie.

Wychodzi z fotelem na korytarz.

O wow, kurde, nawet miły z niego koleś. Jak to wygląd człowieka potrafi zmylić. Ale coś już o tym wiem, prawda?

– Poczekaj, otworzę szerzej drzwi. – Idę za nim, muszę się przecisnąć między jego tyłkiem a ścianą, bo jest tak wąsko.

O rany, twarde ma te pośladki.

– Chyba dużo ćwiczysz, co? – Chwytam za klamkę i wypuszczam go na klatkę.

– Dużo.

– Widać, że ciężka przydaje się w robocie.
– Dopóki pracuję fizycznie, to tak. Po studiach już pewnie trochę mniej.
– Studiujesz? – Robię wielkie oczy. To mnie zaskoczył.
– Nie wyglądam na takiego? – odpowiada, ale w jego głosie nie ma urazy, raczej pogodzenie się z tym, jak odbierają go ludzie.

– Nie, to znaczy tak.

Tadeo kręci głową i zaczyna schodzić ze schodów.

– Przepraszam. Źle to zabrzmiało. – Idę za nim.

– Dostyć pochopnie oceniasz ludzi, co?

– Nie wiem. Może...

– Wiesz, czasami niektórzy potrafią porządnie zaskoczyć przy bliższym poznaniu.

To mi dosrał. Jest mi głupio.

– Masz rację. Jeszcze raz przepraszam. – Pocieram ręką czoło i aż się wzdrygam, bo zupełnie zapomniałam o bolesnym guzie.

– Nie masz za co. Wiem, jakie robię pierwsze wrażenie. Więzienie potrafi dać w kość i odbija piętno na człowieku na długie lata.

O cholera. Przystaję.

– Byłeś w więzieniu?

– Dwa lata temu skończyłem odsiadkę.

Puls mi przyspiesza. Stoję jak wryta. A może jednak pierwsze przeczucie co do Tadea mnie nie zawiodło? A co, jeśli siedział w mamrze za gwałt albo napad?

– Należało mu się. – Przystaje i stawia fotel na półpiętrze.

Przełykam ślinę.

– Mu?

– To był kawał skurwysyna. Zgwałcił moją siostrę. Poszedłem do niego, wpierdoliłem mu, co łaska, trafił na OIOM, trzy tygodnie leżał w śpiączce i stracił oko. Miałem dupnego obrońcę, dostałem trzy lata odsiadki. Kiedy wyszedłem z mamra, nikt nie chciał mnie zatrudnić. Starszy brat polecił mnie do pracy u kolesia, z którym chodził do szkoły podstawowej. Gość w dzieciństwie był drętwy, zamknięty w sobie, wszyscy się z niego śmiali, nie miał przyjaciół, ale był genialny, jeśli chodziło o matkę. Brat próbował się z nim zakumplować, żeby mieć od kogo zżynać na lekcjach. Szło mu opornie, dzieciak był odludkiem, ale z roku na rok się wyrabiał. Po podstawówce ich kontakt się urwał, ale los sprawił, że spotkali się ponownie dwa lata temu. Od słowa do słowa brat powiedział, że szukam roboty, a facet mnie zatrudnił jako swojego pomocnika –

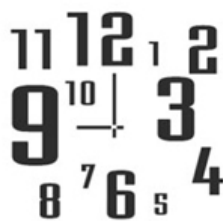
taki pomagier, od wszystkiego. Na początku to był jakiś koszmar – wymagania, upierdliwość, czepianie się najmniejszych detali i totalny brak luzu. Nie znośłem go i miałem ochotę wsadzić mu tę robotę w dupę. Ale że nie mogłem znaleźć nic lepszego, to zacisnąłem zęby. I dobrze zrobiłem. Po jakimś czasie przyzwyczałem się do wymogów szefa, a on okazał się naprawdę porządnym gościem. Wiele mu zawdzięczam. – Zawiesza głos i uśmiecha się sam do siebie. – Czasami warto dać komuś trochę czasu, by mógł się wykazać. Ludzie są różni i nie w każdym da się czytać jak w otwartej księdze. Co więcej, niektórzy skrzętnie skrywają swoją prawdziwą naturę, bo albo mają ku temu powody, albo po prostu nie potrafią obchodzić się z ludźmi.

Tadeo bierze fotel, a ja stoję jak zamurowana. Jestem pod wrażeniem tego, co powiedział. Sporo w tym racji.

– Mądry z ciebie facet.

– Dzięki. – Na jego twarzy pojawia się rumieniec. – Dobra, lecę, bo za gadanie kasy się nie dostaje. Na razie, Maryśka. – Bierze fotel i rusza w dół schodów.

– Cześć, Tadeo.



Jest piętnaście po szóstej i oprócz mnie w budynku są tylko ochroniarze i sprzątaczkę. Cisza jak przed burzą. Ale burzy nie będzie, bo zamierzam się stąd ulotnić, zanim pojawi się mój szef. Przez ostatnie dwanaście godzin głowiłam się, jak uniknąć kompromitującego spotkania z Englerem, jednocześnie nie porzucając pracy, za co mogłabym dostać dyscyplinarkę. Postanowiłam, że po prostu spakuję się, zostawię na biurku Jana wypowiedzenie z laptopem i czmychnę cichaczem do domu. I tyle będą mnie widzieć.

Wyczyściłam skoro świt komputer służbowy, przerzucając wszystkie prywatne pliki na swój stary notebook, i ruszyłam do pracy.

Kaktus, kalendarz, bidon, kubek, dezodorant i jestem spakowana. Omiatam wzrokiem biurko. Hm, a może zabiorę coś na pamiątkę? Nikt nawet nie zauważył braku materiałów biurowych, przyda mi się parę gadżetów. Firma nie zbiednieje.

Wkładałam do pudełka zszywacz, karteczki samoprzylepne, kilka długopisów, zakreślacze, taśmę klejącą... Kusi mnie myszka bezprzewodowa, ale to by już chyba było przegięcie.

Dobra, idę do jaskini lwa. Ruszam w stronę biura szefa, a tam zamknięte. No oczywiście, dlaczego o tym nie pomyślałam? Wzdycham ciężko i przykładam kartę do czytnika na drzwiach, jednak nic się nie dzieje. Żadnego bip, żadnej zielonej diodki.

Dobiega mnie odgłos krzątającej się w łazience sprzątaczkę. O tak, ona na pewno ma zapasowe karty do wszystkich pomieszczeń.

Ruszam z pudłem w stronę kibli i zerkam na zegar ścienny. Za dwadzieścia siódma. Szybciej.

– Dzień dobry! – wołam od progu, dostrzegając kobietę w średnim wieku, która pucuje lustro na błysk.

– Jezu! – Babeczka podskakuje na dźwięk mojego głosu.

– Nie on, ale była pani blisko. Jestem Maria.

Kobieta się krzywi. Chyba żart mi się nie udał.

– Przestraszyła mnie pani. – Wraca do mycia lustra.

– Przepraszam. Chcę zostawić rzeczy w biurze mojego szefa, ale jest zamknięte. Może mi pani otworzyć?

Kobieta kręci głową.

– Jestem już spóźniona. Muszę jeszcze odkurzyć korytarz.

– Hm. A nie może mi pani pożyczyć karty? Zaraz oddam, tylko odłożę na biurko komputer i dokumenty.

– Nie mogę udostępniać nikomu kart. Takie przepisy.

Kuźwa.

– Rozumiem. Ale to wyjątkowa sytuacja. Szef się wścieknie, jeśli nie będzie miał tego przed siódmą. Bardzo panią proszę. To zajmie chwilkę. Miał zostawić otwarte drzwi, ale zapomniał. – Podła ze mnie kłamczucha, ale to ze stresu. Po prostu na myśl o tym, że miałabym zobaczyć się z Janem twarzą w twarz, mam nogi miękkie w kolanach. – Proszę... Bardzo panią proszę...

Kobieta wzdycha, przesuwając papierowym ręcznikiem po lustrze.

– Jak się pani nazywa? – pyta.

– Maria Gabara. Pracuję tu na stanowisku starszego specjalisty. – Jeszcze. – To dla mnie szalenie ważne.

– No nie wiem. – Kobieta zerka na mnie z ukosa. Wyczuwam w jej głosie, że chyba potrzebuje dodatkowej zachęty.

Odstawiam pudło i sięgam do torby po portfel. A tam hula wiatr. Mam czterdzieści złotych, kartę bankomatową, dowód osobisty, kilka łusek od karpia (które, jak widać, gównem dają) i talon ze świąt od Tośki na masaż relaksacyjny, który traci ważność za dwa tygodnie. Bingo!

– Ma pani ochotę na masaż?

– Że co? – Kobieta patrzy na mnie, jakbym właśnie złożyła jej lesbijską propozycję zrobienia minety na umywalce.

– Mam zaproszenie do spa od przyjaciółki, ale nie dam rady z niego skorzystać. Wie pani, praca, praca, praca... Ale może pani miałaby ochotę sobie dogodzić? – Pokazuję jej talon i uśmiecham się zachęcająco. – Sześćdziesiąt minut, masaż na całe ciało, do wyboru zapachowe olejki. Poczuje się pani jak w niebie.

Boże, zaraz się zajebię, koszmarna ze mnie sprzedawczyni. Ale najwyraźniej nie aż taka tragiczna, bo sprzątaczkę wrzuca ręcznik do kosza, wyciera dłonie o uniform i podchodzi do mnie, nie spuszczaając zaciekawionego wzroku z zaproszenia.

– I chce mi go pani dać w zamian za udostępnienie karty na pięć minut?

– Dokładnie. To dla mnie naprawdę ważne. – Podaję jej estetyczny bilecik.

Kobieta obraca go w dłoniach. Po jej spojrzeniu widzę, że ma na niego ochotę.

– Gwarantuję, że będzie pani zadowolona – zapewniam, choć w życiu nie byłam w tym salonie. – To jak? Może być?

Śledzę jej dłoń, która sięga do kieszeni fartucha. Serce bije mi mocniej. Tak, o tak.

– Pięć minut i jest pani z powrotem. – Wyjmuje talię kart i podaje mi jedną z nich.

O tak!!! Mam ochotę ją uściskać.

– Zaraz wracam. – Zabieram klucz, zakładam torbę na ramię, podnoszę pudło, robię w tył zwrot i biegnę do gabinetu Englera.

Jest za dziesięć siódma.

W biurze szefa byłam do tej pory trzykrotnie i to zaledwie na chwilę. Za każdym razem uderzała mnie ascetyczność, porządek i chłód w nim panujące. Tak jest i teraz. Dźwiękoszczelne ściany i szyby, dwa stylowe krzesła, na regałach równo ustawione segregatory w czarnej oprawie, w biblioteczce książki z obszaru finansów, zarządzania oraz ekonomii ułożone według wysokości grzbietów, na biurku tylko laptop z monitorem, gabinetowa lampa i przybornik na długopisy (a w nim jedno pióro).

Podchodzę bliżej, by wypakować komputer z pudła, i potykam się o jakieś cholerstwo. Uderzam brzuchem o kant biurka i siłą rozpędu ląduję na blacie wraz z pudłem.

Do diabła! Co to było? Rozmasowuję bolące miejsce, zerkam na podłogę, a tam leży czarna, przewrócona walizka. Co on w niej trzyma? Ależ mnie korci, aby do niej zajrzeć. Ale wiem, że nie mogę. Nie jestem taka. Tylko ją postawię.

Kucam, sięgam za rączkę. O! Nie ma zamka. Oj... niestety jest kłódka. Szkoda. Nie żebym chciała ją otworzyć...

– Co pani tu robi? – Rozlega się męski głos.

Zrywam się z kolan i jak nie pieprznę głową o blat biurka.

– Ja pierdolę... – syczę przez zęby. Uderzyłam się dokładnie w to samo miejsce, co wczoraj o sedes. Rozmasowuję potylicę i wstaję zażenowana, bo właśnie zostałam przyłapana przez szefa na obmacywaniu jego walizki.

– Pytałem, co pani tu robi? – Engler podchodzi bliżej.

Stoję nieruchowo, wpatrując się w jego wyglancowane buty, i nie mam odwagi podnieść oczu.

– To nie jest tak, jak się panu wydaje.

- A co pani zdaniem mi się wydaje?
- Że dobierałam się do pana skrzynki.
- A dobierała się pani?

– Nie! – Unoszę wzrok i napotykam spojrzenie szarych oczu. I jestem zaskoczona. A to dlatego, że nie ciskają we mnie błyskawicami, nie osądzają jak złodziejki, lecz patrzą na mnie pytająco i z zaciekawieniem. Przełykam ślinę. – Po prostu się o nią potknęłam, przewróciła się, chciałam ją postawić i wtedy nieoczekiwanie pan wszedł.

- Nieoczekiwanie?
- Niespodziewanie. Nagle.

– Jest siódma. Codziennie rozpoczynam pracę o tej porze. To moje biuro. Jedyne, co jest w tym nieoczekiwanego, to fakt, że zastałam panią klęczącą pod moim biurkiem.

– Nie pod biurkiem, tylko przy biurku – uściślam, bo klęczki pod biurkiem szefa zdecydowanie nie brzmią dobrze.

– Racja. Przy biurku, z moją walizką w dłoniach.

– No tak, po prostu... – Przymykam powieki i biorę głęboki oddech. Źle to wygląda, fatalnie wręcz. – Chciałam jedynie zostawić panu komputer i swoje wypowiedzenie.

Brwi Jana wędrują w górę.

– Swoje co?

– Wypowiedzenie. – Wycofuję się na drugą stronę biurka, wydaję z pudła laptop, myszkę (żegnaj, przyjaciółko), dokumenty i kładę je na blacie. – Spakowałam swoje rzeczy. Nie będę już panu zawracać głowy. Miłego dnia. – Nie patrzę na niego, tylko zabieram karton, robię krok w tył i w tej samej chwili tekturowe dno pęka i cała zawartość pudła ląduje na podłodze.

– Noż kurwa... – Zaciskam szczęki, aż boli mnie żuchwa.

Kucam, łapię za taśmę klejącą i zabieram się za naprawianie szkody. Jestem wściekła na siebie i na to cholerne pudło. Chce mi się płakać. Jak w amoku wrzucam z powrotem wszystko do środka. Kątem oka dostrzegam Jana, który stoi tuż obok mnie. Przychodzi mi do głowy setka potencjalnych uwag, jakie lada moment mogą paść z jego ust: że jestem niezdarna, że ukradłam materiały biurowe, że wtargnęłam bezprawnie do jego biura, że zrobiłam z niego głupka, kiedy Arti do niego zadzwonił, że wysłałam mu swoje gołe cycki SMS-em...

Nachyla się nade mną. Jest tak blisko, że czuję jego zapach. Na pewno już oblicza w tym swoim finansowym mózdzku, ile potrąci mi z pensji za gadzety

firmowe, które zakosiłam... A wtedy on odzywa się ściszym głosem tuż nad moim uchem:

– Proszę powiedzieć tylko słowo, a będę je ssał tak długo, aż pani dojdzie...

– Co?! – Unoszę głowę tak gwałtownie, że walę Englera potylicą w nos.

– Chryste. – Jan się cofa. Porusza nozdrzami.

– Co pan powiedział? – Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Serce tłucze się w piersi tak mocno, że jego echo aż dudni mi w skroniach.

Engler patrzy na mnie zdezorientowany.

– Chryste...?

– Nie to. Wcześniej.

Ściąga brwi.

– Że wystarczy słowo i pomogę pani z tym pudłem?

– Z pudłem?

– Z pudłem. Potrzebuje pani pomocy?

Wypuszczam głośno powietrze. Jestem nienormalna. Albo mam wstrząśnienie mózgu. Jakby nie patrzeć, w ciągu ostatniej doby zaryłam banią trzy razy – o kibel, o biurko i o szefa, który aktualnie patrzy na mnie, wyczekując odpowiedzi na zadane pytanie.

Mario, skup się! Opanuj emocje, wyobraźnię, zacznij myśleć trzeźwo.

– Nie, nie. Wezmę je sama. Na dole czeka już na mnie taksówka – kłamię. Rzecz jasna szkoda mi kasy na taksę, ale ten krezus z wypasionym BMW pewnie nawet na to nie wpadnie.

Wsadzam pośpiesznie biednego kaktusa do doniczki (auć, kłuje!!!), zgarniam na dłoń resztkę ziemi z dywanu, wsypuję ją do pudła...

– Dokąd zamierza się pani z nim udać? – pyta Jan, wpatrując się w poturbowaną roślinę.

Do kaktusowego doktora.

– A o co konkretnie pan pyta?

– Dokąd się pani wybiera taksówką z tym pudłem?

On tak na serio? Ma tupet.

– Na jarmark dominikański. – Rzucam mu piorunujące spojrzenie, otrzepuję dłonie i wstaję. – Przyda mi się teraz trochę grosza. Może ma pan ochotę coś kupić, zanim wyjdę? Z chęcią coś doradzę... – Mogę zapakować kaktusa w dupę, zakleić taśmą usta albo po prostu wbić panu długopis w oko.

– To za wcześnie, jeszcze nie ma lipca.

– Słucham?

– Jest czerwiec. Jarmark Świętego Dominika odbywa się na przełomie lipca i sierpnia – odpowiada takim tonem, jakbyśmy naprawdę rozmawiali o pieprzonym jarmarku. – Poza tym... – Odslania mankiet koszuli i zerka na zegarek (kolejny do kolekcji antyków) – jest dziesięć po siódmej, a pani zaczyna pracę o ósmej. Do Gdańska jest pięć godzin drogi. Nie zdąży pani wrócić do biura na czas – dodaje całkiem poważnie.

Głupieję. A to dlatego, że nie wiem, czy kutas ze mnie drwi, czy ma coś z głową. W co on ze mną pogrywa? Jestem już nim zmęczona.

– Panie Engler. – Patrzę mu prosto w oczy. – Żebyśmy mieli jasność. W sobotę trochę wypilałam i przeholowałam. Miał pan prawo się na mnie zdenerwować i mnie zwolnić. Ten telefon od mojego znajomego był niesmacznym żartem, za który przepraszam. Nie mam pojęcia, skąd pan wiedział, że za tym stoję, ale to już mało istotne. Jeśli zaś chodzi o moje zdjęcie... – Odchrząkuję, bo czuję kluchę w gardle. – Cóż, wysłałam je przez przypadek i jestem z tego powodu zażenowana, i to bardzo. Specjalnie dzisiaj przyszedłam wcześniej do biura, żeby pana nie spotkać i zaoszczędzić sobie wstydu. Zabrałam swoje rzeczy, tak jak pan sobie życzył, na biurku jest moje wypowiedzenie. Osiągnął pan to, na czym panu zależało, więc proszę powstrzymać się od zbędnych komentarzy, które miałyby mnie dodatkowo ośmieszyć. I tak już czuję się koszmarnie. Chcę pójść do domu, odespać nieprzespaną noc i rozpocząć szukanie nowej pracy. Czy jest jeszcze coś, co powinnam zrobić, nim rozstanę się na dobre z firmą? – Nie spuszczam z niego spojrzenia. Jestem pewna siebie, jestem odważna, jestem przygotowana na najgorsze...

– Nie zamierzałem pani zwolnić – odzywa się Jan, a mnie zatyka.

Że co? Rozdziawiam usta.

– Słucham? – Mój głos jest tak cichy, że sama ledwie go słyszę.

– Nie zamierzałem pani zwolnić – powtarza tym swoim opanowanym tonem.

– Ale... Jak to? – Wpatruję się w niego zdezorientowana. Próbuję wyczytać z wyrazu jego twarzy drwinę, cokolwiek, co zaprzeczałoby jego słowom. Ale Engler jest poważny jak sędzia orzekający wyrok w sprawie karnej. A z wyroku tego wynika, że wcale nie jest skazujący. Nic nie rozumiem. – Przecież powiedział pan przez telefon, że mam być dzisiaj w firmie o siódmej i zabrać ze sobą pudło na swoje rzeczy.

– Tak właśnie powiedziałem – odpowiada ze stoickim spokojem.

Boże, ja przez niego oszaleję. Dlaczego tak trudno mi się z nim dogadać?

– Skoro nie chciał mnie pan zwolnić, to po co miałam przyjść wcześniej i do tego z pudłem?

– Obiecałem pani, że zajmę się sprawą klimatyzacji. Technicy nie widzą problemu z urządzeniem, więc zdecydowałem, że zmieni pani miejsce pracy na bardziej dogodne. Obok mojego gabinetu jest wolne biurko, powinno być tam pani wygodniej.

Nogi się pode mną uginają. Nie wierzę. Kuźwa, ale odjechałam numer. Jak na geniusza matematycznego mam zdecydowanie zbyt znaczące ubytki w logicznym rozumowaniu. Byłam pewna, że Engler zamierza mnie wywalić z roboty, tymczasem on chciał mnie przesadzić w „bardziej dogodne miejsce”.

Nagle wszystko staje się jasne. Pudło miało być na moje rzeczy, które przeniosę na nowe biurko. I miałam przyjść na siódmą, by punkt ósma rozpocząć pracę. Ale ze mnie debilka.

Muszę zapalić. Najpierw jednak usiądę, bo zaraz upadnę. Odstawiam pudło, podchodzę do krzesła, opadam na nie ciężko i kryję twarz w dłoniach. Jest mi głupio, bardzo głupio. Słyszę, że Jan podchodzi do biurka i włącza komputer. W pokoju zapada cisza wypełniona tylko szumem wiatraczka w laptopie.

– Przepraszam – mówię zdławionym głosem. – Żle pana zrozumiałam. Po prostu... – Podnoszę wzrok. Engler wpisuje coś na klawiaturze. – Nadajemy na totalnie różnych falach. Pracuję tu już kilka miesięcy, a między nami ciągle coś zgrzyta. Nie wiem, co jest tego przyczyną... – Biorę głęboki wdech. – Za dwa miesiące w departamencie rozwoju zwalania się etat. Już rozmawiałam z kierowniczką, chętnie mnie przyjmie pod swoje skrzydła...

– Nie zmieni pani działu. – Jan nie podnosi wzroku znad komputera.

– Dlaczego? Mają wolne stanowisko, a ja czuję, że nie nadaję się do pracy w pana dziale.

– A czemuż to się pani nie nadaje? – Ponowny brak kontaktu wzrokowego.

– Nie czuję liczb, choć jestem dobra w liczeniu. Poza tym... Hm, jakby to ująć? Odnoszę wrażenie, że pan za mną nie przepada.

Szaroniebieskie oczy unoszą się znad monitora, patrzą na mnie lodowato, aż robi mi się zimno.

– Odniosła pani mylne wrażenie. Proszę nie analizować, tylko rozpakować swoje rzeczy na nowym biurku i zacząć pracę. – Jego wzrok powraca do komputera.

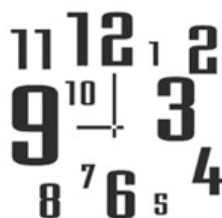
– Czyli...? Jaka jest pana decyzja? – Nie wiem, po co pytam, skoro domyślam się, jaka będzie jego odpowiedź.

– Zostanie pani w moim dziale. Właśnie wysłałem na pani skrzynkę e-maila z zestawieniem dla klienta. Deadline do siedemnastej.

I to tyle, jeśli chodzi o moją genialną koncepcję przeniesienia się do innego działu. Jan to pacan. Ale przynajmniej mam robotę i nowe stanowisko pracy, gdzie nie będę się pocić i marznąć na zmianę w ciągu tego samego dnia. Jakoś przeżyję. Jest dobrze. Ba! Nawet bardzo dobrze.

Boże, jaka ulga, że nie będę bezrobotna.

Muszę po prostu jakoś znieść Jana, te jego humory, zmienne nastroje, naburmuszenie, aspołeczność i stawianie wysokich wymagań. Ale wyłącznie do lutego (tak wynika z moich kalkulacji). Jeszcze tylko osiem miesięcy pracy w korpo i zakładam własną firmę: „Maria Gabara – renowacja mebli”.



Po przeprowadzce na nowe biurko nic się w zasadzie nie zmienia w moich relacjach z Janem. No może oprócz tego, że odzywa się do mnie nie dwa, lecz trzy razy dziennie. W jednym z e-maili w odpowiedzi na tabelę wyliczeń, nad którą spędziłam dobry tydzień, napisał nawet: „dobra robota”. Po kropce widniał dwukropek, a po nim zamknięty nawias – czyli uśmiechnięta buźka!

Kto stawia emotikona po kropce? JAN.

Aż się uśmiechnęłam i uwierzyłam, że moje stosunki z nim wreszcie przybiorą ludzki ton. Ale to było jeden jedyny raz i nigdy później się nie powtórzyło. Może niepotrzebnie odpowiedziałam wtedy zbyt entuzjastycznie na jego e-maila: „Dziękuję! Zrobił mi Pan dzień tym uśmieszkiem ;). Nie zdaje Pan sobie sprawy z tego, jak bardzo się cieszę, że docenia Pan moją pracę :* :D <3”.

No dobra, być może przesadziłam z tym buziaczkiem i serduszkami, ale znając Jana, pewnie nawet nie załapał, że to emotikonka serca. Prędzej zachodził w głowę, dlaczego, u diabła, D jest mniejsze od trzech.

Nie wspominamy ani o rozmowie telefonicznej, w której Arti próbował go uwieść, ani o nudesie, którego mu wysyłałam, ani o wypowiedzeniu, które podarł przy mnie jeszcze tego samego dnia, kiedy przyłapał mnie u siebie w biurze.

Mijają tygodnie, a ja dzień za dniem jak korpomrówka pracuję dzielnie przy swoim biurczku, wbijam się w nadgodzinki, wypijam kawki w socjalnym i palę papieroski na przerwach, które zdarzają mi się coraz częściej.

Moje życie po robocie ogranicza się praktycznie do renowacji mebli. Bo po pierwsze, mój związek z Karolem zakończył się w chwili, w której zdałam sobie sprawę z tego, że bardziej zależy mu na grze w *Call of Duty* niż na mnie. Po drugie, jak się okazało, wraz ze zbyciem uszaka zyskałam stałego klienta i w ciągu ostatnich kilku miesięcy sprzedawałam mu wszystkie meble, które udało mi się dostać za grosze i zrobić z nich prawdziwe cacka. TS kupił u mnie komódkę z wczesnego PRL-u z żółtymi zdobieniami, ludwikowską toaletkę, barokowy podnóżek i stojącą lampę w stylu art déco.

Podjeżdżam, że facet to chodzący chaos, a jego dom przypomina lombard. Ale niech się urządza po swojemu, skoro kupuje i płaci, to popieram jego styl

„wszystko z innej parafii” całym sercem. Tym bardziej że dzięki niemu – oprócz zastrzyku gotówki – zyskałam wdzięczność przyjaciółki. A to dlatego, że pewnego wieczoru, kiedy Tadeo odbierał komódkę, z niezapowiedzianą wizytą wpadła Nina. Ujrzała Tadeo, on ją i zdarzyła się wielka miłość. Serio, zakochali się od pierwszego wejrzenia. Nigdy w życiu bym tego nie przewidziała. Są totalnym przeciwieństwem, pochodzą z zupełnie innych światów: ona – pani anestezjolog przy kasie, emocjonalna i nadpobudliwa, on – były więzień, ledwo wiąże koniec z końcem, oaza spokoju. No może oprócz momentu, gdy prawie zabił tamtego chłopaka, który dobrał się do jego siostry. Ale bydlakowi się należało, prawda? Szkoda, że Tadeo nie uciął mu fiuta. Żądam kastracji dla gwałcicieli!

Nina zakochała się na zabój, Tośka w sumie też – w swoim synusiu. Urodziła i jej odwaliło. Bywa, że naprawdę pieprzy jak potłuczona:

– Zobacz, jaką mój synuś zrobił dzisiaj śliczną kupkę. Wzorcowa jajeczniczka.

Chryste, już nigdy nie tknę jajecznicy.

– Aha.

– A wiesz, że dzisiaj się do mnie uśmiechnął trzy razy? Jest takim pogodnym dzieckiem – mówi to w chwili, kiedy młody drze japę tak głośno, że uszy mi puchną.

– Aha.

Boże, niech on się tak nie napina, bo mu żyłka na czole pęknie.

– Nie patrz na niego takim wzrokiem. Po prostu jest głodny. – Tośka upomina mnie z wyrzutem, jakby sądziła, że ukatrupię spojrzeniem jej pierworodnego. – Dam mu pierś, a ty sobie idź na fajkę do ogrodu. – Bierze małego na ręce i wtedy zauważam, że ma dwie wielkie plamy w miejscu brodawek.

Co to jest?

– Tośka, twoje cycki...

Zerka na dekolt.

– Wkładki laktacyjne przemokły. To nic.

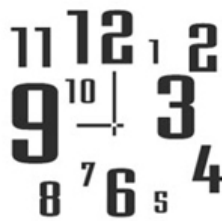
– Nic? Wyglądasz, jakbyś krwawiła osoczem. To normalne?

– Jak najbardziej. Zwłaszcza gdy pomyślę o karmieniu.

– Jezus, sądziłam, że ciąża to porażka, ale to... – Kręcę głową, wpatrując się w jej piersi, które z miseczki B przeobraziły się w ostatnich dwóch miesiącach w D. Kolejny powód, żeby nigdy nie mieć dzieci. – Idę zapalić.

– Tylko się ubierz. Na moje oko zaraz zacznie padać śnieg – mówi, a młody dobiera się już do jej dekoltu, ciągnąc za bluzkę.

– A na moje oko zaraz będziesz miała podarty ciuch, o ile najpierw nie eksplodują ci cycki.



Ctrl + C, Ctrl + V. Ctrl + C, Ctrl + V. – Powtarzam w myślach czynność, którą wykonuję od bitych trzech godzin (z przerwami na kawę, siku oraz kilka(naście) papierosów). Mam ochotę zacząć uderzać głową w klawiaturę firmowego komputera w rytm wykonywanej machinalnie czynności.

Chryste Panie, jak ja nie znoszę tego pieprzonego Excela. I swojej debilnej pracy. I tego, że muszę siedzieć tu w Wigilię.

Po raz setny przeklinam dzień, w którym zaczęłam studiować finanse i bankowość. Od dziesięciu lat próbuję zrozumieć, co mną kierowało, że wybrałam tak drętwy kierunek, i za każdym razem okazuje się, że byłam po prostu głupia, bo posłuchałam rodziców.

– Maryśka, a niby gdzie indziej zamierzasz studiować? Tylko tam się dostałaś. Ciesz się, że w ogóle udało ci się załapać na dzienne studia. – Słyszę w głowie głos matki oraz wtórujące mu potakiwanie ojca. Na samą myśl o tym, że muszę spędzić w ich towarzystwie Wigilię, mam ochotę zwrócić karpia, którego jeszcze nie zjadłam.

Do tego na uroczystej kolacji będzie jeszcze mój pogrзany starszy brat, co gada w kółko o swoim komisie samochodowym, oraz jego równie trzepnięta żona, która jest kosmetyczką i zawsze, gdy mnie zobaczy, molestuje mnie, żebym dała sobie zrobić porządny makijaż.

Czuję napływające mdłości – do karpia zaraz dołączą pierogi.

Znowu będą mnie wypytywać, kiedy awansuję, kiedy znajdę sobie męża, kiedy zajdę w ciążę i kiedy wreszcie rzucę palenie. A ja na wszystkie ich pytania odpowiem „NIGDY, kurwa, i dajcie mi wreszcie święty spokój!”, po czym wystrzelę z ich mieszkania jak z armaty i resztę wieczoru spędzę u siebie na kanapie – popijając ajerkoniak, paląc jedną fajkę za drugą i oglądając po raz tysięczny *Holiday* z boskim Judem Law w roli głównej. Niech żyje duch rodzinnych świąt. Ho, ho, ho, dajcie mi broń!

Idę zrobić sobie kolejną kawę. Czeka mnie po niej wstawianie wykresów do raportu, nad którym siedzę od tygodnia.

Biuro jest praktycznie puste; wszyscy już dawno wyszli. Jest piętnasta dwadzieścia, a ja nadrabiam zaległości, bo Jan musi mieć te debilne wyliczenia na biurku właśnie dzisiaj. Pieprzony maniak.

Nie mogę uwierzyć, że pracuję z nim już od roku, a on nadal zachowuje się przy mnie, jakbym była praktycznie obcą osobą. Żadnej interakcji, zero luzu. Jest po prostu nudny jak dziedzin, w której się specjalizuje, i nic tego nie zmienia. Wyłączając weekendy i parę dni urlopu, widuję go codziennie i ani razu nie zauważyłam, żeby się szczerze uśmiechnął. Lekkie uniesienie kącików ust, przy którym stalowoszare oczy mówią „super, ale nie chce mi się z panią rozmawiać”, to maksimum, na jakie go stać. Niby go już trochę poznałam, ale nadal odnoszę nieodparte wrażenie, że Jan Engler to facet zagadka.

Kiedy przychodzę na ósmą do biura, on już tu jest. Gdy wychodzę, on nadal pracuje. Parę razy podczas powrotu z wieczornego wypadu z miasta (i to nawet w piątek!) dostrzegłam przez szybę autobusu, że w gabinecie Jana pali się światło. Jedno jedyne światło w całym cholernym budynku. On jest jak cyborg. Ani razu nie widziałam go ubranego inaczej niż w garnitur i krawat. Zawsze z idealnie ogoloną twarzą, przystrzyżonymi włosami i butami lśniącymi jak bombki na firmowej choince. Naprawdę nie potrafię zrozumieć, co te głupie pindy z mojego biura w nim widzą. Posyłają mu te swoje zalotne uśmiechy w korytarzu, robią do niego maślane oczy w pokoju socjalnym albo prowadzą zbyt głośne rozmowy, kiedy jest w pobliżu. A on ma je w głębokim poważaniu. Jan Engler jest chorym pracoholikiem i ma kalkulator zamiast serca, co więcej, przez niego cierpię ja. Bo zamiast skutecznie upijać się teraz w domu przed koszmarną rodzinną wigilią, siedzę w pracy i robię durny raport.

– To pani czwarta kawa, pani Mario. – Jan wchodzi do pokoju socjalnego, kiedy z ekspresu sączy się właśnie napój bogów wprost do mojej ulubionej filiżanki z chińskiego fajansu.

Zerkam na szefa, gdy sięga po swój czarny kubek.

– Liczy pan, ile wypijam kaw dziennie?

– Trudno nie liczyć, kiedy po każdej biega pani do łazienki jak kot z pęcherzem.

Krzywię się. I w sumie nie wiem, czy dlatego, że się bezpodstawnie czepia, czy z powodu tego, że użył oklepanego związku frazeologicznego, jakby się go po prostu nauczył na pamięć. Czy może dlatego, że znowu pachnie tak męsko i zmysłowo, że mam ochotę walnąć się w twarz, żeby go nie czuć.

– Uśredniając czas stracony na przygotowanie kaw, wyprawy do toalety, nie wspominając o wyjściach na papierosa... – wylicza Jan – ...straciła pani dzisiaj

godzinę trzydzieści osiem minut – mówi powoli, tym swoim niskim, opanowanym głosem.

Patrzę na niego jak na wariata. Więcej, na świrniętego stalkera, który wylicza mój czas pracy co do minuty.

– Raport miał być gotowy na dzisiaj i będzie – odpowiadam, starając się, żeby mój ton brzmiał spokojnie. – Niepotrzebnie się pan denerwuje. – Zabieram filiżankę, a Jan umieszcza swój kubek na podstawce ekspresu.

– Skąd myśl, że się denerwuję? – pyta chłodno.

Przyglądam mu się i mrużę oczy. Może faktycznie przesadziłam z tym zdenerwowaniem, bo nigdy w zasadzie nie słyszałam, żeby Jan podniósł głos, uniósł się gniewem czy choćby pieprznął drzwiami. Nawet kiedy po rocznym podsumowaniu, które odbywało się w naszej salce konferencyjnej trzy tygodnie temu, zarząd nie przyjął go do prezydium^[3], jedyną oznaką jego poirytowania była marsowa mina i sprężysty chód, którym opuścił biuro na cały dzień.

Następnego dnia pojawił się w firmie z tym swoim nienagannym wyglądem, jak gdyby nigdy nic wrócił do pracy i zarzucił cały nasz dział jeszcze większą ilością zadań: raporty – srorty, wykresy – piździesy. Maniak!

– Stąd, że ma pan zaciśnięte szczęki. I grdyka panu faluje, jakby właśnie pił pan tę kawę, którą dopiero zamierza zaparzyć.

– To nie jest oznaka zdenerwowania – odpowiada oziębłym tonem i wciska guzik na ekspresie.

Nic nie odpowiadam, bo co niby mam odpowiedzieć: „myli się pan”?

Zamiast więc strzepić sobie niepotrzebnie język, sięgam po cukier, wsypuję dwie łyżeczki, mieszam, po czym biorę filiżankę i wychodzę bez słowa. Po chwili jednak przypominam sobie, że zapomniałam nalać mleka. Odwracam się i w tym samym momencie wpadam na Jana.

Jasna cholera! Moja kawa wylewa się na moją białą bluzkę. Jego kawa ląduje na jego śnieżnej koszuli. Filiżanka z brzdękiem upada na podłogę, roztrzaskuje się na kawałki...

O, matko! Jak piecze!!!

– Parzy... – syczę.

– Pod wodę. – Jan odkręca kran, a ja od razu dopadam do zimnego strumienia.

Schładzam palce, ale to nie one najbardziej ucierpiały. Zagryzam wargę, bo dekolt mnie parzy, jakby ktoś zdzielił mnie wiązką pokrzyw. Zaraz oszaleję.

– Niech się pan odwróci – cedzę przez zęby.

– Słucham?

– Muszę zdjąć bluzkę! Odwróć się! – niemal krzyczę przez łzy, które zbierają się pod powiekami.

Błysk zrozumienia pojawia się w jego oczach. Momentalnie się odwraca.

Drżącymi palcami rozpinam guziki. Chryste, jak parzy. Zrzucam z siebie bluzkę i zagarniam dłońmi wodę, by ochłapać dekolci.

– Mogę jakoś pomóc? – Dobiega do mnie głos Jana.

Nie patrzę na niego. Nie wiem nawet, czy nadal stoi tyłem. I mam to gdzieś. Najchętniej wlałabym teraz do zlewu. Ale oczywiście się, kurwa, nie zmieszczę.

– Jeśli tylko potrafisz zmienić mnie w pieprzoną Calineczkę, to śmiało.

Z jego krtani wydobywa się dziwny pomruk.

– W apteczce powinien być pantenol. – Słyszę, jak się przemieszcza, otwiera szafkę, przerzuca opakowania od leków i mamrocze coś pod nosem.

Jezu, co tak długo? Czy on produkuje ten pantenol?

– Jest? – pytam w końcu, między jednym chlapnięciem a drugim.

– Tak – odzywa się tuż przy mnie. Przenoszę na niego wzrok i zamieram.

Ożeż w mordę! Jan stoi w samych spodniach. Żadnej marynarki, żadnej kamizelki, żadnej cholernej koszuli! Tylko goła kłata. Tracę dech w piersiach.

Kiedy on się zdążył, do licha, rozebrać?

Jeśli wcześniej skóra mnie parzyła, to teraz pali żywym ogniem. Jak to możliwe, że facet, który spędza w biurze całe dnie, ma takie boskie ciało? Nie mogę oderwać spojrzenia od jego umięśnionych ramion, klatki piersiowej z ciemnym zarostem, wyrzeźbionego brzucha...

W końcu podnoszę głowę. Jan wpatruje się w moje piersi. Jego źrenice są rozszerzone, grdyka faluje dokładnie tak samo, jak kilka minut temu, gdy sądziłam, że jest podenerwowany.

Najwyraźniej doznałam poparzenia pierwszego stopnia, bo przepływa przeze mnie prąd, który sunie w porażającym tempie w dół i kumuluje się między nogami. Zaciskam uda, kiedy Jan przesuwając wzrokiem do góry po mojej nagiej skórze – po dekolcie, szyi, zatrzymuje się na ustach...

Chryste, niech on tak na mnie nie patrzy. Drzę, a moje ciało pokrywa gęsia skórka.

– Zimno ci – stwierdza Jan i nim zdążam odpowiedzieć, wsuwa pantenol do kieszeni, odchodzi na bok i sięga po marynarkę, która nienagannie wisi na krześle.

No jasne, gdyby miał pod ręką parowe żelazko, to pewnie by ją teraz prasował. Ale jej nie prasuje, tylko zabiera ją z oparcia, podchodzi do mnie

i zarzuca mi ją na ramiona.

Jezusie, znowu ten zabójczy zapach. Czym on się pryska, feromonami? Kolana mi miękną, żołądek się zaciska, dreszcz przeradza się w falę żaru. A może to skutek poparzenia?

– Połóż się. – Engler wskazuje na ławkę przy jednym ze stolików.

Że co mam zrobić? Oszalał. I od kiedy to mówimy sobie na ty?

Jan najwyraźniej odczytuje zwątpienie malujące się na mojej twarzy, bo od razu dodaje:

– Mario, twój dekolt jest cały czerwony. Połóż się. – Wyjmuje z kieszeni pomarańczowy pojemnik i energicznie nim potrząsa.

Jasne. Gorąca kawa. Poparzony dekolt. Pantenol.

Podchodzę powoli do ławki, kładę się na plecach, a Jan przysuwa sobie krzesło, po czym siada tuż przy mnie. Śledzę każdy jego ruch, podziwiam umięśnione ciało, czuję mimowolny przypływ pożądania.

I walę się mentalnie w łeb.

Co ja odwalam, do diabła? Przecież już to przerabiałam pół roku temu! Nie powinien tak na mnie działać. A jednak działa.

Niech to szlag!

Wstrzymuję oddech, kiedy Jan nachyla się nade mną i przesuwając wzrokiem po moich piersiach. Serce przyśpiesza rytm; w dole brzucha rozchodzi się mrowienie.

– Gotowa? – pyta z nieodgadnionym błyskiem w oku, a ja przez moment wątpię, czy jestem w ogóle gotowa, by zacząć przy nim normalnie oddychać.

Kurwa, Maryśka, samokontrola!

– Chyba będzie lepiej, jeśli sama się tym zajmę. – Sięgam po spray, a wtedy Jan obejmuje mój nadgarstek i odkłada moją dłoń na ławkę.

– Nie. Ja to zrobię – odpowiada niskim głosem, patrząc mi w oczy. Wstrząsa pojemnikiem, przybliża go do piersi i tryska na mój dekolt.

Dreszcz przeszywa moje ciało; mięśnie się napinają. Leżę nieruchomo, patrzę na twarz Englera i zauważam, jak tęczęwki jego szarych oczu zwiężają się i nikną pod wpływem rozszerzających się źrenic. Staram się oddychać spokojnie. Przenoszę wzrok na swoją klatkę piersiową, a ta unosi się i opada tak szybko, jakbym biegła i...

Rany boskie! Moje sutki sterczą jak dwie stożkowe czapeczki urodzinowe i mają ochotę przebić koronkowy stanik. Arcypięknie. Zaraz spalę się ze wstydu.

Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego akurat z nim?

Niby widział już moje nagie piersi, ale to było tylko na zdjęciu!

Podnoszę spojrzenie na Jana, a ten pożera mnie wzrokiem. Oczy ma niemal granatowe, błyszczące, nozdrza lekko rozchylone i...

Zaraz! Czy on przygryza dolną wargę? O Chryste. Jeśli nie liczyć tamtego chorego snu, nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy, nie sądziłam nawet, że może wyglądać tak pożądliwie, namiętnie, seksownie.

Serce bije mi tak głośno, że aż się boję, że i Jan je słyszy. Jestem stuknięta – to znowu się dzieje. Znowu podniecam się tym, jak Jan na mnie patrzy! Niech przestanie, i to natychmiast. Przecież jest moim cholernym szefem, a ja jego cholerną podwładną!

To jednak nie powstrzymuje mnie przed tym, żeby się na niego gapić i czuć niekontrolowany przypływ pożądania.

Boże, toż to ramiona niczym bale dębowe. Pewnie bez trudu potrafiłby mnie unieść, przyprzeć do ściany, wziąć na stojąco...

– Już pani lepiej? – Niski głos przywołuje mnie do rzeczywistości.

O, znowu przeszedł na „panią”. I dobrze, bo skutecznie mnie tym ocucił. Muszę wrócić na dawny tor myślowy: Jan jest oziębłym jak ryba, aspołecznym formalistą. Ale oprócz tego jest cholernie atrakcyjny fizycznie i ma zabójcze ciało, o jakie go w ogóle nie podejrzewałam. To, że jest wysoki i barczysty, zauważyłam już dawno temu, kiedy chodził w tych swoich idealnie skrojonych garniturach. Nie podejrzewałam natomiast, że pod nimi skrywa się pieprzony sześciopak! Jaki facet w tym wieku, na takim stanowisku, może się pochwalić taką formą? Aż dłoń sama się rwie, aby przesunąć opuszkami po wyrzeźbionym brzuchu, atletycznym torsie i zweryfikować, czy faktycznie mięśnie Englera są tak twarde, na jakie wyglądają.

Odruchowo schodzę wzrokiem poniżej błyszczącej klamry od paska w spodniach i... zamieram. W lewej nogawce odznacza się imponujące wybrzuszenie. Jasny gwint.

Przełykam ślinę; prąd przepływa mi między nogami. Spokojnie, Maryśka, to tylko portfel albo komórka... A sądząc po wielkości wypukłości: jedno i drugie.

– Pani Mario, wszystko w porządku? – Momentalnie odrywam wzrok od spodni i unoszę głowę.

– Tak, tak... A jak pana poparzenie? – Perfidnie wykorzystuję sytuację, żeby znowu zerknąć na jego nagą klatę.

O rany, jaki on cudny.

A może raczej: o rany, jaka ja jestem pojebana i przez rozstanie z Karolem ewidentnie nedoruchana. Przecież to nedorzeczne, że podnieca mnie widok

Jana!

– W porządku. Proszę się nie ruszać przez kilka minut, żeby preparat wchłonął się w skórę. – Wstaje, a mój wzrok momentalnie pada ponownie na jego nogawkę.

Boże, miej mnie w swojej opiece. To nie żaden pieprzony portfel ani komórka. Jan ma cholerny wzwód. I to jaki!

Uderza we mnie fala gorąca, rozchodzi się po piersiach, dole brzucha, aż dociera do cipki. Robię się mokra.

Maryśka, kontrola! Opanuj się, ładaczniczo! – rugam się w myślach i zamykam oczy, jakby to miało w ogóle jakoś pomóc.

Słyszę oddalające się kroki Jana. Po chwili dociera do mnie szum wody lecącej z kranu. Jakiś plusk. Tarcie.

Unoszę powiekę i o mały włos nie spadam z ławki.

Engler pierze moją bluzkę! Z trudem udaje mi się powstrzymać parsknięcie. O rany, tego jeszcze nie grali. Jestem rozbawiona, zszokowana, po trosze rozczulona i, co dziwne, jeszcze bardziej podniecona. Patrzę oniemiała, jak mięśnie szerokich pleców i napiętych ramion pracują pod skórą, kiedy Jan zapiera plamę po kawie.

MÓJ. SZEŃ. ROBI. MI. PRANIE.

Uśmiecham się sama do siebie. Tego się nie spodziewałam. Patrzę na niego zadowolona, lecz po chwili dociera do mnie, że przecież nie mam w pracy żadnych ciuchów na zmianę.

Kurna, co ja teraz na siebie włożę?

– Co pan wyrabia?! – Zrywam się z ławki, piana ścieka mi na piersi i brzuch.

– A jak się pani wydaje? – odpowiada beznamiętnie, nawet na mnie nie patrząc.

– No właśnie nie wiem. Jak mam teraz założyć tę bluzkę z powrotem? Jest cała mokra. – Niby taki inteligentny, a nie pomyślał o takim drobnym szczególe.

– W łazience jest suszarka do rąk – odpowiada, trąc plamę.

– Która działa jak wentylator. Do nowego roku jej nie wysuszę.

Palant! Wbijam poirytowany wzrok w jego duże dłonie, które molestują moją biedną bluzkę. Zaraz ją rozerwie na strzępy.

– Czy pan nie widzi, że to tarcie nic nie daje? To nie zejdzie w ręcznym praniu.

– Zejdzie. Posypałem sodą – mówi, jakby doskonale wiedział, co robi.

To mnie zaskoczył. Skąd on wie takie rzeczy? I skąd, u diabła, wzięła się soda oczyszczona w pokoju socjalnym?

Nieważne. To i tak nie pomoże na taką plamę.

– Proszę sobie dać już spokój. Namoczę ją w domu w wybielaczu.

– Musi pani dzisiaj skończyć raport. Nie będzie pani pracować w takim stroju. – Pociera mocniej materiał.

Uparty drań.

– I tak nikogo tu nie ma. – Wzruszam ramionami.

– Ja jestem. – Wykręca bluzkę, strzepuje ją i unosi. Plama jak była, tak jest. – Do diabła. – Ma taką minę, jakby wdepnął w psią kupę.

Chce mi się z niego śmiać. Chce mi się śmiać z całej tej sytuacji.

– Przecież i tak już widział mnie pan półnagą – żartuję, bo co mi pozostało.

– Nie może pani pracować w samym staniku.

A bez stanika? Nie wiem, skąd wzięła się ta popieprzona myśl, ale jak najprędzej potrząsam głową, żeby się jej pozbyć. Niestety wyobraźnia już zaczęła harcować – ciekawe, jaką minę miał Jan, kiedy zobaczył moją fotkę toples? Czy mu się podobała? Czy się podniecił? A może zrobił sobie dobrze, patrząc na moje zdjęcie? Obraz zadowolającego się Jana momentalnie staje mi przed oczami. Jego dłoń przesuwająca się po wzwodzie, jego wzrok utkwiony w moich nagich piersiach, pomruk rozkoszy wydobywający się z lekko rozchylonych ust... Zasycha mi w gardle, odchrząkuję, a to od razu przykuwa jego uwagę. Odrywa oczy od mojej nieszczęsnej bluzki, przygląda mi się przez moment, po czym odruchowo zerka na mój dekolt, po którym spływa biały, lepki płyn.

Jego źrenice się zapalają, wstrzymuje powietrze, słysząc gardłowe stęknienie.

– Zostanie pani w mojej marynarce – odzywa się stanowczo, odwraca wzrok i podchodzi do krzesła. – I niech pani zapnie te cholerne górne guziki. – Wiesza moją mokrą bluzkę na oparciu, a następnie opuszcza pokój socjalny, zabierając ze sobą swoją poplamioną koszulę.

*

Gałki oczne wypłyną mi zaraz na wierzch od wpatrywania się w excelową tabelę pełną cyfr. Mało tego, zaraz się roztopię, bo siedzę w swojej puchowej kurtce.

To było do przewidzenia, że nie będę mogła skupić się na pracy, mając na sobie marynarkę Jana. A to dlatego, że woń perfum, którymi przesiąkła, wywoływała mrowienie w najintymniejszych miejscach, doprowadzając mnie do oblędu. Jej zapach mnie otumaniał, wzbudzał emocje, których zdecydowanie nie powinnam czuć. Jestem wściekła na swoje ciało, że tak łatwo daje sobą manipulować.

Gorąco mi. Bardzo gorąco.

Obracam się na fotelu, ściągam buty i rajstopy, aby nieco się ochłodzić (bo kurtka bezsprzecznie musi zostać na swoim miejscu), po czym przenoszę wzrok na okno, żeby dać odpocząć zmęczonym oczom. Brakuje mi lata – widoku liści na drzewach, skoszonej trawy, kwitnących krzewów – czegokolwiek, co jest zielone, soczyste, świeże, żywe. Ale mogę o tym tylko pomarzyć. Nie dosyć, że od wczoraj nieustannie sypie śnieg, to jeszcze nasze biuro jest na trzydziestym trzecim piętrze, w centrum miasta, więc choćby skały srały, nie uświadczę widoku niczego więcej niż betonu, żeliwa, płyt i szkła. Pieprzone korpożycie!

Wstaję, by rozprostować nogi, i podchodzę na bosą do okna – a raczej wielkiej, przyciemnianej lustrzanej szyby. Na zewnątrz jest już ciemno.

Plus okien w naszym biurze jest jeden – pracownicy z sąsiadujących biurów, którzy chcą sobie na nas popatrzeć, widzą wyłącznie jasną poświatę, świadcząca o tym, że na naszym piętrze pali się światło. Minusów zaś można naliczyć od groma. Niezależnie od tego, czy za dnia świeci słońce, czy nie, przez tę cholerną folię na oknach wewnątrz jest depresyjnie jak w piwnicy. Nasz dział BHP zachwala natomiast nieustannie, że: po pierwsze – dzięki specjalnej powłoce wewnątrz się nie nagrzewa – firma oszczędza na klimacie, a my mamy komfort pracy. Po drugie: pracownicy są chronieni przed szkodliwymi promieniami UV – że niby nie grozi nam rak skóry i będziemy dzielnie pracować dla firmy jeszcze przez sto lat, ciesząc się dobrym zdrowiem. Po trzecie: budynek jest elegancki, ma klasę i design – a to faktycznie ma znaczenie, zwłaszcza kiedy po wyjściu na zewnątrz po dwunastogodzinnej harówce, jedyne, na co masz ochotę, to podnieść nogę niczym pies i obsikać sztywne mury swojego miejsca pracy.

Wzdycham ciężko i opieram czoło o chłodną szybę. I choć jest mi gorąco jak diabli, to pragnę słońca, ciepłego powietrza, wakacji... A tu, kurwa, dopiero początek zimy – dwudziesty czwarty grudnia, Wigilia Świąt Bożego Narodzenia, godzina siedemnasta pięć, pada śnieg. Mogłabym teraz zaśpiewać: *jeszcze tylko styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec i... wakacje! Znow będą wakacje! Na pewno mam rację. Wakacje będą znow.*

Ale nie śpiewam, bo mam chwilowy zjazd.

Zostały mi do ogarnięcia jeszcze dwa arkusze kalkulacyjne, co zajmie mi jakieś półtorej godziny. O dziewiętnastej w moim rodzinnym domu zaczyna się kolacja wigilijna. Nie mam pojęcia, jak zdążę dojechać do mieszkania, przebrać się i dotrzeć na drugi koniec miasta. Co więcej, na samą myśl o dzisiejszym wieczorze skręca mnie w żołądku. Nie uśmiecha mi się spędzanie go z rodzicami, bratem i jego żoną, ale to przecież pieprzona Wigilia. Wszyscy spinają dupę,

żeby dzielić tę niezwykłą noc z bliskimi. A ja nie chcę! Moi rodzice są mi równie bliscy, jak kot mojego sąsiada, który prychnie na mnie za każdym razem, kiedy spotykam go na klatce.

I daję sobie rękę uciąć, że w sporej ilości domów sytuacja jest podobna, a obchody świąt nie mają za wiele wspólnego z radością z narodzin Syna Bożego.

Taki przykładowy Grzegorz (postać czysto fikcyjna) co tydzień w niedzielę, wraz z żoną Magdą, uczestniczy we mszy świętej w kościele. Kocha Pana Chrystusa całym sercem i duszą swoją. W ten magiczny wigilijny wieczór postanawia uczcić rocznicę jego narodzin, wcinając kapustę z grochem, popijając czystą wódką i burcząc na małżonkę, że karp jest niedosmażony. Jego świętej pamięci mama robiła pierogi własnymi rękoma, a nie kupowała gotowca. Żona Grzegorza z kolei (równie mocno wielbiąca Pana, co on) już po kolacji kładzie się wściekła jak osa do łóżka, ponieważ oprócz tego, że nie mogła nic zjeść, bo jest na diecie, to, do kurwy nędzy, miała przecież dostać od męża w prezencie iPada, a nie pieprzonego MacBooka.

Niech żyje duch rodzinnych świąt! Nienawidzę Wigilii.

Już słyszę w głowie, jak matka, nalewając grzybową, psioczy, że psuję sobie życie. Że kiepsko zarabiam. Że marnuję swój dar. Że jestem w tym wieku, że powinnam dać jej wnuki. Ojciec zaś wbija dodatkową szpilę, twierdząc, że kobieta musi być opiekunką domowego ogniska, dbać o męża, wychowywać dzieci, a nie na siłę robić karierę. Ja przecież nic do tej pory nie osiągnęłam i nie osiągnę. Moim obowiązkiem jest więc znalezienie sobie dobrze ustawionego męża i zajęcie się tym, co będzie wychodzić mi najlepiej – siedzeniem w domu i gotowaniem obiadów.

Czuję szczypanie pod powiekami. Sama nie wiem, dlaczego chce mi się płakać. Przecież mam gdzieś ich opinię, już dawno zaakceptowałam to, że są mną rozzarowani, że uważają mnie za niedorajdę (nie to, co mojego brata). A może chce mi się ryczeć, bo gdzieś podświadomie uważam, że mogą mieć rację? Może powinnam się wreszcie ustatkować? Nie żebym nie chciała mieć mężczyzny, który będzie mnie kochał, szanował i wierzył we mnie bardziej niż moi starzy. Faceta, dla którego byłabym gotowa przenosić góry, a nie tkwić w marazmie rzeczywistości. Ale taki się jeszcze nie trafił. Ewidentnie nie mam szczęścia w miłości. Zawsze dopada mnie ten sam schemat – pierwsze zauroczenie (bez fajerwerków), seria randek (standardowo kino, restauracja, spacer), seks na misjonarza (letni i bez porywu), trochę chodzenia i następujące po nim rozstanie w przyjacielskich stosunkach.

Co jest ze mną nie tak? Mam prawie trzydzieści lat, jestem sama, a moim najlepszym kochankiem jest wibrator, mieszkający w szafce nocnej w towarzystwie niegrzecznych książek. Zamiast spędzić dzisiejszy wieczór z mężczyzną swojego życia, znów będę znosić przytyki rodziców, czując się przy tym jak śmieć.

Moje oczy zachodzą łzami – smutku, rozgoryczenia i złości. Czuję ciężar w piersi, biorę głęboki wdech, po nim kolejny. Usta samoistnie się wykrzywiają.

Kurna, rozklejam się.

Maryśka, weź się w garść, do cholery, i przestań nad sobą użalać! Przecież nic złego się nie dzieje. Na świecie są miliony takich dziewczyn jak ty. Powinnaś się cieszyć – jesteś zdrowa, masz własne mieszkanie (to nic, że na kredyt do sześćdziesiątki), samochód (mało ważne, że Fiata Pandę z 2000 roku, który ma ciągle rozładowany akumulator), rozkręcasz biznes (to nic, że masz jednego klienta). Jesteś samowystarczalną kobietą, więc nie marudź i nie podróżuj myślami, tylko siadaj na dupie przy biurku, wracaj do pracy i zarabiaj kasę na realizację marzeń!

– Zapomniała pani dodać do kosztów amortyzację... – Słyszę Jana, który wychodzi z gabinetu.

Cała się spinam. Ocieram szybko policzki, modląc się, by tusz do rzęs się nie rozmazał.

– Pani Mario? – Jan zatrzymuje się tuż za mną. Nie odwracam się, bo nie chcę, żeby mnie taką widział. Wbijam wzrok w szybę i momentalnie orientuję się, że Engler widzi w niej moje odbicie. Nasze spojrzenia się spotykają.

W mordę. Jeszcze brakuje mi jego tekstów w stylu: „proszę się nie rozczulać, tylko brać do pracy”.

– Pani Mario, mówię do pani. – Patrzy prosto w moje odbicie.

– Słyszę. Już to poprawiam – oznajmiam zachrypniętym głosem. Daję krok w bok, aby go ominąć, i w tej samej chwili on obejmuje mój nadgarstek.

Jego dłoń jest ciepła, szorstka, trzyma mnie zdecydowanie, ale nie na tyle mocno, bym odczuwała jakikolwiek ból. Jeśli nie liczyć dzisiejszej akcji w pokoju socjalnym, Jan nigdy mnie nie dotykał. Zawsze skutecznie unikał jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Jego słowa były wystarczające, żeby wyrazić to, czego chce.

Mój oddech przyśpiesza. Nadal stoję tyłem do Jana i nie jestem w stanie się ruszyć.

– Proszę na mnie patrzeć, kiedy pani ze mną rozmawia.

Zaciskam powieki. Nawet nie drgnę.

– Pani Mario. Proszę na mnie spojrzeć. – Jego głos jest władczy, dotyk palący, bliskość porażająca. To wszystko sprawia, że prąd przechodzi mnie od nadgarstka po ramię, przez obojczyk, aż rozchodzi się na piersi.

Biorę głęboki wdech i odwracam się do niego przodem. Jan wbija we mnie szare oczy. Przygląda się wnikliwie mojej twarzy, jakby próbował wyczytać z niej każdą moją myśl.

Ma na sobie tę samą koszulę, którą polałam kawą. Kołnierzyk jest jak zwykle zapięty pod samą szyją (pedant!), a krawat przysłania częściowo brunatną plamę i leży nienagannie na szerokiej piersi (cud, że nie ucierpiał podczas kawowego wypadku).

Podnoszę wzrok i napotykam ołowiane tęczówki. Wpatrują się we mnie tak intensywnie, że brakuje mi tchu. Jestem niemal pewna, że Jan zaraz zapyta, dlaczego nie siedzę przy biurku i nie pracuję.

– Tutaj nie pada. Dlaczego ma pani na sobie kurtkę puchową? – pyta poważnym tonem.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Czy on się urwał z choinki? Parskam głośno.

– Widzę, że panią rozbawiłem. Pani zdaniem jestem śmieszny?

– Nie. – Staram się utrzymać resztki powagi, ale marnie mi to wychodzi. – Po prostu nie spodziewałam się po panu takiego pytania.

– A jakiego się pani spodziewała? – Patrzy mi w oczy przenikliwym wzrokiem.

– Chyba czegoś w stylu... – Odchrząkuję i zniżam głos o oktawę. – Dlaczego uważa się pani nad sobą, zamiast pracować?

Jan ściąga brwi.

– Naprawdę pani sądzi, że mógłbym tak powiedzieć, widząc panią w takim stanie?

– Raczej tak – odpowiadam bez wahania.

– Dlaczego?

Jak to dlaczego? Bo taki jesteś, Janie. Jesteś cholerną bryłą lodu postrzegającą ludzi jako maszynki do liczenia, analiz i raportowania.

– Cóż... – Szukam odpowiednich słów, które nie sprowokują go do wywalenia mnie z roboty, a jednocześnie dadzą mu nieco do myślenia. – Jest pan raczej chłodny w obyciu.

– Chłodny? – Unosi pytająco brew.

– Tak. Mało empatyczny.

– Mało empatyczny – powtarza. – Coś jeszcze?

Pff. Mam mu wyłożyć całą listę jego przywar? Proszę bardzo: gruboskórny, szorstki, trudny, suchy, beznamienny, zeskorupiały, sztywny... i mogę tak wymieniać, aż na niebie pojawi się Święty Mikołaj z saniami i Rudolfem Czerwononosym.

– Odnoszę wrażenie, że niechętnie ulega pan emocjom – odpowiadam taktownie. – Nie okazuje ich pan na zewnątrz, co czasami wprowadza napiętą atmosferę.

– Wolałaby pani, żebym je okazywał?

– Na pewno byłoby sympatyczniej, gdyby czasami postarał się pan być bardziej... Hm... Miły? Serdeczny? Otwarty...?

– Jak bardzo?

Wzruszam ramionami.

– Na tyle, na ile pan może.

– Mogę. Pytanie tylko, czy na pewno sobie pani tego życzy?

Czuję, jak jego dłoń zaciska się na moim nadgarstku. Stalowe oczy wparują się we mnie obezwładniająco. Moje serce bije szybko. Bardzo szybko. Zbyt szybko.

Śmieję się nerwowo.

– Akurat w tej kwestii to pan musi zdecydować. Nie mogę przecież panu mówić, jak powinien się zachowywać. Na pewno okazywanie większej sympatii i serdeczności by nie zaszkodziło.

Jan mruży oczy. Milczy, przewiercając mnie stalowym spojrzeniem na wylot. Dostrzegam małą żyłkę pulsującą na jego skroni. Sama nie wiem, czy mój szef wyleje teraz na mnie kubek zimnej wody (jednym ze swoich zubożniających tekstów), czy może wreszcie się postara i powie coś miłego...

Tymczasem on robi coś zupełnie innego.

– Dobrze więc – oznajmia gardłowo, przyciąga mnie do siebie i przywiera ustami do moich ust. Mocno. Pożądliwie. Zaborczo.

O. Mój. Boże!

Tracę dech.

Nogi uginają mi się w kolanach, ledwo stoję, zaraz osunę się na podłogę... Jego ramiona jednak na to nie pozwalają. Obejmuje mnie w tali i stanowczo do siebie przyciąga. Jego zniewalający zapach mnie obezwładnia, jego pocałunek mnie oszalał, jestem poza kontrolą, poddaję się. Moje dłonie bezwiednie wsuwają się w ciemne włosy. Usta Jana łapczywie pochłaniają moje wargi, a język wślizguje się do ich wnętrza.

Dobiega mnie jego niski pomruk, którego wibracje sprawiają, że prąd podniecenia przepływa od podbrzusza i zanurza się między udami. Oboje pogłębiamy pocałunek. Jan napiera na mnie władczo, zdecydowanie, jakby nie był w stanie się mną nasycić. Ta intensywność odbiera mi zmysły. Nikt nigdy mnie tak nie całował. Z taką pożądliwością, drapieżnością, zaborczością, pragnieniem.

Kim, u diabła, jest ten facet? Przecież to nie może być Jan, którego znam od roku – powściągliwy, oszczędny w słowach i gestach. W jego pocałunku jest tyle namietności i żaru, że zaraz się spalę, a wraz ze mną to cholerne biuro.

Ogarnia mnie obezwładniająca fala podniecenia. Pragnę go. Słodki Jezu, tak bardzo pragnę tego mężczyzny, że aż nie mogę oddychać... Przygryzam jego dolną wargę, zaciskam palce na jego włosach, a kiedy nasze języki ponownie zaczynają erotyczny taniec, wzdycham bezwolnie półgłosem.

Boże, jak on cudownie całuje. Jak zniewalająco smakuje. Wyczuwam od niego jakąś miętową słodycz, może to landrynki? Albo guma do żucia? I ten jego zapach, który mącił mi w głowie od pierwszego dnia, kiedy go poczułam. Niech mnie całuje. Uwielbiam jego rozpalone wargi, jego gorący język, jego całodzienny zarost, którym drażni moją skórę. Chcę jeszcze, mocniej, bardziej...

Lecz on nagle odrywa się od moich ust.

Niczym wyrwana w środku nocy z oszałamiającego snu patrzę na niego zamglonym spojrzeniem. Jestem na haju, szumi mi w uszach, serce wali wariacko.

Jan przewierca mnie płonącym wzrokiem, trzymając mnie nadal w ramionach. Oddycha szybko, jego jabłko Adama podskakuje.

– Czy taki rodzaj otwartości pani odpowiada? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

Staram się uspokoić oddech. Okiełznać galopujące myśli, które biegną tylko w jednym kierunku: dlaczego on, do cholery, przerwał?

Chcę, żeby mnie znowu pocałował. Chcę, żeby mnie dotykał. Chcę go całego, teraz!

Gdzieś z tyłu głowy rozlega się jednak drażniący brzęczyk ostrzegawczy. Nie powinnam tego chcieć. Przecież jestem w pracy. Przecież to jest Jan. Przecież to mój szef! Ja go nawet nie lubię.

A jeśli to jest jakiś test? Jestem w jakiejś HR-owej ukrytej kamerze? Oni mają świra na punkcie testów. Tylko co zamierzają sprawdzać i dlaczego obrali sobie za cel właśnie mnie? Do tego nasłali na mnie Jana. Ostatniego faceta w firmie, z którym miałabym ochotę zawrzeć inne stosunki niż służbowe? Po co?!

Ogarnia mnie coraz większe zwątpienie. Przyglądam się Janowi uważnie, ale nie dostrzegam na jego twarzy niczego, co mogłoby wzbudzić moje zaniepokojenie. Wręcz przeciwnie. Jego oczy lśnią – szare dotąd tęczówki wyglądają, jakby mieniły się srebrem. Na zaciśniętej zuchwie drga mięsień. Czeka, aż coś odpowiem.

A ja zapomniałam języka w gębie. Nie mam pojęcia, co powinnam myśleć. Z jednej strony chciałabym, żeby mnie znowu pocałował, ale z drugiej – zdrowy rozsądek podpowiada, że muszę być ostrożna. Stąпам po cienkim lodzie. Jan nie jest osobą, z której można czytać jak z otwartej księgi. I choć zawsze wydawało mi się, że znam się na ludziach, jego nie potrafię rozgryźć. Bo jak, do ciężkiej cholery, mam wytłumaczyć to, że mnie pocałował, kiedy w ogóle się tego nie spodziewałam? Znamy się nie od dziś, i co, nagle zapałał do mnie pożądaniem? Zawsze trzymał mnie na dystans, a dzisiaj coś mu odejębało i postanowił mnie pocałować. Co więcej, zrobił to tak obezwładniająco, że gdybym miała zasłonięte oczy i ktoś by mi powiedział, że właśnie pocałował mnie Jan Sztywniak, to nazwałabym tego ktosia wierutnym kłamcą, wariatem i wysłała go do psychiatryka.

W co ten cholerny Jan ze mną gra? Może to podpucha albo zemsta za tamten telefon od Artiego?

Niespodziewanie odzywa się we mnie instynkt samozachowawczy. Odsuwam się i wkładam dłonie do kieszeni kurtki.

– Nie jestem pewna, czy o taki rodzaj otwartości mi chodziło...

Jan chmurzy czoło, ale tylko na ułamek sekundy, podczas którego jego twarz przybiera tak zimny wyraz, że aż przechodzą mnie ciarki.

– Rozumiem. Musiałem zatem opacznie panią zrozumieć – stwierdza dziwnie stłumionym głosem.

Cofa się o krok, prostuje plecy i poprawia krawat. Góruje nade mną, więc muszę zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. A te są na powrót chłodne, stalowe, nie ma już w nich tego żaru, tej namiętności, tych srebrnych iskier. Znam doskonale to spojrzenie, tę postawę.

– Ma pani pełne prawo zgłosić skargę do zarządu. Złamałem regulamin. Nie będę miał do pani o to pretensji – oświadcza formalnie.

Że co? Co za głupoty on pieprzy?

– Skargę?

– Tak. Jest pani w pracy. Ja jestem pani przełożonym. Nie powinienem był pani całować, to łamanie zasad. Zrobiłem to bez pani zgody. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy – wyrzuca z siebie oschle, rzeczowo, jak robot.

Robię coraz większe oczy, a on ciągnie:

– Oczywiście poniosę wszelkie konsekwencje. Jeśli nadal chce pani zmienić dział, to rzecz jasna udzielę na to zgody i przygotuję odpowiednie rekomendacje.

Słucham go i nie wierzę. Z jego wypowiedzi wnioskuje, że to nie jest jednak żadna gra, podpucha ani zemsta. On naprawdę chciał mnie pocałować. Stracił nad sobą kontrolę, a to przecież nigdy mu się nie zdarza. Co więcej, całując mnie, zaryzykował – i to bardzo. Być może nawet utratą własnego stanowiska. Musiał więc liczyć na to, że mu nie odmówię.

I wcale by się nie przeliczył. Poszłabym na całość, gdyby tylko nie przerwał pocałunku. Gdyby nie zadał tego durnego pytania o otwartości, niczego bym mu nie odmówiła.

Wpatruję się w niego z walącym sercem, przesuwam wzrokiem po szerokich ramionach i silnych dłoniach, które dopiero co zaciskały się na mojej talii. Czuję ponowny przypływ pożądania. Chciałabym go znowu zobaczyć bez koszuli, dotknąć palcami jego męskiej piersi, wyrzeźbionego brzucha, rozpiąć pasek w spodniach...

Puls dudni mi w skroniach. Zaszło mi w gardle. Na bank mam owulację.

Ale to chyba nie tylko wina hormonów. Nasz pocałunek i to, co usłyszałam tuż po nim, sprawiło, że spojrzałam na Jana z innej perspektywy. Ujrzałam w nim mężczyznę zdolnego do namietności, który pożąda mnie tak mocno, że gotów był w chwili uniesienia poświęcić swoje zajebiste stanowisko dyrektora finansowego, by mnie pocałować.

Odkąd tu pracuję, ani razu nie słyszałam żadnych plotek na temat Jana. Z nikim nie romansował. Na imprezie integracyjnej był przez pięć minut, po czym wyszedł i tyle go widziano. Jan to nie jest facet, który uwodzi pracownice z firmy.

Dlaczego więc zdecydował się mnie pocałować? Nic z tego nie rozumiem.

Pocą mi się dłonie. Przenoszę ponownie wzrok na surową twarz Englera i dostrzegam w niej coś więcej, niż widziałam wczoraj. Coś więcej, niż widziałam nawet godzinę temu. Brakuje mi powietrza na samą myśl, że miałabym teraz wrócić do swojego biurka i nigdy więcej nie poczuć ust Jana na moich ustach.

Chcę go pocałować. Tak bardzo chcę go pocałować, że oszaleję, jeśli tego nie zrobię.

A pieprzyć to! Raz się żyje.

Robię zdecydowany krok w jego stronę, chwytam go za krawat i stanawszy na palcach, wpijam się w jego gorące usta.

O tak... Uwielbiam ich smak. Ich żar. Ich dotyk.

Oczy Jana się rozszerzają. Cały się spina. Stoi nieruchomo jak posąg, nie odwzajemnia pocałunku. Przesuwam zmysłowo językiem po jego wardze, przygryzam ją, pragnę, by wpuścił mnie do środka.

Ale on się odsuwa.

Porzuca moje usta. Jego krawat wyslizguje mi się z dłoni.

– Proszę to wyjaśnić. – Patrzy na mnie, jakby zupełnie nie rozumiał, co się przed chwilą wydarzyło. Po raz pierwszy dostrzegam na jego twarzy wyraz dezorientacji.

Jan nie lubi tracić kontroli. Wszystko musi być zawsze po jego myśli, pod linijkę, dopięte na ostatni guzik, czarne albo białe, tak albo nie.

– Tu nie ma czego wyjaśniać – mówię.

Ściąga brwi. Nadal nie ogarnia.

– Przecież powiedziała pani, że nie o taki rodzaj otwartości pani chodziło.

– Nie, kiedy w grę wchodzi relacje służbowe – odpowiadam. – Jest po siedemnastej. Według grafiku jestem już po pracy.

Mruży oczy i pociera dłonią policzek, nie spuszczaając ze mnie spojrzenia. W jego oczach na powrót pojawia się iskra.

– Jest pani stuprocentowo pewna tego, na co się godzi?

Stuprocentowo? O matko, cholerny finansista.

– Powiedzmy, że na dziewięćdziesiąt osiem procent.

– A te dwa pozostałe procenty?

– Może je pan uznać za błąd statystyczny.

Jego oczy ciemnieją.

– Ma pani świadomość tego, co mówi? – Podchodzi do mnie. Utrzymuję z nim kontakt wzrokowy. Moje serce dudni głośno, ogłuszająco.

– Tak.

– To się nie skończy na niewinnym pocałunku. – Sięga do metalowej przywieszki od zamka przy mojej kurtce, pociąga, przesuwając w dół... Dźwięk rozpinanego suwaka wywołuje dreszcz na całym moim ciele.

– Pana pocałunek nie był niewinny. – Powietrze owiewa moją nagą skórę na dekolcie, piersiach, brzuchu.

– Był, w porównaniu z tym, co zamierzam za chwilę z panią robić. – Odsłania moje ramiona, uwalnia ręce z rękawów...

Wstrzymuję oddech. Kurtka opada z szelestem na podłogę. Zostaję tylko w staniku i spódnicy.

Strużka potu spływa mi po plecach. W środku cała aż drzę z niepewności. Mimo tego brnę w to dalej, nie mogę i nie chcę się teraz wycofać.

– A co konkretnie zamierza pan robić? – Staram się, by mój głos był opanowany, choć tętno mi galopuje, jakbym zaraz miała dostać zawału.

Jan przesuwa dłońią po mojej szyi, obojczyku, ramieniu i zaczepia kciukiem o koronkę stanika. Na moich ramionach momentalnie pojawia się gęsia skórka. Mierzy mnie wzrokiem, schodzi palcami coraz niżej – muska zasłoniętą pierś, brzuch, kładzie obie dłonie na mojej talii... Jego zachłanne spojrzenie rozpala mnie do czerwoności.

Smukłe palce suną po biodrach, trąc o materiał spódniczki, zahaczają o jej brzeg, podciągają ją powoli, coraz wyżej, aż do pasa...

Czuję jego dotyk na nagiej skórze ud, bioder. Zaczynam dyszeć. Moje ciało płonie.

Jan się nachyla, przybliżając twarz do mojej szyi, i mówi tuż przy moim uchu:

– Zrobię to, na co miałem ochotę już od dawna. – Obejmuje moje pośladki, zaciska na nich palce, po czym niespodziewanie mnie unosi.

O Boże!

Chwytam go za ramiona, wbijając w nie drżące palce.

– Obejmij mnie nogami, Mario.

Spełniam jego żądanie, przywieram do niego całym ciałem, a wtedy on się obraca, przyciska mnie plecami do szyby i wpija się ustami w moje wargi.

Całujemy się zachłannie, dziko, zwierzęco, dysząc, postępując. Moje dłonie błądzą po jego włosach, karku, ramionach, jego zaciskają się na moich pośladkach. Napiera na mnie całym ciałem, pochłania moje usta, szyję, dekolt. Jego pocałunki są wilgotne, ponagłające. Czuję na plecach chłód od okna, a na piersiach żar bijący od ust Jana.

Jest piekielnie podniecony – domyślam się tego po jego szybkim oddechu, intensywności pocałunków, napiętych ramionach i po tym, jak jego twardy kutas, przeżący się w spodniach, ociera się niecierpliwie o cipkę, skrytą pod cienkimi majtkami. Jesteśmy tak blisko, że bliżej się nie da. Dzieli nas tylko ubranie. Chcę, żeby się go pozbył, pragnę poczuć na sobie jego skórę, przywrzeć piersiami do jego nagiego torsu, zobaczyć go bez tej cholernej koszuli z kołnierzykiem.

Nie zaprzestając pocałunków, sięgam do krawata, poluzowuję go po omacku, rozwiązuję, wysuwam z kołnierzyka i upuszczam na podłogę.

– To jedwab – upomina mnie Jan między pocałunkami.

Cholerny pedant.

– Mogę go podnieść i odwiesić na krzesło, żeby się nie pogniótł – żartuję.

– Jedwab się nie gniece – mówi wprost w moje usta. – Ale to dobry pomysł. – Nieoczekiwanie stawia mnie na podłodze.

Że co? Patrzę na niego zdezorientowana, a on wskazuje głową pod okno, gdzie leży ten jego cholerny krawat.

Jezu, on tak na serio? Ten wzrok. Nie zliczę, jak wiele razy patrzył na mnie właśnie w taki sposób, wydając mi polecenia: „pani Mario, trzeba zrobić analizę dla klienta”, „pani Mario, zostaje pani po godzinach”, „pani Mario, tabela siódma i ósma do poprawki. Na już”, „pani Mario, brakuje wykresu na dwudziestej stronie. Mam mieć to u siebie na e-mailu za godzinę”.

Zrób to, zrób tamto, sramto, owamto.

– Mario, podnieś, proszę, krawat – odzywa się, a ja mam ochotę zdzielić go po pysku.

Pieprzony Jan Rządziciel! Narasta we mnie taka złość, że zaraz wybuchnę. Wiedziałam, że to był zły pomysł, aby mu ulegać. Podniosę ten kurewski krawat i wcisnę mu go do gardła, żeby się nim udławił. A potem zabiorę swoje rzeczy i wychodzę. Niech sobie sam kończy raport roczny i to, co tu zaczął. Cokolwiek to jest.

– Jesteś beznadziejny. Wszystko psujesz. – Rzucam mu nienawistne spojrzenie, opieram się jedną ręką o szybę i schylam po krawat, a wtedy dłonie Jana lądują na moich pośladkach. – Nawet się nie waż... – syczę i już zamierzam się wyprostować, ale on nachyla się nade mną tak, że unieruchamia mnie swoim torsem. Zaraz wbiję mu łokieć pod żebra.

Co on wyrabia?

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile razy chciałem to zrobić, kiedy podnosiłaś coś z podłogi? – mruczy niskim głosem w moje włosy, a mnie przechodzą ciarki. – Jesteś cholerną kusicielką, Mario. – Zaciska palce na moich pośladkach. – Przez ciebie nie mogę pracować, nie mogę się skupić. Powinienem cię dawno temu zwolnić albo pozwolić odejść do departamentu rozwoju.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś? Miałeś wiele okazji. – Moje serce wali jak szalone. Jestem na siebie zła, bo w miejscu gniewu pojawia się narastające podniecenie...

– A jak ci się wydaje? – Jego dłoń wędruje po moim pośladku i wnika między uda. Czuję pulsowanie w dole brzucha.

– Bo jesteś niestabilny emocjonalnie, aspołeczny i sam nie wiesz, czego chcesz?

– Wiem, czego chcę, Mario. I chciałem tego od dnia, w którym pojawiłaś się w moim dziale. – Wsuwa palce pod bieliznę.

O Boże. Opieram się dłońmi o szybę, pozwalam mu się dotykać, wypycham instynktownie biodra w jego stronę.

– O tak, wypnij ten swój seksowny tyłek. – Przesuwa palcami po mojej cipce, a ja cała drżę. – Jesteś mokra. – Gładzi wilgotne wejście, doprowadzając mnie do szaleństwa. – Czyli podoba ci się to, co robię?

Z mojego gardła wydobywa się tylko ciche westchnienie.

– Odpowiedz, Mario. – Pociera łechtaczkę i trafia w najwrażliwszy punkt.

Jęczę.

– Odpowiedz. – Porusza palcami coraz szybciej z idealnym naciskiem.

Żadnemu facetowi nigdy nie udało się porządnie zadowolić mojej łechtaczki. Tymczasem on robi to bezbłędnie, dokładnie tak, jak powinien, i to za pierwszym razem. Między udami przepływa rozkoszny dreszcz.

– Tak... – przyznaję cicho, ściśniętym z podniecenia głosem.

– Nie słyszę. Powtórz. – Wsuwa we mnie dwa palce, a pode mną uginają się nogi. Zaraz osunę się na podłogę.

– Nie drocz się. – Z trudem łapię powietrze. – I nie rozkazuj mi.

– Nie rozkazuję. Proszę. – Powoli porusza we mnie palcami, a ja, choć opieram się o okno, ledwo trzymam się na nogach.

– Kazałeś mi podnieść swój pieprzony krawat.

– Dobrze wiesz, dlaczego to zrobiłem. – Łapie jedną ręką moje dłonie w nadgarstku, unieruchamia je nad moją głową, opierając je o szybę, po czym przywiera piersią do moich pleców i zaczyna pieprzyć mnie palcami od tyłu.

Jego gorący oddech pieści mój kark, jego pomruk tuż przy uchu rozbudza rój owadów w żołądku, jego palce w mojej cipce sprawiają, że fala ekstazy przepływa przez moje ciało. Serce wali mi ogłuszająco; rozkosz otumania mój umysł. Rany boskie, co ten człowiek ze mną wyrabia? Nie mogę uwierzyć, że Jan robi mi palcówkę. W biurze. W pieprzoną Wigilię Świąt Bożego Narodzenia. A ja, zamiast szykować się na odświętną kolację, daję się posuwać palcami mojemu SZEFOWI!

Maryśka, głupolu, przecież ty go nawet nie lubisz! – kajam samą siebie w myślach.

Nie lubiłaś. Czas przeszedł, Marysiu. Przyznaj, że ci się podoba – zaprzeczam samej sobie.

No zwariowałam. Albo mam rozdwojenie osobowości, albo Jan naprawdę mi się podoba. I to tak, że aż ściska mnie w piersi.

Niespodziewanie wysuwa ze mnie palce, a ja od razu czuję, że mi ich brakuje. Wydaję z siebie jęk zawodu, lecz nim zdążam zaprotestować i się odwrócić, on ściga mi majtki, rozszerza moje pośladki, klęka tuż za mną...

Zaraz, czy on zamierza mnie tam...?

Czuję na sobie jego oddech i zanim mam szansę zareagować, usta Jana przywierają do mojej cipki.

Jasna cholera! Wstrząsa mną dreszcz; cała płonę. Doznanie jest tak intensywne, że potrzebuję zacisnąć na czymś dłonie, jednak te są tak spocone, że ślizgają się po szybie.

Dobiega do mnie pożądlivy pomruk Jana. Rozwiera mocniej pośladki i wsuwa język w mokrą szparkę.

Z mojego gardła wydobywa się przeciągły jęk. Instynktownie wypinam pupę, żeby poczuć go jeszcze głębiej, jeszcze intensywniej. Jan posuwa mnie językiem, zaciska palce kurczowo na moim tyłku, a ja wiję się z rozkoszy.

Opieram czoło o chłodną powierzchnię okna. Płatki śniegu przelatują mi przed oczami. Szumi mi w uszach. Puls wariuje. O w mordę, jak bosko.

– Tak, głębiej... – jęczę błagalnie.

Jan, nie przestając pieprzyć mnie językiem, rozsmarowuje kciukiem wilgoć na drugą dziurkę, po czym wsuwa w nią powolnie palec.

OŹEŻ. KURWA!

Cała się spinam. Co on robi?! Anal to zdecydowanie nie moja bajka. Raz próbowałam, dziękuję, nigdy więcej. Bolało jak diabli, było sucho i krępująco...

Zaciskam pośladki.

– Zaufaj mi. – Głęboki ton jego głosu sprawia, że naprawdę chcę mu zaufać. To, w jaki sposób mnie tam dotyka, to zupełnie coś innego, coś nowego. Robi to nieśpiesznie, z wyczuciem.

– Rozluźnij się. – Przeciąga kciukiem po moich sokach, znów wsuwa palec do ciasnego wnętrza i zaczyna pieścić językiem moją cipkę.

O wow, sama już nie wiem, co daje mi większą przyjemność. Skąd wypływa ten zniewalający prąd rozkoszy, który rozchodzi się po całym ciele, odbierając zmysły?

W życiu nie byłam w takiej sytuacji. Nigdy, żadnemu mężczyźnie, nie oddawałam się w takiej pozycji, do tego w takim miejscu. Nigdy nie czułam takiego pożądania, nie puściły mi aż tak hamulce. Nie myślę o wstydzie, o konsekwencjach, o tym, co będzie dalej. Liczy się tylko ta chwila. Ten moment. Obezwładniające uczucie zbliżającego się orgazmu. Chcę więcej, chcę mocniej, bardziej. O tak, jestem już tak blisko...

– Nie przestawaj. Zaraz dojdę. – Mój urywany oddech pozostawia parę na szybie. Dudni mi w uszach, zbliża się fala spełnienia...

I nagle Jan wysuwa ze mnie palec, a jego usta zaprzestają pieszczoty.

Zbliżająca się fala orgazmu odpływa w pizdu. Momentalnie robi mi się zimno.

Co?! Nie! Nie! Mam ochotę go rozszarpać. Zaraz wybuchnę z frustracji.

– Co ty wyrabiasz? – Już mam się odwrócić i na niego nawrzeszczyć, kiedy on przypiera mnie ciałem do szyby. Jego gorący oddech owiewa mój kark.

– Dojdiesz, kiedy będę w tobie. – Dobiega mnie dźwięk odpinanej klamry od paska oraz sunącego rozporka. Nim zdążam przeanalizować sens słów Jana, on już przesuwając twardym kutasem po wejściu do mojej cipki i wślizguje się we mnie do końca.

O matko! Wydaję z siebie okrzyk rozkoszy, gdy mnie wypełnia. Jest taki wielki, że czuję, jak rozwiera mnie do granic możliwości. Z trudem łapię powietrze.

– Jasna cholera, jesteś taka ciasna. – Jan warczy z dziką żądzą w głosie. Zaciska palce na moich biodrach, wysuwa się ze mnie nieznacznie, po czym kolejny raz wbija głęboko. – I taka gorąca... – Ponownie się cofa i znów wchodzi. – Jesteś moja. – Zaczyna mnie pieprzyć. Mocno, szybko, bez zahamowań. Obija się o moje pośladki, posuwa mnie z taką namiętnością, jakbym była spełnieniem wszystkich jego seksualnych marzeń.

To sprawia, że jestem na granicy spełnienia. Dźwięk naszych obijających się o siebie ciał, jego zwierzęce powarkiwania, moje erotyczne westchnienia, zapach seksu, pożądania i to uczucie, które tli się gdzieś głęboko w sercu, uciska żebra, miesza się z napływającą falą orgazmu. Jan rozpina haftki stanika, obejmuje spragnione dotyku piersi, zamyka je w dłoniach, drażni kciukami nabrzmiałe brodawki.

Wyginam się w łuk. Ilość doznań mnie otumania.

– Jan... – wyrzucam z siebie nieświadomie. Jestem zamroczona.

Z jego ust wydobywa się pomruk zadowolenia.

– Jeszcze raz. – Odrywa dłoń od prawej piersi i daje mi klapsa w pośladek. – Wypowiedz moje imię jeszcze raz.

O Boże.

– Jan...

Sięga do mojej łechtaczki, pieści najdelikatniejsze miejsce, jednocześnie wbijając się kutasem w moją cipkę. Jego usta suną po karku, zęby przygryzają skórę, palce pociągają za sutek.

To za dużo. Nie wytrzymam tylu bodźców. Efemeryczny prąd wstrząsa moim ciałem, fala orgazmu uderza jak tsunami.

– Jan! – Wszystkie mięśnie się napinają, cipka zaciska się na twardym kutasie. Po ciele przepływają dreszcze, mrowi mnie skóra od głowy, przez ramiona, brzuch i wnętrze ud, po palce u stóp.

– O tak, skarbie. Tak. – Jan przesuwą dłoń na moją szyję i władczo ją obejmuje. Czuję, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz, po nim kolejny. Wbija się we mnie, goniąc spełnienie – mocne pchnięcie, dogłębne, rozbijające.

Dochodzę. Ogarnia mnie ekstaza. Jest tak intensywnie, że w najśmielszych marzeniach nie sądziłam, że można doznać takiego orgazmu.

Zamroczone podnoszę wzrok. Widzę nasze odbicie w szybie. Jan zaciska powieki, odchyła głowę do tyłu...

– O kurwa mać, Mario. – Z jego gardła wydobywa się okrzyk spełnienia.

Zastyga cały napięty, jego kutas pręży się i pulsuje w mojej cipce.

Po raz pierwszy Jan przy mnie zaklął, po raz pierwszy widzę, żeby stracił nad sobą kontrolę. Wygląda przy tym tak zjawiskowo, że mam ochotę zatrzymać ten obraz w pamięci już na zawsze.

Opiera spocone czoło o moje plecy, przywiera do mnie całym ciałem, pozostając w środku. Jego usta bładzą po łopatkach, krótki zarost ociera się o rozpaloną skórę, gorąca sperma wypełnia moje wnętrze... O rany, jak dobrze, jak bosko, niech ta chwila trwa wiecznie.

Ale nie trwa, bo nagle, jakbym dostała obuchem w łeb, uświadamiam sobie, co tak naprawdę się przed chwilą wydarzyło. Robi mi się ciemno przed oczami. Ja pierdole!

– Jan, nie założyłeś prezerwatywy!

– Hm. Tym akurat nie musimy się przejmować – odpowiada stłumionym, lecz opanowanym głosem i powoli się ze mnie wysuwa.

Co to niby miało znaczyć?

Odwracam się z walącym sercem. Jasna cholera, przecież mam dni płodne i właśnie dałam się wypełnić ejakulatem swojego szefa.

Maryśka, ty tępa, bezmyślna cipo!

Jan podciąga bokserki, a ja dopiero teraz widzę jego penisa po raz pierwszy. I mimowolnie rozdziawiam usta. Oho ho. To mi się trafiło. Nie dziwne, że przeżyłam orgazm życia. Naprawdę jest wielki i gruby, choć nie jest już we wzwodzie.

Nie jest we wzwodzie, bo cię wypełnił swoją spermą, oślico!

O Boże. Muszę wziąć tabletkę „po”, ale skąd? Przecież dzisiaj Wigilia, jutro pierwszy dzień świąt. Kurwa.

– Dlaczego się nie zabezpieczyłeś?

– To samo pytanie mógłbym zadać tobie. Bierzesz tabletki?

– Nie.

– Czyli nikogo nie masz – stwierdza z satysfakcją i zapina klamrę od paska.

– Mogę zająć w ciążę, a ty wypytujesz mnie o to, czy kogoś mam?

– Nie zajdziesz w ciążę – mówi z taką pewnością, jakby podawał wynik dodawania dwa do dwóch. – Poza tym wcale cię nie wypytuję, tylko się upewniam. Wolałbym, żebyś nie była typem kobiety, która zdradza swojego mężczyznę. Nie toleruję zdrady. – Sięga po krawat z podłogi, odwraca się przodem do okna i unosi kołnierzyk koszuli.

Z niedowierzaniem patrzę, jak wiąże krawat. Starannie, dokładnie, sprawnie. Chodząca perfekcja. Jest taki, taki... wkurwiająco janowy.

Boże, czy ja właśnie użyłam jego imienia w formie przymiotnika? Porządnie mnie trzepnęło. To przez oksytocynę. Cholerne hormony. To one są winowajcą, to przez nie zupełnie się zapomniałam, pozwoliłam Janowi posuwać się bez zabezpieczenia.

Pieprzyłam się z szefem bez gumki! Do głowy przychodzi mi jeden powód, dla którego miałabym nie zająć w ciążę podczas owulacji – Engler jest bezpłodny.

Śledzę zwinne ruchy jego palców, gdy zawiązuje węzeł, a po nim drugi. Jest skupiony, ale też odprężony. Jego rysy twarzy są łagodniejsze niż zwykle. Cholerka, przystojny z niego facet, ładne by miał dzieci. Mężczyzna, który nie jest w stanie spłodzić potomstwa, na pewno w głębi swego ego odbiera to jako życiową porażkę. Żyje ze świadomością, że strzela ślepakami. Lwica leży z rozłożonymi nogami, a on, król dżungli, nie zapewni kontynuacji swoim zajebistym genom.

Robi mi się go szkoda. A może niepotrzebnie? Może się mylę? Może jest drugi powód – Engler wcale nie chce mieć dzieci, przeszedł celowy zabieg wazektomii, by móc ruchać sobie swoje podwładne bez gumki.

No to mam teraz zagwozdkę. Dlaczego nie ma szans, żebym zaszła w ciążę, skoro moja pochwa została po brzegi wypełniona nasieniem?

– Masz jakieś kłopoty ze zdrowiem? – pytam wprost.

– Aktualne badania mam w komputerze na biurku. Mogę pokazać, jeśli obawiasz się, że czymś cię zaraziłem.

No tak, o tym akurat nie pomyślałam. AIDS, rzeżączka, kiła, chłamydioza, HPV, kandydoza... Mogę tak wyliczać, aż zabiją dzwony zwiastujące pasterkę.

Kuźwa, o czym ja sobie myślałam, kiedy się z nim bzykałam?

Myślałaś cipką zamiast głową, Maryśka.

– Dobrze wiedzieć. Ze mną też jest wszystko okej... – Zakładam włosy za ucho. – Ale chodziło mi bardziej o to, z jakich powodów nie zajdę w ciążę, skoro mam właśnie owulację.

Jan zatrzymuje na moment palce na krawacie, po czym rozwiązuje go nerwowym ruchem, powarkując coś pod nosem, i zaczyna wiązać na nowo.

Odjęło mu mowę czy jak? A może przemówi ludzkim głosem dopiero o północy?

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... – zaczynam.

– Masz rację, to nie twoja sprawa – odburkuje. – Możesz być spokojna. Nie zapłodniłem cię. – Podejmuje kolejną próbę zawiązania krawata. Zaciska przy tym szczęki tak mocno, że aż współczuję jego trzonowcom.

No dobra, chyba to mi wystarczy. Mężczyzna, który z własnej woli robi sobie wazektomię, raczej nie reaguje jak rozjuszony byk na wzmiankę o zapładnianiu.

– Po co ci właściwie ten krawat?

– Jestem w pracy.

– Nikogo tu nie ma oprócz ciebie i mnie.

– Co nie zmienia faktu, że jestem w pracy.

Jezu, co za formalista.

– Kiedy mnie pieprzyłeś, też byłeś w pracy?

Zamiera, ale tylko na sekundę. Przekłada zwinnie krawat przez pętlę, zaciąga go pod szyję, zawija kołnierzyk, po czym odwraca się, podchodzi do mnie, nachyla się nad moją twarzą i wkłada mi rękę pod spódnice.

– Czyżbyś zapomniała, Mario, że gdy cię pieprzyłem, nie miałem na sobie krawata? – Łapie mnie za tyłek, zaciska na nim palce i całuje mnie w usta.

Kiedy jego język wsuwa się między moje wargi, gorąca fala pożądania rozchodzi się poniżej brzucha. Rany boskie, dopiero co miałam orgazm, a znów jestem podniecona.

A może chce mi się po prostu siku? Pewnie i to, i to. Palec Jana sunie do mojej cipki. Czuję łaskotanie w podbrzuszu. O tak, zdecydowanie mam pełny pęcherz.

Za dużo kawy.

– Jan, muszę do toalety.

Z jego krtani wydobywa się pomruk niezadowolenia. Odsuwa się powoli, pociągając zębami za swoją dolną wargę.

– Idź. Będę obok, w męskiej – odpowiada i daje mi klapsa w tyłek.

Chryste, zwariuję przez niego. Jak to możliwe, że przez cały rok ukrywał się z tym swoim powalającym erotyzmem?

Pewnie wcale się nie ukrywał, tylko wyżywał się gdzie indziej. Ale kiedy, skoro siedział w pracy po nocach, a do biura przychodził skoro świt? Snuję rozważania w drodze do łazienki. A może zapraszał tutaj prostytutki? Posuwał je przy tym oknie, dokładnie tak samo, jak mnie? Czuję ucisk między żebrami. Nie... Taki facet nie korzysta z usług dziwek. Wystarczy, że odwiedzi pierwszy lepszy bar, a laski same rozkładają przed nim nogi.

Być może Jan to mruk i gbur, ale nie oszukujmy się – jaką laskę, która ma ochotę na jednorazowy numer, obchodzi osobowość faceta przy barze? Ma być przystojny, mieć dużego kutasa i potrafić się dobrze pieprzyć.

A Jan bezsprzecznie posiada te cechy.

Gdy wchodzę do kibla, niemal od razu się orientuję, że nie mam na sobie majtek. Chryste, prawdziwa ze mnie rozpustnica. Łażę po biurze tylko w staniku (bo kurtka też została pod oknem) i spódnicy (która w dodatku wygląda jak wyjęta psu z gardła).

Robię siku, wyrzucając sobie, że zachowuję się jak ładaczka. Jestem nieco obolała między udami, ale tak pozytywnie. W sumie nikt mnie nigdy tak porządnie nie przeleciał. To, co zrobił Jan, było... Cóż, to było niesamowite.

Wychodzę z kabiny, podchodzę do umywalki i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Nie poznaję siebie. Policzki mam zaróżowione, oczy wielkie jak pięć złotych, wargi opuchnięte. Rozczochrana miss biurowej rozwiązłości. Kręcę głową z dezaprobatą. Stawiam nogę na umywalce i podmywam się, żeby zmyć dowody swojej grzeszności.

Gdy jestem już względnie odświeżona, poprawiam włosy, usuwam rozmazany tusz spod powiek i wychodzę z łazienki.

Mój wzrok od razu wyłapuje sylwetkę Jana. Stoi naprzeciwko, opiera się o ścianę, wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał.

Oby nie nad tym, kiedy mnie zwolnić. Jak by nie patrzeć, sytuacja nie jest zbyt komfortowa. Zarząd nie jest przychylny tego typu romansom. Szef nie powinien pieprzyć swojej podwładnej, i to jeszcze w miejscu pracy.

– Co robisz? – pytam niby od niechcenia.

– Liczę.

– Co?

– Ile razy chciałem wejść za tobą do damskiej łazienki i zrobić ci dobrze w kabinie.

Mimowolnie się uśmiecham. Co za Jan.

– Kiepska fantazja. Tu zawsze jest pełno bab.

– Wiem.

– Dlatego nigdy nie wszedłeś?

– Tak.

Mrużę oczy i mu się przyglądam.

– Naprawdę miałeś na mnie ochotę, odkąd zaczęłam tu pracować?

– Tak.

O rany, ale on wylewny. Mistrz konwersacji.

– To dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Nie było okazji.

– Przez rok?

– Przez osiem miesięcy. W niecały tydzień po twoim zatrudnieniu przypałał się do ciebie konus z handlowego, a ja nie lubię trójkątów.

Robię wielkie oczy.

– Skąd o nim wiesz? Nie pokazywałam się z nim w pracy.

– Jestem w tej firmie menedżerem, Mario. Jeśli potrzebuję informacji na jakiś temat, to po prostu je zdobywam.

Stalker. Ciekawe kogo o mnie wypytywał.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś interesującego? – Zakładam ręce na piersi.

– Niczego, co by mnie satysfakcjonowało. Dobrze, że z nim zerwałaś. Nie zasługiwał na ciebie. – Ma minę, jakby ktoś zalał mu herbatą świeżo wydrukowane analizy dla klienta.

Fakt, Karol na mnie nie zasługiwał. Ale wbrew temu, co twierdzi Jan, wcale nie był niski. Miał metr osiemdziesiąt, chociaż w zasadzie przy wzroście Jana może rzeczywiście uchodzić za konusa.

– Chodziłam z nim niecałe cztery miesiące. Później byłam sama.

– Później też nie było okazji.

– Widzimy się praktycznie codziennie. Pracujemy w tym samym departamencie.

– W departamencie pracuje prawie setka ludzi, Mario. Zawsze ktoś się kręcił w okolicy. W delegację jechać nie chciałaś, twoje nadgodziny nie przynosiły pożądanego efektu. Musiałbym kazać ci zostawać na noc, by biuro w końcu opustoszało.

Zatyka mnie. Nie wierzę.

– Dostawałam nadgodziny, bo chciałeś mnie zaliczyć, kiedy wszyscy pójdą do domu?

– Nie zawsze to było przyczyną twoich nadgodzin... Ale tak, można uznać, że większość z nich była podyktowana tym, żeby zostać z tobą sam na sam.

Jezu, zaraz mnie coś trafi.

– Jesteś chory. Nie mogłeś mnie po prostu zaprosić na kolację do restauracji jak normalny facet?

– Nie.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, unikam restauracji. Po drugie, i tak byś odmówiła.

Fakt. Uznałabym, że coś uszkodziło mu mózg.

– W pierwszym dniu pracy bym się zgodziła.

Unosi brwi. Patrzy na mnie, jakbym mówiła po hebrajsku.

– Kręciłeś mnie, Janie... – wyznaję. – Dopóki się nie odezwałeś – dodaję od razu. – Nawet nie powiedziałeś „dzień dobry”. Byłeś oschły, nieprzyjemny. A później to już była równia pochyła. Powiedzmy, że nie pałam do ciebie sympatią.

– Nie mogłem cię faworyzować. Byłem... Jestem twoim przełożonym. – Podchodzi bliżej. Patrzy tak, że brakuje mi tchu.

– Ale nie musiałeś być totalnym dupkiem.

Jan sięga kciukiem do moich ust i przesuwając nim po dolnej wardze.

– Jesteś piękna, Mario. – Oczy mu błyszczą. W szarych tęczówkach znów pojawiają się srebrzyste iskry. – Czy właśnie tak powinienem był się do ciebie odezwać pierwszego dnia?

Serce zaczyna mi walić ogłuszająco. Nie mogę uwierzyć, że podobałam mu się od tak dawna i nic z tym nie robił. Wręcz przeciwnie, zachowywał się jak totalny złamas.

Obejmuję ustami jego palec, którym sunie po dolnej wardze. Zaczynam go ssać, patrząc kokietyjnie w srebrzące się oczy.

Och, Jan. Niby doświadczony, inteligentny i stanowczy mężczyzna (menedżer departamentu zarządzający setką pracowników, kurna blaszka!), a nie potrafił

poderwać dziewczyny.

Żrenice Jana się rozszerzają, a oddech przyspiesza, kiedy przygryzam jego kciuk, muskając go językiem. Sięgam do krawata, rozluźniam wiązanie i rozpinam nieśpiesznie guziki koszuli.

– Masz takie seksowne usta – mówi niskim głosem.

Odsłaniam jego nagą klatkę piersiową, po czym łapię za pasek w spodniach, odpinam klamrę, guzik i rozpinam rozporek.

Jan wstrzymuje oddech, a ja ściągam mu spodnie wraz z bokserkami.

Nabrzmiała męskość wynurza się na zewnątrz. Czuję mrowienie między nogami.

– W sumie szkoda, że zmarnowaliśmy tyle miesięcy... – Klękam przed nim i biorę do ręki jego penisa. – Chyba musimy nadrobić stracony czas, nie sądzisz? – Patrzę na niego uwodzicielsko, a w głowie rozbrzmiewa mi głos rozsądku: co ja u licha wyprawiam? Ostatnia laska, którą robiłam, zakończyła się totalną porażką. Czy na pewno chcę przez to przechodzić jeszcze raz?

Głos jest jednak zbyt cichy, zbyt mało pewny siebie, by mnie powstrzymać.

Przesuwam dłonią po powiększającej się erekcji.

– Maria... – Jan wymawia moje imię ochrypłym głosem. Jego oczy płoną.

– Zastanawiałeś się kiedyś, jak by to było, gdybym przed tobą klęknęła tak, jak teraz?

Jego grdyka się porusza, kiedy przełyka ślinę.

– Tak.

– W samym staniku, w spódnicy, bez majtek...?

– Tak. – Nie spuszcza ze mnie płomiennego wzroku.

– A jak by to było, gdybym zaczęła cię lizać tak, jak teraz? – Przesuwam językiem po główce i zlizuję drobne kropelki świadczące o jego narastającym podnieceniu.

Oddech Jana przyspiesza. Jego kutas się napręża. Miękka, cienka skóra pokrywa się żyłkami.

– Marzyłem o tym – wyznaje seksownym głosem, od którego mam ciarki na całym ciele.

Odsłaniam napletek i przesuwam językiem od nasady aż po żołądź. Wyczuwam zapach mydła.

No proszę, umył się. Cóż za ulga.

W sumie nie wiem, dlaczego się dziwię. Przecież to Jan. Gdyby mógł, kazałby wszystkim pracownikom czyścić okna w biurze na święta.

Uśmiecham się sama do siebie, zdając sobie sprawę z tego, że zaczynam lubić mojego pojebanego szefa. Mało tego, chcę mu sprawić przyjemność. Podarować mały świąteczny prezent. Coś, o czym marzył od dawna.

Boże, jakie to jest cholernie podniecające, że Jan Engler marzył o mnie od roku.

– A zastanawiałeś się kiedyś, jak by to było, gdybyś wsadził mi go głęboko do buzi? – Obejmuję wargami jego kutasa.

Jan wciąga z sykiem powietrze. Jego mięśnie się napinają.

Wsuwam go do końca, aż brakuje mi powietrza, po czym wysuwam. Muskam go językiem; uśmiecham się figlarnie. Taka jestem kokietka. Niegrzeczna dziewczynka. Mów mi Maria nierządnica.

Przesuwam dłonią po sztywnym penisie i zerkam na mojego szefa, który wpatruje się we mnie rozognionym wzrokiem.

– Odpowiedz, Jan. Czy myślałeś o tym wszystkim?

– Tak – przyznaje gardłowo.

– Mhm... – pomrukuje jak kotka. – A jak by to było, gdybyś pieprzył mnie w usta tak, jak robiłeś to pod oknem? Bez zahamowań. Bez ograniczeń. Bez mojego sprzeciwu. Jakbym była tylko na twoje rozkazy? – Patrzę mu poddańczo w oczy i wkładam twardego kutasa głęboko do ust.

– O tak! – Jego źrenice się zapalają. Puszczają hamulce.

Wsuwa dłonie w moje włosy, zaciska na nich palce i dociska kutasa tak, że się krztuszę.

Wiedziała! Wiedziała, że drzemie w nim bestia!

Jan traci kontrolę. Zaczyna poruszać energicznie biodrami, posuwa mnie ze zwierzęcą żądzą, trzyma mocno za głowę. Dyszy ciężko, nie spuszczaając ze mnie drapieżnego wzroku. Jest tak podniecony, że i ja robię się mokra. Łapię za jego twarde pośladki, zamykam na nich palce, a on wysuwa się, po czym wchodzi tak głęboko, że momentami aż brakuje mi powietrza.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – mówi z trudem. – Przez ciebie tracę rozum. – Pieprzy mnie w usta, szybko, mocno, zatracam się w pożądaniu. Z jego krtani wydobywają się niskie pomruki, mięśnie są napięte do granic możliwości, aż nagle wstrzymuje ruch bioder. – Zaraz dojdę... – Zwalnia uścisk, wysuwa się ze mnie, lecz ja mu na to nie pozwalam. Przytrzymuję go za pośladki i ponownie przyjmuję jego pulsującego kutasa w usta.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była najwspanialszą kobietą na ziemi. Jakby nie widział teraz świata poza mną.

Odgarnia kosmyk włosów z mojego czoła. Widzę, że stara się utrzymać pożądanie na wodzy.

– Nie masz pojęcia, jak często o tobie myślałem. Jak bardzo cię pragnąłem – wyznaje.

O Boże. Tak mi mów!

Przyciągam go do siebie, pozwalając, by wypełnił mnie ponownie.

Jan wydaje z siebie odgłos rozkoszy. Przygryza wargę, napiera i cofa się biodrami. Tym razem robi to powoli, jakby się delektował moim widokiem. Wbija we mnie płonący wzrok, obserwuje, jak jego nabrzmiały kutas wślizguje się i wysuwa spomiędzy moich warg. Wygląda przy tym tak oszalamiająco, że aż sama wiję się z podniecenia. Wsuwam sobie rękę pod spódnicę i zaczynam się pieścić.

– O tak. Pokaż mi tę swoją rozkoszną cipkę. Wypnij się.

Wypycham posłusznie biodra, nie przestając go zadowalać, a wtedy on się nachyla, podciąga mi spódnicę i przesuwą dłonią po moim pośladku.

– Ubóstwiam twój tyłek, skarbie. – Ściska półdupek, po czym daje mi klapsa. Rozmasowuje skórę, a następnie podąża dłonią między krągłości i zaczyna gładzić moją cipkę. – I znowu jesteś dla mnie mokra. Jesteś moja...

Słyszę to z jego ust już drugi raz i nie wiem dlaczego, ale szalenie mi się to podoba. Myśl o tym, że mogłabym być naprawdę jego, a on mój, jest tak nieprawdopodobna, a zarazem tak ekscytująca, że czuję przyjemne ciepło na sercu.

Jan wsuwa w moją szparkę dwa palce, a ja zatracam się całkowicie w jego dotyku. Masuję łechtaczkę, pozwalając mu, by wypełniał moje usta swoim grubym fiutem.

– Chryste, Mario. Jak dobrze. – Jan dokłada trzeci palec. Wnika we mnie głęboko, rozpiera mnie od środka, trafia w najczulszy punkt, a przeze mnie przepływa gorący prąd. Przyśpieszam ruch głową, Jan napiera mocniej penisem na gardło. – O tak, właśnie tak – dyszy.

Czuję, jak wstrząsa nim dreszcz rozkoszy. Cały tężeje. Wyciąga ze mnie palce, prostuje się, odchyła głowę do tyłu, a z jego rozchylnych ust wydobywa się tubalne warknięcie.

Gorąca, ciepła sperma wycieka na mój język i spływa wprost do gardła.

Jan przenosi na mnie zamglone spojrzenie. Rozluźnia się. Widzę w jego oczach spełnienie, satysfakcję i, jasna cholera, nawet wdzięczność. Jest taki piękny, męski i bezbronny jednocześnie.

Połykam wszystko, oblizuję się i puszczam do niego oko. Na jego twarzy pojawia się coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam – najbardziej zniewalający uśmiech, jaki mogłabym sobie wyobrazić.

Rany boskie, warto było dać mu taki prezent tylko po to, żeby doświadczyć tego widoku.

– Jesteś niesamowita.

Podnosi mnie z kolan i nim zdążę stanąć stabilnie na zdrętwiałych nogach, odnajduje moje usta i przypiera mnie plecami do ściany. Całujemy się zachłannie, bez tchu. Nie wiem, co się dzieje, ale nigdy nie miałam z nikim takiej serii. Zazwyczaj po seksie mój facet po prostu szedł spać albo wracaliśmy do własnych spraw. Tymczasem z Janem jest zupełnie inaczej. Jakbym z każdym pocałunkiem uzależniała się bardziej od jego gorącego oddechu, z każdym dotykiem bardziej łaknęła jego ciała, z każdym zaspokojeniem dążyła do tego, by poczuć go ponownie, i jeszcze raz. Nasze języki pochłaniają się bez opamiętania, dłonie błądzą po ramionach, piersiach, brzuchu. Jan odnajduje palcami moją łechtaczkę i pragnienie ponownego spełnienia powraca. Napieram na jego dłoń, dając mu znak, żeby wsunął we mnie palce. Ale on najwyraźniej ma ochotę na coś innego.

– Chcę wylizać twoją cipkę – szepcze w moje usta i zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć, on już klęka przede mną na jedno kolano, podciąga spódnicę, zakłada sobie moją nogę na ramię i wbija się wargami w moją szparkę.

– O tak... – Opieram się całym ciężarem o ścianę i wczesuję palce w jego włosy. Widok jego przystojnej twarzy przy mojej kobiecości, jego oczu skierowanych wprost na mnie, wystarcza, bym poczuła mocny skurcz.

Jan mnie pochłania, liże, ssie, chwyta ustami łechtaczkę, by po chwili wsunąć język do środka i zacisnąć dłonie na moich drżących udach.

Wiję się, jęczę, jestem na granicy orgazmu, jego język wnika jeszcze głębiej.

– Tak. Właśnie tam... – Przyciskam jego głowę do siebie. Rozkoszuję się tą chwilą, tą pieszczotą, tym, jak bezgranicznie Jan łaknie mojego spełnienia, jak mocno mnie pragnie.

Wrzący prąd wypływa z wewnątrz i ogarnia całe ciało. Mięśnie cipki zaciskają się na języku Jana...

Dochodzę. Mocno, obezwładniająco, euforycznie.

Jan liże mnie delikatnie po wrażliwych płatkach; patrzy na mnie z zadowoleniem. Doskonale wie, że doprowadził mnie do nieziemskiej ekstazy. I jest z tego powodu cholernie dumny.

Tak, mój drogi szefie. Masz prawo być z siebie dumny oraz zadowolony – i to bardzo.

Ogarnia mnie uczucie błogości, bezwładności i jakiegoś wewnętrznego ciepła...

Wyczerpana osuwam się po ścianie na podłogę. Szumi mi w uszach, jestem wypompowana. Najchętniej zamknęłabym teraz oczy i odpłynęła w sen w ramionach mężczyzny, który doprowadził mnie dzisiaj (i to po raz drugi) do zniewalającego orgazmu.

Niespodziewanie jednak gdzieś z wnętrza odzywa się mały potworek, który domaga się swojej porcji nikotyny.

– Muszę zapalić – wzdygam.

Jan marszczy brwi i zapina spodnie.

Podejrzewam, że zaraz usłyszę od niego kazanie, jak to w ciągu dnia stanowczo zbyt często robię sobie przerwy w pracy na papierosa. Pewnie palnie mi jakąś moralizatorską gadkę o tym, że palenie jest niezdrowe, powoduje raka i choroby serca. Znam te wszystkie główniane hasła oraz obrazki, które szpecą każdą paczkę fajek. Dlatego zawsze wybieram te, na których przystojny pan leży sobie przykryty prześcieradłem i wygląda, jakby smacznie spał.

I szczerze, mam gdzieś, co powie Jan. Po takich seksualnych ekscesach muszę się porządnie zaciągnąć.

– Ja też – odpowiada niespodziewanie, a mnie zatyka.

– Ty palisz? – pytam. Nigdy nie widziałam go na fajce, nigdy też nie wyczułam od niego zapachu dymu.

– Nie miałem papierosa w ustach od dziesięciu lat. Ale teraz chce mi się palić jak diabli – oznajmia i podaje mi dłoń, żeby pomóc mi wstać z podłogi.

*

Wychodzimy z windy na korytarz na parterze. Trochę nam zeszło, zanim się zebraliśmy na dół (musiałam się znowu odświeżyć, odnaleźć majtki, włożyć rajstopy, kozaki i kurtkę), więc potwór nikotynowy, który zamieszkuje moje ciało, drze już z głodu japę wniebogłosy, dźgając mnie od wewnątrz ostrymi pazurami.

Kiedy zbliżamy się do przestronnego hallu, z radia na stróżówce rozlega się radosny głos Mariah Carey:

I don't want a lot for Christmas

There is just one thing I need

I don't care about the presents

*Underneath the Christmas tree
I just want you for my own
More than you could ever know
Make my wish come true
All I want for Christmas is you* ^[4]

Moje serce wykonuje podskok i ekscytuje się śpiewem mojej imienniczki. Zadziwia mnie fenomen tej piosenki. Słyszę ją rokrocznie, praktycznie odkąd pamiętam, i zawsze czuję jakiś niezrozumiały ucisk w żołądku. Może dlatego, że jako nastolatka w święta Bożego Narodzenia zamykałam się w pokoju, zakładałam słuchawki na uszy, puszczałam tę piosenkę i myślałam o swoim wymarzonym chłopaku, który wyrwie mnie z mojego popieprzonego domu i zabierze gdzieś w zaśniewane góry do przytulnej chatki? Będziemy pić grzańca, siedzieć przy kominku, aż w końcu on mi wyzna, że jedyne, czego pragnął w te święta, to ja, po czym pocałuje mnie tak, że odbierze mi dech.

I żyli długo i szczęśliwie...

– Piotrze, zmień stację. – Z rozmyślań wyrывa mnie burknięcie Jana. Ma minę, jakby połknął żywego karpia.

Strażnik posłusznie wykonuje polecenie i rozlega się śpiew George’a Michaela:

*Last Christmas, I gave you my heart
But the very next day you gave it away
This year, to save me from tears
I’ll give it to someone special* ^[5]

Kolejny fenomen. Powinnam już rzygać tą piosenką (i myślę, że niektórzy rzygają, i to całkiem daleko), a jednak, kiedy przypominę sobie teledysk, a w nim wypad na narty w góry ze znajomymi, wspólne ubieranie choinki, świąteczną kolację przy stole i to spojrzenie George’a zadurzonego po uszy w dziewczynię, która nie należy do niego, to moje serce zamienia się w truskawkową galaretkę... Też tak chcę!

– Wyłącz ten chłam – cedzi Jan przez zaciśnięte szczęki.

Jezu, co go ugryzło?

– Chyba Wham!. – Rzucam mu rozbawione spojrzenie, jednak on go nie odwzajemnia. Wygląda jak gradowa chmura.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę na jego twarzy taki uśmiech jak wtedy, gdy podarowałam mu świąteczny prezent w postaci lodu z niespodzianką.

Zerkam na strażnika i widzę, że z trudem się powstrzymuje, by nie wywrócić oczami, ale grzecznie przełącza stację, a tam Grace Jones intonuje *Libertango*.

*Strange, I've seen that face before,
Seen him hanging, round my door.
Like a hawk stealing for the prey,
Like the night waiting for the day* ^[6]

O tak, ten tekst zdecydowanie będzie bardziej pasował Janowi. Zwłaszcza ten jastrząb polujący na zdobycz.

– Drażnią cię tylko świąteczne piosenki czy po prostu nie lubisz całych świąt i wszystkiego, co z nimi związane? – pytam, ale on nie odpowiada. Wyciąga kartę magnetyczną z kieszeni spodni i przykłada ją do czytnika bramki.

Przechodzę pierwsza, a on tuż za mną.

Czuję na plecach jego oddech, czuję jego zapach, jego bliskość. To dla mnie zupełna nowość. Tam, na górze, byliśmy jak w bańce, w nierealnym świecie, gdzie rządziły nami popęd, namiętność i pożądanie. Tutaj jesteśmy na otwartej przestrzeni, w rzeczywistości, wśród innych ludzi...

To takie dziwne, wręcz surrealistyczne. Ja i on. Maria i Jan. Nadal nie mogę w to uwierzyć. To się chyba nie dzieje naprawdę.

Sięgam po chromowany uchwyt, ale Jan mnie uprzedza i otwiera przede mną drzwi. No proszę, jaki z niego dżentelmen.

– Dziękuję. – Zerkam na niego zalotnie, ale on wciąż ma taką minę, że aż się odechciewa na niego patrzeć.

Co go ugryzło?

Jak to co? Spadł mu poziom orgasmowych hormonów i na powrót jest sobą – gburowatym Janem. A na co ty liczyłaś, dziewczyno? Że zrobisz mu łaskę z połykiem, a on zmieni się w księcia na białym koniu? Oj, Marysiu, takie rzeczy tylko w amerykańskich komediach romantycznych i romansach w stylu harlequina.

Wychodzę na zewnątrz i uderza we mnie podmuch zimnego powietrza. Ale piździ. Śniegu po kostki, wszędzie białe i nadal pada.

Wyciągam z kieszeni kurtki paczkę papierosów i częstuję Jana.

– Ty pierwsza – mówi.

Dwa razy nie musi powtarzać. Chce mi się palić jak jasna cholera. Wyciągam szluga, odpalam i zaciągam się po samą przeponę.

O, jak dobrze. Pierwszy mach jest najlepszy. Drugi zapewne też byłby świetny, ale niestety nie dane jest mi go posmakować, bo Jan odbiera ode mnie papierosa i wkłada go sobie do ust. Obserwuję go, jak mruży powieki, kiedy dym wpada mu do oka, po czym się zaciąga, wstrzymuje dym i wypuszcza go przez nos.

O rany. Chodzący seks.

– Niedobry – stwierdza. Po chwili zaciąga się ponownie i odchyła głowę do tyłu, a kłęb dymu opuszcza jego usta.

– Właśnie widzę jaki niedobry – pryham, wyciągam nowego papierosa z paczki i odpalam. – Sprowadzam cię na złą drogę. Dziesięć lat abstynencji, a tu taki wyskok. I to w dniu, w którym ludzie starają się pilnować. Wiesz, co mówią: jaka Wigilia, taki cały rok.

– Nie wierzę w przesady. – Jan spogląda na mnie, a w jego oczach dostrzegam cień. – Ale ten akurat chyba się sprawdza.

– Chyba niezbyt. – Wypuszczam dym. – Gdyby się sprawdzał, to cały mijający rok powinien owocować w kłótnie z rodzicami i upijanie się do nieprzytomności na kanapie. A spędziłam go tak tylko w połowie. – Śmieję się, jednak on nadal jest poważny.

Przygląda mi się i zaciąga papierosem. Szalenie mnie nurtuje, co siedzi w tej jego głowie.

– O czym myślisz? – pytam.

– O tobie.

Jak miło.

– I co wymyśliłeś? – Biorę macha.

– Że muszę cię zwolnić.

Krztuszę się dymem.

– Co? – Kaszlę. – Chyba nie mówisz poważnie?

– A jak to sobie dalej wyobrażasz?

– Normalnie. – Odchrząkuję. Mam niesmak w ustach. – Tak jak dotychczas.

Jan unosi brew.

– Naprawdę sądzisz, że po tym, jak wziąłem cię od tyłu, pod oknem, w biurze... Jak pieprzyłem cię ostro w twoje seksowne usta, na korytarzu, w biurze... Jak rznąłem językiem twoją ciasną cipkę, również na korytarzu,

w biurze... Będziemy w stanie normalnie pracować, dzień w dzień, po minimum osiem godzin, w tym samym cholernym biurze?

Boże, co on z tym biurem? Rozumiem przecież, nie trzeba tak dosadnie. Przygryzam wnętrze policzka, bo oprócz tego, że wiem, co Jan ma na myśli, to dodatkowo muszę przyznać mu rację. Nic nie wróci do normy. Wszystko się popierdoliło.

– Ale nie możesz mnie z tego powodu zwolnić z pracy.

– Nie chodziło mi o radykalne zwolnienie. – Marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. Wygląda teraz poważnie, dojrzałe. Zaciąga się, wypuszcza dym i obserwuje, jak ten wznosi się coraz wyżej wśród kołujących płatków śniegu.

– To znaczy? O co ci dokładnie chodziło?

Podchwytuje moje spojrzenie.

– Nie mogę być dłużej twoim bezpośrednim przełożonym, Mario – mówi takim głosem, jakby żałował. – Po świętach zarekomenduję twoją kandydaturę do kierowniczkę działu rozwoju. Tak, jak tego chciałaś.

Czuję ukłucie między żebrami. Jeszcze dwa miesiące temu podskoczyłabym z radości i zaklaskała. Tymczasem wcale nie jest mi wesoło. Dział rozwoju jest na drugim piętrze, nasz na trzydziestym trzecim, a to oznacza, że w ogóle nie będę widywała Jana. Biorąc pod uwagę tryb pracy mojego szefa (niebawem już byłego), szanse, że w ogóle go jeszcze zobaczę, są marne. No chyba że będę robić wycieczki do finansowego, żeby skonsultować jakieś niecierpiące zwłoki sprawy.

Z przemyśleń wyrzywa mnie odgłos klaksonu. Przejeżdżający taksówkarz puka się w głowę, widząc jakiegoś pijaka, który zatacza się przy krawężniku. Dopiero teraz zauważam, że wokół jest praktycznie pusto, jakoś tak cicho, spokojnie. Dziwne, bo przecież jesteśmy praktycznie w centrum miasta.

Patrzę na ciemne okna opustoszałych biurowców. I nagle mnie oświeca.

Ja pierdzielę, wigilia u rodziców! Macam kurtkę w poszukiwaniu komórki, ale w kieszeniach mam tylko papierosy, zapalniczkę i gumy.

– Która godzina? – pytam Jana.

Wkłada papierosa do ust, unosi rękę, odsłania mankiet koszuli i mrużąc oczy od dymu, spogląda na zegarek.

– Dziewiętnasta dwadzieścia trzy.

– O kurwa. – Rzucam papierosa na ziemię i dopadam do drzwi.

Niech to szlag! Jestem spóźniona.

Wbiegam jak oparzona do hallu. Ciepłe powietrze sprawia, że robi mi się piekielnie gorąco. W dzikim pędzie postanawiam przeskoczyć przez bramkę, bo oczywiście nie mam ze sobą pieprzonej karty, a wtedy głos rozsądku wrzeszczy: zabijesz się, jesteś w spódnicy! Ignoruję go. Już się szykuję, żeby przerzucić nogę przez pałąk, kiedy słyszę za plecami głos Jana:

– Wstrzymaj konie, Mario. – Podchodzi spokojnym krokiem i leniwie wyjmuje kartę ze spodni, podczas gdy ja drepczę w miejscu, jakby chciało mi się siku.

– No pospiesz się, na Boga – syczę.

Jan przykładą plastik do czytnika i gdy tylko dźwignia opada, przeciskam się przez bramkę, a potem ruszam przed siebie, jakby ktoś wystrzelił mnie z procy.

Stukot obcasów zagłusza bicie mojego serca, a dobiegające ze stróżówki *Przybieżeli do Betlejem* wtóruje moim szybkim krokom. Mijam pędem choinkę, na której złocą się wielkie bombki i mrugają lampki, po czym w kilku krokach przemierzam korytarz, dopadam do windy i przyciskam guzik na panelu.

– Mogę wiedzieć, gdzie ci się tak śpieszy? – Jan staje przy mnie i wsuwa rękę do kieszeni.

Luzak jak się patrzy. Niech jeszcze zacznie kołysać się na piętach.

– Być może nie zauważyłeś, ale mamy dzisiaj Wigilię – przypominam, wpatrując się w drzwi, które rozsuwają się leniwie, jakby właśnie połknęły całą paterę sernika ze świątecznego stołu.

– Ktoś na ciebie czeka?

Jego pytanie wywołuje nieprzyjemny ucisk w gardle. Czeka? Dobre sobie. Jestem pewna, że cała rodzinka zaczęła beze mnie. Pewnie pałaszują już w najlepsze grzybową i psioczą, że Maryśka, wielka pani z korporacji, znowu się spóźnia. We łbie jej się poprzestawiało! A grosze tam takie zarabia...

W zasadzie nie mam bladego pojęcia, dlaczego w ogóle śpieszę się na tę pieprzoną wigilię. Przecież nie mam najmniejszej ochoty się z nimi widzieć, jeść z nimi kolacji, wręczać sobie nietrafionych prezentów, udawać, że jesteśmy szczęśliwą rodziną. Jestem rozdarta, totalnie skonfliktowana z samą sobą. Ale jakiś silny, wewnętrzny przymus każe mi spędzić ten wieczór właśnie z nimi. Tylko dlaczego?

Jak na zawołanie w głowie rozlega się głos przypominający kazanie księdza z ambony:

Bo tak nakazuje tradycja.

Bo to są rodzinne święta.

Bo to czas, kiedy trzeba sobie wybaczać.

Bo to moment pojednania.

Bo to okres miłości, pokoju i jedności.

Chryste Panie, księżu, ucisz się już, bo zbiera mi się na wymioty.

Jeden dzień w roku i co? Nagle wszystko się zmieni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Mam tak po prostu zapomnieć o wszystkich przytykach, kwaśnych minach, pouczeniach, jakich doświadczałam przez cały ten rok, przez całe cholerne życie?!

Czyż Jezus nie nauczał: „będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego?”. Dzisiaj jest wigilia jego narodzin, kiedy to powinno się jeszcze mocniej wziąć do serca jego mądre słowa. Tymczasem jesusowe przykazanie miłości obchodzi moich rodziców równie mocno jak to, że w kompcie z suszonych śliwek jest piętnaście pestek, a nie pięć.

Nigdy nie byłam przez nich miłowana, nigdy nie odczułam, że jestem dla nich ważna. Zawsze byłam Maryską, która im nie wyszła. Nie to, co mój brat.

Czuję znienawidzony ból między żebrami. Najchętniej wypięłabym się na nich w te święta i pokazała, że nie są mi do niczego potrzebni.

Dali mi życie, wychowali mnie na swój pokrętny, krytykancki sposób i na tym zakończyła się ich rola jako rodziców. Dlaczego więc ich po prostu nie oleję?

Bo jestem zwykłym tchórzem, który obawia się kolejnych moralizujących komentarzy. Wiem, że i tak zostaną wypowiedziane, niezależnie od tego, czy spóźnię się godzinę, czy półtorej, ale przynajmniej nie będę wysłuchiwać przez następny rok, że w ogóle nie raczyłam przywlec swojego szanownego tyłka w Wigilię.

Dobra. Pójdę tam dla świętego spokoju, odbębnię kolację i wrócę jak najszybciej do domu. Całe szczęście, że ominęło mnie dzielenie się opłatkiem. Nie ma nic bardziej odstręczającego niż fałszywe życzenia i nieszczerze całusy, i to w taki dzień.

– Powiedzmy, że ktoś czeka – odpowiadam Janowi i wchodzę do windy. – A na ciebie nie?

Przez jego twarz przemyka grymas, jakby ość karpia stanęła mu w gardle.

– Skończyłaś raport? – zmienia temat. Chyba uderzyłam w czułą strunę.

– Ten, który robił się sam, kiedy mnie posuwałeś? – odpowiadam żartem na żart.

Ale Jan wcale nie zamierza się uśmiechnąć. Nawet kącik ust mu nie drgnie, nawet powieka nie mrugnie.

– Twierdziłaś, że będzie dzisiaj gotowy. Liczę na to, że dotrzymasz słowa – oświadcza swoim nieustępliwym tonem szefa i wciska guzik na panelu.

Robię wielkie oczy. Nie no. On nie żartuje. Co za gad!

– Czy ty jesteś poważny?

– A czy sprawiam wrażenie, jakbym nie był?

Na podświetlanej tarczy wyświetla się liczba 33. Winda rusza do góry, a ja mam ochotę udusić tego pojeba gołymi rękoma.

– Jan, nie ma nawet takiej opcji, żebym go dzisiaj skończyła. Jadę na wigilię do rodziny. Raport jest prawie gotowy, trzeba tylko dodać kilka wykresów...

– Więc je dodasz, a później pojedziesz na wigilię.

– Nie – odpowiadam twardo. – Powinieneś się w ogóle cieszyć, że nie wzięłam dzisiaj urlopu na żądanie, tylko przyszłam do biura i wykonałam większość pracy.

– Wykorzystałaś już w tym roku cały urlop na żądanie, Mario – odpowiada beznamiętnie. – Podobnie jak wszystkie inne wolne dni, które ci przysługiwały. Trzy w marcu, sześć w maju i siedemnaście w lipcu.

Zaciskam zęby. Pieprzony kadrowy się znalazł!

– Pamiętasz grafik urlopowy wszystkich swoich pracowników czy wyłącznie ja dostąpiłam tego zaszczytu?

Milczy, a mnie to tak wnerwia, że aż się cała gotuję w środku. Nie dosyć, że jestem spóźniona na tę pieprzoną wigilię, to jeszcze ten, ten... zafajdany szefobot robi mi problemy.

Mam ochotę wygarnąć mu prosto w twarz, co o nim myślę. I tak właśnie robię. Staję przed nim i odzywam się ostrym tonem:

– Jesteś podłym egoistą – wyrzucam z siebie głosem pełnym złości. – Być może przeżyłam dzisiaj z tobą najlepsze orgazmy w swoim życiu, ale to był tylko seks. Wyzute z uczuć, zwierzęce pieprzenie, które mógł mi zafundować każdy inny facet w biurze...

Na jego zaciśniętej szczęce drga mięsień. Nie patrzy na mnie, wpatruje się chłodnym wzrokiem w drzwi windy.

Co za tupet. Mógłby chociaż łaskawie na mnie spojrzeć, kiedy do niego mówię!

– Jesteś zimny jak ryba w przycmentarnym stawie – ciągnę ze złością. – I oschły jak prochy nieboszczyka w urnie. Nie ma w tobie nawet krzty ludzkich uczuć. – Nakręcam się coraz bardziej. – Powiedz mi, jakim trzeba być służbistą, bezczelnym typem, samolubnym dupkiem, żeby wyjeżdżać z tekstem o obowiązkach pracowniczych w wieczór wigilijny, i to do osoby, z którą gziło się niespełna pół godziny temu?! – Podnoszę głos i celuję w Jana palcem wskazującym. – Jesteś draniem. Nie lubię cię. Tak bardzo cię nie lubię, że po

wyjściu z tej cholernej windy nie zamierzam się już nigdy do ciebie odezwać. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę cię znać. Rozumiesz?

Cisza. Chłód. Obojętność. Niewzruszenie.

Jan po prostu stoi jak posąg i patrzy przed siebie, jakby mnie tu nie było. Nie no. To już jest szczyt bezczelności.

– Kurwa, Jan, mówię do ciebie, a ty masz to głęboko w dupie. Odezwij się.

Odpowiada mi milczenie i brak kontaktu wzrokowego. A mnie odechciewa się wszystkiego. Zwieszam głowę. Nie, to bez sensu.

– Jesteś najbardziej podłym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam, i robisz mi ogromną przykrość. – Podnoszę na niego wzrok, ale on nadal nie raczy na mnie spojrzeć. – Nawet moi rodzice, którzy uważają mnie za totalne zero, to przy tobie anioły dobroci i szacunku. Oni przynajmniej są ze mną szczerzy i wiem, czego mogę się po nich spodziewać, podczas gdy ty potraktowałeś mnie jak zwykłą kurwę – dodaję z goryczą. Mocno pojechałam, i dobrze. Nie mam już nic do stracenia, oprócz pracy. – Wspaniałych świąt, Jan. Obyś dostał na gwiazdkę to, na co naprawdę zasługujesz.

Czyli pieprzoną różgą z kolcami po dupie – dodaję w myślach, po czym odsuwam się od niego jak najdalej.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. W moich oczach płoną gniew, rozgoryczenie, ale też smutek i rozczarowanie.

Och, ty naiwna Marysiu.

Och, ty pojebany dniu.

Nienawidzę Wigilii, nienawidzę świąt Bożego Narodzenia! – stwierdzam to definitywnie i w tej samej chwili gaśnie światło.

Wstrzymuję oddech. Co jest? Światło się zapala, ale tylko na sekundę, by za moment przygasnąć i rozproszyc się przytłumioną poświatą.

Winda zwalnia, wydając z siebie buczenie, i nagle zatrzymuje się gwałtownie. Łapię się uchwytu, zerkam na panel, a ten blaknie, jakby wyczerpały się w nim baterie. Klimatyzacja się wyłącza. Nastaje cisza jak w grobowcu.

Yyy, czy to nasze piętro?

I wtedy wszystkie światła gasną. Zapada zupełna ciemność.

What the fuck?

Nie mija kilka sekund, jak na panelu zapala się awaryjna diodka. W słabym świetle dostrzegam, że Jan wciska dzwonek alarmowy.

Czekamy oboje, wpatrując się ciemny panel, a tam głucho.

Jego kciuk ponownie ląduje na guziku. Nic.

– Tu jest numer telefonu do obsługi dźwigu. – Macam się po kieszeniach w poszukiwaniu komórki. Nie ma. Są tylko fajki, zapalniczka i gumy do żucia. Wszystkie moje rzeczy zostały na górze w torebce. – Zadzwoń do nich – nakazuje Janowi i biorę jedną pastylkę gumy do ust.

– Od kiedy to podwładna wydaje polecenia szefowi? – odpowiada ostro i ponownie wciska przycisk.

No proszę, a jednak potrafi mówić.

– Od wtedy, gdy szef zaczął myśleć fiutem zamiast mózgiem.

– Słucham? – Odwraca się do mnie.

– Gdybyś zachowywał się dzisiaj jak przystało na normalnego szefa, to do niczego by między nami nie doszło. Skończyłabym wcześniej raport i siedziałabym właśnie przy wigilijnym stole z rodzicami, zamiast utknąć z tobą w pieprzonej windzie.

– Z tymi samymi rodzicami, którzy uważają cię za totalne zero? – Unosi brew.

Zaciskam szczęki. To sobie zacytował.

– Nie łap mnie za słowa. Wolę ich towarzystwo od twojego. Chyba powiedziałam jasno, co o tobie myślę.

– I to nawet bardzo. Nie zgodziłbym się jednak z kilkoma stwierdzeniami.

– Naprawdę? Wprost umieram z ciekawości z którymi.

– Może zacznę od tego, że wcale nie potraktowałem cię jak... – Zawiesza głos. Odchrząkuje, jakby słowa stanęły mu w gardle.

– Jak kogo? Kurwę?

Krzywi się.

– Nigdy bym tak o tobie nie pomyślał, Mario. Nigdy. – Brzmi tak przekonująco, że prawie mu wierzę.

– Ale tak mnie potraktowałeś. Poczułam się jak dziwka, którą się wykorzystuje, żeby zaspokoić seksualne potrzeby, po czym odstawia się ją na boczny tor. Czy naprawdę ten cholerny raport jest aż tak ważny? Czy jakiś pieprzony ciąg cyfr, analiz i statystyk znaczy dla ciebie więcej niż ja?

– Nie.

– To dlaczego kazałeś mi go dokończyć, skoro doskonale widziałeś, że się spieszę?

Jan nie odpowiada, tylko wciska ponownie guzik tak mocno, aż bieleje mu palec.

– Jesteś beznadziejny. – Kręcę głową. – Czy możesz już zadzwonić po pomoc, zamiast molestować ten Bogu ducha winny przycisk?

- Nie mogę.
- Dlaczego?!
- Bo zostawiłem telefon na biurku.

No to wybornie. Będziemy tu siedzieć, aż ktoś się zorientuje, że winda nie działa. Oby to było tylko chwilowe wyłączenie prądu, a ochroniarz miał na tyle tęgą głowę, by skojarzyć, że niedawno wchodziliśmy do windy. Tak, na pewno skojarzy, na pewno wezwie pomoc i niebawem ktoś nas stąd wyciągnie.

A jeśli nie? Jeśli w całym budynku jest prąd, a tylko zasilanie windy się popsuło? Zerkam na kamerę w górnym rogu. Zawsze paliła się na niej zielona dioda. Teraz diody brak. Świetnie, jesteśmy odcięci od świata.

Robi mi się duszno. Nie słyszę dźwięku chodzącej klimatyzacji.

A co, jeśli zabraknie nam powietrza? Co, jeśli się tu podusimy, zanim w ogóle ktoś się zorientuje, że tu jesteśmy?

Ni stąd, ni zowąd napływa fala paniki. Na twarz bucha mi strumień gorąca, serce wali ogłuszająco, coś uciska klatkę piersiową.

Muszę się stąd wydostać. I to zaraz.

Dopadam do drzwi i zaczynam mocno w nie uderzać, wzywając pomocy.

- Co robisz? – Rozlega się opanowany głos Jana.
- Muszę stąd wyjść. – Walę w drzwi i krzyczę „ratunku”.
- I to, co teraz robisz, ma niby pomóc? – mówi tak spokojnym głosem, że tylko narasta we mnie większa panika.
- Strażnik mnie usłyszy i wezwie pomoc.
- Jesteśmy na jakimś trzydziestym piętrze, Mario. Nawet gdybyś zaczęła wrzeszczeć przez megafon, to by cię nie usłyszał.
- Och, zamknij się. Przynajmniej coś robię. – Chwytam za szczelinę między rozsuwanymi drzwiami, ale jest zbyt wąska, żeby zacześć w niej palce.
- A teraz co robisz? – Pada kolejne wkurwiające pytanie.
- Nie widzisz?! Zamierzam otworzyć drzwi.
- Hm. Otworzyć drzwi. A po co?
- Jak to po co? Żeby nas uratować.
- Uratować. – Jego głos brzmi jakoś inaczej, mniej sztywno, jakby...

Zaraz, czy on się ze mnie śmieje? Odwracam się i nie wierzę własnym oczom. Momentalnie panika się ulatnia równie szybko, jak się pojawiła, a moje serce zamienia się w pudding waniliowy. Szeroki uśmiech w wykonaniu Jana wart jest miliony. To się nazywa skuteczne odwrócenie uwagi.

– Mario, to, co robisz, jest absurdalne i nie ma najmniejszego sensu. – Patrzy na mnie z taką pobłażliwością, jakbym była małym dzieckiem, które próbuje na palcach dosięgnąć cukierków z najwyższej półki.

No i czar pięknego Jana prysł.

– Sam jesteś absurdalny – odburkuję. – Ja przynajmniej próbuję ratować nam życie, podczas gdy ty stoisz beczynnie jak kołek i suszysz te swoje nieskazitelne, równe kły. Wielki pan menedżer od siedmiu boleści – pryham. – Wziąłbyś się do roboty jak prawdziwy facet, użył tych swoich mięśni i otworzył drzwi, żebyśmy mogli wyjść.

Jan kręci głową.

– Nieważne, co ma się tu... – obejmuje biceps na swoim ramieniu – ...tylko tu. – Puka palcem w skroń.

– O co ci, do diabła, chodzi?

– O to, że wystarczy najpierw pomyśleć. Dźwigi są projektowane jak pomieszczenia bezpieczeństwa.

– I?

– Najbezpieczniej jest wewnątrz. Otwarte drzwi kabinowe albo szybowe to klasyczna gilotyna. Szkoda twojej pięknej główki, więc zostaw je już w spokoju. I tak nie dasz rady ich sama otworzyć, poza tym niepotrzebnie marnujesz energię. Nie mamy nic do jedzenia ani do picia, a oczekiwanie na przybycie konserwatorów w taki wieczór jak dzisiaj może trochę potrwać.

– Co znaczy trochę?

– Nie mam pojęcia – odpowiada, po czym siada pod ścianą.

Rzadko się zdarza usłyszeć takie słowa z ust Jana. Akurat teraz, kiedy mogłby się wykazać błyskotliwością i inteligencją, on twierdzi, że nie ma, kurwa, pojęcia. Chyba powinnam go nagrać na dyktafon... Ale nie mam telefonu. Jestem odcięta od świata. Uwięziona w windzie...

Znowu robi mi się duszno.

– A jeśli zabraknie nam powietrza? – Drży mi głos.

– Nie zabraknie.

– Skąd ta pewność? Nie działa klimatyzacja.

– Wentylacja grawitacyjna w szybie. – Pokazuje na otwory w suficie.

Przygryzam skórę od kciuka. Że niby tych kilka dziurek ma nam dostarczyć odpowiednią ilość tlenu?

Jan najwyraźniej dostrzega mój lęk, bo odzywa się nieco łagodniej:

– Mario, spokojnie.

– „Spokojnie” to najbardziej denerwujące słowo na świecie – warczę.

– Nic takiego się nie dzieje.

– Nie dzieje, tak? Utknęliśmy w windzie, Jan! Nie wiem, jak często zdarza ci się coś takiego, ale dla mnie to pierwszy raz.

– Dla mnie też.

– Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni. – Pocieram ręką czoło, bo czuję, że dopada mnie zmęczenie całym tym dniem.

Siadam po przeciwnej stronie niż Jan, wyciągam przed siebie nogi i zerkam na kamerę.

– Monitoring nie działa. Może ochroniarz się zorientuje, że coś jest nie tak, skoro nie będzie obrazu z windy?

– Są na to spore szanse. Postaraj się po prostu cierpliwie poczekać. Ktoś nam na pewno pomoże.

– Obyś miał rację. – Opieram głowę o ścianę.

Zapada między nami cisza, która z kilku sekund przedłuża się w kilka minut, a może nawet kilkanaście? Panujący półmrok wywołuje senność. Ziewam i wtulam się w kołnierz kurtki. Staram się nie patrzeć na Jana, ale trudno jest uniknąć jego spojrzenia, kiedy mi się przygląda. Poza tym siedzimy w puszcze, naprzeciwko siebie, na co niby mam patrzeć, na swoje buty? To normalne, że jego twarz przyciąga mój wzrok, tym bardziej że nawet w półmroku wygląda cholernie korzystnie.

Maryśka, pamiętaj, Jan to skończony dupek. Kazał ci dokończyć jakiś durny raport, chociaż doskonale wiedział, że spieszysz się na wigilię. Zupełnie jakby te wyliczenia były sprawą życia i śmierci.

– Dlaczego ten raport jest taki ważny? – pytam.

– To roczne podsumowanie dla klienta. Nasza firma istnieje dzięki klientom, jeśli zapomniałaś.

– Nie zapomniałam, tylko jaki szurnięty klient potrzebuje raportu w okresie świątecznym? Czy takich zestawień nie przesyła się z końcem roku?

– Przesyła – odpowiada, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

Mrużę oczy. Zaraz, zaraz.

– To dlaczego nie mogłam go dokończyć po świętach?

Z gardła Jana zamiast odpowiedzi wydobywa się niski pomruk. Odwraca wzrok.

Oho, coś tu nie gra.

– Jan, dlaczego ten raport musi być skończony dzisiaj?

Przenosi na mnie spojrzenie i wbija we mnie twardy wzrok.

– Nie musi.

Rozdziawiam usta. Nie musi? Kurna...

– Dobra, Janie, koniec z tym. Kawa na ławę. Chcę, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań.

– Nie lubię tego typu zabaw.

– To nie będzie zabawa, tylko dojrzała rozmowa dorosłych ludzi. Dlatego albo weźmiesz w tym udział, albo nadal będę uważać cię za złamasa.

Jan przewierca mnie spojrzeniem; jego oczy w półmroku zdają się mieć kolor morskiej otchłani.

– Pytaj.

No, to rozumiem. Od czego by tu zacząć, aby się nie wygłupić, a uzyskać odpowiedź na najbardziej nurtujące mnie pytanie?

– Co robisz w Wigilię w pracy?

– Pracuję.

– Jasne. Tylko dlaczego pracujesz, kiedy wszyscy inni ludzie szykują się do świąt i spędzają ten czas z bliskimi?

– Nie mam się na co szykować. Moi bliscy są daleko.

– Rozwiń.

– Mój ojciec jest na Majorce ze swoją konkubiną. A młodsza o dwadzieścia lat siostra wyjechała z chłopakiem i znajomymi.

– Wspomniałeś o ojcu, a co z matką?

– Zmarła dwanaście lat temu.

O cholera. No to pojechałam.

– Przykro mi.

– Teraz ja. – Krzyżuje wyciągnięte nogi w kostkach. – Co robisz w Wigilię w pracy? – powtarza po mnie, a ja mimowolnie się uśmiecham.

– To ja miałam zadawać pytania.

– Odpowiedz.

– Pracuję.

– Dlaczego pracujesz, kiedy wszyscy inni ludzie szykują się do świąt i spędzają ten czas z bliskimi?

Prycham.

– Zżynasz ze mnie pytania. Nie potrafisz wymyślić własnych?

– Odpowiedz. Dlaczego dzisiaj pracujesz?

- Bo mi kazałeś.
- Mogłaś wziąć urlop.
- Jak sam zdążyłeś zauważyć, nie mam już urlopu, który mogłabym wykorzystać.
- Mogłaś wziąć bezpłatny.
- Którego byś mi nie udzielił.
- Racja. Mogłaś wziąć zwolnienie lekarskie.
- Żebyś nasłał na mnie ZUS? Nie, dziękuję.

Jan kręci głową.

– Nikt z ZUS-u nie zrobiłby ci kontroli z powodu jednego dnia i nie przyszedłby do ciebie w Wigilię, a ty dobrze o tym wiesz. Dlatego zapytam po raz trzeci: dlaczego pracujesz, kiedy wszyscy inni ludzie szykują się do świąt i spędzają ten czas z bliskimi, Mario? Dlaczego nie przygotowujesz wigilijnej kolacji z matką, dlaczego nie ubierasz choinki z ojcem?

Zaciskam zęby. Jestem na niego zła, że zapytał mnie akurat o to. Mam za swoje. Sama to zaczęłam. Wiem, że nie muszę odpowiadać, uzewnętrzniać się, i to przed nim. Mimo to słowa same wypływają z moich ust, jakbym potrzebowała wreszcie wyrzucić z siebie to, co tak mnie boli. Oczyszczyć się.

– Bo nie lubię spędzać czasu z moją rodziną. Bo uważają mnie za totalną porażkę. Bo woleliby zamiast mnie mieć jeszcze jednego syna, który byłby wierną kopią mojego brata, zbijającego kokosy na sprzedaży aut w komisie samochodowym.

Jan przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Nie dziwne, że ich nie lubisz. Nie znają się – mówi całkiem serio. Nie spodziewałam się po nim takiej miłej odpowiedzi.

– Dzięki, Janie – rzucam z lekkim uśmiechem i już spieszę, żeby zadać mu własne pytanie, bo nieco odbiegliśmy od tematu. – A teraz mi powiedz, kiedy musi być oddany raport, nad którym siedzę od tygodnia?

– Niebawem.

Cwaniak.

– Dokładnie. Do kiedy?

Przesuwa dłonią po karku, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Widzę niepewność w jego spojrzeniu.

Kurde, czy mi się zdaje, czy on się miota? Miotający się Jan, tego jeszcze nie grali.

– Jan, odpowiedz mi, proszę.

Wciąga powietrze przez nos i wypuszcza je ciężko.

– Do dziesiątego stycznia.

– Do kiedy?!

No nie! Zaraz go szurnę.

– Do dziesiątego stycznia.

– Nie wierzę. Czy ty jesteś poważny? Dlaczego w takim razie kazałeś mi zostać dzisiaj, żeby go dokończyć? – pytam wprost.

Już się nie miota. Siedzi pewny siebie, patrzy mi prosto w oczy i odpowiada zdecydowanym głosem:

– Bo chciałem spędzić ten wieczór z tobą.

Ożeż w mordę. Ożeż jasna cholera!

No to mnie zatkało. Serce bije mi tak mocno i szybko, że czuję je w całym ciele. Jan, ty sieroto! Nie mogłeś tak od razu?! A ja go tak niemiłosiernie zjechałam. Ale ze mnie suka, i to do kwadratu! Wyrzuty sumienia zaraz zmiażdżą mi klatkę piersiową.

Jan nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby czekał, aż coś powiem. A ja nie mogę wydusić z siebie ani jednego słowa. Tętno mi pulsuje tak żywo, że zaraz eksplodują mi żyły. Biorę kilka spokojnych wdechów. Nie mogę w to uwierzyć. A może to wszystko jest kolejnym popieprzonym snem?

Boże, proszę cię, żeby to nie był sen. Szczypię się w dłoń tak mocno, że aż podryguję. To się dzieje naprawdę, to...

– Powiesz coś? – Jan przygląda mi się przenikliwie.

Czy powiem? Oczywiście, tylko niech odzyskam mowę. Odchrząkuję. Jest fonia. Charcząca, ale jest.

– Dlaczego nie zapytałeś mnie wprost, czy zostanę? – Głos mi się rwie. Serce wciąż wali ogłuszająco.

– Ponieważ byś odmówiła.

– Skąd wiesz?

– A chciałabyś spędzać ten wieczór w biurze, ze mną? Bez tej całej szopki z grzybową, karpiem, sernikiem i kolędami?

– Nie lubię sernika...

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem, ale mogliśmy uniknąć tego cyrku i po prostu pójść do restauracji na wigilijną kolację. Jak normalni ludzie. Jest dużo opcji w ten wieczór dla tych, którym nie chce się organizować imprezy w domu, lepić pierogów, nakrywać

stołu... – Bo do moich starszych na pewno bym cię nie zabrała. Nie zniosłabym serii upokorzeń, którą zafundowaliby mi rodzice, kiedy siedziałbyś obok mnie.

– Ja nie obchodzę tradycyjnej wigilii, Mario.

Unoszę brwi.

– Jesteś innego wyznania?

– Nie. Po prostu... – Przesuwa dłońmi po twarzy. – Nie przepadam za świętami.

– Nie ty pierwszy i nie ostatni – odpowiadam swobodnie, chociaż widzę po jego wyrazie twarzy, że chodzi o coś więcej niż tylko świąteczna gorączka i męczarnie podczas spotkań rodzinnych. – Jest jakiś konkretny powód?

Przymyka powieki i opiera głowę o ścianę. Nie trzeba być psychologiem z dyplomem, żeby się domyślić, że coś go dręczy. Że święta kojarzą mu się z czymś nieprzyjemnym.

Rany, takiego Jana jeszcze nie widziałam. Aż żal patrzeć.

– Dobrze się czujesz?

Otwiera oczy, po czym, ku mojemu zdziwieniu, unosi lekko kąciki ust.

– Nie sądzisz, że trochę to dziwne pytać zimną rybę z przyimentarnego stawu o to, jak się czuje?

Boże, to mi dosrał. Ale należało mi się.

– Przepraszam za tamto. Nie mówiłam poważnie.

– Mówiłaś.

– No dobrze, mówiłam. Ale tylko dlatego, że mnie wkurzyłeś. Nie mogłeś być ze mną po prostu szczerzy?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo mi na tobie zależy.

Moje serce podskakuje. Uderza mnie fala gorąca. Chryste, czy on sobie zdaje sprawę z tego, co właśnie powiedział? Przecież ja tu dzisiaj zejść na zawał!

Odchrząkuję, bo mam taką gulę w gardle, że ledwie mogę przełykać ślinę.

– Poczekaj, bo się pogubiłam... – Pocieram dłonią czoło. Jest całe mokre. Pocę się jak świnia. – Zależy ci na mnie, więc postanowiłeś mnie oszukać?

– Zależy mi na tobie, dlatego nie chciałem, żebyś sobie poszła.

Jezu, co za pokręcony tok rozumowania. Co ten człowiek ma w głowie?

– Tylko że wcale bym sobie nie poszła. Zostałabym z tobą – wyznaję.

– Dlaczego?

Okej, wchodzimy na grząski grunt. Przygryzam wargę; patrzę na niego. Śledzę zarys jego twarzy i dostrzegam zupełnie innego Jana niż ten, z którym pracowałam przez ostatni rok. Dociera do mnie, że to, co się między nami teraz dzieje, to coś więcej, to coś, na co czasami czeka się latami. Czuję trzepotanie w żołądku. Mam cholerną motylarnię w brzuchu.

– Zostałabym z tobą, bo chyba cię lubię – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Mruży oczy.

– Dopiero co mówiłaś, że mnie nie lubisz. I to bardzo.

Krzywię się.

– To było po tym, jak kazałeś mi robić ten cholerny raport, a przed tym, co mi przed chwilą powiedziałeś.

Kręci głową.

– Nie rozumiem kobiet – mówi tak, jakby naprawdę ich nie rozumiał. A ja mam ogromną ochotę pociągnąć go nieco za język. I wcale nie dlatego, że jestem zazdrosna o jakieś inne baby, które były w jego życiu.

– Masz na myśli jakieś konkretne kobiety czy mówisz ogólnie?

– I tak, i tak.

To się dowiedziałam. Podejście numer dwa.

– Rzadko się spotyka mężczyzn w twoim wieku, którzy są kawalerami, do tego na takim stanowisku i z takim wyglądem... Pewnie masz wiele adoraterek. – No dobra, trochę połechtałam jego ego, choć pewnie Jan zna swoją wartość na tyle, że niepotrzebne mu takie płytkie komplementy.

– Nie jestem kawalerem, Mario.

Co?! Moje serce na moment zamiera. Kurwa mać. Jan jest żonaty? Błądzą spanikowanym wzrokiem po jego dłoniach, choć doskonale wiem, że nie nosi obrączki. Najwyraźniej domyśla się moich obaw, bo dodaje po chwili:

– Jestem rozwodnikiem.

Uff. O Boże, jaka ulga. Wiem, że to nie te święta, ale: Alleluja!

Jan był kiedyś żonaty... Mam w głowie miliard pytań i czuję, że zaraz wypalą mi dziurę w płacie czołowym, jeśli nie wypowiem ich na głos.

– Utrzymujesz kontakt z byłą żoną?

– Nie.

Prawidłowa odpowiedź.

– I długo jesteś po rozwodzie?

– Sześć lat.

Czyli miał trzydzieści dwa lata, kiedy się rozwiódł. To dosyć szybko, niektórzy w tym wieku dopiero decydują się na ślub.

– Niezgodność charakterów?

– Zdrada. – Otwieram szeroko oczy, ale nim zdążę oskarżyć Jana w myślach o niewierność, on dodaje: – To ona zdradziła.

Od razu przypominam sobie jego słowa, które nabierają głębszego znaczenia: „Wolałbym, żebyś nie była typem kobiety, która zdradza swojego mężczyznę. Nie toleruję zdrady”.

– To musiało być bolesne... – odzywam się najdelikatniej, jak potrafię.

– To było upokarzające. – Widzę, że wspomnienia o byłej żonie wzbudzają w nim niechciane uczucia. Wiem też, że nie powinnam ciągnąć tego tematu, ale...

– Nie wszystkie kobiety zdradzają swoich mężczyzn – wypalam. Na przykład ja nie zdradzam.

– Dopóki nie mają ku temu powodu.

– To znaczy?

– To znaczy, Mario, że jeśli jesteś dwudziestodwuletnią, zdrową kobietą, która marzy o dziecku, a twój mąż nie może dać ci tego, czego pragniesz, to zaczynasz szukać takiego mężczyzny, który spełni twoje marzenia.

Zamieram. Coś ściska mi pierś. A to suka!

– Twoja była to podła małpa – stwierdzam zgodnie z prawdą. – Przecież istnieją różne sposoby na zapłodnienie, nie trzeba od razu kopulować z innym samcem, żeby mieć potomstwo. Skoro wiedziała, że nie możesz mieć dzieci...

– Nie wiedziała – przerywa mi.

– Nie?

– Staraliśmy się o dziecko od trzech lat. Kamila robiła wszystkie możliwe testy... Ja jednak się opierałem. Nie chciałem nawet słyszeć, że coś jest ze mną nie tak. Między nami zaczęło się psuć, choć od początku nie było jakoś dobrze. W końcu, bez jej wiedzy, zdecydowałem się zbadać. – Przesuwa dłońmi po twarzy. – Odbiór wyników, cała ta popieprzona rozmowa z lekarzem, były jednym z najgorszych doświadczeń w moim życiu. Żadnemu mężczyźnie nie życzę tego, by usłyszał taką diagnozę. Nie było minimalnych szans na to, bym kiedykolwiek miał potomstwo. – Na jego czole pojawia się pionowa zmarszczka. – To było w Wigilię Bożego Narodzenia. Po wizycie wróciłem do domu, byłem totalnie rozbity. Kamila natomiast promieniała, krzątała się po kuchni, śpiewała cholerne kolędy pod nosem. W całym domu pachniało grzybami, smażonym karpem, kapustą z grochem, ciastem... A ja miałem ochotę wypieprzyć całe to żarcie przez okno, razem z choinką, ze wszystkim. Ale się

powstrzymałem. Nie zamierzałem tego dnia wyznawać żonie prawdy, że nigdy nie będziemy mogli mieć wspólnych dzieci. Udawałem więc, że wszystko jest w porządku. – Zatapia się we wspomnieniach. Na zaciśniętej szczyście drga mięsień. – Po kolacji Kamila wręczyła mi prezent, który od rana leżał pod choinką. Małe pudełko, w którym najpewniej znalazłbym zegarek albo spinki do mankietu... Tylko że to nie było ani jedno, ani drugie. To były niemowlęce skarpetki. Dla dziecka, które moja żona zrobiła sobie z kimś innym.

Jan spuszcza głowę i wsuwa dłonie we włosy. Nie musi mówić nic więcej. I tak powiedział już dużo, jak na niego to nawet bardzo dużo. Wolę nie myśleć, ile to wyznanie go kosztowało, jak się czuł, kiedy odpakował tamten prezent...

Boże, Jan...

Moje serce pęka, a równolegle, gdzieś w środku, narasta ekstremalna wściekłość na tę obślizgłą pizdę, która tak bardzo skrzywdziła MOJEGO JANA. Zaczyna się we mnie gotować.

Co za kawał kurwy z tej jego byłej żony! Nie dosyć, że go zdradziła, to jeszcze chciała mu wcisnąć nie jego dziecko. Mam ochotę wyważyć te cholerne drzwi od windy, znaleźć sukę i wytarzać ją za włosy w krowim łajnie.

Ale jeszcze bardziej pragnę przytulić Jana. Po prostu objąć go mocno, poczuć bicie jego serca i podarować mu chociaż odrobinę czułości, na jaką zasłużył.

Jest mi tak cholernie smutno z powodu tego, co go spotkało. Mam tak ogromne wyrzuty sumienia, że mu dzisiaj naubliżałam, że zaraz się poryczę.

Wstaję z podłogi, podchodzę do niego i siadam na nim okrakiem.

Jan się wzdryga, podnosi głowę. W jego oczach jest tak wiele emocji, że nie potrafię ich zinterpretować.

– Co robisz? – pyta.

– Chcę cię przytulić.

Krzywi się.

– Nie rób tego, Mario. – Słyszę głęboki tembr jego głosu.

– Czego?

– Nie przytulaj mnie. Nie lituj się nade mną. Litość to ostatek, czego od ciebie chcę.

Podnoszę wzrok i zaglądam w jego oczy, w których mam ochotę utonąć.

– To nie litość.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię – odpowiadam szczerze. – To coś znacznie bardziej złożonego. – Zbliżam usta do jego ust i go całuję.

Jego wargi są gorące, miękkie. Pragnę ich tak bardzo, że zaraz oszaleję. Przesuwam po nich językiem. Jan początkowo siedzi nieruchomo, jakby zamarł, lecz po chwili je rozchyła i odpowiada na pocałunek. Nasze języki pieszczą się nieśpiesznie, czule upajają się swoją bliskością. W żołądku wiruje mi tajfun, a w żyłach wrze krew. Obezwładnia mnie bliskość Jana. Sama jego obecność, jego oddech, wszystko to, co wydarzyło się dzisiaj, mąci mi w głowie, odbiera zdolność racjonalnego myślenia. Jest mi gorąco, tak diabelnie gorąco. Pożądam tego mężczyzny i to nie tylko fizycznie. Chcę, żeby do mnie mówił, żeby na mnie patrzył, żeby był obok, żeby był ze mną. Żeby otwierał się przede mną tak, jak zrobił to kilka minut temu.

Mój Boże, czuję się tak, jakbym się w nim zakochiwała. Jak to w ogóle możliwe, że jeszcze kilka godzin temu go nienawidziłam (i to od roku!), a teraz się w nim zadurzam i łaknę jego obecności całą sobą? Przecież to irracjonalne, śmieszne wręcz, jakby coś sformatowało mi mózg i w miejscu starego folderu: „Nie cierpię mojego szefa” wgrało nowy: „Zaczynam bujać się w Janie”.

– Jan... – Wymawiam jego imię i przechodzi mnie przyjemny dreszcz. Nigdy mnie coś takiego nie spotkało, nigdy nie sądziłam, że można się tak w ogóle czuć. – Pragnę cię – wyznaję w jego usta.

– Mimo tego, że jestem oschły jak prochy nieboszczyka w urnie? – Uśmiecha się, ale mnie wcale nie jest wesoło.

Odsuwam się i patrzę mu w oczy. Nieziemsko piękne, zniewalające oczy. Jestem podłym człowiekiem. Jak mogłam mu tak nawrzucać?

– Przepraszam, że tak cię wyzwalam. Jest mi naprawdę cholernie głupio.

– To mi nie wystarczy, Mario. – Sięga do ekspresu mojej kurtki i powoli go rozsuwa. – Musisz się nieco bardziej postarać, jeśli mam ci wybaczyć. – Jego oczy błyszczą, kiedy wodzi wzrokiem po moim dekolcie.

Zsuwam z siebie kurtkę, a on sięga do haftek stanika i go rozpina. Ściągam ramiączka, odchylam miseczki...

– Tak lepiej? – Uśmiecham się zadziornie i obnażam się przed nim całkowicie. Jego źrenice się rozszerzają.

– Idzie ci całkiem nieźle... Ale to jeszcze za mało. – Zamyka w dłoniach spragnione pieszczoty, zaciska na nich palce i przesuwając kciukami po nabrzmiętych brodawkach.

Moje ciało instynktownie wygina się w łuk.

– O tak, skarbie. Taką mógłbym cię oglądać co rano w moim łóżku. – Jan przywiera ustami do prawej piersi, oblizuje ją, po czym zaczyna ssać.

Czuję mrowienie między udami i instynktownie poruszam biodrami. Ocieram się o Jana, wyczuwając jego powiększającą się wypukłość, i wsuwam dłonie w jego włosy.

Wiję się na nim, pozwalając, by całował moje piersi, dekolt, szyję. Ruchy moich bioder są bardziej niecierpliwe, napieram mocniej na jego kutasa prężącego się w spodniach. Odnajdujemy na powrót swoje usta. Nasze pocałunki są żywiołowe, nagłe, namiętne.

Niecierpliwymi dłońmi zdejmuję mu krawat (no naprawdę, mógłby już go sobie darować!), rozpinam guziki koszuli, a kiedy wyczuwam pod palcami twarde mięśnie, przesuwam po nich paznokciami i mruczę:

– Masz zabójcze ciało.

– Cały jestem zabójczy, Mario. – Unosi biodra i napiera na moje krocze jędrną męskością.

Przeszywa mnie dreszcz, przywieram do niego mocniej, kołysząc się i ocierając o jego wzwód. Całuję go po torsie, przeciągam językiem po napiętym brzuchu, schodzę coraz niżej, rozpinam klamrę paska.

Jan wbija we mnie rozognione spojrzenie, ma lekko rozchylone usta, jakby z napięciem wyczekiwał na to, co się za chwilę stanie. Odpinam suwak, wyciągam przyrodzenie i przesuwam po nim dłonią.

Z gardła Jana wydobywa się niski pomruk.

– Przepraszanie idzie ci coraz lepiej.

Uśmiecham się kokieteryjnie i wykładam penisa do ust. Biodra Jana samoistnie się unoszą, a ja zaczynam pieścić go ręką, wargami, językiem, zębami.

– Jesteś niesamowita. – Odgarnia włosy z mojej twarzy i owija je sobie wokół dłoni. Świdruje mnie pożądliwym wzrokiem, jego oczy płoną, a ja zadowolam go tak, jak potrafię najlepiej. Nawet nie przypuszczałam, że seks oralny będzie mi kiedykolwiek sprawiał aż taką przyjemność.

– Wystarczy. Chodź tu do mnie. – Unosi moją twarz, a ja wypuszczam go z ust i ocieram je wierzchem dłoni.

Jan przyciąga mnie do siebie i całuje namiętnie, łapczywie, pożądliwie. Klęczę w rozkroku między jego biodrami i pozwalam, by sunął dłońmi po moich udach, pośladkach. Wyczuwam w jego dotyku zniecierpliwienie.

– Jesteś przywiązana do tych rajstop? – pyta wprost w moje usta.

– Niezbyt, a co?

Sięga obiema dłońmi do mojego krocza i rozdziera cienki nylon.

– A do majtek? – Tym razem nawet nie czeka na odpowiedź, tylko rozrywa je jednym ruchem.

O rety, zaraz dostanę orgazmu.

– To francuska koronka – udaję oburzoną (tak naprawdę majtki są za dychę, z bazaru).

– Kupię ci nowe, na święta. – Przejeżdża palcami po mojej mokrej szparce i wsuwa w nią dwa palce, a ja jęczę z rozkoszy. – Kupię ci wszystko, czego zapragniesz, Mario – mówi niskim tonem, a ja mam gęsią skórę na całym ciele.

– Wszystko, czego pragnę na święta, to ty – odpowiadam.

Jan zaprzestaje pieszczoty.

– Czy ty właśnie zacytowałaś tekst tej tandetnej piosenki? – pyta z niedowierzaniem.

Wzruszam ramionami i uśmiecham się niewinnie.

– No co? Próbuję odczarować dla ciebie święta.

– Znam na to zdecydowanie lepsze sposoby. – Wysuwa ze mnie palce, sięga po moją rękę i kładzie ją na swoim kutasie. – Dosiądź mnie – prosi chropowatym głosem, a po moim ciele przebiega dreszcz.

Przesuwam dłonią po jego wzwodzie, przenoszę się tuż nad niego, a on chwytą mnie za biodra. Jego płonący wzrok wwierca się w moją cipkę, kiedy sunę wrażliwą główką po mokrym wejściu. Podniecony wyraz twarzy Jana rozbudza we mnie tak silne pożądanie, że nie mogę się już doczekać, kiedy wsunę go do środka. Chcę jednak przeciągnąć tę chwilę, chcę patrzeć, jak ten zrównoważony i stateczny mężczyzna traci nad sobą kontrolę. Pocieram żołądźką swoje wargi sromowe, łechtaczkę, wilgotną szparkę.

Klatka piersiowa Jana unosi się i opada miarowo, a on oddycha coraz szybciej przez rozchylone usta. Jego palce zamykają się kurczowo na moich udach, naciskają, zmuszając mnie, bym wreszcie przyjęła go w siebie.

– Mario... – dyszy, wypychając do góry biodra.

– Tak, Janie? – Pocieram o szparkę, zanurzając w niej główkę jego kutasa.

– Nie drocz się ze mną – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Możesz jaśniej? – Uśmiecham się przekornie, przyjmując go powoli do swojego mokrego wnętrza.

– Mogę. – Unosi biodra i wbija się we mnie do samego końca.

Nasze głośnie jęknięcia odbijają się od ścian windy. Jan wysuwa się odrobinę i ponownie wypycha biodra, wypełniając mnie całkowicie. Wynurza się i znowu wchodzi.

– O tak. – Zaciskam dłonie na jego ramionach i wyginam się w łuk.

– Ujeżdżaj mnie – poleca stanowczo i łapie mnie mocno za piersi.

Zaczynam poruszać się rytmicznie. Unoszę się i opadam. Moja nabrzmiąta łechtaczka ociera się o jego szorstkie owłosienie. Nabijam się na twardego penisa, oddycham szybko, przyśpieszam rytm. Czuję, że zaczynają mnie boleć uda. Pochylam się w stronę Jana, a on puszcza jedną dłonią pierś, oblizuje dwa palce, sięga nimi do mojego tyłka i przesuwają po ciasnej dziurce.

– Podobało ci się ostatnio? – Jego oczy są pełne żądz.

– Tak... – szepczę, wijąc się na nim niecierpliwie.

– To dobrze – stwierdza gardłowym głosem i powoli wsuwa we mnie palec.

Ożeż jasna cholera! Moje ciało się napina, drzę.

– Luźno, skarbie. – Jan przywiera do moich ust i odnajduje język. Całuje mnie tak głęboko, że zupełnie się w nim zatracam. Płonę z pożądania. Ujeżdżam go powoli, a on wypełnia mnie palcem, oddycha coraz szybciej, unosi instynktownie biodra w rytmie, który nadałam. Widzę po nim, że jest coraz bliżej spełnienia.

Ale ja mam względem niego inne plany. Odrywam się od jego ust. Jan patrzy na mnie pytająco. Jego grdyka faluje.

– Zabierz rękę – mówię.

– Coś nie tak? – pyta stłumionym głosem, powoli wyjmując ze mnie palec.

Nie odpowiadam, tylko unoszę biodra. Jego penis wyslizguje się z mojej cipki. Jest cały wilgotny od moich soków, idealny, by zrobić to, o czym zapewne marzy Jan. Nachylam się, sięgam ręką do tyłu po penisa i pocieram nim o ciasną dziurkę.

Jan wciąga ze świstem powietrze. Jego oczy się zapalają. Widzę po nim, jak bardzo go to kręci.

– Chciałbyś mnie tam wypełnić? – pytam uwodzicielskim głosem.

– Chryste, Mario...

– Chciałbyś? – Nadziewam się powoli na jego wielkiego kutasa.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Przenosi dłonie na moje pośladki i rozwiera je szeroko.

– Czy takie przeprosiny cię zadowolą, Janie? – Sięgam po jego dłoń i kładę ją na jego przyrodzeniu.

Nie odpowiada, tylko przywiera do mnie mocno ustami. Czuję, jak przesuwają po wąskiej dziurce penisem, po czym uderza nim o mój pośladek.

– Jesteś spełnieniem moich marzeń – mówi wprost w moje usta i zaczyna wsuwać się ostrożnie w mój tyłek. Powoli. Centymetr po centymetrze.

Wbijam paznokcie w jego ramiona. Z gardła Jana wydobywa się zwierzęcy pomruk, gdy wchodzi we mnie coraz głębiej. Wypełnia mnie stopniowo, delikatnie, a całe moje ciało spowija dreszcz.

– O Boże... – Wstrzymuję oddech.

– Mam przestać?

Kręcę głową i przygryzam wargę. Rozkosz tłumi ból. Pożądanie zwycięża nad oporami.

– Nie. Nie przerywaj. – Lgnę do jego ust i odnajduję językiem jego język.

Zatracamy się w pocałunkach, w namiętności. To mój pierwszy raz, kiedy odczuwam przyjemność podczas próby uprawiania seksu w taki sposób. Nie mam pojęcia, jak Jan to robi, co takiego w sobie ma, ale przy nim czuję się bezpieczna. Całkowicie puszcza mi hamulce. Uruchamiają się we mnie nieposkromione żądze. Chcę mu się oddać na każdy możliwy sposób. Chcę, żeby mnie pożądał. Chcę, żeby było mu ze mną dobrze.

Jan sięga drugą dłonią do mojej łechtaczki i zatacza palcami kręgi. Naciska dokładnie tak, jak powinien.

Przepływa przeze mnie prąd, po nim kolejny. Moje ciało całkowicie się poddaje jego pieścizdom. Obniżam biodra i nabijam się na twardą męskość, która rozwiera mnie mocno, sprawiając, że przechodzi po mnie znów dreszcz rozkoszy.

– O tak – mruczy Jan w moje usta. – Jest mi z tobą tak dobrze. Zaraz dojdę. – Pociera moją łechtaczkę coraz szybciej.

Zbliża się orgazm i wiem, że będzie silny, obezwładniający.

Zaciskam kurczowo palce na umięśnionych ramionach, oddech mi się rwie.

– Nie przestawaj – sapię, a on dodatkowo wsuwa palec w moją cipkę. – Jan! – Zatracam się w jego dotyku. Napięcie jest tak silne, że zaraz się rozpadnę.

Czuję, jak wchodzi we mnie drugim palcem, jak posuwa mnie w tyłek, jak pociera kciukiem łechtaczkę. Wzbiera we mnie narastające wyczekiwanie.

Jestem blisko, już prawie... Moje ciało się napina, robi mi się ciemno przed oczami i fala orgazmu uderza we mnie niczym lawina.

– Tak! – Z mojego gardła wyrywa się okrzyk.

Jan wycofuje fiuta z ciasnej szparki i wsuwa go ponownie. Cofa i znowu wchodzi.

Słyszę jego przyspieszony oddech. Mięśnie twardnieją, wstrząsa nim dreszcz, zaciska powieki, wpija się mocno ustami w moje usta i zamiera na nich

z głośnym westchnieniem. Dochodzi. Wypełnia mnie gorącą spermą. Opadam na jego pierś, a on wyslizguje się ze mnie, jednocześnie wyciągając palce.

– Dziękuję – szepcze w moje włosy. – Spełniłeś jedną z moich największych fantazji.

Dumna ja.

– To ja dziękuję. Nie mogłam sobie wyśnić lepszej Wigilii. – Przywieram policzkiem do jego spoconego torsu.

Słyszę kojące bicie jego serca i wiem, że jestem tu, gdzie powinnam być.

Jestem szczęśliwa.

– Mam nadzieję, że to nie jest jeden z tych mokrych snów i nie obudzę się za chwilę z pogniecioną twarzą na swoim biurku – żartuję.

Jan się śmieje, a moje serce topnieje, gdy słyszę ten dźwięk. Jego palce suną po moich nagich plecach, sprawiając, że pojawia się na nich gęsia skórka.

– Bez obaw. Zadbam o to, żebyś codziennie budziła się mokra. – Sięga po kurtkę i mnie przykrywa.

Podnoszę na niego wzrok. Gdzieś w środku pojawia się jakaś niepewność, że kiedy tylko wyjdziemy z windy i wieczór dobiegnie końca, wszystko pryśnie jak bańka mydlana. Bo w sumie przez cały ten czas byliśmy jakby w bańce. Odcięci od świata, rzeczywistości, problemów, codzienności...

Jan odgarnia kosmyk włosów z mojego czoła.

– Masz jakieś plany na święta? – pyta.

– Telewizja, kanapa i koc?

– Ty, ja, chata w górach i łóżko? – sugeruje.

No wreszcie, bez owijania w bawełnę i głupich podchodów. Podchwytuję jego spojrzenie. Uśmiecha się. Chyba nigdy nie znudzi mi się patrzeć na niego. Mało tego, wbrew temu, co o nim sądziłam wcześniej, wcale nie jest aż takim sztywniakiem. To najbardziej zmysłowy kochanek, jakiego miałam. I jedyny mężczyzna, który zabiegał o mnie tak długo. Fakt, robił to bardzo nieporadnie, ale w sumie skutecznie. Nie mogę się wręcz doczekać, żeby odkryć go w pełni. Poznać jego prawdziwe ja. Choć i tak wiem, że odsłonił dzisiaj przede mną dużą część siebie.

– A gdzie mnie zabierzesz? – pytam i od razu dodaję: – W sumie jest mi to obojętne. I tak nie zamierzam wychodzić z łóżka. – Szczerzę się od ucha do ucha. – No chyba że mój szef będzie chciał wziąć ze mną gorący prysznic... – Unoszę brew.

– Hm, wyjęłaś mi to z ust. – Całuje mnie mocno, wsuwa dłonie w moje włosy...

I nagle zapala się światło.

Załącza się klimatyzacja, panel się rozświecila.

Mrużę oczy, które odzwyczaiły się od jasności. Winda wydaje z siebie przeciągłe buczenie i rusza do góry.

– O kurde, ruszyła! – Wyrywa mi się okrzyk radości. – To świąteczny cud!

– Cudem było raczej to, że się zatrzymała – stwierdza Jan i klepie mnie w tyłek. – Wstawaj, Mario. Pora skończyć raport.

– Co?! Żartujesz?

– Nie zdarza mi się żartować, ale teraz chyba mi się udało. Rozluźnij te swoje piękne pośladki, bo zamierzam jeszcze dzisiejszej nocy zrobić z nich użytek. – Uśmiecha się i zaciska palce na mojej pupie.

No proszę, jednak Jan od wielkiego dzwona potrafi zażartować. To jest dopiero cud.

Coś czuję, że to będą najlepsze święta w moim życiu.

Merry Christmas everyone!

*

Kiedy tylko wchodzimy do biura, Jan idzie do swojego gabinetu, a ja cała w skowronkach zamykam komputer i pakuję swoje rzeczy do torebki. Akurat przesuwam błyszczkiem po ustach, gdy rozlega się dźwięk mojej komórki. Zerkam na wyświetlacz. Ojciec. Rychło w czas. Nawet do mnie wcześniej nie zadzwonili. Nie zapytali, dlaczego się spóźniam, czy nic mi nie jest, czy żyję. Teraz, kiedy pewnie już się nażarli i wręczyli sobie prezenty, telefonują z pretensjami.

Przymykam powieki, biorę głęboki oddech. Z dwojga rodziców wolę gadać z ojcem. Nie jest kochanym tatusiem, ale nie wbija szpil tak często, jak matka. Zdecydowanie to jemu wolę zakomunikować, że nie spędzę z nimi w tym roku świąt.

– Cześć, tato. – Odbieram w pełni świadoma tego, że zaraz usłyszę, jaka to ze mnie wyrodna córka.

– Gdzie jesteś? – odzywa się niewyraźnym głosem. Już się zdążył upić czy jak? Wybornie, mój ojciec jest typem osoby, która mogłaby zostać twarzą alkoholowej kampanii „w winie prawda”. Gdy krążą mu w żyłach procenty, język

rozwiązuje się równie sprawnie, jak sznurowadła trzylatkowi. Dobra, muszę to przetrwać, nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Jestem w pracy. Jest okres sprawozdawczy i mam pełne ręce roboty, nie dam rady...

– Mama miała atak serca – przerywa mi w połowie zdania.

Nogi uginają mi się w kolanach, a żołądek wiąże się w supeł. O Boże. Siadam na krześle.

– Co z nią?

– Żyje. Czekamy z Arkiem i Paulinką, aż ktoś nam powie coś więcej.

Strach ściska mnie za gardło i to tak mocno, że słowa z trudem wypływają z moich ust:

– Gdzie... Gdzie jesteście?

– Na SOR-ze w Szpitalu Czerniakowskim.

To drugi koniec miasta. Nieważne, muszę tam dotrzeć jak najprędzej.

– Będę najszybciej, jak się da. Jakby coś, to dzwoń.

– Ta. – Ojciec rozłącza się zrezygnowany, a ja w ułamku sekundy zrywam się na równe nogi, zabieram torbę i biegnę do gabinetu Jana.

– Moja matka miała zawał, muszę jechać do szpitala... – rzucam pośpiesznie od progu. Jan nie reaguje, tylko układa coś w czarnej walizce – w tej samej, o którą się potknęłam, kiedy zostawiałam wypowiedzenie na jego biurku kilka miesięcy temu.

– Jan?

Sprawia wrażenie, jakby znajdował się w innej rzeczywistości. Podnosi na mnie wzrok, który powoli powraca do „tu i teraz”.

– O, jesteś. Mam coś dla ciebie. – Sięga do walizki.

– Możemy przełożyć to na później? Moja matka jest w szpitalu. Zawieziesz mnie?

– Teraz?

– Nie, wczoraj. Co z tobą?

– Nic. Po prostu tego nie planowałem. – Patrzy na wnętrze walizki. Co on tam, do cholery, trzyma?

– Takich rzeczy nie sposób zaplanować, Janie. One się dzieją samoczynnie. – Podchodzę bliżej, zerkam na zawartość walizki, a tam asortyment jak do dentystycznych tortur. – Co to, u licha, jest? – pytam zdziwiona, bo serio, pierwszy raz widzę taki arsenał.

– Zestaw zegarmistrzowski – odpowiada.

– Co?

Bierze do ręki szarą, pociachaną wzdłuż i wszerz plastikową bryłę.

– Kostka do skracania bransolet. – Odkłada przyrząd na biurko i sięga po coś, co przypomina zalotkę do rżęs. – Ściągacz wskazówek. – Umieszcza go z powrotem w walizce, po czym bierze metalowe narzędzie, które wygląda jak cyrkiel z twarzą ufoludka. – Klucz do otwierania dekli. Szalenie precyzyjny. Nie rozumiem, jak niektórzy mogą korzystać z suwmiarki. – Patrzy na kawałek metalu jak na cud natury.

Jezu, o czym on do mnie mówi? Nie mam na to czasu.

– Dobra, Jan, z chęcią poznam resztę twoich zabawek, ale innym razem. Muszę jechać do mamy. Jest Wigilia, a ona jest w szpitalu.

Podnosi na mnie wzrok.

– No tak. – Odkłada przyrząd. – Skoro mowa o Wigilii, to mam coś dla ciebie. – Sięga do walizki po eleganckie pudełeczko z jasnego drewna i mi je podaje.

– Co to jest? – pytam zaskoczona.

– Zobacz.

Cholera, naprawdę nie mam na to czasu, ale ciekawość zaraz mnie zeżre... Otwieram ciężkie wieczko i wstrzymuję oddech. Na welurowym, czarnym materiale leży tak zachwycający damski zegarek, że dosłownie jestem porażona jego pięknem. Niewielka, posrebrzana kwadratowa tarcza, bransoleta składająca się dziesiątek drobnych perełek. Nie znam się absolutnie na zegarkach, ale ten wygląda na ekskluzywny i zajebiście drogi.

– Jan, to jest... – Brakuje mi słów.

– Chanel Mademoiselle. Osiemnastokaratowe białe złoto, bransoletka wysadzana stu dwudziestoma dwiema perłami, waga: pięćdziesiąt siedem gramów, wymiary tarczy: jeden i osiem dziesiątych centymetra na jeden i osiem dziesiątych centymetra, wymiary koperty: dwa i trzy dziesiąte centymetra na dwa i trzy dziesiąte centymetra, obwód bransoletki: szesnaście centymetrów, szerokość: dwa centymetry. Dopiero dzisiaj byłem w stanie go dopracować. Masz bardzo szczupły nadgarstek.

– Co? – Patrzę na niego zdeorientowana.

– Twój nadgarstek. – Sięga do niego i obejmuje go palcami. – Jest szczupły. Musiałem skrócić bransoletę.

Przyglądam się jego dłoni i przypomina mi się, że dokładnie w taki sam sposób złapał mnie za rękę w pokoju socjalnym, kiedy chciałam odebrać mu

pantenol. I zatrzymał mnie przy oknie, gdy chciałam odejść, żeby ukryć przed nim łzy. Jasny gwint. Mam chaos w głowie. To za dużo.

– Nie mogę go przyjąć.

– Dlaczego?

– Wygląda, jakby był wart majątek.

– To była okazja. Kupiłem go pół roku temu za sześć tysięcy dolarów.

– Sześć tysięcy dolarów za zegarek?

– Głupiec z tego, który go sprzedał. Tak naprawdę wystarczyło wyczyścić mechanizm, ponownie go złożyć, naoliwić i wyregulować chód. Do tego kosmetyka bransolety oraz koperty, i jest jak nowy. Teraz jego wartość wzrosła dwukrotnie. Daj, pomogę ci go zapiać. – Odbiera pudełko z mojej dłoni i wyjmuje zegarek.

– Nie. – Cofam rękę.

– Wolisz zrobić to sama?

– Nie, to znaczy... – Pocieram czoło. Boże, to nie jest odpowiedni moment na tego typu sprawy. – Jan, nie mam teraz do tego głowy. Naprawdę się spieszę, muszę zobaczyć matkę, poza tym nie noszę zegarków.

– Zauważyłem, że nie nosisz, dlatego uznałem, że to będzie trafiony prezent. Jeśli ten ci się nie podoba, to możesz wybrać inny. Posiadam kilka ciekawych kolekcji w domu: Frederique Constant, Ball, Versace, Omega, Junghans... – wymienia z zaangażowaniem, a do mnie dociera, że ma porządnego hopla na punkcie zegarków. Co w sumie nie powinno mnie dziwić, skoro co rusz widywałam u niego inny model. Najwyraźniej zegarmistrzostwo to jego hobby, o którym nie miałam pojęcia.

Ale nie pora teraz na poznawanie pasji Jana. Mam ważniejsze sprawy!

– Jan, to nie jest dobra chwila. Przełożmy to na kiedy indziej. – Przerywam jego wyliczankę.

Patrzy na mnie zdezorientowany.

– Dlaczego?

Noż kurwa, czy on pyta poważnie?

– Dlatego, że moja matka miała zawał serca i chcę jechać do niej do szpitala. – Zaczynają mi puszczać nerwy.

Jan patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby nie docierał do niego sens moich słów.

– Przecież mówiłaś, że za nią nie przepadasz – odpowiada całkiem poważnie.

Otwieram szeroko oczy.

– No tak, ale to moja matka. Być może nie układa się między nami najlepiej, co nie zmienia faktu, że się o nią martwię. Czy naprawdę muszę ci to tłumaczyć?

– Tak.

Zatyka mnie.

– Co tak?

– Wy tłumacz mi, dlaczego czujesz potrzebę, żeby jechać do szpitala do matki, której nie lubisz – mówi serio.

Patrzę na niego oniemiała. Poziom jego empatii, a dokładnie totalny jej brak, mnie przeraża. Przecież to oczywiste, czemu powinnam do niej jechać, czy on tego nie widzi?

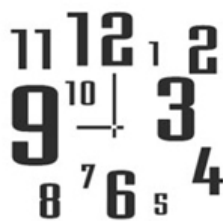
– Bo jest moją mamą, do diabła! Bo tak nakazuje przyzwoitość, bo zżarłyby mnie wyrzuty sumienia, gdybym jej nie odwiedziła, i to w pieprzoną Wigilię! – Drży mi głos. – Może gdybym była w domu rodziców podczas kolacji, to nic by jej się nie stało? Może się zdenerwowała moją nieobecnością i jej serce nie wytrzymało... – W oczach zbierają się łzy. – Czy nie potrafisz się wczuć w moją sytuację i zrozumieć, że muszę do niej jechać?

Jan przygląda mi się bacznie. Po wyrazie jego twarzy widzę, że analizuje moje słowa. Mijają sekundy, aż w końcu odzywa się stonowanym głosem:

– Nie.

– Co nie?

– Nie umiem się wczuć i nie potrafię zrozumieć. – Wkłada zegarek do pudełka, układa je w walizce, po czym zamyka ją z trzaskiem. – Zawiozę cię jednak do matki, skoro tak bardzo ci na tym zależy – dodaje, a do mnie dociera, że nie myliłam się wcześniej co do niego: Jan jest cholernym egoistą. Sto procent logiki, zero empatii.



W drodze do szpitala milczymy – i to w absolutnej ciszy. A to dlatego, że Jan nie ma w aucie radia ani odtwarzacza CD, ani niczego, co wypełniłoby głuszę między nami. Wyciągam telefon – zero wiadomości od ojca. Znajome ukłucie niepokoju zagnieżdża się w okolicach serca. Włączam pierwszą piosenkę ze swojej playlisty, żeby odciągnąć uwagę od niechcianej gonitwy myśli i odgonić wizje czarnych scenariuszy, w których widzę rodzoną matkę na szpitalnym łóżku, podłączoną do monitora...

– Wyłącz to – odzywa się nieoczekiwanie Jan stanowczym głosem.

Od razu przypominają mi się te wszystkie miesiące, podczas których miałam ochotę zamordować go za ten jego władczy ton.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię, jak coś brzęczy, kiedy prowadzę.

Brzęczy, kuźwa. Chyba mu coś padło na słuch. To *Summer* Calvina Harrisa, jeden z moich ulubionych kawałków, ale nie zamierzam się kłócić. Być może szlachetne bębenki Jana preferują inny rodzaj muzyki, podczas gdy niczym król szos ujeżdża swoją wypasioną betę.

– Czego w takim razie wolałbyś posłuchać?

– Niczego.

– Jak to niczego? Nie masz żadnej ulubionej piosenki?

– Nie.

– Nie wierzę. Na pewno jest jakiś utwór, który ci się podoba. Może coś z klasyki? – Przeglądam swoją listę. – O, Chopin. – Wciskam *play* i kiedy rozbrzmiewa mazurek, przenoszę wzrok na Jana. A ten się krzywi, jakbym zamknęła go w garażu z grupą oszołomów grających alternatywnego rocka.

– Wyłącz to, Mario – cedzi przez zęby.

– Ale to przecież spokojna muzyka, wręcz relaksacyjna.

– Nie słucham muzyki podczas jazdy ani podczas rozmowy, ani żadnej innej czynności.

– Żadnej?

– Żadnej. Wyłącz to. Proszę – dodaje.

– Wyłączę, jeśli wyjaśnisz mi tę aberrację. – Bo niezaprzeczalnie niechęć do słuchania muzyki jest sporym odchyleniem od normy.

Mazurek przyspiesza, dźwięki stają się coraz bardziej donośne, żywe, wypełniają przestrzeń auta.

Jan zaciska dłonie na kierownicy. Jego oddech przyspiesza.

– Wyłącz to – mówi ostro.

– Dlaczego?

Niespodziewanie zatrzymuje się na poboczu, wyrywa mi komórkę z ręki, wyłącza odtwarzacz, chowa telefon to wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza i z powrotem rusza na drogę.

No dziecko z przedszkola, jak Boga kocham.

– Brawo, to było bardzo dojrzałe.

Nic nie odpowiada. Patrzy na jezdnię, jego twarz przybiera tak dobrze mi znany lodowaty wyraz, że aż się wzdrygam. Wrócił dawny Jan. Podkręcam ogrzewanie obydwu siedzeń. Nie żeby mi było jakoś szczególne chłodno, robię to na złość tej cholernej bryle lodu. A żebyś się roztopił i utonął w wodach własnej sadzawki próżności, ty narcyzie jeden.

Kiedy podjeżdżamy pod szpital, jestem cała mokra. A to dlatego, że po pierwsze: temperatura podgrzewanego siedzenia wynosi jakieś pięćdziesiąt stopni Celsjusza (Jan oczywiście po minucie wyłączył swój fotel, więc nadal jest pieprzoną bryłą lodu) i po drugie: mój mózg nie znosi próżnej ciszy, więc wypełnił ją huraganem katastrofalnych wizji z matką w roli głównej, co doprowadziło do nadmiernej potliwości ciała.

Jan parkuje tyłem – oczywiście na jeden raz i perfekcyjnie równo, jakby w oczach miał calówki. Gdy tylko wyłącza silnik, odpinam pasy i dostrzegam wychodzącą ze szpitala czwórkę ludzi. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Choć wokół jest ciemno, to w świetle latarni od razu rozpoznaję znajome twarze, a zwłaszcza tę jedną. Kamień spada mi z serca.

– Mama! – Otwieram pospiesznie drzwi i ruszam biegiem w jej stronę.

Nogi same mnie niosą, przyspieszam bezwładnie, zupełnie jakbym... jechała na łyżwach?

Zerkam w dół. Jasna cholera. Ja wcale nie biegnę. To moje stopy suną po szpitalnym parkingu jak po ślizgawce. Chcę się zatrzymać, macham rękoma, wyginam się w przód i w tył, jestem jak kamień od curlingu pędzący po lodzie wprost do bramki – nic i nikt mnie nie zatrzyma. Oprócz stojącego na mojej

drodze śmietnika. Ja pierdołę! Już widzę siebie w gipsie od pasa w górę z nogami na wysięgniku na szpitalnym łóżku. Oby mieli na SOR-ze dobrego ortopedę.

– Kurwa!!!

Pędzę na czołówkę z kontenerem. Gong stulecia za: pięć, cztery, trzy... Wstrzymuję oddech, zamykam oczy, serce mi staje... i nagle czuję szarpnięcie w talii, tracę grunt pod nogami...

Padam bezwolnie na coś, co nie jest ani twarde jak śmietnik, ani zimne jak śmietnik i zdecydowanie nie śmierdzi jak śmietnik. Wręcz przeciwnie, jest całkiem miękkie, bije od tego ciepło i pachnie zupełnie jak...

Otwieram oczy i napotykam stalowoszare spojrzenie. Moje serce na powrót zaczyna bić, i to bardzo szybko.

– Jan?

– Mario?

Leży na plecach. Ja na nim. Czuję pod sobą, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada rytmicznie. Ma przyspieszony oddech, jakby biegł.

No tak, oczywiście, że biegł. I to pewnie całkiem szybko, skoro zdołał uratować mnie przed czołowym zderzeniem z kontenerem, choć pędziłam jak pociąg bez hamulców.

Patrzę mu w oczy, a moja dotychczasowa złość na niego stopniowo ustępuje wdzięczności. Czegoś takiego bym się po nim nie spodziewała. To znaczy, podejrzewałam, że jest w dobrej kondycji fizycznej, bo dał mi tego dowód już nieco wcześniej. Ale to, że jest w stanie narazić siebie i swoje eleganckie ubranie na uszczerbek... To kłóci się z tym, że jest egoistycznym dupkiem, za którego go uważałam.

Boże, dlaczego on musi być taki skomplikowany? Nie mogę go rozgryźć.

– Uratowałeś mnie. Dziękuję.

– Proszę. Nic ci nie jest? – Odgarnia mi włosy z czoła. Choć ton jego głosu jak zwykle jest opanowany, a spojrzenie nie zdradza większych emocji, to serce mi topnieje.

– Oprócz tego, że zawiewa mi cipkę, bo jestem bez rajstop i majtek, to jest idealnie. Tak miękko... – Przybliżam twarz do jego twarzy. – A tobie?

– Twardo – odpowiada wprost w moje usta.

– W plecy?

– W kroczu.

Zerkam odruchowo w dół i widzę swoją dłoń na lewej nogawce garniturowych spodni – tuż przy rozporku. Dokładnie tam, gdzie najwyraźniej Jan trzyma fiuta.

Wybucham śmiechem.

– Ale nie jest ci źle? – Przesuwam palcami po niewielkim wybrzuszeniu i zwilżam usta językiem, żeby pocałować Jana, i w tej samej chwili tuż nade mną rozlega się kpiący głos mojego brata:

– No siostra, dajesz! Zrób dobrze kolesiowi pod szpitalnym śmietnikiem i olej matkę, która trafiła przez ciebie w Wigilię na SOR.

Kieruję wzrok ku górze, a tam Arek, Paulinka, ojciec i...

– Mamo! – Zrywam się na równe nogi i poprawiam spódnice, która na szczęście zatrzymała się tuż pod pośladkami (obym tylko nie dostała zapalenia jajników od biegania na mrozie bez gaci). – Wszystko w porządku? – Mam ochotę ją uściskać, lecz ona się cofa.

Nic nie odpowiada, po prostu patrzy na mnie z wyraźnym rozczarowaniem. Znam tę jej minę doskonale i nie robi już ona na mnie wrażenia, bo widzę ją po raz tysięczny w swoim prawie trzydziestoletnim życiu (co daje średnio jedną minę rozczarowanej matki co dziesięć dni).

– Nie jest w porządku, Maryśka – wtrąca się Arek. – Przez ciebie mama prawie miała zawał.

Przenoszę na niego wzrok.

– Co miała? Nie ma czegoś takiego jak „prawie zawał”. – Spoglądam na mamę. – Co ci się stało, mamo? Dlaczego trafiłaś do szpitala? – pytam, a ta unosi głowę i zadziera nos jak obrażona księżniczka.

Jezu, dom wariatów.

– Czy ktoś mi może powiedzieć, co się właściwie wydarzyło? – Przesuwam wzrokiem po członkach rodziny, a oni patrzą na mnie, jakbym była sprawczynią całego zła tego świata.

– Twoją matkę bolała klatka piersiowa... – odzywa się w końcu ojciec, ale bez przekonania w głosie.

– I zabrało ją pogotowie? – dopytuję.

– Pogotowie – prycha Arek. – Zanim by przyjechali, to już by było po matuli. Sami ją zawieźliśmy na SOR – wyjaśnia.

– I z tego, co widzę, sami zgodnie stwierdziliście, że to zawał. – Przesuwam wzrokiem po matce. Ewidentnie nie wygląda na osobę, która przeszła atak serca. Poza tym, gdyby to było coś poważnego, to nie wyszłaby tak szybko ze szpitala, i to o własnych siłach.

– Gdyby nie ty, mamie nic by nie było – mówi oskarżycielskim tonem mój brat.

– A co ja takiego zrobiłam?

– Serce mamy nie wytrzymało, przez ciebie.

– Przeze mnie?!

– Nie wspomniałaś, Mario, że twój brat, oprócz handlu autami, robi specjalizację z kardiologii. – Tuż obok mnie rozlega się głos Jana.

Wzrok wszystkich pada na górującego nad nimi mojego szefa.

– A ty kim jesteś? – pyta Arek.

– Jan Engler. Jestem bezpośrednim przełożonym Marii.

– I chyba nie tylko przełożonym – wtrąca się drwiącym tonem Paulinka, a ja mam ochotę pacnąć ją w ten głupi blond łeb.

– No właśnie, siostra, wygląda na to, że ty migdałiłaś się w najlepsze ze swoim szefem, a matula tak się przejęła, że nie przyjechałaś na wigilię, że aż stanęło jej serce – wyrzuca z jadem.

– Stanęło jej serce i chodzi o własnych siłach?! – Nie wytrzymuję i wybucham. – Nikt z was się nawet ze mną nie skontaktował i nie zapytał, dlaczego się spóźniam. Gównu was obchodzi. Gdyby mamie tak bardzo zależało na mojej obecności, to przynajmniej by zadzwoniła.

– Ty niewdzięczna dziewucho – uaktywnia się wreszcie rodzicielka. – Od dziecka byłaś rozpuszczona i nie doceniałaś tego, co masz.

Oho, zaczyna się.

– Tak, wiem, nie doceniam swojego zajebistego daru i marnuję swoje życie. Już to od was słyszałam setki razy.

– Bo to prawda – dodaje ojciec.

Boże, jak oni mnie wkurzają... Zaciskam dłonie w pięści, już mam im nagadać, kiedy niespodziewanie uprzedza mnie męski głos:

– Wręcz przeciwnie – odzywa się Jan. – Maria sama decyduje o swoim życiu i robi z nim dokładnie to, co powinna.

Podnoszę na niego wzrok, a on patrzy na moją rodzinę z taką obojętnością, jakby byli podeszwą jego wypucowanego buta.

– Pan się nie wtrąca. To nasze rodzinne sprawy i nie powinny pana w ogóle obchodzić – mówi ojciec.

– Ale obchodzą i nie zamierzam wysłuchiwać tych bredni – odpowiada Jan zdecydowany głosem. – Maria to najbardziej inteligentna, pracowita i wytrwała kobieta, jaką znam. Nie jesteście jej warci.

Że co? Rozdziawiam usta oniemiała i w tej samej chwili rozlega się kobiece wołanie spod drzwi szpitala:

– Pani Gabara, zapomniała pani wypisu!

Zerkam na rodziców, a ci stoją jak zamurowani, jakby wciąż przetrawiali to, co przed chwilą usłyszeli od Jana.

– Pani Gabara!!! – Pielęgniarka w fartuchu, klapkach i rajtuzach macha kartką.

– Ja pójdę. – Arek reaguje spontanicznie, co od razu wzbudza moje podejrzenia. A to dlatego, że mój brat jest tak leniwy, że nie poda ci nawet cukru do herbaty, który ma na wyciągnięcie ręki. Zawsze to ja musiałam wynosić za niego śmieci albo zmywać naczynia, kiedy byliśmy młodszy. Gdy dorósł i się hajtnął, zaczął wyręczać się żoną: „Paulinka, podaj to”, „Paulinka, podaj tamto”. Tymczasem teraz ochoczo zaczyna iść w stronę pielęgniarki.

Coś tu nie gra. Co jest w tym wypisie?

Ruszam tuż za nim, a on przyspiesza kroku. Zaczynam biec, on też biegnie. Aha, coś naprawdę jest na rzeczy. Doganiam go bez wysiłku, bo mój brat ma ze dwadzieścia kilo nadwagi i rusza się jak mucha w smole.

– A ty dokąd? – sapie.

– Po wypis.

– To nie twoja sprawa. Wracaj! – rzuca jak do psa.

– Powstrzymaj mnie. – Wyprzedzam go z łatwością, zostawiam w tyle, po czym w kilku krokach pokonuję schody i dopadam do pielęgniarki.

– Jestem córką. Mogę? – Odbieram jej świstek z rąk, zerkam na wydruk z imieniem i nazwiskiem mamy, czytam i omal nie padam trupem.

„Rozpoznanie: refluks żołądkowo-jelitowy, zalecenia: dieta lekkostrawna, omeprazol 10 mg raz dziennie na czczo, unikanie wysiłku fizycznego”...

Refluks?! Ja pierdolę, co za kłamcy! Matka wtranżoliła smażonego karpia, talerz pierogów z kapustą i popiła winem, a ci próbują mnie wbić w poczucie winy, że trafiła do szpitala przeze mnie?! No jasne, że przeze mnie – zżarła pewnie też moją cholerną porcję wigilijnej kolacji i dostała zgagi!

Dosyć tego, koniec tej toksycznej relacji. Odcinam się od mojej popieprzonej rodzinki.

*

Po tym, jak rzuciłam wypis Arkowi w twarz i bez słowa zostawiłam wszystkich na szpitalnym parkingu, ruszam niczym rozjuszony byk w stronę najbliższego przystanku autobusowego. Naprawdę mam w dupie to, że zasuвам po mrozie z gołymi nogami i bez majtek w Wigilię Bożego Narodzenia; i że nie mam ze

sobą ani komórki, ani kluczy, ani nawet pieniędzy na bilet. Przynajmniej mam fajki.

Po kilku nieudanych próbach odpalenia zapalniczki (jebać zimę z tym jej śniegiem i wiatrem!) udaje mi się w końcu zaciągnąć papierosem. O, jak dobrze, od razu lepiej mi się myśli. Nikotyna rozchodzi się błogim strumieniem po organizmie, a w głowie rodzi się już genialny plan: pojadę na gapę do Tośki. Na pewno znajdzie się u niej nakrycie dla zbłąkanego wędrowca, ciepła herbata i dobre słowo. Pewnie siedzi sobie z mężusiem na kanapie przy choince, oglądają *Kevina samego w domu*, zajadają makowca, a w pokoju obok smacznie śpi ich małe bobo. Nie żebym zazdrościła (zwłaszcza dzieciaka), ale też bym sobie z kimś posiedziała w ciepélku i coś pooglądała.

Mroźny powiew wiatru odbiera mi oddech. Śnieg sypie w oczy, kulę się instynktownie. Boże, jaki ziąb. Gaszę w połowie przemokniętego papierosa w koszu na śmieci, biorę gumę do ust, otulam się ramionami i ruszam w dalszą drogę. Nagle dobiega mnie znajomy męski głos:

– Mario! – Zerkam w stronę ulicy. Czarne BMW porusza się wolno przy krawężniku. Za otwartą szybą od strony pasażera dostrzegam Jana siedzącego za kółkiem. – Wsiadaj.

O matko, jak dobrze go widzieć. Podchodzę bliżej, a wtedy auto się zatrzymuje.

– Cześć. – Wsiadam do środka, zamykam drzwi, szyba sunie do góry, oddzielając mnie szczelnie od zawieruchy śnieżnej.

O Boże, jak ciepło. Zerkam z wdzięcznością na Jana, bo oprócz tego, że zaproponował podwózkę, to jeszcze włączył wcześniej podgrzewanie siedzenia. Moje jajniki wraz z pęcherzem wzdychają z ulgą.

– Dziękuję, że po mnie podjechałeś. – Zapinam pas.

– Proszę. – Włącza kierunkowskaz i rusza na drogę. – Dlaczego uciekłaś z parkingu?

– Bo nie mogłam patrzeć na moją rodzinę ani sekundy dłużej.

– Wnioskuje, że w wypisie znajdowało się coś, czego się nie spodziewałaś?

– O tak. – Nadal nie mogę uwierzyć, że mam tak debilną rodzinę. – Wiesz, że to był tylko refluks? Matkę dopadła zgaga, a oni wciskali mi kit, że trafiła do szpitala przeze mnie, bo ją serduszko rozboleło z rozpaczy nad jej Marysienką.

Jan kręci głową.

– Nie rozumiem ludzi – stwierdza.

– Moja rodzina to nie ludzie, to szarańcza. Czasami zastanawiam się, czy przypadkiem ktoś nie zamienił mnie w szpitalu przez pomyłkę z ich prawdziwym

dzieckiem. To by była miła niespodzianka. – Przenoszę wzrok za okno i zauważam, że wracamy do centrum. – Yyy, gdzie jedziesz?

– Do mnie. Mam dobrą szkocką. Przyda ci się mocny drink.

Spoglądam na niego. Jest taki opanowany i spokojny, jakby dzisiejszy dzień w ogóle się nie wydarzył. Tymczasem ja jestem emocjonalnym wrakiem. W sumie dobrze mi robi, jak sobie strzelę lufę. U Tośki alkoholu nie uraczę. Ona nie pije, bo karmi, a jej Radosław to abstynent, od kiedy rok temu zdiagnozowali u niego Hashimoto. Podobno to gównu przypałało się do niego z powodu długotrwałego stresu – uroki posiadania własnej firmy deweloperskiej.

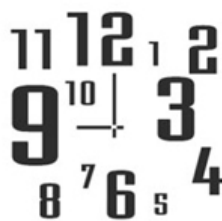
– Niech będzie – odpowiadam. – Ale nie lubię whisky. Masz coś innego?

– Wódkę.

– Z sokiem?

– Pomarańczowym.

– Świetnie.



Jan mieszka na ostatnim piętrze strzeżonego apartamentowca – jednego z tych z automatyczną bramą, monitoringiem, podziemnym parkingiem, stróżówką, dziedzińcem i wypasionymi tarasami z widokiem na miasto. Boże, ile on zarabia, że stać go na taki wypas?

Kiedy tylko wjeżdżamy windą na górę, uzmysławiam sobie, że oprócz geniuszu matematycznego mam też zdolności jasnowidzenia, bo dokładnie tak wyobrażałam sobie mieszkanie Jana.

Wielkie jasne kafle na podłodze – błyszczą się jak psu jajca. Wszędzie szarości, biel i czerń – mam wątpliwości, czy przypadkiem Jan, oprócz aspołeczności, nie cierpi również na całkowitą ślepotę barw.

W kuchni jest tak czysto, że można jeść z blatu i pić ze zlewu. Aż strach czegoś dotknąć, żeby nie ubrudzić paluchami.

Gdy tylko zdejmuję kurtkę, pod którą mam wyłącznie stanik (bo wilgotna bluzka została w gabinecie w biurze), Jan od razu przynosi mi swoją koszulę – na wieszaku, idealnie wyprasowaną i tak białą, że aż razi w oczy. Zakładam ją, podwijam rękawy i siadam na krzeselku barowym. Boże, w czym on pierze ciuchy, w męskich perfumach? Koszula pachnie tak zabójczo, że aż mam ochotę się do siebie przytulić.

– Twoja sprzątaczką wykonuje kawał dobrej roboty – zagaduję, kiedy Jan wchodzi do kuchni po tym, jak poszedł się przebrać (i tu niespodzianka – w śnieżnobiałą koszulę).

– Sprzątaczką? – Wyjmuje z szafki szklanki do drinków, które stoją w trzech równych rzędach niczym rosyjskie wojsko.

– Osoba, która robi ci pranie i ogarnia mieszkanie. Wszystko jest takie czyste, pachnące.

– Sam zajmuję się swoim praniem i mieszkaniem. – Wrzuca lód do szklanki, nalewa wódki, uzupełnia sokiem pomarańczowym, po czym bierze whisky.

O rany, Jan to Zosia samosia. Rozglądam się jeszcze raz po otwartej przestrzeni. Jak on daje radę sam sprzątać tak wielkie mieszkanie (i to na błysk!), skoro od rana do wieczora siedzi w biurze? Nie wspominając o praniu

i prasowaniu koszul, których pewnie uzbiera się ze trzydzieści w miesiącu, bo wątpię, by nosił tę samą dłużej niż jeden dzień.

– Ile masz tu metrów?

– Sto dwadzieścia. – Podchodzi do mnie i stawia przede mną drinka.

– O wow. Dużo. – Odchylam się, żeby dojrzeć, co znajduje się poza salonem. – Ile pokoi? – Przenoszę na niego spojrzenie i łapię go na tym, że sunie wzrokiem od moich nagich stóp aż do ud...

– Salon, kuchnia, dwa pokoje, łazienka. – Upija łyk złocistego płynu i zatrzymuje spojrzenie na brzegu spódniczki, która podjechała stanowczo za wysoko.

Robi mi się gorąco od tego, w jaki sposób na mnie patrzy. Znajomo ekscytujące mrowienie rozchodzi się w intymnym miejscu, czuję lekkie parcie na pęcherz. Mam nadzieję, że nie czeka mnie kuracja furaginą od łożenia po mrozie bez majtek. Może lepiej nie będę wstrzymywać i pójdę się załatwić.

– À propos łazienki. Mogę skorzystać?

Podnosi na mnie wzrok. Jego źrenice są ciemne, rozszerzone. Przypominają mi się chwile, które spędziliśmy dzisiaj w biurze i windzie.

– Drugie drzwi na lewo. – Wskazuje dłonią z whisky na korytarz na końcu salonu.

– Dzięki. Zaraz wracam. – Upijam duży łyk drinka, zeskakuję ze stołka, zabieram telefon z blatu, po czym wsuwam go za pasek od spódnicy i podążam we wskazanym kierunku.

Mogłoby się wydawać, że chodzenie zimą na bosaka po kafelkach nie należy do przyjemnych, lecz ku mojemu zaskoczeniu te w salonie Jana są tak ciepłe, że przyjemny dreszcz rozchodzi się od stóp aż do ramion. Najwyraźniej ma tu podłogówkę. W sumie, kto bogatemu zabroni?

Skręcam do korytarza i od razu moją uwagę przykuwają grube ramy na ścianach. Za szybą każdej z nich wiszą rzędy zegarków – jeden obok drugiego, w równych odległościach niczym medale. Są ich dziesiątki – kieszonkowe z wygrawerowanymi złotymi i srebrnymi kopertami; naręczne w różnych kształtach; z paskami ze skóry, na bransoletach, ze zdobieniami, kamieniami albo zupełnie proste. Niektóre stare, inne bardziej współczesne, wszystkie wyglądają na oryginalne i drogie.

O rany, Jan ma naprawdę fiksum dyrdum na punkcie zegarków. I na punkcie czystości też, bo przeszłam już dobrych trzydzieści kroków i ani razu moja stopa nie wyczuła żadnego paprocha.

Pewnie na lustrze nad umywalką nie znajdę ani jednej białej plamki, a porażający błysk baterii wypali mi oczy. Zaraz się przekonamy. Otwieram drzwi od łazienki, szukam na oślep włącznika światła – no proszę, a można by sądzić, że w tak ekskluzywnym apartamencie w kibelku będzie fotokomórka i automatyczny wiatrak.

Macam ręką po ścianie, w końcu udaje mi się natrafić na włącznik, zapalam światło i...

Yyy, to chyba nie jest łazienka, tylko gabinet Jana. Wysokie, czarne regały z książkami, duży stół, na nim porozkręcane zegarki, jakieś narzędzia, lampa biurowa, tuż obok piękny kolorowy fotel w pasy...

Już mam się wycofać, kiedy ponownie zerkam na fotel.

Pomijam, że w ogóle tu nie pasuje. Zaraz, ja go znam! Wpatruję się w mebel, mam przegrzanie obwodów. Nie ogarniam. Co, do jasnej cholery, robi tutaj mój uszak? Podchodzę bliżej, bo może to nie jest fotel, który sprzedawałam klientowi, tylko jakiś łudząco podobny...

Nagle kątem oka miga mi brązowa komoda z żółtymi zdobieniami. Zerkam w jej stronę. Zatyka mnie. Moja komódka z wczesnego PRL-u. Wszędzie bym ją poznała.

Robi mi się gorąco. Rozglądam się po pomieszczeniu i od razu na przeciwległej ścianie wyłapuję moją ludwikowską toaletkę!

Co jest?!!!

Przesuwam dłońmi po twarzy, szczypię się w policzki, bo już nie wiem, czy to sen, czy... O Boże, mój barokowy podnózek! I lampa w stylu art déco!

Kręci mi się w głowie. Przecież tu są wszystkie moje meble, które udało mi się sprzedać przez ostatnie pół roku!

– Łazienka jest obok. – Podskakuję na dźwięk niskiego głosu, który rozlega się tuż za mną. Odwracam się gwałtownie.

Jan stoi w progu, opiera się o futrynę i patrzy prosto na mnie.

– Co to ma znaczyć? – pytam.

– Że łazienka jest dalej. Mówiłem, drugie drzwi na lewo. Nie pierwsze.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Co tutaj robią moje meble?

– Twoje meble? – Jego brwi wędrują do góry.

– Oczywiście, że moje. Fotel, komódka, podnózek, lampa, nawet cholerna damska toaletka! Sama je wyszukałam, pozyskałam, naprawiłam, oszlifowałam i pomalowałam. Tymi rękoma. – Rozpościeram dłonie. Widzę, że drżą.

– Zgadzam się co do wyszukania, pozyskania, naprawienia, oszlifowania i pomalowania. Lecz to nie zmienia faktu, że meble nie należą do ciebie. Przestały być twoje w chwili, kiedy je kupiłem. Od ciebie. – Patrzy mi prosto w oczy. Jest opanowany i zrównoważony.

Boże, nie wierzę. To jakiś absurd.

Brawo, Mario, wygląda na to, że twój szef, z którym pieprzyłaś się kilka godzin temu w biurze, jest nie tylko twoim bezpośrednim przełożonym, który może pozbawić cię pracy, lecz także jedynym klientem, z którym wiązałaś swoją biznesową przyszłość. Czy naprawdę tak trudno się było domyślić, że TS to Twój Szef?

Nogi uginają mi się w kolanach; robi mi się słabo. Muszę usiąść.

Podchodzę do uszaka, opadam na niego ciężko i wczesuję dłonie we włosy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam, bo naprawdę nie mam bladego pojęcia, co mam o tym myśleć.

– Zrobiłem co? – Odbija piłeczkę tym swoim wyczutym z emocji głosem, jakby naprawdę nie wiedział, o co mi chodzi.

– Gównu! Dlaczego, do cholery, wykupywałeś wszystkie moje meble, skoro nie są ci potrzebne? – Podnoszę na niego wzrok.

– Skąd przypuszczenie, że nie są mi potrzebne?

– Bo twoje mieszkanie wygląda jak wyjęte z katalogu drukowanego w odcieniach szarości! One tu nie pasują. Nie twój styl, nie twoja kolorystyka. Dlaczego to zrobiłeś?

– Z dwóch powodów.

– Niby jakich?

– Po pierwsze, chciałem zainwestować w coś trochę gotówki, a twoje meble wydały mi się do tego odpowiednie. Po drugie, zobaczywszy twój biznesplan, uznałem, że jest całkiem dobry i przyda ci się motywacja do jego realizacji.

Otwieram szeroko oczy.

– Widziałeś mój biznesplan? Kiedy?

– U ciebie w mieszkaniu, gdy ty przebierałaś się w swój kaszubski strój ludowy.

Że co?

Przeszukuję szufladkę wspomnień i napotykam na dzień, w którym Jan przyjechał do mnie pod blok ze swoim genialnym pomysłem wyjazdu służbowego w sobotę.

– Szperałeś w moim komputerze?

– Zostawiłaś otwarty plik w Excelu i swoją stronę internetową. Kiedy wybiegłaś z mieszkania, przejrzałem plik z wyliczeniami. Myślę, że masz spore szanse, żeby utrzymać się na rynku, pod warunkiem, że przy zakładanych kosztach przychód będzie na poziomie minimum czterech tysięcy brutto.

Patrzę na niego i czuję, jak przyjemne ciepło rozchodzi mi się w okolicach żołądka.

– Naprawdę uważasz, że mój biznesplan jest dobry?

– Tak. Twoje produkty cechują dobra jakość i oryginalność. W porównaniu z konkurencją wyróżniasz się atrakcyjną ceną. Proponowałbym szerszą promocję usług. Samo ogłoszenie na darmowym portalu i strona internetowa to za mało.

– Na promocję trzeba mieć kasę. Poza tym muszę mieć co promować, a na razie jestem w stanie poddać renowacji nie więcej niż jeden mebel w miesiącu. To za mało, żeby osiągnąć przychód, o jakim mówisz.

– Więc zwiększ produkcję.

– Nie jestem w stanie.

– Dlaczego?

– Bo brakuje mi warsztatu stolarskiego, a mój szef codziennie każe mi robić nadgodziny, przez co nie mam czasu na produkcję – mówię twardo.

– Drugi aspekt rozwiązuje pierwszy.

– Nie rozumiem.

– Kiedy ostatnio sprawdzałaś saldo konta bankowego?

– Piętnastego grudnia – odpowiadam bez namysłu.

Wtedy właśnie robię przelewy za poprzedni miesiąc, odkładam stały procent na oszczędności, po czym przechodzę jednodniowe załamanie nerwowe, bo moje saldo wynosi kilka marnych groszy, które muszą wystarczyć na żarcie aż do wypłaty.

– To sprawdź teraz.

Tętno mi przyspiesza.

Sięgam po komórkę, wchodzę w bankową aplikację mobilną, wpisuję PIN i w chwili, kiedy pojawia się pulpit, serce mi podskakuje. Wytrzeszczam oczy. Nie dowierzam.

„Dostępne środki: 42 850 zł”.

– O Chryste. – Klikam w historię, a tam przelew na kwotę 42 210 złotych dokonany przez mojego pracodawcę, z tytułem: „wyrównanie wynagrodzenia za okres styczeń – grudzień”. Osłupiała podnoszę wzrok na Jana. – Co to jest?

– Twoje nadgodziny od początku roku.

Ponownie kieruję spojrzenie na astronomiczną kwotę.

– Ale że tyle? To niemożliwe.

– Jeśli masz wątpliwości, podeślę ci plik z zestawieniem. Wyszło dokładnie tysiąc czterysta siedem godzin.

Unoszę głowę.

– Zliczałeś wszystkie moje nadgodziny?

– Tak.

– I od początku zamierzałeś mi je zaakceptować do wypłaty?

– Nie. W firmie obowiązuje zasada, że nadgodziny odbiera się w postaci dni wolnych od pracy.

– To skąd ta kwota na moim koncie?

– Potrzebowałam pieniędzy, żeby założyć biznes, a ja nie zamierzałem udzielać ci dni wolnych.

– I zdecydowałaś poczekać z wypłatą całej sumy na koniec roku? Dlaczego nie dostawałam powiększonego wynagrodzenia co miesiąc z pensją?

– Chciałem mieć pewność, że zainwestujesz wszystko w interes. Duże kwoty motywują lepiej niż małe. Istniało ryzyko, że wydasz miesięczne dochody na bieżące sprawy, a tak masz całość na rozpoczęcie biznesu. Mam już kupców na meble, które od ciebie nabyłem. To kilku koneserów, którzy nabywają u mnie zegarki i są moimi stałymi klientami. Oddam ci różnicę w kwocie, od której potrącę sobie dziesięć procent. W sumie twoja działka to jakieś piętnaście tysięcy złotych. A, i uszaka zdecydowałem się nie sprzedawać. Nie jestem sentymentalny, ale ty najwyraźniej masz do niego słabość. Przyznam, że twoja determinacja w jego pozyskaniu zrobiła na mnie wrażenie.

Siedzę z rozdziawionymi ustami i mam taki mętlik w głowie, że nie jestem w stanie poskładać myśli. Mało tego, moje serce napieprza tak szybko i mocno, że chyba zaraz dostanę zawału. Staram się sobie wszystko uporządkować. Nadgodziny, wypłata, skupowanie mebli...

– Tadeusz pracuje dla ciebie?

– Tak. Zajmuje się kontaktami z klientami i wysyłką zegarków. Czasami robi jako mój kurier. Jeździ też po lombardach, pchlich targach, bazarach w poszukiwaniu dobrych okazji do zakupu.

Zabiję Tadea! Drań nic się nie zdradził, że pracuje dla mojego szefa. Ciekawe, czy powtarzał Janowi, jak bardzo na niego psioczyłam podczas naszych spotkań. Przypominam sobie, jak go poznałam, gdy zapukał do moich drzwi w towarzystwie pani Ali i...

– Poczekaj. Moja sąsiadka twierdziła, że to Tadeo przywiózł uszaka w ten dzień, kiedy nie chciałeś mnie wypuścić z pracy.

– Zgadza się.

– Czyli to ty wysłałeś Tadea po fotel na Piłsudskiego?

– Tak.

– Ale... Nie rozumiem. Nie pozwoliłeś mi samej po niego jechać, wkurwiłeś mnie tak, że miałam ochotę cię zabić, następnie wysłałeś swojego pracownika, żeby odebrał fotel po to, byś później mógł go kupić? To jakiś absurd!

– Nie, Mario. Absurdem było to, że chciałaś taszczyć ten fotel sama z czwartego piętra i wieźć autobusem przez pół miasta. Poza tym nie mogłem dać ci wtedy wolnego popołudnia, bo mieliśmy spotkanie ze Spendimexem w sprawie kontroli skarbowej.

– Po co ta konspiracja? Nie mogłeś po prostu zaproponować, że twój pracownik odbierze mój fotel?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo byś się nie zgodziła.

Jezu, znowu to samo!

– Na pewno bym się zgodziła.

– Po tym, jak powiedziałaś w męskiej toalecie, cytuję: „Pieprzony Jan, sztywny drań. Jezu, jak ja go nienawidzę”, czy przed?

O cholerka, skubany ma pamięć. I w ogóle jest bystry. I wbrew temu, co o nim sądziłam, uczynny. I wierzy w powodzenie mojego biznesu. I zarobił dla mnie dodatkową kasę na odsprzedaży mebli. I załatwił mi wypłatę nadgodzin zamiast odbioru dni wolnych. I jest teraz tak seksowny, kiedy opiera się o tę futrynę i czeka, aż coś powiem, że mam ochotę rzucić się na niego i go zgwałcić.

I to teraz!

Zrywam się na równe nogi, w czterech krokach pokonuję dystans między nami i już mam zarzucić mu ręce na szyję, ale wtedy Jan cofa się niespodziewanie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co robisz? – pyta wyraźnie zdezorientowany. Nie potrafię jednoznacznie określić, czy patrzy na mnie z zaskoczeniem, czy z niechęcią. A może to obrzydzenie? Coś ściska mnie za gardło.

– Yyy, chciałam cię pocałować.

Widzę po nim, że przetwarza moje słowa. Patrzy na mnie uważnie.

– Pocałować – powtarza powoli.

– Tak. Jeśli nie masz ochoty, to w porządku... – Robię krok w tył.

Jan przymyka powieki.

– Mam. Wybacz. To był odruch. – Kręci głową, jakby był na siebie zły. – To nieważne. Zapomnij o tym. – Otwiera oczy, robi krok w moją stronę, przyciąga mnie do siebie i całuje w usta.

Kiedy ktoś ci mówi „nieważne, zapomnij o tym”, to ostatnią rzeczą, jaką zamierza zrobić twój mózg, jest uznanie tego komunikatu za nieważny i puszczenie go w niepamięć. I dlatego właśnie mój umysł, zamiast skupić się teraz na zajebistym, głębokim pocałunku z Janem, rozkminia, co takiego jest „nieważne” i dlaczego mam „o tym zapomnieć”?

– Jan? – Odrywam się od jego ust.

– Hm? – Zaczyna całować moją szyję.

– Dlaczego się cofnąłeś?

– Co?

– Dlaczego tak zareagowałeś? Bo wiesz, to trochę dziwne, gdy facet, z którym dopiero uprawiałam świetny seks, cofa się, kiedy chcę go pocałować, i ma taki wyraz twarzy, jakby się mną brzydził. Zrobiłam coś nie tak? Żałujesz tego, co się wcześniej wydarzyło?

Zamiera z ustami na moim obojczyku; z jego gardła wydobywa się stęknienie. Podnosi na mnie wzrok i zagląda mi głęboko w oczy.

– Robisz wszystko tak, jak powinnaś, Mario. Niczego nie żałuję. A moje zachowanie nie miało nic wspólnego z tobą. – Spuszcza wzrok na moje wargi i przesuwając po nich kciukiem. – Jeśli kiedykolwiek poczuję do ciebie obrzydzenie, to na pewno jasno ci to zakomunikuję. Na razie podniecasz mnie jak diabli i nie mogę się doczekać, kiedy znowu weźmiesz mnie do tych seksownych ust. – Odchyła moją dolną wargę. – I kiedy będę ssał twoje sutki. – Zsuwa dłoń po moim ramieniu, po czym obejmuje pierś. – I kiedy położę cię na brzuchu na moim łóżku... – Przesuwając dłoń na talię, podciąga mi spódnicę... – Uniosę twoje biodra, rozszerzę pośladki i zacznę lizać twoją cipkę. – Odnajduje palcami mokrą szparę, zaczyna pieścić łechtaczkę, a mnie przechodzi dreszcz. – A potem zerżnę cię tak mocno, że będziesz krzyczeć z rozkoszy i błagać o więcej, aż w końcu padniesz wycieńczona i zaśniesz w ułamku sekundy. – Wsuwa we mnie palce, a pode mną uginają się nogi. – Powiedz mi, Mario, czy twoim zdaniem, gdybym czuł do ciebie choć odrobinę obrzydzenia, miałbym wobec ciebie takie plany?

Uśmiecham się sama do siebie, czując narastające podniecenie.

– Lubisz mieć wszystko zaplanowane, co, Janie?

- Tak. – Całuje mnie w płatek ucha.
- I nie lubisz, gdy ktoś cię zaskakuje?
- Nie lubię.
- A gdybym zmodyfikowała nieco twój plan?
- To znaczy? – Ssie skórę na mojej szyi.
- Sześć dziewięć. Lubisz liczby, prawda?
- Z jego gardła wydobywa się pomruk.

– O tak. – Wysuwa ze mnie palce i mnie unosi. – Lubię liczby i ciebie. – Wpija się ustami w moje usta, a ja oplatom go udami w pasie.

Całujemy się, kiedy niesie mnie do sypialni i kiedy włącza przygaszone światło, i kiedy kładzie mnie na łóżku, i kiedy pośpiesznie rozpina mi koszulę. Dyszymy spragnieni swoich ciał, pochłaniamy swoje usta, zdzieramy z siebie ubrania, aż jesteśmy zupełnie nadzy.

Boże, jaki on jest doskonały. Przekręca się na plecach, a ja podziwiam jego umięśnione ramiona, klatkę piersiową, brzuch... O wow, ale wzwód. Kutas twardy jak z granitu.

– Chodź do mnie. – Kładzie dłoń na moim biodrze, zaciska na nim palce, oczy mu płoną.

Czuję, jak palą mnie policzki ze wstydu na myśl o tym, co zamierzam za chwilę zrobić. Po cholere zaproponowałam sześć dziewięć? Przecież nigdy tego nie robiłam. Widziałam kiedyś na niegrzecznym filmie, jak to wygląda, ale jakoś nie pokazywali momentu, kiedy laska wdrapuje się na faceta i wypina mu pupę prosto w twarz!

Boże, taka żenada, że wszystko opada. Poprawka, nie wszystko – penis Jana stoi na baczność tak dzielnie, że aż czuję ucisk w pochwie.

– Chcę cię wylizać. Chodź tu. – Jan odzywa się niskim głosem, sunie dłonią po udzie, pośladku.

Czuję pulsowanie między udami. A co tam, raz kozie śmierć.

Przechodzę na czworakach i moszczę się nad nim okrakiem. Tuż przed sobą widzę jego długie nogi i imponującą erekcję.

– O tak, daj mi ten seksowny tyłek. – Chwyta mnie za pośladki i wpija się w moją cipkę gorącymi ustami.

Przechodzi mnie dreszcz, puls mi przyspiesza, narasta pożądanie. Podpieram się na jednej ręce, ujmuję w drugą członka i biorę go do ust.

Dobiega mnie stłumiony pomruk Jana – jego brzmienie rezonuje w cipce i w podbrzuszu, wywołując dodatkowe bodźce. Podniecenie się wzmacnia.

Zaczynam poruszać głową, przyjmując głęboko do ust twardego penisa, i nagle moją uwagę przykuwa jakiś ruch. Zerkam w bok i zaskoczona dostrzegam odbicie w lustrze olbrzymiej szafy. To my dwoje, zupełnie nadzy, na białej pościeli, skąpani w blasku przyciemnionego światła, rzucającego cienie na nasze ciała. Ja rozkraczona nad Janem, pochylona nad jego kroczem, on leżący przede mną, z twarzą pomiędzy moimi pośladkami.

Uderza mnie fala gorąca, palą mnie policzki. Scena jak z ekskluzywnego porno, i to takiego, które masz ochotę dodać do ulubionych na karcie w przeglądarce. Ale oczywiście tego nie robisz, tylko oglądasz go w trybie incognito, bo a nuż twój popieprzony szef będzie chciał skorzystać z twojego (a raczej firmowego) komputera, i to w sobotę, kiedy się go najmniej spodziewasz.

Wpatruję się w nasze odbicie i nie mogę oderwać od nas wzroku. Mój szef – Jan Engler – i ja. On robiący mi minetę od tyłu, ja klęcząca nad nim okrakiem z jego penisem w ustach. W jego mieszkaniu, w jego łóżku.

Abstrakcja. Gdyby ktoś dzisiaj rano oświadczył mi, że tak właśnie spędzę Wigilię, uznałabym, że najadł się grzybków halucynogennych albo jest po prostu zdrowo jebnięty. Te ostatnie godziny mojego życia były tak nieprawdopodobne, że nachodzą mnie wątpliwości, czy w ogóle wydarzyły się naprawdę. Najbardziej zaskakujące w tym wszystkim jest jednak to, że nigdy, z żadnym mężczyzną, nie czułam się tak bardzo podniecona, tak bardzo pożądana, tak bardzo seksowna, jak z moim szefem.

– Tak, skarbie. Głębiej. – Niski głos Jana rozbudza we mnie coraz większą żądzę.

Biorę go tak głęboko, aż się krztuszę, a wtedy on klepie mnie w pośladek i przesuwa językiem po moim rowku.

– Grzeczna dziewczynka. – Czuję, jak wślizguje się nim w tylną dziurkę, jednocześnie wypełniając cipkę palcami.

Wstrząsa mną dreszcz rozkoszy. Wypinam instynktownie biodra, napieram pupą na twarz Jana, jednocześnie przyspieszam ruch głową i pomagam sobie ręką, żeby zadowolić go równie mocno, jak on mnie. Nasze ciała się poca, narzucamy takie samo tempo. Zerkam w lustro. O cholera, co za widok! Napływa pierwszy skurcz. Wydaję z siebie westchnienie.

– Dochodzisz? – pyta Jan.

– Mhm. – Nie przestaję go zadowalać.

– Chcę to poczuć. Zejdź. – Wyciąga ze mnie palce, a ja uwalniam go z ust.

Jestem tak podniecona, że nie mogę się doczekać, żeby mnie wypełnił. Schodzę z niego, a wtedy on nieoczekiwanie wstaje z łóżka.

– Gdzie idziesz? – reaguję od razu.

Chyba mnie tak teraz nie zostawi? Rozpaloną, z pulsującą cipką?

– Przysuń się i wypnij tyłek.

No, tak znacznie lepiej. Robię, co każe, i odruchowo spoglądam w lustro. O fuck. Zaraz dojdę od samego patrzenia na Jana.

Stoi tuż przy skraju łóżka, wyprostowany, męski, przystojny, z imponującym wzwodem, którym za chwilę mnie wypełni. A ja tuż przed nim. Czuję, jak rozszerza moje pośladki, widzę w lustrze, jak wpatruje się w moją cipkę, słyszę, jak wydaje z siebie gardłowe warknięcie.

– Pamiętasz, co ci mówiłem w korytarzu? – Bierze w dłoń penisa i przesuwając nim po mojej wilgotnej szparce.

– Przypomnij... – Nie mogę się skupić.

Widzę w odbiciu, jak kącik jego ust lekko się unosi.

– Że zerznę cię tak mocno, że będziesz krzyczeć z rozkoszy i błagać o więcej. – Wchodzi we mnie jednym pchnięciem, a ja wydaję z siebie okrzyk.

Gończy prąd przeszywa moje ciało. Zaciskam dłonie na kołdrze, a wtedy Jan chwyta mnie za biodra i zaczyna posuwać. Szybko, głęboko, żywiołowo. Z każdym jego pchnięciem, z każdym klaśnięciem naszych ciał, z każdym urwanym oddechem, jękiem i westchnieniem, narasta we mnie coraz większa fala pożądania. Wije się w oczekiwaniu, aż orgazm uderzy z całą mocą, niosąc upragnione spełnienie. Sięgam do łechtaczki, pocieram ją niecierpliwie, zerkam w lustro. Obserwuję pracę mięśni nóg Jana. Jego biodra poruszają się szybko w przód i w tył, silne ramiona naprężają się od zaciskania palców na moim ciele, nabrzmiały penis wysuwa się i wchodzi w moją cipkę.

Wstrząsa mną dreszcz. Jestem na granicy.

– Zaraz dojdę – jęczę.

– Zaciśnij się, chcę cię lepiej poczuć.

Spełniam jego prośbę i przyspieszam ruch palców na łechtaczce.

– Chryste, ale jesteś teraz ciasna.

Nie odrywam od niego oczu. Obija się o moje pośladki, pot perli się na jego czole, siwe włosy na skroniach błyszczą niczym srebro, skóra na ramionach połyskuje, uwidaczniając mięśnie i podkreślając każdy ich ruch.

– Wyglądasz bosko – wymyka mi się niespodziewanie, a on na chwilę zwalnia i przenosi wzrok na lustro.

Patrzy wprost na mnie, jego oczy są ciemne, zachłanne, rozognione.

– Jesteś piękna. – Przesuwa dłońmi po moich plecach. Ruch jego bioder spowalnia. Wysuwa się nieznacznie, po czym wchodzi głęboko. Wychodzi, a potem uderza biodrami, wbijając się we mnie do końca.

Doznanie jest tak silne, że ledwo się trzymam. Napływa skurcz. Zamykam oczy, pochylam głowę, jestem już na granicy.

– Patrz na mnie. – Jan obejmuje mnie za szyję, unosząc moją twarz.

Czuję jego dłoń na gardle, otwieram oczy i napotykam jego odbicie w lustrze. Wbija we mnie napalony wzrok, przyspiesza rytm bioder, zaciska drugą dłoń na pośladku i wsuwa kciuk w ciasną dziurkę nad cipką.

Wrzący prąd przepływa przez intymne miejsca, rozchodzi się przez uda aż do stóp, przez tułów aż do ramion. Moje mięśnie się napinają, wstrzymuję oddech, napływa fala orgazmu, uderza, wstrząsa mną tak mocno, aż się rozpadam. Bezwiednie wstrzymuję oddech, zaciskam powieki i pochylam głowę.

– Patrz. – Jan wydaje z siebie warknięcie, zaciska palce na mojej szyi, oddycha coraz głośniejsze.

Otwieram oczy. Widzę nas w lustrze jak przez mgłę. Tętno pulsuje mi w skroniach, żar zalewa całe ciało, pojawia się kolejny skurcz, jeszcze mocniejszy niż poprzedni. Z moich ust wydobywa się okrzyk spełnienia.

– O tak, Mario. Jesteś cholernie seksowna, kiedy dochodzisz. – Nie zwalnia rytmu, pomrukuje gardłowo, zaciska szczęki...

Czuję pulsowanie w całym ciele. Obserwuję Jana – jak odchyła głowę do tyłu, jak jego klatka piersiowa wyciąga się i napręża, jak ciałem wstrząsa dreszcz, jak biodra scalają się z moimi pośladkami. Patrzę na niego, jak zamiera i rozchyła usta, z których wydostaje się najbardziej erotyczny męski głos, jaki kiedykolwiek słyszałam. Jest niski, rozbijający.

Sperma wypełnia moje wnętrze. Dłoń opuszcza szyję, przesuwając się po karku, plecach i zamyka się na piersi.

Jesteśmy spoceni, spełnieni. Tkwimy w bezruchu, upajając się tą chwilą.

Kiedy nasze oddechy zaczynają się uspokajać, Jan wysuwa się ze mnie powoli, gładzi mój pośladek, a następnie nachyla się, odgarnia mi włosy i całuje tuż pod uchem.

– Nie myliłem się co do ciebie. To był najlepszy seks w moim życiu – mówi, po czym prostuje się i daje mi klapsa w pośladek. – Wykończyłaś mnie. Przesuń się. Muszę się położyć.

Uśmiecham się z satysfakcją, że tak skutecznie zmęczyłam Jana, i choć jestem równie padnięta jak on, to czuję taką euforię, że mogłabym teraz zacząć tańczyć.

Przenoszę się na środek łóżka, podczas gdy Jan sięga po coś do szuflady i kładzie się obok mnie.

– Proszę. – Wyciąga parę nawilżających chusteczek z małego opakowania i mi je podaje.

No tak, mogłam się tego po nim spodziewać.

– Żel antybakteryjny też tu gdzieś trzymasz?

– W drugiej szufladzie, po przeciwnej stronie łóżka. Sięgniesz sobie? – odpowiada całkiem serio i wyciera starannie członek.

O matko, co za polot. Cały Jan.

– To był żart.

– Co? – Zerka na mnie półprzytomnym wzrokiem.

Naprawdę wygląda na zmęczonego. W sumie trochę się dzisiaj poruszał, czy też poruchał, zwał jak zwał.

– Nic. Muszę chyba przywyknąć, że kiepsko u ciebie z poczuciem humoru.

– Przeszkadza ci to?

– Trochę. Lubię, jak jest zabawnie, gra słów, te sprawy. – Ścieram resztki spermy z wnętrza ud, po czym robię zamach, żeby rzucić chusteczkę na podłogę, a wtedy Jan łapie mnie za nadgarstek.

– Daj mi to. – Zabiera mi ją z rąk.

– Później ją sprzątnę...

– Ja się tym zajmę. – Chowa chusteczkę wraz z tymi, które zużył, do pustego opakowania (wykorzystał ich chyba z dziesięć), zamyka starannie wmontowaną plastikową klapkę i kładzie pudełko na podłodze.

– Jesteś strasznym pedantem, wiesz? – Śmieję się.

– Wiem, że nie lubię bałaganu. – Kładzie ręce pod głowę.

Jego bicepsy tuż nad pachami się naprężają, a klatka piersiowa się wydłuża, uwidoczniając boczną linię żeber. Zero tłuszczu, sama skóra i mięśnie. Niby stary, ale jary. Chodź do mnie, mój porządnicki mężczyzno. Przysuwam się, żeby wtulić się w jego pierś, obejmuję go w pasie, a on się wzdryga, jakby poraził go prąd.

Podnoszę wzrok. Jan patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami, dokładnie tym samym wzrokiem jak wtedy, gdy chciałam go pocałować w progu pokoju.

– Nie chcesz. – Stwierdzam i wycofuję się powoli.

– Czego?

– Żebym cię przytulała. – Obserwuję uważnie jego wyraz twarzy i zaczynam czuć się w jego łóżku jak intruz. – Znowu patrzysz na mnie tak... Jakbyś się mnie brzydził.

Przymyka powieki.

– Mario...

– No co?

Jan wciąga powietrze przez nos i wypuszcza je ciężko.

– Jestem zmęczony. Jeśli masz ochotę, możesz mnie przytulać.

Jeśli ja mam ochotę?

– Rozumiem, że ty nie masz na to ochoty?

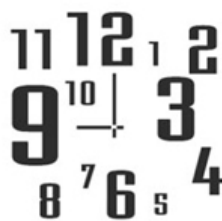
– Nie mam. Chcę iść spać.

Coś ściska mnie za gardło. Dobra, spokojnie. Facet jest zmęczony. Uszanuj to, odwróć się na bok i też idź spać. To był ciężki dzień.

– Okej. Dobranoc w takim razie.

– Dobranoc, Mario. – Jan zamyka powieki, a ja obracam się do niego plecami i nakrywam się kołdrą po uszy.

I choć zdaję sobie sprawę z tego, że nic się nie stanie, jeśli dzisiaj nie zaśniemy wtuleni w siebie, to jednak gdzieś tam w środku jest mi przykro. Bo to był naprawdę świetny seks. Lecz najwidoczniej tylko seks.



Budzi mnie parcie na pęcherz i wilczy głód. Otwieram oczy, przez moment nie wiem, gdzie jestem, ale po chwili wszystko mi się przypomina. Wokół jest ciemno, jedynie słabe światło księżyca wkrada się przez okno. Zerkam na miejsce obok siebie – puste. Która godzina? Przeszukuję wzrokiem sypialnię, ale nie widzę żadnego zegarka. Co jest cholernie dziwne, bo jestem pewna, że w nocy słyszałam bimbanie zegara z wahadłem. Dobrze, że Jan nie ma w kuchni zegarka z kukułką, to by dopiero była orkiestra.

– Jan?

Odpowiadają mi tylko moje wygrywające marsza kiszki. Ssie mnie w żołądku jak jasna cholera. I w sumie wcale nie powinnam się dziwić. Wczoraj przez cały dzień nic nie jadłam. To dopiero postna Wigilia.

Odrzucam kołdrę, siadam na łóżku i szukam telefonu. Powinien być na podłodze z ubraniami. Boże, ale mi się chce siku. Błądzą wzrokiem po ciemnym parkiecie, a oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Nie ma ani ciuchów, ani telefonu. Wstaję, rozglądam się. W głębi sypialni widzę bieżnię, rower, jakieś sztangi, ławeczkę – najwyraźniej Jan ma tu wydzieloną własną siłownię. Przesuwam wzrokiem po pomieszczeniu i dostrzegam komodę stojącą naprzeciwko łóżka, na której leżą złożone równusieńko w kostkę biała koszula, spódnica, na nich stanik i moja komórka.

Chce mi się śmiać. Boże, Jan, ty porządnisiu.

Podchodzę do komody, zakładam koszulę (zaraz, czy on ją wyprasował???) i zerkam na wyświetlacz telefonu.

Jest piąta pięć. Środek nocy.

Oj, ale mnie ciśnie, koniecznie muszę siusiu. I kupkę chyba też. Zaciskam zwieracze i przyświecając sobie komórką, wychodzę na korytarz. Zauważam światło sączące się spod drzwi gabinetu Jana. W pierwszym odruchu chcę do niego zajrzeć, żeby zapytać, dlaczego nie śpi o tej porze, ale naprawdę muszę do kibelka, bo zaraz eksploduje mi pęcherz.

Wchodzę do łazienki, a wtedy od razu zapala się fotokomórka oraz włącza wiatrak. Poraża mnie blask. Armatura, jasne kafelki i lustra błyszczą niczym

biżuteria w sklepie jubilerskim. A to ci „niespodzianka”.

Jan musiał niedawno brać prysznic, bo na szkle oddzielającym pochyloną posadzkę z odpływem od reszty łazienki, wciąż widoczne są krople wody.

Odkładałam telefon na umywalkę, podnoszę klapę od sedesu i aż mnie zatyka. Ani jednego włosa, żadnego zacieku, zżółcenia, kamienia – czysta biel, przezroczysta woda, pachnie lawendą. Wygląda na to, że po raz pierwszy zrobię numer jeden i dwa na siedząco w innym miejscu niż mój dom. Nawet u moich rodziców, Tośki, Niny czy Artiego załatwiam się na narciarza. Każda kobieta, która kiedykolwiek złapała ostrą drożdżycę pochwy, to zrozumie. Takiego świądu, pieczenia i opuchlizny nie sposób zapomnieć. A że uczę się na błędach, to unikam basenów i nigdy nie dotykam dupą deski sedesowej, na której siedziała inna dupa.

Tym razem jednak zamierzam złamać żelazną zasadę. Jestem niemal w stu procentach pewna, że gdyby w naszym kraju odbywały się zawody na najczystszy sedes, to ten zająłby pierwsze miejsce. Już widzę nagłówek w biuletynie BHP naszej firmy: „Jesteśmy dumni! Jan Engler, dyrektor departamentu finansów, królem najczystszej sedesu w Polsce”.

Hi, hi. Ale miałby minę, gdyby zobaczył takiego e-maila.

Siadam wygodnie, robię, co natura każe, i w tej samej chwili rozlega się jakieś psiknięcie, a łazienkę wypełnia lawendowy zapach. O rajuśku, jestem pod wrażeniem. Niezaprzeczalnie Jan powinien mieć swój program w TV – *Perfekcyjny pan domu*.

No dobra. Pora zaspokoić kolejną potrzebę fizjologiczną. Mam nadzieję, że Jan ma coś dobrego w lodówce. Wychodzę na korytarz, podchodzę do drzwi, spod których wynurza się snop światła, i pukam.

Cisza.

Pukam ponownie.

Nic.

– Jesteś tam? – pytam.

Nie odpowiada.

Naciskam na klamkę i zaglądam do środka. Jan siedzi pochylony nad stołem; lampa biurkowa oświetla jego dłonie. W jednej pęseta, w drugiej rozbebeszony zegarek. Jest tak skupiony, że w ogóle mnie nie zauważa. Obserwuję go przez dłuższą chwilę. A jest co obserwować. Włosy ma lekko wilgotne po prysznicu, szary T-shirt opina ramiona, ma na sobie spodnie od dresu, stopy są gołe. Pierwszy raz widzę go w takim wydaniu. I cholernie mi się podoba.

– Nie przeszkadzam?

Jan podnosi głowę i ściąga brwi.

– Maria. Co tu robisz?

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Nie możesz spać? – Idę w jego stronę.

– Skąd ta myśl?

– Jest po piątej.

– Zawsze wstaję o tej porze. – Pochyliła się ponownie nad zegarkiem.

– I co robisz tak wcześnie?

– To, co zwykle.

– To znaczy?

Przymyka powieki.

– Czy możemy przełożyć tę rozmowę na później? Jestem zajęty.

– Zegarkiem?

– Tak. Chcę go skończyć za dwie szósta. – Pochyliła się ponownie nad biurkiem.

– Dlaczego akurat za dwie szósta?

– Bo o szóstej idę ćwiczyć.

– A potem?

– Biorę prysznic.

– Już brałeś.

Podnosi na mnie wzrok.

– To był wyjątek. Zazwyczaj nie uprawiam seksu w środku nocy i nie muszę brać prysznica od razu po przebudzeniu.

Mam ochotę go zapytać, kiedy w takim razie uprawia seks, ale gryzę się w język. Za wcześnie na takie odpytywania.

– Rozumiem. I co robisz później, po prysznicu?

– Jem śniadanie. – Wraca spojrzeniem do zegarka. Majstruje coś przy mechanizmie.

– A po śniadaniu?

– Wychodzę do pracy.

– Dzisiaj jest dzień wolny.

– No tak. W dni wolne sprzątam mieszkanie, robię pranie, zakupy i prasuję.

– Aha, a jak już skończysz?

– Szykuję obiad.

– A później?

– Jem obiad – odpowiada machinalnie, nawet na mnie nie patrząc. Siedzi i grzebie w pieprzonym zegarku.

– A kiedy zjesz?

– Zajmuję się zegarmistrzostwem.

– A potem?

– Jem kolację.

– A po niej?

– Czytam książkę.

– A gdy poczytasz?

– Idę spać.

No tak. Najwyraźniej Jan ma już zaplanowany cały dzień i nie ma w nim miejsca dla mnie.

– A modyfikujesz czasami ten swój plan dnia? – pytam z wyraźną sugestią w głosie.

– W żadnym wypadku. Nie należy zmieniać ustalonego porządku. Chyba że zaistnieje nagła sytuacja.

Ściska mnie w gardle. No tak. A ja głupia myślałam, że on na serio mówił o tej chatce w górach i wspólnym spędzeniu świąt.

Wstaję, patrzę na niego, ale on mnie totalnie nie zauważa.

– W takim razie nie będę ci przeszkadzać. – Podchodzę do drzwi.

– Gdybyś była głodna, zawartość lodówki jest do twojej dyspozycji. – Nie podnosi na mnie wzroku.

A to kurwiflak jeden. Czuję się, jakby ktoś walnął mnie w żołądek. Nie żebym liczyła na jakiegoś porannego całusa czy wspólne śniadanie. Ale, do kurwy nędzy, mógłby chociaż patrzeć mi w oczy, kiedy do mnie mówi. Czy naprawdę ten cholerny zegarek jest ważniejszy niż ja?

Boże, jaka ja jestem naiwna. Nic tu po mnie.

*

Gdy tylko wychodzę z apartamentowca, wita mnie śnieg po kostki. Wokół pusto. Jest jeszcze ciemno, choć bezchmurnie. Za blokami widać już przejaśniające się niebo. Zimno niczym na Syberii, cała się trzęsę i w sumie nie dziwne, skoro mam na sobie tylko kozaki, spódniczkę, stanik i kurtkę. Postanowiłam zostawić Janowi jego koszulę. Zwinęłam ją w kulkę i wrzuciłam do kosza na brudy w łazience. Mimo to nadal czuję na sobie jego zapach – nie wiem, czy to od koszuli, czy od

tego, że ocieraliśmy się o siebie podczas zajebistego seksu. Jak najszybciej muszę wziąć prysznic. Ale najpierw coś zjem.

Wyjmuję telefon i namierzam najbliższego całodobowego McDonalda (bo w domu nie mam absolutnie nic do żarcia).

To się nazywa świąteczne śniadanie. McWrap, duże frytki, shake truskawkowy, lody w polewie karmelowej, kawa i cała restauracja do mojej dyspozycji. Jestem jedynym klientem! Świąteczna muzyczka leci sobie cicho z głośników, wyglądam przez okno na zaśnieżone miasto i zajądam swoje ulubione fastfoodowe danie. Tylko że za cholerę mi ono nie smakuje. Mam gulę w gardle i tak ściśnięty żołądek, jakby ktoś zawiązał go w supeł. Nie no, nic więcej nie zjem.

Pakuję wszystko na wynos do papierowej torby, biorę kawę w rękę i sięgam po komórkę, żeby zamówić taksówkę. Rozładowana. Cholera. Trudno, może to i lepiej. Pokonam powrotną drogę do domu pieszo. Wreszcie zapalę sobie fajkę. Albo dwie. Może wiatr i chłód rozwieją moje troski.

Nie żebym była jakoś szczególnie zdołowana, ale dobrze też ze mną nie jest. Gdybym miała określić swój nastrój, nazwałabym go „smutowkurw”. Jestem w połowie smutna, a w połowie wkurwiona. I na pewno mocno niewyspana.

Pierwszym, co zrobię po wejściu do domu, będzie wzięcie gorącego prysznica. Potem położę się na łóżku, włączę *Holiday*, po czym usnę przy kojącym brytyjskim akcencie Jude’a Law. To jest facet, o jakim marzę. A nie gburowaty fagas, jakim jest mój szef. Co też mi strzeliło do tego głupiego łba, żeby się z nim przespać? I to trzy razy! A może cztery? Na samo wspomnienie tego, co wyczynialiśmy w biurze, a później w jego łóżku, chce mi się wyć z niemocy. Mam totalny chaos w głowie. Bo z jednej strony było nam tak dobrze, a z drugiej Jan po wszystkim olał mnie ciepłym sikiem – nie dosłownie, rzecz jasna, tak daleko nie zaszliśmy. Lubię seksualne zabawy, ale ta zdecydowanie do nich nie należy. Swoją drogą, ciekawe, jak bardzo perwersyjny potrafi być Jan? Czy kręca go takie rzeczy? To, że uwielbia oral i anal, już wiem. Jak daleko chciałby się ze mną posunąć?

Mimowolnie przypominam sobie, jak dosiadłam go w windzie, a on wypełnił mnie od tyłu swoim twardym kutasem, i robi mi się gorąco. Cholera, szkoda, że po wszystkim okazał się takim nieczułym bubkiem... Ale czego ja się spodziewałam? Że nagle z gburowatego Jana Englera, dyrektora finansowego cholernej korporacji, zmieni się w szlachetnego Jana Skrzetuskiego, rycerza i książęcego namiestnika, który będzie wielbił swoją Marysię po kres swych dni? Ewidentnie coś uszkodziło mi wczoraj mózg.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu? – Męski głos wyrywa mnie z przemyśleń.

Zerkam w stronę swojego bloku. Moje serce przyspiesza rytm.

Jan stoi oparty o auto, zupełnie jak wtedy, kiedy po mnie przyjechał, żeby zabrać mnie w delegację.

Z tym wyjątkiem, że teraz nie jest ubrany w garnitur. Spod zimowego płaszcza wystaje szary golf, na nogach ma ciemnoniebieskie dżinsy i beżowe buty. Wygląda zajebiście dobrze.

I co z tego? Jest podłym dupkiem i mam go gdzieś.

– Stoisz na zakazie.

– Zaryzykuję.

No proszę, czyżbym miała *déjà vu*?

– Skoro chcesz dostać mandat... – Omijam go i podchodzę do klatki.

– Zaliczę w koszty delegacji...

Przystaję, odwracam się.

– Są święta, Jan. Nikt nie jeździ w delegacje w święta.

– Święta trwają dwa dni, Mario. Po nich delegacja jest jak najbardziej uzasadniona.

– W takim razie szerokiej drogi. – Otwieram drzwi, a wtedy on je przytrzymuje.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się spakować?

– A pytasz, bo...? – Wchodzę do środka i podążam schodami w stronę mieszkania.

– Bo sądziłem, że spędzimy święta razem – odpowiada, a mnie trafia jasna cholera.

– Czy ty sobie żartujesz? – Zatrzymuję się i stoję przodem do niego.

– Już ci mówiłem, nie jestem szczególnie uzdolniony w opowiadaniu żartów – przypomina całkiem poważnie. – Podobnie jak w rozpoznawaniu dowcipu, ironii czy mimiki twarzy. Wolałbym, żebyś mówiła wprost, co myślisz.

– Co myślę?

– Tak.

Mrużę oczy, a krew buzuje mi w żyłach.

– Myślę, że nie mam pojęcia, co tu robisz i po co wygadujesz te bzdury. Dzisiaj rano dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie ma dla mnie miejsca w twoim dziennym planie. Wracaj do siebie, poćwicz, zjedz śniadanie, weź prysznic, posprzątaj i nie mieszaj mi w głowie.

Odwracam się w obawie przed tym, że jeśli powiem jeszcze słowo, to zadrży mi głos. Pokonuję co drugi stopień, dochodzę do swojego mieszkania, przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi.

– Źle rozumiałaś naszą wcześniejszą rozmowę. – Jan staje tuż za mną.

– Masz rację. Słowa „ty, ja, chata w górach i łóżko” faktycznie brzmią dwuznacznie i można je źle zrozumieć.

Wchodzę do środka, on za mną. Od razu ściąga buty i płaszcz.

– Nie o tę rozmowę mi chodziło.

– Nieważne. Ubierz się z powrotem i wracaj z łaski swojej do siebie. – Rzucam torbę z McDonalda na szafkę w przedpokoju. – Jestem zmęczona. Idę pod prysznic, a później spać. – Zdejmuję kozaki, kurtkę...

– Dlaczego wyszłaś ode mnie z mieszkania? Dlaczego nie wzięłaś koszuli? Dlaczego nie odbierałaś telefonu? – pyta tak, jakby naprawdę nie wiedział.

Biorę głęboki wdech, przymykam powieki. Czuję, że kawa przestaje działać. Miejsce kofeiny zastępują buzujące w żyłach emocje.

– Wyszłam z mieszkania, bo mnie tam nie chciałeś. Nie wzięłam koszuli, bo jest twoja. Nie odbierałam telefonu, bo się rozładował. Jeszcze jakieś pytania?

– Skąd wniosek, że cię nie chciałem w swoim mieszkaniu?

Jezu, zaraz mnie szlag trafi.

– Jan, zapytałam cię, jakie masz plany, a ty nawet słowem się nie zająknąłeś na mój temat. Dłubałeś w zegarku, jakbyś świata poza nim nie widział, nawet nie raczyłeś na mnie spojrzeć. Zachowywałeś się tak, jakbyś chciał się mnie pozbyć po tym, jak mnie przeleciałeś.

Wciąga głęboko powietrze.

– Poczekaj. – Ściąga brwi, jakby się nad czymś wnikliwie zastanawiał. – Weszłaś do mnie do gabinetu i zapytałaś, co robię tak wcześnie – przypomina. – Odpowiedziałem, że to, co zwykle, i poprosiłem cię o przełożenie naszej rozmowy na później. Na co ty zaczęłaś zadawać kolejne pytania, na które odpowiadałem z przeświadczeniem, że cały czas rozmawiamy o tym, co zazwyczaj robię w ciągu dnia. Nie miałem na myśli akurat dzisiejszego dnia. Mówiłem ogólnie, o porządku każdego innego dnia. – Patrzy na mnie tak szczerze, że aż chcę mu wierzyć. – Być może faktycznie nie poświęciłem ci pełni uwagi. Byłem zajęty, o czym poinformowałem cię na samym początku naszej rozmowy. Mam swoje nawyki, przyzwyczajenia, szanuję porządek dnia i potrzebuję czasu, by dostosować się nowej rzeczywistości. Następnym razem prosiłbym, żebyś zadawała pytania wprost, precyzyjnie się wyrażała i mówiła mi otwarcie o swoich potrzebach, abym mógł cię dobrze zrozumieć. Postaram się

również poświęcić ci więcej uwagi, gdy tylko zgłosisz jej deficyt. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

Analizuję jego słowa, ton głosu, wyraz twarzy i, cholera, nie wiem, co mam myśleć. Może faktycznie rano nie wyraziłam się wystarczająco jasno i przez to opacznie go zrozumiałam? W pracy nasza komunikacja odbywała się na określonych zasadach: konkretne pytanie – konkretna odpowiedź. Być może zbyt pochopnie uznałam, że skoro spaliśmy ze sobą, to zaczniemy nagle nadawać na tych samych falach, rozumieć się bez zbędnych słów, rozmawiać o konkretnych sprawach, nie jak podwładna i szef, tylko jak kobieta i mężczyzna, których łączy coś więcej niż zawodowa relacja. Nie wzięłam jednak pod uwagę, że Jan niezależnie od tego, czy znajduje się w biurze, czy w swoim domu, jest nadal sobą – jest zdystansowany, uporządkowany, skoncentrowany w danym momencie na jednej konkretnej czynności, dobrze zorganizowany, podejmuje racjonalne i logiczne decyzje na podstawie faktów, nie dając się ponieść emocjom.

Cóż, chyba naiwnie sądziłam, że skoro tak niespodziewanie puściły mu hamulce w sferze seksu, to od razu otworzy się przede mną emocjonalnie. Być może to za wcześnie? Może potrzebuje więcej czasu?

– Ja również cię przepraszam – oświadczam, patrząc mu w oczy. – Możliwe, że zbyt pochopnie wyciągnęłam wnioski z naszej rozmowy. Dlatego zapytam wprost: jakie masz plany na najbliższe dni?

Twarz Jana się rozjaśnia. Oho, chyba będzie uśmiech. Trzy, dwa, jeden...

I oto on. Zniewalający i wyjątkowy. Wpatruję się w niego jak w rzadki cud natury. Na policzkach i w kącikach oczu pojawiają się zmarszczki, które dodają Janowi uroku i sprawiają, że nie tracąc nic z męskości, staje się pociągający jak diabli.

– Plan jest taki: prysznic, pakujesz się i ruszamy w drogę.

Czuję przypływ ekscytacji.

– Super. A gdzie jedziemy? – Wchodzę do pokoju.

– Tam, gdzie chciałem cię zabrać ostatnim razem, kiedy staliśmy w tym miejscu.

Zerkam na niego zaskoczona. On chyba nie mówi poważnie?

– Jan, proszę, powiedz, że nie chodzi o żadną delegację, która będzie miała miejsce tuż po świętach.

– Mario... – Na jego twarzy pojawia się wyraz rozbawienia.

– Co Mario? Wyjaśnij.

– Co dokładnie mam ci wyjaśnić? – Opiera się o futrynę i zakłada ręce na piersi. Wygląda jak milion dolarów w tym szarym golfie, który przylega jak

druga skóra do jego ramion i klatki piersiowej. – Czy mam zacząć od tego, że kiedy wyszłaś w tym skąpym bikini tamtego dnia, to ledwo się powstrzymałem, żeby cię go nie pozbawić? Czy może od tego, że miałem ochotę zerwać z ciebie kuse szorty opinające twój seksowny tyłek, przełożyć cię przez kolano i zlać za to, że jesteś taka uparta? – Podchodzi do mnie blisko i nachyla się nad moim uchem. – A może od tego, że najchętniej przyparłbym cię do ściany i lizał twoją cipkę do momentu, aż zaczęłabyś mnie błagać, żebym zabrał cię do tego cholernego Szczyrku?

Przechodzi mnie dreszcz, a na ciele pojawia się gęsia skórka. Nasze twarze są tak blisko siebie, że gdybym tylko stanęła na palcach, mogłabym bez trudu go pocałować. Serce wali mi jak wariat, ale próbuję myśleć logicznie.

– To jednak nadal nie wyjaśnia, dlaczego jedziemy do Szczyrku.

– Bo mam tam dom.

– Dom? Tam, gdzie mieliśmy jechać w delegację? – Mrużę oczy.

– Długo planowałem tamten wyjazd.

– Planowałeś? – Otwieram szeroko oczy. – Mówiłeś, że to niespodziewany bankiet u klienta.

Nic nie odpowiada. Wpatruje się w moje usta, co wcale nie pomaga mi się skoncentrować.

– Jan? Co z tym bankietem u klienta? Był planowany czy niespodziewany?

Cisza.

– Jan?

Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– Nie było żadnego bankietu – odpowiada.

– Nie rozumiem.

– Chciałem, żebyś spędziła ze mną tamten weekend, więc uznałem, że delegacja będzie dobrym pretekstem.

Otwieram szeroko usta. O Najświętsza Panienko, to sobie wymyślił. Jaś Fasola relacji damsko-męskich. Po prostu słów brak. Nie wiem, czy mam się śmiać, czy być oburzona. A może powinnam się cieszyć, że robił do mnie takie podchody?

– Beznadziejnie to rozegrałeś – mówię bez ogródek. – Nie mogłeś po prostu mi zaproponować wspólnego wyjazdu w góry?

Patrzy na mnie, jakbym znała odpowiedź.

– No tak, odmówiłabym. Ale dlaczego wyskoczyłeś z tym tak nagle?

– Z moich obserwacji wynikało, że jesteś spontaniczną kobietą. Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli wezmę cię z zaskoczenia.

– O tak. Trzeba przyznać, że byłam zaskoczona i wściekła. Nie dosyć, że chciałeś zrujnować moje weekendowe plany, to jeszcze zagroziłeś utratą pracy. Genialne posunięcie, Janie.

– Nie przewidziałem, że będziesz się aż tak opierać. To było dla mnie duże wyzwanie. Wydawało mi się, że lubisz, kiedy coś się dzieje niespodziewanie, że to cię ekscytuje.

– Lubię, ale nie gdy zmusza się mnie do pracy w weekend.

– Przyznaję, że się nie popisałem i popełniłem błąd. Nie jestem w tym dobry. Nigdy nie zabiegałem o kobietę.

Unoszę brwi.

– Same wskakiwały ci do łóżka?

– I wyskakiwały z niego tak szybko, jak do niego wskoczyły.

– Dlaczego?

– Nazwijmy to brakiem porozumienia.

– A twoja żona?

– Moja była żona – doprecyzowuje. – Nie chcę o niej rozmawiać – oświadcza stanowczo.

Nie widzę na jego twarzy żadnej oznaki, by jej temat wywoływał w nim jakieś większe emocje. Wygląda po prostu tak, jakby naprawdę nie miał ochoty poruszać jej tematu.

– W porządku. Pójdę w takim razie wziąć prysznic. – Omijam go, lecz wtedy on łapie mnie za rękę i do siebie przyciąga.

– Pomogę ci. – Sięga do haftek i odpina stanik.

Ciarki przechodzą mi po skórze. Oddech przyspiesza.

W następnej kolejności rozpina guzik i suwak od spódnicy, sprawiając, że materiał opada luźno na moje gołe stopy.

– Gotowe. – Uśmiecha się z satysfakcją i niespodziewanie bierze mnie na rękę.

– Co robisz? – Obejmuję jego kark.

– Zanoszę cię pod prysznic.

– Sama dam sobie radę.

– Mówiłaś, że jesteś zmęczona.

Wchodzi ze mną do łazienki i stawia mnie w brodziku.

– Przesuń się. Puszczę wodę. – Przekręca dźwignię mieszacza, podwija wysoko rękaw, nachyla się i sprawdza łokciem ciepłotę strumienia. Jest przy tym tak skupiony, że aż chce mi się z niego śmiać. Zachowuje się, jakbym była

dzieckiem, dla którego trzeba naszykować kąpiel. – Temperatura jest teraz odpowiednia. – Wycofuje się, po czym niespodziewanie zdejmuje golf, ściąga spodnie...

Unoszę brwi zaskoczona.

– Chcesz brać prysznic ze mną? – pytam.

– Obowiązkowo.

– Jest przed ósmą. Czy ten nieplanowy prysznic nie poprzestawia ci zbytnio porządku dnia? – Uśmiecham się, widząc go zupełnie nagiego... i podnieconego!

– Zrobię wyjątek. Myślę, że będzie warto. – Wchodzi do środka, przypiera mnie do ściany i wpija się w moje usta.

Z gardła wydobywa mi się westchnienie. Tym razem Jan nie bawi się w żadną grę wstępną (i nawet nie musi, bo i tak już jestem mokra, gdzie trzeba), łapie mnie za udo, unosi moją nogę i wchodzi we mnie jednym pchnięciem.

Obejmuję go i zaciskam palce na jego ramionach, a on zaczyna mnie posuwać. Szybko, energicznie, całując mnie głęboko i namiętnie. Woda spływa po naszych ciałach, para wypełnia kabinę, gonimy spełnienie. A to jest coraz bliżej. To będzie szybka piłka.

– Moja. – Jan zamyka dłoń na moim pośladku, ściska go mocno, jego ciałem wstrząsa dreszcz, po nim kolejny... Zaraz dojdzie.

Sięgam do łechtaczki, wsłuchuję się w niski pomruk jego głosu i wystarczy kilka ruchów palcami, żeby napłynęła upragniona fala. Osiągamy szczyt, on pierwszy, ja tuż po nim. Oddychamy szybko; wyswobadzamy się ze swoich objęć. Gdy tylko Jan się odsuwa, chłód spowija moje ciało, choć w kabinie jest parno jak w letni, burzowy dzień. Brakuje mi jego dotyku, czułości, bliskości zwieńczającego seksualny akt.

Obserwuję go, jak sięga po gąbkę i zaczyna namydlać ją starannie, poświęcając tej czynności całą uwagę.

– Jan? – Obejmuję się ramionami.

– Hm? – Nie patrzy na mnie, tylko myje się pod pachą.

– Prosiłeś, żebym mówiła ci otwarcie o swoich potrzebach... Żebyś mógł mnie dobrze zrozumieć...

– Zgadza się. – Myje z atencją drugą pachę.

– Chciałabym, żebyś mnie objął po tym, jak już dojdziemy.

– Dojdziemy gdzie? – Trze gąbką klatkę piersiową.

Boże, daj mi cierpliwość.

– Po seksie, Jan. Chciałabym, żebyś mnie przytulił, kiedy skończymy uprawiać seks.

Podnosi na mnie wzrok. Patrzy, jakby nie rozumiał.

– Dlaczego?

Dla gówna psiego!

– Bo nie czułabym się wtedy jak panna wyłącznie do pieprzenia, tylko jak ktoś, kogo lubisz.

– Przecież cię lubię. Już ci to mówiłem.

– Czasami czyny liczą się bardziej niż słowa.

– A przytulanie się jest dla ciebie tego wyznacznikiem?

– W tym momencie? Tak.

Przygląda mi się. Po wyrazie jego twarzy widzę, że się nad czymś zastanawia.

– Dobrze, że mi o tym mówisz. Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu z moją byłą żoną.

Krzywię się, i to z trzech powodów.

Po pierwsze, utwierdzam się w przekonaniu, że jego eks to zimna suka i nienawidzę jej jak muchy siadającej na kiełbasie podczas grilla. Po drugie, nie mieści mi się w pale, jak można nie zgłaszać potrzeby przytulania się po seksie do takiego mężczyzny jak Jan. A po trzecie, wspomnianie o jego eks, gdy jesteśmy nadzy pod prysznicem, jest równie podniecające jak sucha mineta – kiedy to facet pod kołdrą udaje, że pieści cię językiem, ale tak naprawdę pociera tylko palcem, mlaskając przy tym, jakby lizał ci cipkę.

– Czy stanowi to dla ciebie jakiś problem? – odpowiadam nieco ostrzej, niż powinienam.

– Żaden problem. Czy chcesz, bym cię przytulał po każdym stosunku, czy masz jakieś inne konkretne wytyczne?

O Matko Święta.

– A nie możesz się trochę wczuć w klimat i sam zreflektować, czy to dobry moment, żeby się przytulić, czy nie?

Ściąga brwi.

– Obawiam się, że to nie będzie proste.

– Bo?

Patrzy mi prosto w oczy. Milczy. Sprawia wrażenie, jakby ze sobą walczył.

– Jan? – Ponagliam go, bo coś za długo się zastanawia.

Bierze głęboki wdech.

– W porządku – odpowiada w końcu. – Postaram się. Ale będziesz pamiętała, żeby mi mówić wprost, że czegoś chcesz, dobrze?

Wzdycham. Nie rozumiem tego człowieka. Przecież to będzie sztuczne, sztywne, pozbawione emocji. Jakby robił coś na siłę, tylko dlatego, że go o to poproszę. Nie mógłby tak sam z siebie, z własnej woli, potrzeby? Nie twierdę, że ma mi czytać w myślach, ale czasami wystarczy zerknąć na kogoś i już po nim widzisz, że czegoś mu trzeba. Ale widocznie on tak nie potrafi.

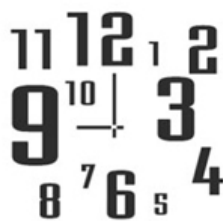
– No dobra. – Poddaję się. – Czy możesz mnie w takim razie teraz przytulić?

– Mogę. – Odkłada gąbkę na półkę. – A potem umyję twoje piersi i pośladki, pasuje?

Przewracam oczami. Stary cwaniak.

– Pasuje – odpowiadam z uśmiechem, na co on mnie obejmuje, a ja całą sobą wtulam się w jego pierś.

O jak przyjemnie. Nie pojmuję, jak można nie lubić się przytulać?



Według mapy mamy przed sobą czteroipółgodzinną podróż. Może nie jest to długo, ale jakoś tak dziwnie jechać tyle godzin bez żadnej muzyki w tle. Zastanawiam się, jak to będzie wysiedzieć z Janem przez taki szmat czasu w ciszy, jednak gdy tylko wyjeżdżamy z miasta na autostradę, uderzam w kimę.

Budzę się po dwóch godzinach. Serce wali mi jak młotem, chyba miałam zły sen. Nie za wiele z niego pamiętam. Kojarzę, że kłóciłam się z Janem...

Czuję, że jestem obśliniona, mam kaptur w buzi i spierzchnięte na wiór wargi, a to może oznaczać tylko jedno.

– Spałam z otwartymi ustami? – Odzywam się zachrypniętym po śnie głosem i wycieram twarz rękawem bluzy.

– Tak. – Jan nie odrywa wzroku od jezdni.

– A chrapałam?

– Tak.

O matko.

– Nie mów tylko, że gadałam przez sen?

Nic się nie odzywa.

Niech to.

– Czyli gadałam. Coś konkretnego? – Jest mi wstyd, bo wiem, jak to mogło brzmieć. Tośka nagrała mnie na dyktafon, gdy nocowałam u niej po pisemnej maturze z polskiego. Istny bełkot przeplatany przekleństwami.

– Z kilku niezrozumiałych zdań wyłapałam jedynie eksklamację „pieprz się, stary dziadzie!” – oświadcza.

Boże, ale wiocha.

– Mój organizm reaguje tak na stres.

– Wczorajszy dzień musiał być zatem dla ciebie mocno stresujący. W nocy usiadłaś i przez dwie minuty czterdzieści sekund prowadziłaś monolog pełen soczystych epitetów skierowanych, jak mniemam, do swoich rodziców.

Zniżam się na siedzeniu. Mam ochotę schować się pod wycieraczkę.

- Przepraszam, że musiałeś tego słuchać.
- Nie przepraszaj. To było ciekawe doświadczenie. Twoja psychika jest pociągająca.
- Pociąga cię moja... psychika? – Patrzę na niego jak na wariata.
- W rzeczy samej. Nigdy nie spotkałem osoby, która byłaby w tak znaczącym stopniu rozwinięta pod względem inteligencji logiczno-matematycznej, werbalnej, interpersonalnej i emocjonalnej jednocześnie.
- O cholerka, to był chyba komplement.
- Sądziłam, że przede wszystkim pociąga cię mój tyłek.
- Bezsprzecznie masz wspaniały tyłek. Jednak z pragmatycznego punktu widzenia inne twoje walory działają na mnie bardziej stymulująco.
- Na przykład?
- Nie nosisz biżuterii, mocnego makijażu, nie upiększasz się sztucznymi rzęsami, paznokciami, jesteś naturalna.
- I to cię kręci?
- To świadczy o tym, że nie jesteś próżna i nie udajesz kogoś, kim nie jesteś.
- Z tą próżnością nie byłabym taka pewna.
- Dlaczego?
- Bo chcę, żebyś mówił dalej. – Uśmiecham się. – Co jeszcze cię we mnie kręci?
- Jesteś punktualna, co oznacza, że szanujesz również mój czas – kontynuuje. – Twoim przyjacielem jest homoseksualista, co świadczy o twojej tolerancji względem indywidualności, niekoniecznie akceptowanych przez społeczeństwo. Nie zraża cię bezpośredniość, co również mi odpowiada, zważywszy na to, że subtelność nie jest moim wiodącym atutem. Jesteś energiczna, otwarta i żywiołowa, co czyni z ciebie partnerkę atrakcyjną seksualnie, choć może być sporą przeszkodą w naszych relacjach, biorąc pod uwagę moją niechęć do spontaniczności.
- Twoje wczorajsze zachowanie w biurze oraz dzisiejszy wyjazd były spontaniczne.
- Spontaniczne byłyby wówczas, gdybym nie planował ich od sześciu miesięcy.
- Och.
- Czuję przyjemne ciepło rozchodzące się z żołądka aż do serca. I jest to dla mnie spore zaskoczenie. A to dlatego, że nie sądziłam, że ktoś taki jak Jan będzie w stanie wywołać we mnie podobne uczucia. Nigdy nie umawiałam się z takim

typem mężczyzny. Zawsze szerokim łukiem omijałam mruków, osobników wycofanych, sztywnych, formalnych. Ciągnęło mnie do tych „spoko gości”, którzy z frywolnym uśmiechem flirtują z tobą przy pierwszym spotkaniu i oczarowują cię swoją niewymuszoną swobodą, zakrawającą często o nonszalancję. Obracałam się w towarzystwie ludzi otwartych, wygadanych, zabawnych i wyluzowanych. Sądziłam, że właśnie u boku takiego faceta poczuje się wyjątkowa, dowartościowana, ważna. Tymczasem to Jan, którego nie znosiłam i uznawałam za społecznego przegrywa, sprawił, że poczułam się naprawdę wyjątkowa. Uważałam go za typa, który widzi tylko czubek własnego nosa, a on przez ostatnie dwanaście miesięcy obserwował mnie na tyle wnikliwie i niepostrzeżenie, że dostrzegł we mnie cechy, o których istnieniu nie miał pojęcia żaden mój dotychczasowy chłopak.

Boże, jakie to słodkie, miłe, kochane i dowartościowujące...

Wpatruję się w Jana, czując, jak mięknie mi serce. Wzrok ma skupiony na jezdni, profil jak zwykle ostry, powściągliwy. Siedzi prosto, trzyma kierownicę „za piętnaście trzecia” (że też jeszcze nie zmęczyły mu się ręce od tej podręcznikowej pozycji), prędkościomierz wskazuje równo sto czterdzieści kilometrów na godzinę, czyli maksymalną dozwoloną prędkość, z jaką można poruszać się na autostradzie. Takim autem mógłby spokojnie przycisnąć do dwóch stów. Ale to przecież Janko „ryzykant”. I tak już zaszalał z tym wyjazdem, który planował od pół roku. Niezwykle z niego osobliwy przypadek.

Przesuwam po nim wzrokiem, podziwiając, jak zabójczo wygląda w tym golfie, który podkreśla jego wyrzeźbioną sylwetkę. Przypomina mi się, jak jego mięśnie przeżyły się pod nagą skórą, kiedy robiliśmy „to” w biurze, u niego w mieszkaniu, u mnie pod prysznicem. Słyszę w głowie jego słowa: „jesteś moja”, „jesteś piękna”, „jesteś tak cholernie seksowna”. Powracam wspomnieniami do zegarka, który mi sprezentował; do wszystkich mebli, które ode mnie kupił; do nadgodzin, za które dostałam wynagrodzenie...

Moje serce uderza coraz szybciej, żołądek zaciska się w supeł, czuję mrowienie, które rozchodzi się od ud, po piersi i uderza gorącem w twarz. Zaczynają mi się pocić dłonie i doskonale wiem dlaczego. Jasna cholera, jestem zakochana w Janie!

- Zatrzymaj się – mówię zdławionym głosem.
- Tu nie wolno. Jesteśmy na autostradzie.
- Tam jest zatoczka. – Pokazuję na wyjazd ewakuacyjny. – Zjedź.
- To nie jest miejsce postojowe.
- Mam to w dupie. Zjedź, do cholery!

Jan na mnie zerka. Muszę wyglądać nieciekawie, bo włącza kierunkowskaz, zjeżdża i parkuje przodem do bramy awaryjnej.

Łapię za torebkę, wyskakuję jak oparzona z auta, wyciągam paczkę fajek, zapalniczkę...

– Musiałem się zatrzymać, bo chciałaś zapalić? – pyta z niedowierzaniem, wysiadając z samochodu.

– To nagła sytuacja. – Próbuje odpalić papierosa, ale podmuchy wiatru gaszą płomień zapalniczki. Przytrzymuję ją kurczowo w dłoniach, trzymam papierosa w ustach, dygoczę – i to wcale nie dlatego, że stoję w samej bluzie na mrozie.

Boże, jestem niestabilna emocjonalnie. Jak mogłam tak szybko zakochać się w facecie, którego nie znosiłam jeszcze czterdzieści osiem godzin temu?

– Myślę, że to dobry moment, żeby z tym skończyć. – Słyszę jego głos.

Co?

Nie zdążę nawet unieść wzroku, jak Jan wyciąga mi papierosa z ust.

– Co robisz?

– Palenie szkodzi twojemu zdrowiu.

– Powoduje też raka i choroby serca. Daruj sobie. – Wyciągam paczkę fajek z torebki, a wtedy Jan zabiera mi ją z rąk, robi zamach i wyrzuca ją przez ogrodzenie.

Noż kurwa!

– Oszalałeś?! Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo nie chcę, żebyś paliła.

– Przecież sam mówiłeś, że kiedyś paliłeś.

– Dziesięć lat temu. Przez piętnaście dni i siedem godzin. Nie jestem z tego zadowolony. Nikotynizm to silniejszy nałóg niż heroinizm.

– To może pamiętasz, jak to jest, kiedy chce ci się palić jak diabli, a nie masz fajek?

– Popadanie w nałóg niczego nie rozwiązuje. Dlatego to jest twój ostatni papieros. Naciesz się nim, bo od dzisiaj rzucasz. – Podaje mi fajkę, a ja wyrywam mu ją z ręki.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. – Odpalam papierosa i głęboko się zaciągam.

Jan mruży powieki.

– Od jak dawna palisz?

Wywracam oczami.

– Daj spokój.

– Odpowiedz.

Jezu, zaczyna się.

– Od szesnastego roku życia.

– Czyli dwanaście lat.

– O, jesteś lepszy w matmie ode mnie.

– Nie jestem.

– Pewnie, że nie jesteś. To był żart.

– A ja nie żartuję. Co roku na świecie z powodu palenia umiera przedwcześnie sześć milionów ludzi.

– Wiem. I po co mi to mówisz? – Ponownie się zaciągam.

– Bo cię lubię i nie chcę, żebyś przedwcześnie umarła.

Krztuszę się dymem. Chryste, co za tekst. Odkasłuję, bo drapie mnie w gardle.

– Na razie nigdzie się nie wybieram. I równie dobrze mogę zginąć w wypadku samochodowym, dostać raka jelita grubego od spożywania przetworzonej żywności albo zostać dźgnięta nożem przez złodzieja i wykrwawić się w ciemnej uliczce.

– Możesz być bardziej ostrożna podczas jazdy samochodem, ograniczyć spożywanie przetworzonych posiłków i unikać ciemnych uliczek.

– A co, jeśli to nie ja będę prowadzić?

– Możesz poprosić kierowcę, by jechał bardziej ostrożnie.

– Albo żeby oddał mi kluczyki i sama poprowadzić – sugeruję.

– Też.

– Doskonale. – Zaciągam się po raz ostatni, rzucam niedopałek na śnieg, gaszę go butem i wyciągam otwartą dłoń w stronę Jana. – Poproszę zatem.

– O co? – Patrzy na mnie zdeorientowany. Nie ogarnia.

– O kluczyki.

– Jakie kluczyki?

– Te, które masz w dłoni.

Brwi podjeżdżają mu do góry. Zerka na swoją rękę, w której trzyma kluczyki od BMW. Ma absolutny *mindfuck*. Otwiera usta, po czym je zamyka. Znowu otwiera i zamyka. W końcu jakiś trybik przeskakuje, unosi głowę i rzuca mi twarde spojrzenie – jedno z tych, za które miałam ochotę go zamordować w robocie.

– Nie ma takiej opcji. – Odwraca się i idzie do samochodu od strony kierowcy. – Wsiadaj.

– Nie.

– Słucham? – Przystaje.

– Chcę prowadzić. Wiesz, chodzi o ostrożność podczas jazdy. – Puszczam mu oko.

– Jestem ostrożnym kierowcą.

– Ja jestem ostrożniejszym. Chcesz się założyć?

– Nie. Wsiadaj.

Zakładam ręce na piersi.

– Masz dwie opcje: albo prowadzę, albo zostaję. Co wybierasz?

– To tak nie działa – odpowiada przez zaciśnięte zęby.

– Masz dziesięć sekund na decyzję. Z czego dwie już minęły.

– Mario. Nie. Będziesz. Prowadzić. Mojego. Samochodu – wymawia powoli każde słowo.

Przyglądam mu się uważnie. Żyłka na jego czole pulsuje.

– Uważasz, że nie potrafię dobrze jeździć i zarysuję ci twoje cacko?

– Nie – zaprzecza od razu. – Jestem pewny, że jesteś dobrym kierowcą.

– Więc o co chodzi? – Mrużę oczy, próbuję wyczytać z wyrazu jego twarzy, dlaczego tak bardzo się upiera przy swoim. I nagle mnie oświeca. – Boisz się utraty kontroli.

Brak komentarza. Trafiłam w punkt.

Podchodzę do niego ostrożnie, żeby go nie spłoszyć. Jan śledzi każdy mój krok.

– Nie ufasz mi. – Staję tuż przed nim i unoszę głowę.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym? – Przesuwam dłonią po jego ramieniu. Wzdryga się.

Cholera.

– Mario, wsiądź do auta. – Patrzy mi w oczy.

– Wsiadę, jeśli dasz mi kluczyki. Odwdzięczę się.

– Jak?

– Przekonasz się, kiedy dojedziemy na miejsce. Zostało jakieś sto kilometrów.

– Dziewięćdziesiąt siedem – koryguje.

– To godzina drogi.

– Czterdzieści dwie minuty przy założeniu, że utrzymamy dotychczasową prędkość.

– Tym bardziej. Za czterdzieści dwie minuty zaparkuję twoje auto w ustronnym miejscu, rozepnę ci rozporek i zrobię tak dobrze, że zapamiętasz tę podróż do końca życia.

Momentalnie spuszcza wzrok na moje usta. Widzę, jak przełyka ślinę.

– Pod warunkiem, że do końca naszego wyjazdu nie weźmiesz papierosa do ust.

Ale się uparł.

– A do kiedy zostajemy?

– Do Nowego Roku.

Serce mi podskakuje, lecz od razu opada ciężko jak głaz. Z jednej strony jestem podekscytowana na myśl o całym tygodniu spędzonym z Janem. Z drugiej zaś, na samą myśl o tym, że nie będę mogła sobie zapalić po seksie lub po pysznym obiedzie w karczmie czy po grzańcu, chce mi się płakać. Chyba że będę się skutecznie kryć. Skoro starzy nigdy mnie nie nakryli, kiedy schodziłam po kryjomu do komórki na fajkę, ani żaden z nauczycieli nie przyłapał nas z Niną, gdy na przerwie jarałyśmy w oknie damskiego kibla w szkole, to Jan na pewno też się nie domyśli. Wystarczy dużo perfum, miętowa pasta do zębów, owocowa guma do żucia, kwiatowy krem do rąk i niewinny wyraz twarzy. To może wypalić.

– Zgoda – odpowiadam i wyciągam dłoń po kluczyki. – Zapraszam na siedzenie pasażera.

O. Mój. Boże. Nigdy nie prowadziłam takiej maszyny. Ja nie jadę, ja płynę. Biegi chodzą jak maselko, przyspieszenie niczym w kosmodromie, jedziemy sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, a w ogóle tego nie czuć. Moja noga robi się ciężka, coraz cięższa. Nabieram prędkości, serce bije mi coraz szybciej, zaciskam dłonie na kierownicy. Sto trzydzieści. Sto czterdzieści. Sto pięćdziesiąt.

To takie samo uczucie, jak kiedy samolot rozpędza się na pasie startowym.

– Mario. – Pada upomnienie, ale je ignoruję. Nie zamierzam zdjąć nogi z gazu. Jestem pilotem, który lada moment oderwie srebrzystego (w tym wypadku czarnego) ptaka od ziemi i poszybuje ku niebu.

Sto sześćdziesiąt, sto siedemdziesiąt.

– Mario, wystarczy. – Rozlega się ostre warknięcie.

Zerkam w stronę Jana. Trzyma się za uchwyt nad szybą, wzrok ma utkwiony na wprost, jest biały jak śnieg na polach, które mijamy.

Z trudem powstrzymuję parsknięcie.

– Wyglądasz, jakbyś miał wydalić kamień nerkowy.
– Moim nerkom nic nie dolega.
– To taka przenośnia.
– Kolejna nielogiczna metafora, która nie odzwierciedla faktycznego stanu.
– Czy ja wiem? Stan jest oczywisty, jesteś blady, pocisz się, masz minę, jakbyś miał zacząć rodzić.

– I znów błędne zestawienie słów, których przeniesienie wcale nie oddaje mojego samopoczucia ani mojej mimiki. Zwolnij.

– Oj tam, oj tam. – Naciskam pedał gazu.

Sto osiemdziesiąt. Sto dziewięćdziesiąt. Spoglądam na Jana – przyspieszony oddech, zbielejące kostki dłoni na uchwycie, zamiast kija w tyłku gruby dębowy bal. Zaraz wykituje. Zaciskam ręce na kierownicy, wciskam gaz w podłogę. Dwieście!

– Ja piernicę. Ta maszyna to torpeda. Ile maksymalnie nią jechałeś? – zagaduję.

Nic nie odpowiada. Zamarł.

– Pewnie dozwolone sto czterdzieści – stwierdzam. – Teraz jedziemy tylko sześćdziesiąt kilometrów więcej. Jakie to uczucie?

– Jakbyśmy jechali dwieście kilometrów na godzinę – mówi cały spięty.

– A poza tym, jak się z tym czujesz?

– Jakbym łamał przepisy. Zwolnij.

– Nie. Opowiedz mi, co zaplanowałeś dla nas na nadchodzący tydzień.

– Nie będę z tobą rozmawiał, kiedy prowadzisz z tą prędkością.

– W przeciwieństwie do ciebie nie mam problemu z podzielnością uwagi. Możesz mówić. Gdzie pójdziemy zjeść po przyjeździe?

– Nigdzie. Zjemy obiad u mnie w domu.

– Cudownie. Czyli rozumiem, że umiesz gotować?

– Tak. I to bardzo dobrze.

– Skromny jak zawsze. Co będzie?

– Zobaczymy, jakie produkty uda nam się kupić w sklepie całodobowym.

– Mam ochotę na spaghetti bolognese. Lubisz? – Zerkam w jego stronę i widzę, że bladość jego cery ustępuje powoli normalnemu kolorowi skóry.

– Pytasz o makaron czy sos?

– Yyy... spaghetti to przecież makaron z sosem. Jak można to w ogóle rozdzielać?

– Makaron ma swój smak. I sos ma swój smak. Ten drugi bezsprzecznie musi być przygotowany z pomidorów gruntowych.

– O tej porze roku takich nie dostaniemy. Trzeba będzie zadowolić się tymi z puszki – stwierdzam.

– Unikam potraw z puszki.

– Dlaczego?

– Bo mi nie smakują.

– Ach, a co jeszcze ci nie smakuje?

– Wszystkie mieszane dania. Lubię, jak każdy składnik jest podany osobno.

– Czyli nie jadasz hamburgerów ani hot dogów?

– Nie.

– Tortilli, kebabu i pizzy też nie?

– Nie.

– Nie robisz sobie nawet kanapek do pracy?

– Nie.

– A surówki? Ja kocham surówki.

– Nie.

Boże, to okropne! Ile pysznych rzeczy go omija.

– Czego jeszcze nie jesz? – pytam i przez następne trzydzieści minut, kiedy to jedziemy już drogą ekspresową, słucham, jak Jan wylicza poszczególne potrawy oraz kompilacje składników, których nie jada.

Na liście znajdują się między innymi: ryby i owoce morze (bo załatują mułem), orzechy (bo zbyt głośno chrupią w ustach), mięso baranie (bo ma zbyt intensywny zapach), nie jada też wszystkiego, co przypomina w konsystencji galaretkę, kisiel czy budyń (bo kojarzy mu się ze śluzem), ma też awersję do dojrzałych gruszek (bo śmierdzą moczem).

– A ty czego nie lubisz? – pyta.

– Podrobów i sernika – odpowiadam krótko.

– I czego jeszcze?

– Na tym koniec. – Wskazuję na tabliczkę z napisem „Szczyrk”. – A my dojechaliśmy. Cali i zdrowi.

– Hm. – Jan wydaje się zdziwiony tym, że to już. – W takim razie teraz cały czas prosto. Za jakieś dwa kilometry za tym lasem będzie sklep spożywczy.

– Aha. – Włączam kierunkowskaz i skręcam w lewo, pokonując mały niebieski most.

– Gdzie jedziesz? Powiedziałem prosto.

Uśmiecham się pod nosem, wjeżdżam na wąską ścieżkę rowerową, zatrzymuję się na zboczu lasu i odpinam pasy.

– Co robisz? – Patrzy na mnie pytająco.

Sięgam do klamry od paska jego spodni.

– Coś ci przecież obiecałam, prawda?

Jego oczy się rozszerzają, a oddech przyspiesza, kiedy rozpinam rozporek. Śledzi każdy mój ruch. Wkładam dłoń w bokserki, wydaję jego członka, pochylam się i biorę go do ust.

Słyszę przeciągłe westchnienie. Jan odgarnia mi włosy z twarzy, a wtedy ja wsuwam jego kutasa najgłębiej, jak mogę.

– Chryste, Mario. – Instynktownie unosi biodra.

Podnoszę na niego wzrok. Oczy mu płoną, wargi ma lekko rozchylone, pochłania mnie spojrzeniem.

Robię mu dobrze ręką, ssę, liżę, przyspieszam ruch góra-dół, po czym zwalням. Jego oddech staje się coraz szybszy, zaciska dłonie na moich włosach, zaczyna nadawać rytm.

– O tak, skarbie. Jesteś w tym świetna – warczy i dociska moją głowę, a ja pozwalam mu wejść jak najgłębiej. – Zaraz dojdę. – Wysuwa się powoli. Widzę, że zerka na schowek.

– Potrzebujesz czegoś? – Przesuwam dłonią po stojącym członku.

Ciałem Jana wstrząsa dreszcz.

– Chusteczek – odpowiada z urywanym oddechem.

No oczywiście, przecież to byłby koniec świata, gdyby pobrudził sobie spermą spodnie i tapicerkę tego czyściutkiego autka.

– Nie będą ci potrzebne. – Uśmiecham się filuternie i patrząc mu w oczy, wkładam jego penisa do ust.

Zaciska powieki, odchyła głowę do tyłu. Wygląda tak seksownie, że sama zaraz dojdę od patrzenia na niego. Pieszczę go językiem, zadowolam najlepiej, jak potrafię, aż w końcu słyszę głęboki, długi pomruk. Ciało Jana się napręża, biodra się unoszą i dochodzi. Wypełnia moje usta, smakuje tak samo jak wtedy, gdy robiłam mu dobrze w biurze. Bez chwili wahania połykam całość, po czym oblizuję członka jak najpyszniejszego loda, patrząc przy tym Janowi w oczy.

Jego wzrok mnie obezwładnia. Śledzi mnie spojrzeniem spod na wpół przymkniętych powiek, przez co moje podniecenie rośnie.

– Widzisz, nie uroniła się ani jedna kropelka. Jest czysto i schludnie, tak jak lubisz. – Ocieram wargi dłonią i odchylam się, żeby powrócić na swoje miejsce, a wtedy Jan niespodziewanie chwyta mnie za szyję, przyciąga do siebie i wpija się ustami w moje usta.

Jego pocałunek jest żarliwy i tak namiętny, jakby w ogóle przed chwilą nie doszedł. Sięga do moich spodni, rozpina guzik i wsuwa dłoń w majtki. Przeszywa mnie dreszcz, gdy jego palce dotykają cipki. Pociera niecierpliwie łechtaczkę, po czym wślizguje się do środka. Wyginam się w łuk; jego usta zsuwają się po mojej szyi. Pieprzy mnie palcami, a ja z każdym jego ruchem jestem coraz bliżej spełnienia.

– O tak, nie przestawaj. – Wiję się na siedzeniu, wypycham biodra, by poczuć go jeszcze głębiej.

– Opuść spodnie. – Słyszę jego podniecony głos.

– Po co?

– Opuść. – Nie przestaje mnie posuwać palcami.

Sięgam po brzegi spodni, unoszę pupę i ściągam je do kolan.

– Wypnij mi tyłek.

– Jak?

Jan wysuwa ze mnie palce, łapie mnie w pasie, a wtedy z jego pomocą przekręcam się i klękam na siedzeniu tyłem do niego.

– Grzeczna dziewczynka. Lubię taki widok – mówi z satysfakcją w głosie, po czym rozchyła moje pośladki i przywiera ustami do cipki.

Słyszę jego gardłowy pomruk, kiedy wchodzi we mnie językiem. Wstrząsa mną dreszcz. Opieram czoło o chłodną szybę i wypinam się, napierając tyłkiem na jego twarz. Chcę go poczuć głębiej, intensywniej.

– Powiedz, proszę, że znowu ci stoi – dyszę.

– Stoi. – Zasysa łechtaczkę, a po moim ciele przepływa prąd.

– To we mnie wejdź.

– Nie zmieszczę się. Jestem za wielki.

Zgłupiał czy jak?

– Przecież już to robiliśmy od tyłu. Nie pękne, bez obaw.

– Nie zmieszczę się w tej pozycji w aucie, Mario.

No tak, racja.

– To siadaj.

– Co?

– Siadaj. – Odwracam się i popycham go na siedzenie pasażera.

W jego oczach pojawia się błysk, uśmiecha się, odsuwa fotel do tyłu i opuszcza spodnie. Ściągam pospiesznie majtki z dżinsami, przechodzę na jego stronę i moszczę się nad nim okrakiem.

Jest trochę ciasno i niewygodnie, ale walić to. Widok stojącego na baczność penisa Jana i perspektywa tego, że zaraz poczuję go w sobie, rekompensuje wszelkie niedogodności.

– Gotowy? – Ujmuję twardą męskość i pocieram o moją mokrą szparkę.

– Na ciebie zawsze. – Kładzie dłonie na moich pośladkach.

Opuszczam się na niego powoli, czuję, jak mnie wypełnia, przechodzą mnie ciarki, tętno mi przyspiesza.

– O jak dobrze. – Pozwalam, żeby wszedł aż do końca i wypełnił mnie całą.

– Lepiej niż dobrze. – Jan zaciska palce na moim tyłku, a ja przywieram do jego ust i zaczynam się na nim poruszać.

Ujeżdżam go powoli, ocierając się łechtaczką o jego krocze. Jestem coraz bliżej spełnienia, przyspieszam, czuję mięśnie ud i już wiem, że jutro będę miała problemy z chodzeniem, ale teraz jedyne, o czym myślę, to aby mieć orgazm. Z Janem. W jego aucie.

– Jestem już blisko – mówię wprost w jego usta. Czuję, że moje nogi są coraz słabsze, lecz mam to gdzieś. Chcę dojść, teraz, zaraz.

Jan wsuwa dłonie pod moją bluzkę, rozpina stanik i obejmuje moje piersi. Jego dotyk, to jak na mnie patrzy, jak cudownie pachnie, jak wzdycha, kiedy się na niego nabijam, rozwala mnie totalnie. Pociąga mnie delikatnie za brodawki, szczypie je, pociera palcami, przez co całe moje ciało pokrywa się gęsią skórą. Z najintymniejszego miejsca rozchodzi się mrowienie, narasta z każdą sekundą, przemieszcza się na uda, brzuch, sutki i nagle uderza we mnie gorąca fala. Mięśnie pochwy zaciskają się na twardym penisie, każdy fragment ciała się napina, z mojego gardła dobywa się okrzyk spełnienia.

Instynktownie odrzucam głowę do tyłu, a puls dudni mi uszach.

– Spójrz na mnie. – Słyszę jakby z oddali.

Powracam spojrzeniem do oczu Jana, które wpatrują się we mnie z pożądaniem. Dochodzę intensywnie, zaciskam palce na męskich ramionach, nieruchomieję, a wtedy Jan unosi mnie za pośladki i wbija się we mnie energicznie kilka razy.

– O tak, o tak. – Oddycha szybko. Przenika mnie spojrzeniem. – Uwielbiam się z tobą pieprzyć. Uwielbiam patrzeć, jak dochodzisz. Uwielbiam się w tobie

spuszczać. – Z jego ust wydobywa się warknięcie, wchodzi we mnie głęboko ostatni raz i zastyga. Jego ciałem wstrząsa dreszcz. Odchyła głowę w tył...

– Spójrz na mnie – powtarzam jego słowa.

Uchyła lekko powieki i spogląda mi w oczy. Nozdrza ma rozszerzone, brwi ściągnięte, pot mieni się na srebrnych włosach przy skroniach. Patrzy prosto na mnie, przygryzając dolną wargę. Dochodzi mocno i długo.

Jest bezbronny i tak pociągający, że żałuję, że ludzki mózg nie potrafi robić zdjęć. Pamięć bywa zwodnicza. A ja chcę zachować obraz takiego Jana na zawsze, na wypadek gdybyśmy mieli kiedyś gorsze dni albo miałabym ochotę go na przykład zabić.

A mam ochotę go zabić już dwadzieścia minut później. Być może dlatego, że jestem głodna jak wilk i chce mi się diabelnie palić, ale najpewniej dlatego, że Jan stoi nad naszym wózkiem z zakupami i czyta składy wszystkich produktów, które do niego wrzuciłam.

– Odłóż to. – Podaje mi zafoliowany chleb.

– Dlaczego?

– Bo to podróbka.

– To nie banknot dwustuzłotowy, Jan. Kto chciałby podrabiać chleb?

– Nieuczciwy producent. Mniemam, że biorąc ten produkt, sądziłaś po jego barwie, że jest to pełnowartościowe pieczywo razowe.

– A nie jest?

– Nie. Prawdziwy chleb powinien zawierać tylko cztery składniki: mąkę, sól, wodę i zakwas. Twój oprócz tego, że ma w sobie tylko pięć procent mąki żytniej, posiada karmel, który barwi jasne pieczywo pszenne na złocisty kolor. Producent celowo wprowadził cię w błąd.

– No dobra. – Zabieram chleb i już mam go odnieść na miejsce, kiedy Jan wyciąga w moją stronę wytłaczankę z jajkami.

– To też odłóż.

– Co? Dlaczego? To przecież zerówki, ekologiczne. Od szczęśliwych kur, co biegają wolno po wybiegu, jedzą zdrową paszę i skubią trawkę.

– Ale z datą przydatności do jutra. Chyba że zamierzasz zjeść dzisiaj na obiad jajecznicę z dziesięciu jaj? – Unosi pytająco brwi.

Wrrr.

– Dawaj to. – Zabieram od niego pudełko, a on zagląda ponownie do koszyka. – Coś jeszcze mam odnieść? – Rzucam mu poirytowane spojrzenie.

– Chciałaś kupić masło czy margarynę? – Sięga po kostkę w złotym opakowaniu i czyta skład.

– Masło.

– To masłem na pewno nie jest.

– Co ty gadasz? Przecież jest napisane jak byk: „pyszne masełko”.

– To podróbka.

– Co?

Jezu, czy on cierpi na manię paranoiczną? Wszyscy producenci żywności chcą go oszukać!

– Prawdziwe masło zawiera ponad osiemdziesiąt procent tłuszczów mlecznych i zero roślinnych, czyli powinno być robione z pełnotłustej śmietany – wyjaśnia akademickim tonem. – Twoje posiada w składzie sześćdziesiąt dwa procent tłuszczu roślinnego. Zapewniam cię, że nie będzie smakować jak masło, bo nim nie jest.

– Niech ci będzie. – Zabieram kostkę z jego dłoni. – Czy mogę już pójść to odnieść, czy zamierzasz dalej robić ze mnie głupka, który nie umie czytać?

Jan patrzy na mnie zaskoczony.

– Nie jesteś głupia.

– Wiem, ale po twoich żywieniowych naukach czuję się tak, jakbym była.

– Nie to było moim celem. Chciałem zadbać o jakość twoich zakupów.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale jestem dorosła i potrafię ponieść konsekwencje swoich konsumenckich wyborów.

Ściąga brwi. Analizuje moje słowa.

– Czyli nie powinienem był ci zwracać uwagi, że te produkty są wadliwe? Wolałabyś nie wiedzieć, że ten chleb nie jest żytni, jajka jutro stracą datę ważności, a masło nie jest prawdziwym masłem? – pyta całkiem poważnie.

Przymykam powieki; biorę głęboki wdech. Jestem głodna jak cholera (i naprawdę mam kurewską ochotę zapalić!). Chciałabym już coś zjeść i odpocząć po podróży.

– Myślę, że od karmelu w pieczywie nic mi nie będzie, a z jajek i masła zrobię jabłecznik na deser.

– Nie jadam ciast z owocami. Wolę osobno jabłka i osobno ciasto.

– To zrobisz wyjątek. Ja zjem obiad, który przygotujesz, a ty mój deser. Masz coś jeszcze do kupienia?

– Dwie papryki, cztery marchewki, siedem pieczarek...

– To się streszczaj i weź mi przy okazji dwa kilogramy jabłek. Czekam na ciebie przy kasie.

Odkładałam produkty do wózka i oddalam się razem z nim. Po drodze zgarniam cukier trzcinowy, mąkę i sodkę. Kiedy tylko podchodzę do lady, mój wzrok pada na wystawę papierosów. Głód nikotynowy dźga mnie w sam środek spłotu słonecznego i kusi: „kup je, kup, no kup. Zapal sobie, no już, zapal, zaciągnij się”.

Zerkam w alejkę, by sprawdzić, czy przypadkiem Jan nie czai się gdzieś w pobliżu, i proszę młodą sprzedawczynię o paczkę fajek. Nie wiem dlaczego, ale czuję się, jakbym robiła coś bardzo złego. Serce mi bije szybko, cały czas patrzę, czy Jan się nie zbliża. Kobieta kładzie paczkę na ladzie. Krzywię się, bo gorzej nie mogła wybrać. Opakowanie z fotką kobiety, która pluje krwią.

– Mogę prosić tę paczkę ze śpiącym panem? – Wskazuję na wystawę za dziewczyną.

Uśmiecha się ze zrozumieniem, a ja już wiem, że sama pali. Tylko palacz może się tak uśmiechać do palacza. Piąteczka. Zabiera fajki i sięga po inną paczkę.

– Nie, nie tego od raka. – Wzdrygam się na widok starszego faceta z rurką w krtani. – Wezmę tego przystojniaka na szarym prześcieradle.

– Tego od zawału? – Śmieje się, bierze opakowanie i kładzie na ladzie, a ja od razu chowam papierosy do torebki.

– Jeszcze paczkę gum miętowych i owocowych.

– Których?

– Obojętnie.

Podaje mi dwa pierwsze z brzegu kartoniki.

– Płatność kartą czy gotówką?

– Kartą.

Wyciągam portfel, płacę zbliżeniowo...

– Ile w sumie wyszło? – Rozlega się głos za moimi plecami, a ja podskakuje na jego dźwięk.

Odwracam się i widzę za sobą Jana, który kładzie warzywa na taśmie.

– Yyy, jeszcze nie płaciłam.

– Płaciłaś. Przed chwilą. Kartą.

– A to. – Śmieję się nerwowo. – Wzięłam sobie gumy do żucia. – Poruszam paczkami jak marakasami. – Czekałam na ciebie, żeby nabić na kasę wszystko razem. Zapłacimy rachunek na pół.

Fajki ciążą mi w torebce. Czuję się jak przemytniczka narkotyków, która łąże celnikowi na granicy.

Mario, uspokój się. Przecież nic złego nie robisz, to tylko Jan, a nie żaden celnik, a ty masz w torebce szlugi, a nie kilo heroiny – zapewnia głód nikotynowy, który nie może się już doczekać, aż wreszcie go zaspokoje.

– Nie ma takiej potrzeby. Zapłacę za wszystkie zakupy. – Wzrok Jana podąża w stronę wystawy za plecami sprzedawczyni. Mruży oczy. – Interesuje cię coś z tamtej półki, Mario?

Moje tętno momentalnie przyspiesza.

– Nie. Skąd ten pomysł? – Zaczynam wypakowywać pospiesznie produkty na taśmę.

Pałam mnie policzki. Czuję suchość w gardle. Jasna cholera. Dlaczego obchodzi mnie to, co sobie pomyśli o mnie Jan, kiedy dowie się (a może już wie?), że właśnie kupiłam fajki?

– Mimo to wezmę coś, na wypadek gdybyś nabrała ochoty – dodaje.

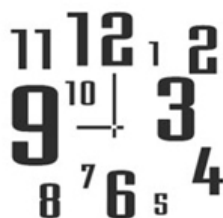
Oślupiała podnoszę na niego wzrok. Że co? Zmienił zdanie czy jak?

– Sauvignon Blanc, to z najwyższej półki – mówi do sprzedawczyni, a ja w tej samej chwili przenoszę spojrzenie na regał i walę się ręką w czoło (rzecz jasna tylko w myślach).

Tuż obok wystawki z papierosami znajdują się dwa rzędy alkoholi – wódka, wino, piwo, koniaki...

Zdecydowanie muszę się napić.

– Weź od razu dwie. Nabrałam jednak ochoty – rzucam i wypakowuję dalej nasze zakupy.



Kiedy rozkładasz na czynniki pierwsze równoważnik zdania: „ty, ja, chata w górach i łóżko”, widzisz siebie z facetem na białym puszystym dywanie przed kominkiem, w drewnianej chatce z poddaszem, na zboczu zaśniewanej góry.

Tymczasem chatka Jana okazuje się nowoczesnym domem pasywnym z płaskim dachem, wielkimi oknami, otoczonym zewsząd drzewami.

Gdy tylko wchodzimy do środka, staję jak wryta. Górski dom Jana jest wierną kopią jego mieszkania w mieście. Takie same kafelki, bliźniaczo podobne meble, to samo rozmieszczenie pomieszczeń i wyposażenie kuchni, nawet identyczny rodzaj przytłumionego światła.

– Chyba powinnam wykonać dla ciebie dodatkowy uszak. – Rozpakowuję razem z Janem zakupy. – Tylko gdzie ja znajdę drugiego takiego samego?

Przenosi na mnie wzrok. Mruży oczy.

– To drwina, jak mniemam.

– Nie, skąd. To absolutnie normalne, że ludzie urządzą swój dom za miastem toczka w toczkę jak mieszkanie, w którym żyją na co dzień.

– Nie przepadam za zmianami. Lubię, jak wszystko jest na swoim stałym miejscu. Taki wystrój mi odpowiada.

– Jesteś... Jakby to ująć? Bardzo osobliwy.

– Dziękuję. – Jan wyjmuję z szafki plastikowe pudełka z różnymi kolorami pokrywek i ustawia jeden obok drugiego na blacie.

Już mam mu odpowiedzieć, że to nie był komplement, ale chwilowo mnie zatyka. Patrzę z niedowierzaniem, jak Jan odlicza plasterki sera żółtego i rozkłada je po równo do pojemników. Dopiero teraz zauważam, że każde wieczko jest podpisane dniem tygodnia.

– Co ty robisz? – pytam.

– Organizuję nasze zapasy na najbliższe trzy dni.

– Przecież sklep jest dwa kilometry stąd. Jak czegoś zabraknie, to się wyskoczy.

– Wolałbym wiedzieć wcześniej, kiedy skończy nam się pożywienie.

– Czy to oznacza, że nie mogę zjeść w ciągu dnia więcej niż cztery plasterki wędliny?

– Bynajmniej. Kiedy tylko skończy się zapas na dany dzień, uzupełnij go z pudełka z dnia następnego i naklej na niego kartkę z aktualną ilością plasterków.

Rozdziawiam usta. W pierwszej chwili wydaje mi się, że Jan robi sobie ze mnie jaja, ale gdy wraca do rozdzielania kolejnych plasterków, dociera do mnie, że mówi całkiem poważnie.

Obserwuję go, jak starannie układa jedzenie w pojemnikach, po czym ustawia je równo w lodówce. Jest przy tym taki skupiony i słodko nienormalny, że aż rozczulający.

– Jan, a co, jeśli zjadłabym teraz wszystkie nasze zapasy? – Podciągam się i siadam na blacie.

– Po co miałybyś to robić, skoro za godzinę będzie obiad? – Unosi rękę i zerka na zegarek. – Poprawka, kolacja.

– Jestem głodna już teraz. Co byś zrobił, gdybym zjadła dzisiaj całą zawartość pojemników z trzech dni?

– Naszykowałbym dla ciebie krople żołądkowe, tabletki na zgagę i miszkę.

– Ha, ha, ha. A mówiłeś, że nie umiesz żartować.

– Bo nie umiem. Ale cieszę się, że udało mi się ciebie rozbawić. – Wrzuca warzywa do zlewu, podciąga rękawy, odkręca wodę i zaczyna szorować marchew szczotką, tak mocno, że aż biedacze współczuję.

Przynajmniej przy Janie nie złapię Escherichii coli, to pewne.

– Dobra, biorę się za ciasto. – Zeskakuję z blatu. – Gdzie masz mikser?

– Pierwsza szafka po prawej od piekarnika, druga półka od góry...

– Rząd trzeci, miejsce czwarte – dodaję tym samym tonem, co on.

– Co? – Zdezorientowany unosi wzrok.

Wygląda słodko. Uśmiecham się i dociera do mnie, że chyba mocno mnie powaliło. Jan to dziwak, jakich mało, i coś mi się wydaje, że w ciągu najbliższych dni jeszcze nieraz się o tym przekonam. Ale zamiast już teraz uciekać, gdzie pieprz rośnie, mam ochotę zostać razem z nim i poznać więcej jego dziwactw.

– Nic, Janie. Kolejny żart, ale mało śmieszny. – Podchodzę do niego i kładę mu rękę na ramieniu. Wzdryga się, ale tym razem lżej niż ostatnio. – Mogę cię pocałować? – Zaglądam mu w oczy.

Ściąga brwi.

– Teraz?

– Tak.

– Jestem zajęty, a ty byłaś głodna.

– I wciąż jestem. To będzie tylko szybki buziak. – Ujmuję jego twarz i całuję go w usta.

Jan stoi nieruchomo, trzyma w dłoniach szczotkę i marchewkę, patrzy mi pytająco w oczy, jakby nie rozumiał, dlaczego właściwie go całuję, skoro mieliśmy szykować jedzenie.

– Już. – Odrywam się od jego warg. – Resztę zostawimy sobie na wieczór przy kominku na puszystym białym dywanie.

– Nie mam kominka ani dywanu.

Uśmiecham się, kręcąc głową.

– Wiem, Janie. – Daję mu klapsa w pośladek. – Szoruj dalej, a ja zabieram się za szykowanie ciasta.

*

Boże, ale się najadłam. Rozpieram się na krześle i odpinam guzik spodni.

– Ten kurczak z warzywami był świetny. – Upijam łyk wina. – Niby takie proste składniki, ale doskonale przyrządzone. Naprawdę potrafisz gotować.

– To danie było akurat smażone i duszone, ale tak, potrafię gotować. Kiedy spróbujemy twojego ciasta? – Jan sięga po kieliszek, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Jest jeszcze ciepłe. Może wystawię je na zewnątrz, szybciej ostygnie. – A przy okazji sobie zajaram. Jak to mówią: „każdy palacz po jedzeniu nie zapomni o paleniu”.

Wstaję od stołu, zawieszam torebkę na ramię, sięgam po ciasto...

– Po co ci torebka? – pyta.

Yyy...

Yyy...

– Mam w niej komórkę. Chcę zadzwonić do przyjaciół. Wiesz, złożyć im życzenia świąteczne – kłamię bezczelnie, bo życzenia składaliśmy sobie w Wigilię rano. Ale w sumie to całkiem niezły pomysł, żeby do kogoś drydnąć. Jeszcze nie czuję się gotowa, aby zdradzić Ninie i Artiemu, że mój szef, którego podobno nienawidzę, w ciągu niecałych dwóch dni przeleciał mnie na wszystkie możliwe sposoby, a mnie było z nim tak dobrze, że postanowiłam spędzić z nim święta w górach i się w nim zakochać. Jednak z Tośką z chęcią pogadam. Ona nie

będzie się ze mnie nabijać, wysłucha uważanie, zapyta, jak się z tym wszystkim czuję, następnie będzie życzyć mi szczęścia, po czym zapewni, że jakby coś szło nie tak, to mam do niej dzwonić, a ona postara się pomóc najlepiej, jak będzie mogła. Dobrze mieć przyjaciółkę psychologa.

Zakładam kurtkę i buty, wychodzę przed dom, stawiam ciasto pod murem, wyciągam telefon i idę w stronę drzew.

Czekając na połączenie, upewniam się, że Jan przypadkiem mnie nie obserwuje, i kiedy tylko wkraczam w zaciemnioną stronę działki, wydaję papierosa i odpalam. O rany, uwielbiam palić na zimnym powietrzu.

– Cześć, słońce, właśnie o tobie myślałam. Co u ciebie? – Tośka wita mnie pogodnym głosem, w tle słyszę guganie jej dziecka.

– Dużo. Najpierw powiedz, czy u was wszystko okej.

– Jak najbardziej. Jesteśmy objedzeni, wzbogaceni o nowe pary skarpet, ciuszków i gryzaków, zaraz idziemy się kąpać, a potem obejrzymy sobie jakiś świąteczny film. Może masz ochotę wpaść? Pooglądamy razem.

Domyślam się, że pyta z grzeczności, bo wydaje jej się, że siedzę sama w domu przed ekranem i opycham się chipsami.

A tu mała niespodzianka.

– Nie tym razem. Mam już plany na wieczór.

– Uuu, plany. Brzmi ciekawie.

– I będzie. Nadmienię tylko, że jestem w górach, ze swoim kochankiem. I zaraz będę zajadać pyszne ciasto z jabłkami, również ze swoim kochankiem. Potem dopiję wino, także ze swoim kochankiem. Następnie będę uprawiać nieziemski seks, oczywiście ze swoim kochankiem. A potem może faktycznie obejrzę jakiś świąteczny film. Tak, dobrze się domyślasz: ze swoim kochankiem.

Tośka się śmieje.

– No ładnie. Kim jest zatem kochanek i dlaczego dowiaduję się o nim dopiero teraz?

– I tu niespodzianka. Moim kochankiem jest mój szef, a dowiadujesz się o nim teraz, bo został nim dopiero wczoraj.

– Zaraz, zaraz, *ten* twój szef?

– Tak.

– Ten, którego nie znosisz, bo jest sztywnym gburem i każe zostawać ci po godzinach w pracy?

– Ten sam. I wcale nie jest taki tragiczny, jak myślałam. Choć na pewno jest bardzo specyficzny.

– Poczekaj chwilę. – Słyszę, że się przemieszcza, po czym zwraca się do Radosława: – Umyjesz go dzisiaj sam? Mam ważny telefon.

– Umyję, ale ty robisz popcorn na film.

– Dobrze – zgadza się Tośka.

– I założysz na noc tę koszulkę, którą dostałaś ode mnie na gwiazdkę – dodaje Radek.

– Miałam taki zamiar – odpowiada mu, chichocząc.

Trzask w słuchawce, szybkie kroki, dźwięk zamykanych drzwi i w końcu Tośka odzywa się do telefonu:

– Dobra, chwila spokoju. Opowiadaj wszystko ze szczegółami.

Więc opowiadam wszystko, choć nie aż tak bardzo szczegółowo, jak zapamiętałam. Gdybym miała jej opisać każdy detal, to nasza rozmowa zaczęłaby przypominać sekstelefon. Wspominam o szalonym wieczorze w biurze i windzie; o tym, że Jan podarował mi zegarek za miliony monet, którego nie przyjął. Mówię o pobycie mamy w szpitalu i o tym, jak potraktowała mnie moja rodzina. Następnie przechodzę do nocy spędzonej u Jana, jego przyzwyczajęń, dziwnych nawyków, perfekcjonizmu, problemów z byciem empatycznym i totalnym braku poczucia humoru. Opowiadam o tym, że wykupił moje meble i zadbał, bym zyskała środki na założenie firmy...

I im więcej jej o nim opowiadam, tym większą mam ochotę już do niego wrócić i spędzić z nim kolejne godziny. Ale mnie wzięło. Jak to możliwe, że wyszłam z jego domu jakieś dwadzieścia minut temu, a już tęsknię za jego głosem, chcę, żeby znowu (nieświadomie) mnie czymś rozbawił, chcę poznać go bliżej i jednocześnie mu pokazać, że nie zawsze posiadanie wszystkiego pod kontrolą jest dobre i daje szczęście? Pragnę, by zmieniał dla mnie swój plan dnia, by się otwierał na to, co zaskakujące. No i oczywiście marzę o tym, aby znowu uprawiać z nim seks. Niesamowite, nigdy nie miałam aż takiej chciwości na faceta i nigdy nie bzykałam się z taką częstotliwością.

– Mogę ci powiedzieć tylko dwie rzeczy: korzystaj z wolnych dni, bo należy ci się wypoczynek, i ciesz się każdą chwilą, bo zasługujesz na szczęście – podsumowuje Tośka na sam koniec. – Co do samego Jana... To zupełnie inny mężczyzna niż ci, z którymi spotykałaś się do tej pory, i...

– No właśnie, to przecież nie mój typ! – Reaguję od razu. – Uwierz mi, sama się sobie dziwię, że tak mnie do niego ciągnie. Tym bardziej że czasami mam ochotę go udusić.

– Domyślam się, o czym mówisz. Zobaczysz, jak rozwinie się sytuacja. Koniecznie dawaj mi znać.

– Jasne. Buziaki dla ciebie i chłopaków.

– Dzięki. Baw się dobrze. Pa.

Po dokonaniu zabiegów maskujących (gumy i perfumy) wracam z ciastem do środka. Kuchnia jest posprzątana na błysk, a po moim kochanku ani śladu.

– Jan, gdzie jesteś?! – Myję ręce i zaczynam kroić ciasto. – Jan, będziesz jadł ciasto?!

Nie słyszę żadnych dźwięków oprócz włączonej zmywarki.

Biorę dwa talerzyki z jabłecznikiem i ruszam na poszukiwania. Gdy tylko wchodzę do korytarza i dostrzegam światło pod drzwiami gabinetu, domyślam się, dlaczego nie odpowiadał. Pewnie znowu grzebie w jakimś zegarku.

Nie mam jak zapukać, więc naciskam łokciem klamkę i uchylam drzwi.

Tak jak sądziłam. Jan siedzi pochylony nad biurkiem i dłubie w mechanizmie. Jest tak pochłonięty tym, co robi, że nawet nie usłyszał, jak weszłam.

– Cześć. Masz ochotę na ciasto? – pytam i stawiam talerzyk na biurku.

– Nie tutaj. Zjem w kuchni, jak skończę.

– W porządku. – Domyślam się, że nie chce nakruszyć w miejscu pracy, co w zasadzie jest zrozumiałe. Przyglądam się, z jaką precyzją zdejmuje przy pomocy pęsety maciupką wskazówkę z tarczy. No proszę, takie wielkie łapska, a takie zgrabne. – Za ile mogę się ciebie spodziewać? – pytam i zabieram talerz.

Zerka na zegar na ścianie, który wskazuje osiemnastą trzydzieści. Jest nieco większy od tego w mieszkaniu i, o zgrozo, też ma pieprzone wahadło, co oznacza, że będzie bimbać w nocy!

– O dwudziestej drugiej piętnaście – odpowiada.

– Bardzo śmieszne.

Podnosi na mnie wzrok.

– Odebrałaś moją odpowiedź jako zabawną? – pyta całkiem serio.

Noż kuźwa, on naprawdę zamierza mnie olać i romansować tu do nocy z cebulą ^[7]?

– Sądziłam, że spędzimy wieczór razem. Nie rozumiem, dlaczego mnie tu przywoziłeś, skoro wolisz siedzieć sam w gabinecie i naprawiać zegarek.

– Zawsze o tej porze przez dwie i pół godziny zajmuję się zegarmistrzostwem. O dwudziestej oddaję się godzinnemu czytaniu książki. Następnie piętnaście minut spędzam na wieczornej toalecie. Wynika z tego, że o dwudziestej drugiej piętnaście widzimy się w łóżku.

Znowu to samo! Zaraz mu rozgniotę ciasto na twarzy, przysięgam!

– Janie, to tak nie działa. Albo zmienisz swoje zajebiste plany i spędzisz ten wieczór ze mną, albo wracam do domu BlaBlaCarem i jedynym, co zobaczysz w łóżku, będzie twoje odbicie w lustrze. – Bo oczywiście szafa w sypialni jest identyczna z tą w apartamencie.

Jan patrzy na mnie zdeorientowany.

– Chcesz wracać do domu?

– To zależy od ciebie. Co zamierzasz robić jutro?

– To, co zwykle w wolny dzień.

O matko, już to przecież przerabialiśmy.

– I gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie?

– Zaplanowałam dla nas czas na poranny seks, wspólne śniadanie, obiad, kolację i wieczorny seks.

Och, jakże mi miło, że stanowią podwalinę zaspokajania dwóch podstawowych potrzeb fizjologicznych jaśnie pana. Ale, gdzie, do cholery, są pozostałe?

– To bez sensu, Jan. Ja tak nie potrafię. – Kręcę głową, czując, że drętwieją mi już ręce od trzymania talerzyków z jabłecznikiem. Dociera do mnie, że mój przyjazd tutaj był błędem. – Rozumiem, że lubisz mieć wszystko poukładane i pod kontrolą, ale tak się nie da żyć. Jeśli chcesz spędzić najbliższe dni razem ze mną, to musimy iść na kompromis.

– Co masz na myśli?

– Podzielimy się dniami. Ja biorę dzisiejszy, ty jutrzejszy, pojutrze jest moje, a popojutrze twoje, i tak aż do Nowego Roku. Ja decyduję o tym, co robimy w „mój dzień”, a ty, czym zajmujemy się w ciągu „twojego dnia”. Zasada jest jedna, oboje musimy być na „tak” w dniu, który nie należy do nas.

– To znaczy?

– Kiedy będą „moje dni” i powiem: „Jan, chodźmy na spacer, dobrze?”, to ty odpowiesz: „tak, Mario”. Kiedy będą „twoje dni” i powiesz: „Mario, idę posiedzieć godzinę w gabinecie, dobrze?”, to ja odpowiem: „tak, Janie”. Oczywiście wszystko w granicach rozsądku. Nie możemy zmuszać drugiej osoby do robienia rzeczy, które w jakiś sposób będą jej szkodzić lub będą sprzeczne z jej system wartości.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Gdybym go nie знаła wcześniej, pomyślałabym, że jest przerażony.

– A co, jeśli się nie zgodzę na taki układ?

– To w twoim życiu nic się nie zmieni. Po prostu się spakuję, pożegnamy się w przyjaznej atmosferze, pojedę dzisiaj do domu, a ty spędzisz kolejne wolne dni tak, jak zwykle to robisz: sam, zgodnie z ustalonym porządkiem i bez zbędnych niespodzianek.

Przymyka powieki, bierze głęboki wdech i wypuszcza głośno powietrze. Widzę po nim, że ze sobą walczy. Moje serce zaczyna bić szybciej, bo wiem, że jeśli nie zaakceptuje mojej propozycji, to z nami koniec. Czy będzie mi żal, jeśli odmówi? Tak. Czy przesadziłam, stawiając mu ultimatum? Nie. Bo nawet jeśli zaczęłam już coś do niego czuć, to nie nadaję się na związek, w którym rządzi ustalony z góry harmonogram. To nie mój świat. Więc albo się dogadamy i każde z nas znajdzie w tej relacji coś dla siebie, albo nie ma sensu tego ciągnąć.

– Zgadza się. – Pada w końcu odpowiedź, a ja oddycham z ulgą. – Mam rozumieć, że decydujesz o tym, co robimy dwudziestego piątego, dwudziestego siódmego, dwudziestego dziewiątego i trzydziestego pierwszego grudnia, a ja dwudziestego szóstego, dwudziestego ósmego i trzydziestego oraz pierwszego stycznia?

– Zgadza się.

– Jaki masz zatem plan na dzisiaj?

– Bardzo prosty. – Uśmiecham się szeroko. – Moim planem jest brak planu.

– Nie rozumiem.

– Robimy to, na co mam w danym momencie ochotę. A teraz mam ochotę zjeść już to cholerne ciasto, bo zaraz odpadną mi ręce. Idziemy do kuchni, dobrze, Janie? – Patrzę na niego znacząco.

Wzdycha i podnosi się z krzesła.

– Tak, Mario.

Hi, hi, hi. Można? Można.

Wychodzę z gabinetu cała *happy*.

*

Jestem geniuszem! I nie mam tu na myśli moich matematycznych zdolności. Jestem geniuszem perswazji. Gdy zasiedliśmy obok siebie na stołkach barowych, a Jan zaczął oddzielać widelczykiem upieczone jabłka od ciasta, zasugerowałam mu, że powinien skosztować chociaż kęs jabłecznika w całości.

– Tylko kawałek. Na spróbowanie. Jeśli nie będzie ci smakować, to wyplujesz.

– Nie chcę. – Pada zdecydowana odpowiedź.

– Dlaczego? – Pochłaniam w ekspresowym tempie już drugą porcję i biorę dokładkę.

Ciasto wyszło przepyszne. Może mogłabym dodawać je gratis do każdego sprzedanego mebla?

– Już ci mówiłem, nie lubię mieszania składników.

– A kiedy ostatnio jadłeś jabłecznik?

Zastanawia się chwilę.

– Trzydzieści lat, siedem miesięcy i osiem dni temu. Był cholernie niedobry.

Śmieję się, zasłaniając pełne usta. Boże, co za człowiek.

– Czyli miałeś osiem lat.

– Osiem lat, trzy miesiące i dwa dni – precyzuje.

– I nie sądzisz, że od tego czasu twoje kubki smakowe mogły nieco dojrzeć, podobnie jak reszta ciała?

Nie zaprzecza (co postrzegam jako dobry sygnał), ale nadal skrobie spód ciasta, pozbywając się z niego wszystkich jabłek.

– Nigdy nie jadłeś takiego jabłeczniaka, zapewniam cię. Spróbuj tylko odrobinę, do odważnych świat należy. Przysięgam, że jeśli ci nie zasmakuje, to dam ci święty spokój. – Wiercę mu dziurę w brzuchu. – Bo będę cię nękać do końca naszego pobytu w Szczyrku. – Nakładam kolejną porcję na talerz.

– Nie będziesz miała mnie czym nękać. Jeśli utrzymasz takie tempo dokładek, to ciasto skończy się za czterdzieści dwie minuty.

– To zrobię następne. Zostało mi jeszcze pięć prawie przeterminowanych jaj i pół paczki fałszywego masła. – Szczerczę zęby. – Spróbuj, proszę. Tylko odrobinę.

– Mario, daj spokój. – Zgarnia kupkę pieczonych jabłek na jedną połowę talerza, na drugiej zaś znajduje się suche ciasto.

Nabieram niewielką część swojej porcji na widelec i unoszę go w stronę Jana.

– Proszę cię. Tak się napracowałam. Włożyłam tyle serca i pracy w przygotowanie tej szarlotki. – Robię słodkie oczka. – To będzie dla mnie dużo znaczyć, jeśli skosztujesz mojego ciasta. Czy możesz to dla mnie zrobić? – Wpatruję się w niego błagalnie, on jednak patrzy mi w oczy nieprzejednany i na dodatek dodaje:

– Nie. Ponadto jedzenie tym samym widelcem jest niehigieniczne.

Wybucham śmiechem.

– Jan, twój język zaznajomił się z moim językiem, cipką i tyłkiem. Naprawdę uważasz, że dzielenie się widelcem będzie mniej higieniczne od tego?

Z jego gardła wydobywa się pomruk. Mruży oczy.

– Otwórz usta, Janie, a gwarantuję, że w zamian zrobię użytek z własnych. I to tak, jak tylko będziesz miał na to ochotę.

– Tak, jak będę miał na to ochotę? – Patrzy na moje wargi.

– Bezwzględnie. – Przysuwam widelec bliżej jego ust.

– Mamy zatem umowę. – Jan nachyla się powoli w moją stronę i bierze ciasto z widelca do ust.

JEST! Trafiony zatopiony. Przyglądam się, jak porusza szczęką, jak przełyka. Nie dostrzegam na jego twarzy wyrazu wstrętu ani zachwyty. Po prostu zjadł i kropka.

– I jak ci smakowało?

– Później ci powiem. Na kolana.

– Co? – Patrzę na niego zaskoczona.

– Mieliśmy umowę. Na kolana. – Sięga do mojej dolnej wargi, przeciąga po niej kciukiem, a do mnie dociera, że właśnie zamierza „zrobić użytek z moich ust”.

– Mógłbyś chociaż powiedzieć, czy było dobre. – Schodzę ze stołka barowego, klękam przed Janem, a on wstaje bez słowa, rozpina kłamrę od paska, rozporek, ściąga spodnie z bokserkami i wyciąga swoją męskość.

– Miałem zjeść ciasto, a nie wygłaszać o nim recenzję, Mario. – Przesuwa fiutem po moich ustach, odchyła nim dolną wargę i lekko o nią uderza. – Rozchyl je. – Jego oczy wpatrują się we mnie intensywnie.

Otwieram buzię, a on wsuwa się do środka.

– Wybornie. A teraz ssij. – Wczesuje dłonie w moje włosy, a ja spełniam jego prośbę i zaczynam go ssać.

Z jego gardła wydobywa się niski pomruk. Czuję, jak jego fiut robi się coraz większy. Jan zaczyna poruszać biodrami i nie spuszcza wzroku z moich ust.

– Jesteś w tym naprawdę dobra. – Jego oddech przyspiesza, a wraz z nim ruchy frykcyjne. Posuwa mnie w usta coraz gwałtowniej; oczy mu płoną.

Patrzę na niego poddańczo, pozwalam, by nadawał własny rytm. Narasta we mnie pożądanie. Robię się mokra od samego patrzenia na jego rozogniony wzrok.

Rozpinam guzik swoich spodni i wsuwam w nie dłoń...

– Ściągnij je. – Jan wpatruje się w moje krocze. – Chcę patrzeć, jak się zadowalasza.

Zsuwam spodnie z majtkami do ud i sięgam palcami do cipki. Jest wilgotna, spragniona pieścizot. Fiut Jana wysuwa się i wsuwa do moich ust. Pocieram

łechtackę. Narasta we mnie coraz większe napięcie.

– Włóż sobie palce.

Robię, co każe, i wstrząsa mną dreszcz. Wydaję z siebie stłumiony jęk, pozwalam, by zawładnęło mną pożądanie, zaczynam pieprzyć się palcami coraz szybciej.

– Kurwa, nie mogę dłużej. – Niespodziewanie Jan wysuwa kutasa z moich ust, unosi mnie i sadza na stole.

Talerze spadają z brzękiem na podłogę, lecz on nie reaguje. Pozbawia mnie spodni i majtek, rozchyła moje nogi i wbija się we mnie jednym pchnięciem.

Jak bosko!

Przywieram do niego całym ciałem, kryję twarz w zagłębieniu szyi i przyjmuję go w sobie. Jego zapach, erotyczne pomruki, pot na skórze, coraz szybsze ruchy zniewalają mnie i sprawiają, że całkowicie się zatracam w erotycznym tańcu.

Chcę więcej, mocniej, intensywniej. Zaciskam mięśnie pochwy na twardym członku, na co Jan warczy zmysłowo i wbija się głębiej. Zwalania, nieznacznie się wysuwa i znów wbija do końca. Przyspiesza. Czuję, jak napływa skurcz, przeszywa mnie dreszcz.

– Dochodzę – sapię w skórę jego szyi i ją przygryzam. Jest wilgotna, słona, pachnie seksem, mężczyzną, Janem.

– Ja też – odpowiada stłumionym głosem i w tej samej chwili jego mięśnie się napinają, zastyga...

Jednocześnie wydajemy z siebie odgłosy spełniania i uderza w nas fala orgazmu. Nasze ciała pulsują, on we mnie, ja na nim. Przywieramy do siebie w bezruchu w silnym uścisku, cali napięci, w euforycznej ekstazie, otumanieni sobą.

Nie chcę, żeby to się skończyło, jest cudownie, odlatuję!

Ale się kończy. Mięśnie stopniowo się rozluźniają, oddechy uspokajają, Jan powoli się ze mnie wysuwa.

– To był mój pierwszy raz – szepczę do jego ucha. – Nigdy nie doszłam z nikim w tym samym czasie.

– Ja również – odpowiada. – Niezaprzeczalnie to było spektakularne doświadczenie. – Odsuwa się, żeby podciągnąć bokserki.

Śmieję się. On i te jego wysublimowane określenia.

– Jan?

– Tak? – Zapina spodnie.

– Teraz cię przytulę, a ty przytulisz mnie, dobrze?

Zastyga, mięśnie jego twarzy tężeją.

Pociągam go za rękę, kładę dłonie na jego ramionach i patrzę mu w oczy.

Ale mi z nim było dobrze. Pod względem seksualnym jesteśmy dopasowani wręcz idealnie. Nad zgodnością charakterów powinniśmy nieco popracować. Ale nikt przecież nie jest doskonały. I w sumie byłoby nudno, gdyby Jan okazał się chodzącym ideałem. Po prostu trochę musimy się dotrzeć i będzie git.

– Lubię cię – wyznaję.

– Ja ciebie też lubię, Mario – oświadczam bez cienia wahania.

– Więc mnie przytul, proszę.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, po czym sięga po moją dłoń i zdejmuję ją ze swojego ramienia. Czuję ukłucie zawodu. Wygląda na to, że Jan nie chce, żebym go dotykała. On jednak przybliża ją do swoich ust, składa na niej pocałunek, a następnie bez słowa mnie obejmuje i wtula twarz w moje włosy.

Serce mi mięknie i rozpływa się jak lody waniliowe na słońcu. Przywieram policzkiem do jego piersi, słyszę rytmiczne bicie i aż wzdycham głośno, bo tak mi jest teraz dobrze.

– Dlaczego wzdychasz? – Jego stłumiony głos rozbrzmiewa tuż przy moim uchu.

– Bo mi przyjemnie. A tobie nie?

– Nie jest najgorzej.

– O rany, cóż za pochlebstwo, aż mam ochotę z radości zaklaskać uszami.

– Klaskanie uszami jest fizycznie niewykonalne, Mario. Anatomia człowieka nie jest przystosowana do...

– Och, zamknij się. – Ujmuję jego twarz i całuję go w usta.

Jan się spina, nie spodziewał się pocałunku i widzę po nim, że za bardzo nie wie, co ma z tym zrobić. Muskam jego wargi, przygryzam je lekko, przesuwam po nich językiem, a ten nic. Tkwi w bezruchu.

– Coś mi się wydaje, że twoje dotychczasowe życie erotyczne było pozbawione przytulasów i słodkich buziaczków, co? – Uśmiecham się i pociągam zębami za dolną wargę.

– Preferuję mocny dotyk. Żadnego miziania, przytulania, smyrania, głaskania.

– I twojej żonie nigdy to nie przeszkadzało? – pytam i momentalnie tego żałuję.

Jan od razu się wycofuje. Tracę jego ramiona.

– Mojej byłej żonie – poprawia. – I nie mam ochoty teraz o tym rozmawiać. – Zerka na zegarek na ręce. – Zostały ci trzy godziny i czterdzieści siedem minut

z twojego dnia. Jak zamierzasz je wykorzystać? – zmienia temat.

No dobra, nie będę naciskać go na zwierzenia. Będzie chciał, to sam mi powie. Poza tym już nie mogę się doczekać, aż przejdziemy do kolejnego punktu dzisiejszego wieczoru. Wpierw muszę jednak uzyskać odpowiedź na nurtujące mnie pytanie.

– Jak oceniasz moje ciasto?

– Pozytywnie.

– Czyli nie było „cholernie niedobre”? – cytuję jego wcześniejsze słowa.

– Nie.

Cóż za wylewność.

– Nie nalegam, żebyś od razu przyznawał mi gwiazdki Michelin, ale mógłbyś powiedzieć coś więcej.

– Hm. – Zastanawia się. – Nie spodziewałem się słodko-kwaskowego smaku. Unikam takich potpourri, ale w tym przypadku było to trafne zestawienie.

– W twoich ustach brzmi to jak pięć gwiazdek na pięć.

– Michelin przyznaje restauracjom maksymalnie trzy. Ale jeśli potrzebujesz z mojej strony oceny w skali pięciostopniowej, to tak, dałbym mu pięć gwiazdek na pięć.

Wydaję z siebie pisk radości.

– Prosiłbym jednak, żebyś nie testowała na mnie więcej dań składających się z tak drastycznie różniących się od siebie składników – dodaje ostrzegawczym tonem. – To był wyjątek, że akurat twoje zestawienie kruchego ciasta z jabłkami nie okazało się katastrofą dla moich kubków smakowych.

– To się jeszcze okaże. Weź pod uwagę, że w zamian za testowanie jestem w stanie wiele zaoferować. – Puszczam mu oko.

– To się nazywa manipulacja.

– Zwał jak zwał. A teraz zabieram cię do salonu, bo czas na seans.

– Seans?

– Tak, seans. – Zeskakuję z blatu. – Czekają na nas przystojny Jude Law, śliczna Cameron Diaz, urocza Kate Winslet i ten czwarty... Jak on się nazywał? Mniejsza o to. Obejrzymy moją ulubioną świąteczną komedię romantyczną: *Holiday!* Oglądałeś?

– Nie.

– Zazdroszczę, chciałabym obejrzeć ją ponownie pierwszy raz. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Ale się nie podoba, i to bardzo. Podczas gdy ja z roztkliwieniem i walącym sercem wpatruję się w pierwszy pocałunek Jude'a i Cameron, Jan siedzi znudzony i ziewa! Zaraz mi tu uśnie.

Szturcham go ramieniem.

– Chcesz jeszcze wina?

– Chcę spać. Kiedy to się skończy?

– Przecież niedawno się zaczęło, jesteśmy w jednej trzeciej.

– Chryste. – Przesuwa dłońmi po twarzy, oczy ma senne.

– Właśnie się pocałowali. To takie romantyczne. Nie czujesz żadnego podekscytowania?

– Nie.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że nie jestem kobietą.

– I nic cię nie ruszyło, kiedy ten facet od Kate oświadczył się innej, a ten od Cameron ją zdradził?

– Mam wystarczająco dużo stymulacji w swoim życiu. Nie mam ochoty dodatkowo przeżywać problemów fikcyjnych postaci. Jestem znudzony, Mario. Fabuła filmu jest absurdalna, pomysł z zamianą mieszkań abstrakcyjny.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, skąd kobiety miały klucze do swoich domów? Mam rozumieć, że właścicielka potężnej posiadłości w Los Angeles zostawiła otwartą bramę wjazdową bądź schowała klucz w ogólnodostępnym miejscu? Jesteś inteligentną kobietą, sama oceń.

– To jest komedia romantyczna, Janie, która ma wprowadzić w pozytywny nastrój, a nie przygody detektywa Poirot, gdzie wiodącą zagadką kryminalną jest to, jak obie kobiety dostały się do swoich domów.

– Co nie zwalnia scenarzysty z obowiązku bycia wiarygodnym. I tu kolejny nonsens: dlaczego Kate nie uprzedziła brata o swoim wyjeździe i zamianie domów? Czy ty, wybierając się na dwa tygodnie do Stanów Zjednoczonych w okresie świątecznym i zostawiając mieszkanie pod opieką obcej osoby, nie uprzedziłabyś o tym fakcie swojego brata? Zakładając, rzecz jasna, że byłabyś z nim w lepszych stosunkach, niż jesteś w rzeczywistości.

– Nie oglądałeś uważnie. Jej brat wyraźnie powiedział, że być może Kate coś wspominała o wyjeździe, ale on poszedł w tango i zapomniał...

– Bzdura. Takich rzeczy się nie zapomina. Poza tym, co robił na takim pustkowiu o tej porze? Twierdził, że wraca z imprezy. Z kim pił i gdzie?

Z sąsiadami? Wątpię, by w szczerym polu ktoś prowadził bar lub lokal gastronomiczny. Być może zbyt pochopnie wydaję opinię, bo przecież, jak wspomniałaś, jesteśmy dopiero w jednej trzeciej filmu, ale tym razem jestem zmuszony dać jedną gwiazdkę na pięć. Przykro mi.

– Wcale nie jest ci przykro.

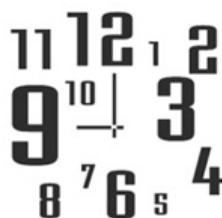
– Masz rację, nie jest. Ale tak się podobno mówi, kiedy nie chce się kogoś urazić. Taki społecznie przyjęty zwyczaj.

Nadymam się jak ryba najeżka i zakładam ręce na piersi. Jestem zła i jest mi przykro. Sądziłam, że spędzimy przyjemny, świąteczny wieczór przed ekranem, tymczasem Jan wcielił się w rolę krytyka filmowego i jedzie po moim ukochanym filmie jak po burej suce.

Nic mu już nie odpowiadam, jestem obrażona, nie patrzę na niego, oglądam dalej.

Po mniej więcej dwudziestu minutach seansu głowa Jana opada bezwolnie na moje ramię. Zerkam na niego i... noż kurwa, nie wierzę, usnął! Zaraz mu zrobię pobudkę stulecia. Zastanawiam się, czy ruszyć gwałtownie ramieniem, czy może wsadzić mu palec w lekko rozchylone usta. Jednak im dłużej na niego patrzę, tym bardziej mój gniew i chęć zemsty się ulatniają, a w ich miejscu pojawia się rozczerzenie. A to dlatego, że śpiący Jan wygląda tak słodko i bezbronnie, że nie mam serca się nad nim pastwić.

Dobra, niech sobie śpi. Jutro odbiorę swoje dwie godziny z jego dnia.



Budzi mnie apetyczny zapach. Otwieram oczy. Jest widno, przez duże okna wdzierają się promienie słońca, którego blask odbija się od śniegu. Leżę na kanapie przykryta kocem. Emocjonalnie czuję się świetnie, pod względem fizycznym zaś jest tragedia – mam wrażenie, jakby przejechał po mnie walec.

Wszystko mnie boli.

Dobiega do mnie brzdęk talerzy i unoszę głowę. Jan w podkoszulku, spodniach od dresu i boso krząta się po kuchni. Przyjemny widok, nie powiem. Podnoszę się wyżej i przeszywa mnie ból w karku.

– Jezu, twoja kanapa nie nadaje się do spania. Nie mogę się ruszyć.

– Być może dlatego nazywa się kanapą, a nie łóżkiem. Też obudziłem się cały sztywny, ale poranne ćwiczenia pomogły. Zwłaszcza skłony. Powinnaś spróbować.

– Bardzo chętnie, ale może tym razem to ty przede mną uklękiesz? – Uśmiecham się figlarnie.

– Uklękę? – Jan ściąga brwi.

O Boże, znowu nie załapał.

– Powiedziałaś, że obudziłeś się sztywny. – Spuszczam sugestywnie wzrok na jego krocze.

– Nie chodziło mi bynajmniej o stan pobudzenia erotycznego, tylko o sztywność mięśniową wywołaną spaniem na nierównym pościeli.

– Tak, Janie, domyśliłam się. To miała być gra słów, wiesz, taki rodzaj flirtu między kobietą a mężczyzną, którzy czują do siebie pociąg seksualny.

– Rozumiem. W takim razie chcę, żebyś wiedziała, że twój widok z rana był mocno pobudzający. Uznałem jednak, że nie będzie nam wygodnie na kanapie i postanowiłem, że przełożę wspólne uprawianie seksu na czas wolny po śniadaniu. Dzięki temu udało mi się zrealizować mój poranny plan.

– Winszuję. I jak zamierzasz spędzić swój dzisiejszy dzień? Zanim odpowiesz, odejmij dwie godziny z wczorajszego wieczoru i pozostaw je do mojej dyspozycji. Usnałeś i nie zdołałam zrealizować tego, co chciałam.

I chyba dobrze się stało. Może dzięki temu uda nam się spędzić chociaż te dwie godziny razem, bo coś mi się wydaje, że Jan mnie niczym ciekawym nie zaskoczy.

Ale się mylę.

– O jedenastej zaplanowałem wyjście na stok, a teraz zapraszam cię na śniadanie. Zrobiłem jajecznicę. Pięć gwiazdek na pięć.

– Zaraz, na stok? Będziemy jeździć na nartach? – Puls mi przyspiesza. Z jednej strony jestem pozytywnie zaskoczona propozycją Jana i podekscytowana tym, że wspólnie będziemy korzystać z uroków zaśnieżonych gór, z drugiej zaś – czuję przerażenie i mam ściśnięty żołądek. A to dlatego, że nigdy, kurna felek, nie jeździłam na nartach! Moje doświadczenie w aspekcie szusowania po zboczu ogranicza się do zjazdów na „jabłuszku” w parku miejskim, kiedy miałam dziesięć lat.

Chyba zbladłam, bo Jan wnikliwie mi się przygląda.

– Oczywiście tylko, jeśli potrafisz – uściśla. – Nie nadaję się na nauczyciela i nie chcę spędzić dnia na oślej łączce. Jeśli więc nie jesteś zaawansowaną narciarką, proponuję zostać w domu. Pokażę ci, nad czym obecnie pracuję. Kieszonkowa OMEGA z 1943 roku, niezawodny szwajcarski mechanizm, koperta w bardzo dobrym stanie, naprawy wymaga minutowa wskazówka...

– Oczywiście, że potrafię jeździć na nartach! – przerywam mu w połowie zdania.

Wolę już zjechać kilka razy na dupie po śniegu, niż siedzieć w domu i dłużyć w zegarku z czasu drugiej wojny światowej. Jest piękna pogoda, trzeba korzystać z uroków zimy. Ponadto nie chcę wyjść na sierotę, która nie umie zjechać na dwóch deskach przytwierdzonych do stóp. Jan uważa mnie przecież za geniusza. Jestem bystra i szybko się uczę. Na pewno w mig załapię, o co chodzi.

– To co? Teraz jemy, o dziesiątej trzydzięści seks, a o jedenastej ruszamy?

Na twarzy Jana pojawia się wyraz zadowolenia.

– Idealny plan.

*

Wypożyczenie kombinezonu i nart – zaliczone. Wjazd wyciągiem – zaliczony. Gotowość do zjazdu – zerowa. To jakiś cud, że udało mi się zeskoczyć z krzeselka i utrzymać w pionie. Cud ten zawdzięczam bystrości umysłu i szybkiemu uczeniu się – w drodze na stok przejrzałam w internecie na szybko wskazówki dla początkujących narciarzy, a podczas rozgrzewki obserwowałam

bacznie innych szusujących. Cała ta jazda na nartach wydaje się łatwa jak dodawanie w zakresie miliona.

– W porządku? Wyglądasz, jakbyś miała się przewrócić. – Jan ustawia się bokiem do zjazdu na szczycie wzniesienia, a ja idę w jego ślady. Wychodzi mi to pokracznie.

– To przez spanie na kanapie. Wciąż jestem obolała.

– Zrobiliśmy konkretną rozgrzewkę, powinno być lepiej – oświadcza.

O tak, rozgrzewka była naprawdę konkretna. Oprócz wyczerpującego, lecz boskiego seksu w jego domu, przeszłam dosyć męczący trening przed wypożyczalnią sprzętu narciarskiego. Jan nadawałby się do wojska jak mało kto. Kilka przysiadów i podskoków zamienił w katorżniczą musztrę.

– Potrzebuję chwili, żeby się wczuć. Złapać kontakt z górą, wiatrem, słońcem... Rozumiesz, narciarski *feeling*.

Ściąga brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Zakłada gogle na nos. – Widzimy się w takim razie na dole. – Odwraca się przodem do stoku.

Co? Chyba mnie nie zostawi tutaj samej? Mieliśmy zjeżdżać razem!

– Ale... – Nie zdążam dokończyć, bo Jan już sunie w dół.

Jasna cholera, ale mu to gładko idzie. Sprawia wrażenie, jakby urodził się z nartami na nogach. Nigdy bym go nie podejrzewała o taką giętkość i sprawność fizyczną, ale mogłam się przecież tego spodziewać po tym, jaki dobry jest w łóżku.

Obserwuję, jak zjeżdża slalomem od krawędzi do krawędzi stoku, podziwiam jego zgrabny tyłek w obcisłym kombinezonie i jednocześnie zastanawiam się, jak by tu najszybciej oraz bez uszczerbku na zdrowiu dostać się na dół.

Zjazd absolutnie nie wchodzi w grę. Nie jestem głupia. Odważna jak najbardziej, ale muszę mierzyć siły na zamiary. Ta góra jest zdecydowanie zbyt stroma, a rosnące po bokach stoku świerki stanowią zbyt duże ryzyko...

Widzę, że Jan się zatrzymuje.

– Dlaczego nie zjeżdżasz?! – woła w moją stronę.

Wszyscy, którzy dotarli tutaj razem z nami wyciągiem, już szusują, a ja stoję, jakbym wrosła w ziemię.

Pozostaje tylko jedno wyjście – zamierzam zdjąć narty i zejść lasem na sam dół w tych śmiesznych butach.

– Złapał mnie skurcz łydki. Jedź dalej sam – odpowiadam, a mój głos odbija się echem od świerków.

Schylam się, zaczynam siłować z zatraskiem od nart. Kurna, jak to się odpina? Czuję, że kręci mi się w głowie, zupełnie jakby podłoże pod nartami przesuwalo się niczym bieżnia do biegania... Unoszę wzrok i wstrzymuję oddech. O Boże, zjeżdżam, i to tyłem!

Z mojego gardła wydobywa się okrzyk. Z każdą sekundą przyspieszam, krzyżuję nogi, żeby zahamować, ale one rozjeżdżają się na boki, każda w swoją stronę. Zaraz zrobię pieprzony szpagat! Próbuję się pochylić do przodu, ale jakaś siła, o której istnieniu nie słyszeli najwybitniejsi fizycy, ciągnie mnie do tyłu i sprawia, że pędzę coraz szybciej. Wbijam kijki w śnieg. Tarcie jest zbyt słabe. Nie mogę się zatrzymać!

Serce bije mi jak wariat, nie mam pojęcia, co robić. Może po prostu tak zjadę do samego końca? Daleko jeszcze? Gdzie jest Jan?

Zerkam przez ramię i robi mi się słabo. A to dlatego, że zamiast jechać prosto, zjeżdżam w prawo w las!

– Skręcaj! – Dobiega mnie wołanie.

Świetna rada. Tylko, kurwa, jak mam to zrobić?

Przechylam się, kołyszę, ale nie jestem w stanie ani zmienić trasy, ani nawet się przewrócić.

O najświętsza Mario, zaraz przywalę w drzewo.

– Pomocy, Jan! – drę się na całe gardło.

Zapieprzam jak Struś Pędziwiatr w wersji alpejskiej. Już po mnie, żegnaj piękny świecie.

Zaciskam powieki, cała się spinam, czekam na mocne grzmotnienie i wtedy czuję silne uderzenie z boku. Jan powala mnie na śnieg.

Uratowana! I to po raz drugi. Zdecydowanie muszę ograniczyć poruszanie się po śliskich nawierzchniach. A może powinnam zimą zacząć chodzić w rakach?

*

Jan ma focha. Obraził się na mnie – i to nie na żarty. A to dlatego, że go okłamałam. I na nic się zdały przeprosiny i tłumaczenia, że zrobiłam to, żeby mu zaimponować (bo zależy mi na jego zdaniu) i dlatego, że chciałam z nim wyjść z domu (bo aktywne spędzanie czasu wpływa korzystnie na relacje międzyludzkie).

– Nie toleruję kłamstwa – oznajmia zimnym tonem, gdy wychodzimy z wypożyczalni sprzętu narciarskiego.

Wiem, że nie toleruje. Już kiedyś o tym wspominał.

– Miałam dobre intencje – łajam się. – Ty też mnie okłamałeś w kwestii delegacji, kiedy miałeś ukryty plan spędzenia ze mną upojnego weekendu w Szczyrku.

– To było co innego. Musiałem skłamać, nie miałem wyjścia.

– Czyżby? – Unoszę brwi. – Czyli twoje kłamstwo jest lepsze od mojego? Ja mogłam ci wybaczyć, a ty mnie nie?

Przymyka powieki.

– Słuszna uwaga – mówi łagodniejszym tonem. – Po prostu nie oszukuj mnie więcej.

No, udobruchany.

– Okej. To może w ramach przeprosin postawię ci obiad w karczmie? Napijemy się razem grzańca...

– Nie chodzę do karczm.

– To do restauracji.

– Też nie.

– Do baru mlecznego?

– Nie.

– Pubu?

– Nie.

– Czyli nadal się gniewasz – zaczynam się irytować.

– Nie, Mario. Nie lubię spożywać posiłków w miejscach publicznych. Jedziemy po zakupy do sklepu i zrobimy obiad w domu.

Przystaję.

– Poczekał, mam rozumieć, że nigdy nie jadasz posiłków poza domem? Nie wychodzisz nigdzie na piwo ani na imprezy?

– Tylko jeśli jestem do tego zmuszony w ramach pracy.

Przypominam sobie imprezę firmową w plenerze na początku lata. Jan zjawił się tylko na chwilę na przemowę prezesa, po czym ulotnił się jak kamfora.

Wpatruję się w niego, gdy odchodzi w stronę auta. Mam mętlik w głowie, zaczynam widzieć nasze wspólne spędzanie czasu w naprawdę ciemnych barwach. Nie chcę wracać jeszcze do niego do domu i siedzieć w ciszy, mam ochotę zjeść coś dobrego wśród ludzi.

– Wiesz co? To może ty jedź do siebie, a ja się przejdę do karczmy. Umieram z głodu, a zanim zrobimy obiad, zacznę trawić własne wnętrzności.

– To fizycznie niemożliwe.

– Niby co?

– Trawienie własnych wnętrzności. – Otwiera auto.

– Nie wiem, jak mogłam wcześniej funkcjonować bez twoich trafnych spostrzeżeń. Jesteś taki mądry.

– Dziękuję. Też uważam, że jesteś mądra.

– To była ironia, Janie. – Zabieram torebkę z siedzenia.

– To, że zaczynasz trawić własne wnętrzności, czy to, że jestem mądry?

Uśmiecham się mimowolnie.

– Nieważne. Ostatni moment na zmianę zdania. Jedziemy do karczmy razem czy każde je dzisiaj osobno?

Jego rysy twarzy twardnieją. Widzę, że ze sobą walczy. Marszczy czoło, przesuwając dłonią po włosach. Waha się. Wygląda, jakby podejmował decyzję życia, aż w końcu po kilku minutach kapituluje.

– Dobrze. Ale musi być cicho i spokojnie.

– Coś się pewnie znajdzie. – Pakuję się do samochodu.

No i gites. Tylko będę musiała czmychnąć gdzieś w ustronne miejsce po jedzeniu, żeby zapalić, bo inaczej oszaleję.

Po wizycie w czterech karczmach, odrzuconych przez Jana z powodu tłumów, wreszcie udaje nam się znaleźć w miarę ustronne miejsce. Kiedy wchodzimy do środka, kobieta zza lady z miejsca wskazuje nam stolik dla dwóch osób w rogu.

– Brak klientów wynika zapewne z faktu, że mają tu niedobre jedzenie. – Jan odsuwa mi krzeselko.

– Być może. – Siadam i od razu biorę kartę dań do ręki. Jestem już taka głodna, że nie mam siły marudzić. Szybki rzut okiem i podejmuję spontaniczną decyzję. – Wezmę placek po zbójnicku, tego nie sposób spartolić.

– I tu się myślisz. – Jan przegląda menu. – Mięso może być żyłaste, a warzywa niedogotowane.

– Mhm. Do tego zamówię ciepłe piwo z cukrem. A ty co bierzesz?

Jan śledzi kartę. Wczytuje się w każdą stronę uważnie, jak kosmonauta, który studiuje instrukcję obsługi wahadłowca przed wystrzeleniem się na orbitę.

A to ściąga brwi, a to je unosi, mruży oczy i kręci głową, mruczając coś pod nosem.

– Dzień dobry. Już państwo wybrali? – Kelnerka używa niby liczby mnogiej, ale patrzy tylko na Jana. Ewidentnie jest nim oczarowana.

A patrz sobie, patrz. On jest mój, a w tym momencie należy przede wszystkim do karty dań i żadna z nas nie ma z nią szans.

– Ja poproszę placek po zbójnicku i grzane piwo z cukrem. – Kobieta zerka na mnie obojętnie, zapisuje, po czym zwraca się do Jana:

– A dla pana?

Jan nie odrywa wzroku od menu.

– Czy schabowy jest w panierce z samej bułki tartej, czy z mąką? – pyta.

– Wydaje mi się, że z mąką, ale mogę dopytać kucharza...

– Nie ma takiej potrzeby. – Wpatruje się w kartę, myśli. – Czy polędwiczki są średnio, czy mocno wysmażone?

– Cóż, musiałabym zapytać...

– Nieważne. – Przewraca stronę. – Rosół. Drobiowy czy wołowy?

– Na pewno drobiowy. – Kelnerka się uśmiecha.

– Z dodatkiem kostki rosołowej czy bez?

Parskam śmiechem. Ale zabawa. Gdybym nie była wilczo głodna, to chyba bym mu kibicowała.

– Yyy... – Kobieta przestępuje z nogi na nogę. – Niestety też musiałabym zapytać...

– Nie. – Jan przekłada kolejną stronę, a kelnerka zerka na mnie wzrokiem mówiącym: „szczerze pani współczuję”.

Obdarowuję ją szerokim uśmiechem.

Widzisz, dziewczyno, a tak ci się do niego oczka świeciły.

– Wezmę w takim razie naleśniki. Same, bez dodatków. Osobno w salaterce proszę podać dżem truskawkowy.

– Rozumiem. – Kobieta zapisuje i zabiera karty.

Nawet nie zapytała Jana, czy chce coś do picia. Pewnie w obawie przed tym, że znowu będzie ją wypytywał: „sok jest tłoczony czy z koncentratu?”, „a woda mineralna jest z ujęcia Nałęczów czy z Żywca?”.

– Nie będziesz nic pił? – dodaje, nim kelnerka zdąży odejść.

– Faktycznie. Jest Earl Grey? – zwraca się do dziewczyny.

– Tak.

– Poproszę filiżankę.

– Serwujemy tylko w dzbanku.

Jan się waha. O nie. Muszę reagować, bo zastanie nas noc.

– Proszę przynieść w dzbanku i do tego dwie filiżanki – wtrącam się. – Napijemy się razem, dobrze? – Uśmiecham się do niego, a on się nie sprzeciwia.

W oczekiwaniu na podanie posiłków Jan zagaduje mnie o zegarek, którego nie chciałam przyjąć. Nadal obstaję przy swojej decyzji. To zbyt kosztowny prezent jak na tak krótką znajomość. Jan twierdzi jednak, że znamy się przecież od roku. Mimo to ja się upieram. Trudno uznać relację służbową, w której podwładna nienawidzi swojego szefa, za znajomość predysponującą do obdarowywania się kosztownościami.

– W takim razie zachowam go dla ciebie do momentu, aż uznasz, że jesteś na niego gotowa – odpuszcza w końcu i zaczyna opowiadać mi historie oraz ciekawostki na temat zegarków.

Muszę przyznać, że robi na mnie ogromne wrażenie. Jego wiedza jest obszerna, szczegółowa, Jan to chodząca encyklopedia zegarmistrzostwa. Tyle w nim pasji, że czasami mam nawet wrażenie, że to jego hobby zakrawa na pierdolca.

– Uważa się, że to mężczyźni są większymi zwolennikami noszenia naręcznych zegarków, tymczasem pierwszy tego typu czasomierz został wykonany w XVI wieku dla królowej Elżbiety I. Było to połączenie biżuterii z zegarkiem, który dotychczas był noszony wyłącznie przez mężczyzn w wersji kieszonkowej – opowiada. – Wiesz, co to jest *happy time*?

– To samo co *happy hours*, kiedy piwo jest za pół ceny w barze?

– Nie. *Happy time* to ustawienie wskazówek zegara na godzinie dziesiątej dziesięć albo trzynastej pięćdziesiąt. Sama zobacz. – Wyciąga rękę w moim kierunku i za pomocą koronki (już wiem, że tak nazywa się pokrętło przy kopercie) przestawia wskazówki. – Jak teraz wygląda tarcza? – pyta, a ja nie za bardzo wiem, o co mu chodzi.

– Jakby była godzina dziesięć po dziesiątej?

– Przypatrz się uważnie.

Mrużę oczy, staram się spojrzeć na zegarek z innej perspektywy. Mam wrażenie, że wygląda jakoś sympatyczniej, niż gdyby wskazywał na przykład godzinę punkt dwunastą albo trzecią. I nagle doznaję olśnienia.

– Szczęśliwa buźka! Tarcza przypomina uśmiechniętą twarz.

– Doskonale. – Jan zabiera rękę i przestawia wskazówki. – W sklepach jubilerskich i zegarmistrzowskich ustawia się tarczę właśnie w taki sposób, żeby wzbudzić pozytywne emocje wśród kupujących. Dodatkowo takie ułożenie wskazówek uwidacznia logo marki, które jest umieszczone dokładnie pośrodku.

– Sprytne. Nie miałam o tym pojęcia.

– A o tym, że najcieńszy zegarek ma grubość zaledwie dwóch milimetrów, wiedziałaś?

– Co ty opowiadasz? – Jestem w szoku.

Jan ściąga brwi.

– Że najcieńszy zegarek ma grubość dwóch milimetrów – powtarza.

– Tak, rozumiem. – Śmieję się. – Odpowiedziałam pytaniem, żeby wyrazić zaskoczenie.

– Ach. – Jan wygląda na zmieszanego, więc powracam szybko do tematu najcieńszego zegarka świata:

– Dwa milimetry grubości... To tak, jakby złączyć ze sobą dwie karty płatnicze. Niesamowite.

– W rzeczy samej. – Wyciąga telefon, z błyskiem w oku wstukuje coś na ekranie, po czym pokazuje mi zdjęcie czarno-srebrnego, nowoczesnego zegarka. Design powala. W górnej części znajduje się mała tarcza ze wskazówkami, resztę stanowi widoczny mechanizm z zębatkami. – Producentem jest Piaget. Rezerwa chodu koncepcyjnego to czterdzieści cztery godziny – wyjaśnia. – Jak widzisz, koronka płasko wpasowuje się w kopertę, dzięki czemu jest zabezpieczona przed uszkodzeniem. Szkiełko ma dwie dziesiąte milimetra grubości i zostało wkomponowane w kopertę, którą z kolei wykonano z materiału na bazie kobaltu, co gwarantuje sztywność konstrukcji. Zegarek ma ręczny naciąg, dekiel wykorzystano jako płytę główną, regulator przebudowano, brakuje w nim mostka balansu oraz systemu antywstrząsowego. Koło balansowe jest łożyskowane. Sprężyna umieszczona jest w płycie głównej, znajduje się pod kołem balansowym, a normalnie jest na odwrót. – Pokazuje mi z werwą poszczególne elementy na zdjęciu. – Przeprojektowano też bęben akumulujący energię. No i pewnie zauważyłaś, że pominięto też dodatkową obudowę...

Nie rozumiem trzech czwartych z tego, co mówi, ale i tak jestem pod wrażeniem jego pasji. Zdecydowanie wolę, żeby mój facet tracił głowę dla cykających szkiełek niż dla gier na konsoli.

– Ty naprawdę lubisz zegarki, co?

– Gdyby nie one, człowiek nadal odmierzałby czas za pomocą wędrówki słońca po sklepieniu niebieskim. To był zdecydowanie zbyt mało precyzyjny pomiar.

– A ty cenisz sobie precyzję i punktualność.

– Zgadza się.

Uśmiecham się do niego, patrzę mu w oczy i uzmysławiam sobie, że coraz bardziej lubię te jego dziwactwa. Jan jest nietypową osobowością, a to budzi we mnie coraz większą ciekawość i sprawia, że chcę go poznać jeszcze bliżej.

– Dla pani placek, dla pana naleśniki. – Kelnerka zjawia się z tacą przy naszym stole. Stawia dania oraz napoje. Placek wygląda tak apetycznie, że aż swędzą mnie ślinianki.

– Prosiłem, żeby naleśniki i dżem były osobno. Proszę to zabrać. – Słyszę stanowczy głos Jana i podnoszę na niego wzrok. Ma minę, jakby ktoś nasrał mu na talerz. Tymczasem na talerzu leżą dwa pachnące naleśniki złożone na pół, a obok znajduje się łyżka dżemu.

– Przecież są osobno. – Kobieta jest równie zaskoczona co ja.

– Nie są. Naleśnik styka się z dżemem. Wyraźnie prosiłem o dżem w salaterce, żeby uniknąć takiej sytuacji. Jeśli nie potrafi pani zapamiętać tak banalnego zamówienia, to najwyraźniej jest pani mało inteligentna i niewystarczająco kompetentna, by pracować jako kelnerka. Proponuję poszukać zatrudnienia w mniej wymagającym zawodzie.

Dziewczyna patrzy na niego zszokowana. Doskonale wiem, co sobie teraz myśli na temat Jana. Wariat, a do tego cham. I w sumie trudno jej się dziwić, skoro dżem styka się z naleśnikiem zaledwie na pięciu centymetrach, a klient nie tylko chce z tego powodu wymienić całe danie, lecz także każe jej jeszcze zmienić pracę. Przesadził.

Bez zastanowienia sięgam po talerz Jana, zgarniam dżem do mojej filiżanki, odkrawam „ubrudzoną” część ciasta, którą zjadam, a następnie wycieram serwetką do czysta czerwone smugi z talerza i oddaję go Janowi.

– Jeśli będziemy czegoś więcej potrzebować, to panią zawołamy – zwracam się do kelnerki i zabieram się za własne danie.

Zdębiała kobieta odchodzi bez słowa od naszego stolika.

– Dlaczego to zrobiłaś? – odzywa się Jan zimnym tonem.

– Co dokładnie? – Kroję placek.

– To wszystko. Obowiązują pewne zasady. Danie nie zostało podane tak, jak prosiłem. Powinni je wymienić i podać nowe.

– I przy okazji napłuć ci do dżemu, a naleśniki wysmarować palcem włożonym wcześniej w tyłek.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz, Janie? Że uczepiłeś się tych naleśników jak rzep psiego ogona? Czy że naubliżałeś kelnerce?

– Nie ubliżyłem jej, tylko powiedziałem prawdę. Prosiłem o dżem w salaterce, a ona tego nie zapamiętała. Czy naprawdę tak wiele od niej wymagałem?

– Nie, ale stało się. Może ma gorszy dzień albo jakieś rodzinne sprawy na głowie, a może naprawdę jest głupia. Nieważne. Uznałam, że szybciej, sprawniej

i mniej ryzykownie będzie usunąć samemu dżem, niż czekać na ponowne przygotowanie posiłku. Teraz jest tak, jak chciałeś. Masz osobno dżem w filiżance i osobno czyste naleśniki. Jedz, są naprawdę dobre. – Wracam do swojego dania.

Jan nic się nie odzywa. Przetrawia moje słowa. Patrzy na swój talerz, pomrukuje coś pod nosem, przenosi wzrok na dżem, znów pomrukuje. W końcu sięga po papierową serwetkę, rozkłada ją starannie na kolanach, bierze sztucce i zaczyna jeść naleśniki.

– I co, dobre? – pytam, uśmiechając się do niego zadziornie, kiedy przełyka pierwszy kęs.

– Mogą być.

– Mój placek jest pyszny. Chcesz spróbować?

– Nie.

– Tylko odrobinę. Nic nie tracisz, możesz tylko zyskać. – Zeskrobuję sos z kawałka, nabijam go na widelec i podsuwam go Janowi niemal pod sam nos.

Wącha jedzenie niczym dziecko, któremu każą zjeść wątróbkę ze smażoną cebulą. Boże, zaraz padnę. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– To sam placek ziemniaczany, pozbyłam się sosu.

Przygląda mu się uważnie.

– No, Janku, za Marysię. – Szczerczę się od ucha do ucha. – Będzie nagroda.

– Jaka? – Podnosi na mnie wzrok.

– Jaką tylko chcesz.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a jego oczy ciemnieją.

– W takim razie w drodze do domu musimy kupić lubrykant.

Przeszywa mnie dreszcz.

– Dobrze – zgadzam się.

Jan rozchyła wargi i bierze placek do ust, nie spuszczaając ze mnie oczu.

Ekscytujące mrowienie rozchodzi się między moimi udami.

– I jak ci smakuje? – pytam.

– Trzy gwiazdki na pięć. Naleśniki lepsze. – Wraca do jedzenia.

Obserwuję go przez dłuższy moment i uświadamiam sobie, że z żadnym facetem nie spożywałam obiadu w tak nietypowej atmosferze. I bardzo mi się to podoba.

Przez dalszą część posiłku rozmawiamy o tym, co moglibyśmy robić przez resztę dnia. Oczywiście seks analny jest pierwszy na liście, później zaś (jeśli nie padnę z wycieńczenia) obejrzymy film. Już mamy uzgodnione, że nie będzie to tym razem żadna komedia romantyczna. Jan skłania się ku filmowi dokumentalnemu. Jesteśmy na dobrej drodze, by ustalić wspólną wersję – ma być współcześnie, ciekawie, kontrowersyjnie, może jakaś biografia...?

Nagle drzwi restauracji się otwierają i do środka wlewa się tłum turystów. Są głośni, roześmiani, widać, że coś pili – i to niemało.

– Rezerwacja na wycieczka.pl! – woła do kelnerki niski mężczyzna z brzuszkiem i przeciska się przez tłum w stronę lady.

Nastaje gwar, ludzie odsuwają krzesła, rozbierają się, rozmawiają podniesionymi głosami. Dopiero teraz zauważam, że na wszystkich stołach widnieją małe karteczki z napisem „rezerwacja”. To by tłumaczyło, dlaczego było tu tak pusto, kiedy przyszliśmy. Widocznie trafiliśmy na jedyny dwuosobowy wolny stolik.

Nagle jedna z turystek drze się na całe gardło: „ludzie, Anka ma dzisiaj urodziny!” i zaczyna śpiewać sto lat. Reszta do niej dołącza i rozbrzmiewa kakofonia dźwięków: część ludzi klaszcze, ktoś uderza w blat stołu, ktoś bawi się włącznikiem od światła, robiąc z restauracji dyskotekę.

Śmieję się. Ale impreza.

– Czyli jednak mają tu ruch. – Przenoszę wzrok na Jana i aż mnie zatyka.

Wygląda, jakby miał zaraz zejść na zawał. Jest blady jak ściana, brwi ma ściągnięte, oddycha niespokojnie, na czole dostrzegam krople potu. Szuka czegoś wzrokiem, mruga zbyt szybko, zaciska pięści...

– Dobrze się czujesz? – pytam, lecz on nie reaguje.

Poci się coraz bardziej, przełyka ślinę, jego klatka piersiowa unosi się, jakby biegł.

– Jan, co ci jest? – Dotykam jego dłoni, a wtedy on zrywa się z krzesła. Przypomina jelenia osaczonego nocą przez oślepiające światła samochodu. Jest przerażony.

– Muszę stąd wyjść.

– Jasne, zawołam tylko kelnerkę, żeby... – Nie kończę, bo Jan już wychodzi dynamicznym krokiem z karczmy, jakby ziemia paliła mu się pod nogami. Nawet nie zabrał ze sobą płaszcz!

Kurna, co mu się stało?

Podchodzę szybko do lady, proszę o rachunek, płacę kartą, po czym zakładam kurtkę, zabieram palto Jana i wychodzę na zewnątrz.

Od razu namierzam zaparkowane BMW, ale Jana w nim nie ma. Szukam go wszędzie wzrokiem i nagle go dostrzegam. Stoi z dłońmi wspartymi o elewację restauracji. Ręce ma wyprostowane, ramiona napięte, głowę spuszczoną. Z jego ust wydobywają się kłęby pary, którym towarzyszą cicho wymawiane słowa.

Podchodzę bliżej i przyglądam mu się uważnie. Włosy na skroniach są nadal wilgotne od potu, na szczęście twarz zyskała już bardziej ludzki kolor.

Słyszę wypowiedzane w odstępach sekundowych liczby:

– Czteryście czterdzieści pięć, czteryście czterdzieści sześć, czteryście czterdzieści siedem...

– Jan, co się dzieje?

Nie odpowiada. Opiera się nadal o ścianę cały spięty i liczy.

– Włóż płaszcz, bo się przeziębisz. – W pierwszym odruchu chcę go pogłodzić po plecach, lecz przypominam sobie jego wcześniejsze reakcje na mój niespodziewany dotyk. – Chcesz jechać do domu? Mogę prowadzić. Będę jechała powoli i ostrożnie. – Mówię do niego kojącym głosem, lecz on nie reaguje. – Jan? Co mam zrobić? Powiedz mi, czego potrzebujesz?

Czekam cierpliwie, wpatrując się w tego wielkiego mężczyznę, który wygląda teraz jak małe, poranione dziecko.

– Potrzebuję spokoju – odzywa się w końcu.

– Mam cię zostawić?

– Tak – odpowiada wyzutym z emocji głosem.

– To może chociaż weź płaszcz, bo zmarzniesz?

– Nie.

No dobra. Nie mam pojęcia, co się dzieje, i jestem trochę przerażona, ale Jan sprawia wrażenie, jakby naprawdę potrzebował teraz zostać sam. Macam kieszeń jego płaszcza i wydaję z niej kluczyki od samochodu.

– Poczekam na ciebie w aucie. Nie stój tu za długo.

Nie odpowiada. Odchodzę w stronę BMW. Mam mętlik w głowie. Potrzebuję papierosa, żeby uporządkować myśli, ale nie powinnam teraz spuszczać Jana z oczu. Po raz pierwszy widzę go w takim stanie i naprawdę się o niego martwię.

Wsiadam od strony kierowcy, odpalam silnik, włączam ciepły nawiew i podgrzewam oba siedzenia. Jestem pewna, że Jan przemarznie na kość, jeśli dłużej będzie stał bez palta.

A stoi tak dobrych dwadzieścia minut. W tej samej pozycji, nieruchomo, jakby zamarł. Jego usta poruszają się w rytmie wypowiedzanych kolejno liczebników.

Podejrzewam, że dotarł już do dwóch tysięcy.

Dobra, daję mu jeszcze pięć minut i po niego idę. Nie może przecież tkwić przez wieczność w bezruchu, jest minus osiem stopni, dostanie zapalenia płuc.

Już mam wysiadać z auta, kiedy Jan odrywa się od ściany, prostuje i podąża w moją stronę. Na pierwszy rzut oka wygląda normalnie – ma nawet zaróżowione policzki od mrozu – jednak to tylko pozory. Im dłużej się w niego wpatruję, tym on sprawia wrażenie bardziej wycofanego i nieobecnego.

Wsiada do samochodu od strony pasażera i bez słowa zapina pasy. Siedzi wyprostowany, zdystansowany, patrzy przed siebie wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

- Wszystko gra? – pytam.
- Nie – odpowiada beznamiętnie jak robot.
- Czegoś potrzebujesz?
- Chcę jechać do domu.
- Mam prowadzić?
- Tak.

Przez całą drogę powrotną w aucie panuje cisza. Jan siedzi w niezmienniej pozycji, wygląda, jakby znajdował się myślami w zupełnie innym miejscu. Nie zagaduję go na siłę, bo ewidentnie widać, że nie ma ochoty na rozmowę. Może kiedy znajdziemy się w domu, będzie ku temu okazja.

Jednak gdy docieramy na miejsce, Jan nadal milczy. Zdejmuje buty w przedsionku, myje ręce i twarz w łazience, wypija szklankę wody w kuchni i udaje się prosto do sypialni. Sprawia wrażenie, jakby każdą z czynności wykonywał mechanicznie.

– Możemy pogadać o tym, co się stało? – Obserwuję go, jak się rozbiera do koszulki i bokserów. Ku mojemu zdziwieniu, tym razem nie składa ubrań w kostkę, tylko rzuca je niedbale na fotel, jakby nie miał siły.

- Nie. – Odsuwa kołdrę i z ciężkim westchnieniem kładzie się do łóżka.
- Coś ci podać?
- Nie. Chcę zostać sam. – Odwraca się do mnie plecami i przykrywa, jakby układał się do snu.

A przecież jest dopiero szesnasta!

Stoję w progu i wpatruję się w jego sylwetkę. Nie mam pojęcia, co się dzisiaj wydarzyło, ale wyraźnie go to wycieńczyło. Wkrótce oddech mu się uspokaja, wydłuża, spowalnia... Nie mija pięć minut, jak Jan śpi.

Gdy tylko wychodzę z sypialni, rozbrzmiewa dźwięk mojego telefonu. To Nina. Odbieram i wysłuchując jej relacji ze świąt, zakładam kurtkę, buty,

zabieram fajki i wychodzę na zewnątrz.

– Robimy z Tadeuszem składkowego sylwestra w klubie – mówi, kiedy już kończy opowieść o nietrafionym prezencie w postaci swetra, jaki dostała od rodziców. – Wiem, że to na ostatnią chwilę, ale zwolniło się miejsce dla dziesięcioosobowej grupy w wydzielonej strefie. Będzie DJ, szwedzki stół, alko... Zaczynamy o dwudziestej. Wyślę ci adres SMS-em.

– Ile macie wolnych miejsc? – pytam.

– Dzwonię do ciebie jako pierwszej, rzecz jasna. Zaraz będę rozmawiać z Tośką, czy przyjdą razem z Radkiem. Potem skontaktuję się z Artim. Może weźmie ze sobą jakiegoś faceta.

– Czyli znajdzie się jeszcze jedna wejściówka?

– Pewnie. Dla kogo?

– Dla takiego jednego. – Uśmiecham się sama do siebie.

– Yyy, czy ja o czymś nie wiem?

– Może...

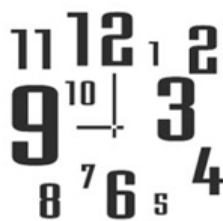
– Poznałaś kogoś? Kiedy? Rozmawialiśmy w Wigilię rano i nic nie mówiłaś. Co to za jeden? Znam go?

– Osobiście nie. Ale twój Tadeo, któremu zamierzam skopać dupsko za to, że to przede mną ukrywał, zna go doskonale.

– Tadeo? Mary, mów, o co chodzi i kim jest ten facet, bo zaraz oszaleję z ciekawości.

Biorę głęboki wdech.

– To mój szef – odpowiadam. – I właśnie spędzam z nim przerwę świąteczną w jego domu w górach – dodaję, po czym opowiadam jej wszystko od początku, pomijając jedynie dzisiejszy incydent w restauracji, bo sama nie mam bladego pojęcia, co powinnam o nim myśleć.



Wypalonych fajek – siedem. Obejrzanych filmów – dwa. Zamówionych i skonsumowanych pizz – jedna. Wypitego wina – pół butelki.

Jest dwudziesta czwarta, a Jan nadal śpi.

Myję zęby, przebieram się w koszulę nocną i kładę się do łóżka obok niego.

Czuję się zmęczona całym dniem i nieco zdezorientowana tym, co dzisiaj zaszło. Przypominam sobie, jak bezbrinnie wyglądał Jan, kiedy tak opierał się o ścianę karczmy, i mam ochotę się do niego przytulić. Ale tego nie robię. Boję się jego reakcji.

Przekręcam się do niego plecami i zamykam powieki. Pora spać, jutro z nim porozmawiam i na pewno wszystko się wyjaśni.

Ale się nie wyjaśnia.

Gdy się budzę, Jana już nie ma w łóżku. Siedzi w swoim gabinecie. I, tu niespodzianka, grzebie w rozbebeszonym zegarku.

– Cześć, jak się czujesz? – Wchodzę powoli do środka i obserwuję go uważanie. Wygląda normalnie.

– W porządku.

– Możesz mi powiedzieć, co się wczoraj wydarzyło, tam w restauracji? – Siadam naprzeciwko niego.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Nie patrzy na mnie, tylko wkręca jakąś śrubkę.

– Domyślam się, ale chciałabym wiedzieć... Na wypadek, gdyby taka sytuacja się powtórzyła.

– Nie powtórzy się. – Podnosi na mnie twardy wzrok. – Mówiłem ci, że nie chodzę do tego typu miejsc. Jednak ty się uparłaś. Nie będzie kolejnego razu. Żadnych restauracji, pubów, klubów, dyskotek, supermarketów, koncertów, kin, teatrów, imprez i innych tego typu zbiorowisk powyżej pięciu osób.

Patrzę na niego osłupiałym wzrokiem. Czy on właśnie przyznał się do tego, że żyje jak pieprzony mnich?

– Ale dlaczego?

– Bo takie mam zasady.

– Zasady?

– Tak. Dobrze ustalone zasady ułatwiają życie. Każde złamanie zasad kończy się katastrofą.

– To absurd. Równie dobrze możesz założyć sobie na szyję łańcuch i przykuć się kajdankami do grzejnika. Zasady to zniewolenie.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Chcesz jeszcze o czymś porozmawiać? Jestem zajęty.

Boże, jak on mnie czasami wkurza!

– Tak. Dostaliśmy zaproszenie na sylwestra. Będą moi przyjaciele, w tym Tadeusz.

– Ile osób?

Przygryzam wargę. Przecież nie przyznam od razu, że pewnie z setka, bo po tym, co przed chwilą mi powiedział, nie ma szans, żeby się wtedy zgodził.

– Od nas najpewniej osiem.

Jan zastanawia się przez chwilę.

– Osiem może być. Gdzie?

I tu będzie spory problem.

– W klubie. Ale będziemy mieli wydzieloną strefę.

– Odpada.

– Jan, nie chcę spędzać sylwestra przed telewizorem, tylko dobrze się bawić z przyjaciółmi. Będzie szwedzki stół. Alkohol. DJ. Chcę potańczyć...

– Na mnie nie licz.

Co za uparty bubek.

– Czyli co, mam iść sama? – Zakładam ręce na piersi.

Jan zaciska szczęki. Nic nie mówi. Patrzy na rozkręcony zegarek. No zamorduję go, jak Boga kocham.

– Jan, do cholery. Spójrz na mnie i odpowiedz. Czy mam pójść sama?

Powoli unosi głowę. Jego oczy są ciemne, chłodne.

– Rób, jak uważasz. Ja na pewno nie idę.

– I chcesz, żebyśmy przez te wszystkie wolne dni siedzieli w domu? Żadnego wyjścia na piwo, na kolację, do dyskoteki, kina?

– Planowałem jazdę na nartach, ale z wiadomych powodów to odpada. Możemy chodzić na spacer.

– Na spacer? To ci dopiero rozrywka. Masz niecałe czterdzieści lat, a nie osiemdziesiąt! – Podnoszę głos.

– Trzydzieści osiem, dziewięć miesięcy i dwadzieścia jeden dni.

– Co?

– Mam dokładnie trzydzieści osiem lat, dziewięć miesięcy i dwadzieścia jeden...

– Wystarczy. Wkurwiasz mnie, Engler. Nie zamierzam marnować urlopu na gnuśnienie w twoim domu, a taki ewidentnie masz plan. Jeśli zmienisz zdanie co do sposobu spędzania razem czasu, to daj mi znać. Masz mój numer i wiesz, gdzie mieszkam. – Wstaję. Cała wrę.

– Jesteś rozgniewana? – pyta takim tonem, jakby nie było tego po mnie widać.

Wrrr.

– Skądże znowu. – Śmieję się nerwowo. – Jestem wesoła jak nigdy wcześniej. Aż pójdę sobie potańczyć. I nie zatrzymuj mnie, jeśli nie zamierzasz tańczyć razem ze mną. – Odwracam się, wychodzę i tak mocno zatrzaskuję za sobą drzwi, że aż słyszę charakterystyczne brzdęknięcie zegara z wahadłem, wiszącego na ścianie w gabinecie.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o mój świąteczny romans.

All I want for Christmas is, kurwa mać, not you!

*

Pieprzony Jan nawet nie wyściubia nosa ze swojej dziupli, kiedy się pakuję ani kiedy opuszczam jego dom.

Jestem na niego tak wściekła, że w drodze do siebie co pół godziny zmuszam biednego kierowcę BlaBlaCara do postojów, żebym mogła zapalić i się uspokoić. Ale papierosy mi nie pomagają. Słodycze też nie. Mało tego, niechcący upaprałam tapicerkę czekoladą, którą kupiłam na stacji benzynowej, i jest mi z tego powodu strasznie głupio. W zasadzie nabyłam i zjadłam dwie czekolady, takie wielkie, Milki, i to jedną po drugiej. Pierwsza była z orzechami, a druga z nadzieniem toffi. Zamiast poczuć się po nich lepiej, robi mi się niedobrze i to tak znacząco, że od razu po wejściu do mieszkania wpadam do ubikacji i wymiotuję. A następnie zaczynam ryczeć jak bóbr.

W efekcie łapię doła na dwa kolejne dni. A to śpię, a to płaczę, a to palę, a to znów jem i śpię. Dużo śpię.

Telefon od dwóch dni milczy, co oznacza, że Jan ma mnie głęboko w dupie. I dobrze. Ja też mam go w dupie. Nieczuły bubek! Muszę się ogarnąć, wrócić do normalnego życia i o nim zapomnieć.

Posprzątam mieszkanie, pójdę na zakupy, może znajdę sobie jakąś fajną kieckę na sylwestra, ale wpierw zrobię pranie.

Biorę prysznic, wrzucam brudy do pralki, wlewam płyn, nastawiam program... Rozlega się dźwięk telefonu z kuchni. Serce zaczyna szybko bić, żołądek się zaciska. Pierwsza myśl: dzwoni Jan. Biegnę, żeby odebrać, łapię za słuchawkę... I wydaję z siebie zdławiony jęk rozczarowania.

– Cześć, Tośka. – Siadam zrezygnowana na krześle. Adrenalina opada.

– Oho, dzwonię nie w porę? Przerwałam wam w amorach?

– W duporach. Jestem w domu, sama, robię pranie.

– Jak to? Co się stało?

– Wszystko się zesrało.

– Wszystko to znaczy co?

– Ja i on. Jesteśmy totalnie różni, nic nas nie łączy oprócz seksu.

– Aż tak?

– Nie potrafię go rozgryźć, choć naprawdę się starałam. Jest tak zdystansowany emocjonalnie i aspołeczny, że aż mnie przeraża. Zbierał się przez cały rok, żeby do mnie zarwać. Skupował potajemnie wszystkie moje meble, które wystawiałam na sprzedaż. Ewidentnie chciał ze mną być... – Pocieram ręką czoło. – To bez sensu. Chyba nie umiem być z kimś, kto jest taki spięty, nie potrafi wyluzować, puścić wodzy fantazji, być spontaniczny, musi mieć wszystko zaplanowane i dopięte na ostatni guzik. Dodatkowo ma pierdolca na punkcie zegarmistrzostwa. Dzień bez dłubania w zegarku dniem straconym. Z drugiej strony imponuje mi, że posiada dużą wiedzę z różnych dziedzin, jest cholernie inteligentny, ułożony, stabilny, że można na nim polegać. Niby jest stanowczy, doskonale radzi sobie w biznesie, ale stroni od ludzi i nie chce nigdzie wychodzić.

– Co masz na myśli?

– Byliśmy na obiedzie w restauracji. Jan postawił warunek, że w lokalu ma być cicho i spokojnie. Znaleźliśmy więc odosobnione miejsce, było miło, dobrze nam się rozmawiało, zjedliśmy posiłek, ale kiedy nieoczekiwanie zjawił się tłum i zrobiło się głośno, on cały się spiął i po prostu stamtąd uciekł. Zamknął się w sobie, nie chciał ze mną rozmawiać i po powrocie do domu od razu poszedł spać, a był środek dnia. A później się pokłóciliśmy, bo stanowczo odmówił pójścia z nami na sylwestra. I stwierdził, że cały czas będziemy siedzieć w domu.

– Hm. To faktycznie dziwne.

– A wiesz, co jeszcze jest dziwne? On w ogóle nie rozpoznaje ironii, nie rozumie żartów, czasami nawet prostych przenośni. Wszystko bierze na

poważanie i dosłownie. Za to w łóżku... O rany, mam wrażenie, że dopiero podczas seksu puszczają mu hamulce. Nigdy z nikim nie było mi tak dobrze. Jesteśmy pod tym względem idealnie dopasowani. Ale to jest tylko fizyczność, popęd seksualny. Bo kiedy chcę się do niego niespodziewanie przytulić, odsuwa się gwałtownie, jakbym była kimś obcym. – Czuję ukłucie między żebrami, biorę głęboki oddech, po czym dalej wylewam z siebie wszystkie żale i spostrzeżenia dotyczące Jana: – I jest cholernie mało domyślny. Jak nie powiem mu wprost, czego od niego oczekuję, to się nie doczekam reakcji. O, i czy wiesz, że on segreguje jedzenie w lodówce na wszystkie dni tygodnia? I nie jada połączonych ze sobą składników! Choć udało mi się go namówić na zjedzenie mojego jabłecznika. – Przypominam sobie tamten moment i robi mi się przyjemnie ciepło. – To był fantastyczny wieczór – przyznaję. – No jeśli nie liczyć tego, że zjechał mój ulubiony film. – Kolejne obrazy ze wspólnie spędzonych chwil przelatują mi przed oczami i automatycznie wywołują uśmiech na twarzy. – Wiesz, on potrafi mnie rozśmieszyć jak żaden mężczyzna przed nim, to jest zupełnie inny rodzaj rozbawienia, bo Jan robi to całkowicie nieświadomie. Czasami jest przy tym taki słodki... No i czuję się przy nim ważna, mądra, kobieca i piękna... – Wzdycham. – Boże, nie mam pojęcia, co mam z nim zrobić. To mnie chyba przerasta. Nie potrafimy się dopasować, żyć. Bycie z nim to *rollercoaster*. Sama nie wiem, czego mogę się po nim spodziewać. Co o tym wszystkim myślisz?

W słuchawce zapada kilkusekundowe milczenie.

– Wiesz, Maryś... – Tośka zaczyna mówić stonowanym, ciepłym głosem, który tak uwielbiam. – Wygląda na to, że on po prostu taki jest. Może to kwestia osobowości, temperamentu, jego doświadczeń z byłą żoną... – Zawiesza głos. – A może jest AS-em.

– AS-em? Niby w czym, w doprowadzaniu mnie do kurwicy?

– Mam na myśli zespół Aspergera.

Zamieram.

– Aspergera? – Uderza we mnie fala gorąca. – Myślisz, że Jan jest autystyczny?

– Nie mam pewności. Ale już wcześniej, jak mi o nim opowiadałaś, to tak jakoś pasował mi na Aspi. Ale to tylko przypuszczenia. Musiałby go zdiagnozować psycholog, psychiatra, logopeda...

Wiem, jak wyglądają takie diagnozy. Poznałam kilku autystów w poradni, kiedy byłam dzieckiem i badano mój geniusz matematyczny.

– Ale on nie wygląda na autystę. Wysławia się normalnie, jest sprawny fizycznie, psychicznie, intelektualnie, nie ma ataków złości. W zasadzie to

normalny facet z licznymi dziwactwami.

– Z tego, co mówisz, wynika, że ma ewidentnie kłopoty ze społecznym dostosowaniem, posiada niski poziom umiejętności interpersonalnych, obsesję na punkcie wybranych dziedzin, problemy z okazywaniem uczuć, reaguje wycofaniem na silne bodźce sensoryczne, ma problem z ich przyswajaniem i przetwarzaniem. Zaburzenia ze spektrum autyzmu objawiają się w różny sposób i mają różne natężenie u różnych ludzi. Jest ogrom niezdiagnozowanych dorosłych z Aspergerem, którzy żyją normalnie, starają się dostosować, obserwując innych i ucząc się społecznych zachowań. Raz im to wychodzi lepiej, raz gorzej. Jedni dostosowują się do obowiązujących norm szybciej, inni wolniej. Jedni są nad wyraz opanowani i nie ulegają emocjom, inni są nadpobudliwi i łatwo wpadają w złość. Wiele osób ze spektrum autyzmu odnosi sukcesy, są lekarzami, naukowcami, wynalazcami, muzykami, artystami. Podobno cała Dolina Krzemowa to zagłębie aspergerowców. Niektórzy uważają, że gdyby nie Aspi, to nadal technologicznie żylibyśmy w epoce paleolitu. Wielu wybitnych i znanych ludzi posiadało lub ma zdiagnozowany zespół Aspergera: Maria Skłodowska-Curie, Albert Einstein, Wolfgang Amadeus Mozart, Ludwig van Beethoven, Alfred Hitchcock, Bill Gates, Dan Aykroyd, Lionel Messi...

– Messi, ten piłkarz? Niemożliwe.

– To pewniak. U niego Asperger przejawia się tym, że jest perfekcjonistą na boisku, powtarza precyzyjne swoje ruchy, ma doskonałą koordynację wzrokowo-ruchową. I tu ciekawostka, wbrew temu, co mówi się o osobach ze spektrum autyzmu, świetnie sobie radzi w grze zespołowej. Co tylko potwierdza to, co ci mówiłam wcześniej. Każdy AS jest inny, wyjątkowy na swój sposób.

– Wiem, że Jan jest wyjątkowy... – Wsuwam dłonie we włosy; boli mnie serce. – Boże, to by wszystko tłumaczyło. Jego zachowanie, sposób bycia. Jak mogłam się nie domyślić?

– I co by to zmieniło, gdybyś wiedziała? Zaczęłabyś się nad nim litować?

– Nie! Po prostu byłabym bardziej wyrozumiała. To nie jego wina, że taki jest. Cholera, nie dziwne, że nie chciał wtedy iść do restauracji. I że odmówił udziału w sylwestrze...

– Stara się unikać reaktywnych bodźców: hałasu, głośnej muzyki, gwaru, zbyt dużego natężenia świateł...

– Chryste, ale ze mnie nieczuła suka.

– Daj spokój. Przecież nie wiedziałaś. A on ewidentnie nie chciał się przed tobą ujawnić. A może nawet nie wie, że ma Aspergera? Wielu dorosłych jest niezdiagnozowanych, a mimo to jakoś sobie radzą. Na to nie ma lekarstwa. Trzeba obserwować otoczenie i uczyć się życia – dosłownie. Świat jest

różnorodny. Ludzie są neuroróżnorodni. Jeśli lubisz Jana, czujesz się wyjątkowo w jego towarzystwie, chcesz z nim przebywać mimo jego dziwactw i, co więcej, potrafisz je zaakceptować, to po prostu z nim bądź. Jest wam świetnie w łóżku, a to bardzo ważny element w związku. Wszystko wskazuje na to, że Jan od dawna coś do ciebie czuł, tylko okazywał to na swój sposób. Być może nie potrafił inaczej i możliwe, że nadal ma z tym kłopot. Całkiem prawdopodobne, że nigdy nie usłyszysz od niego wyznania miłości, bo nazywanie emocji nie przychodzi Aspi łatwo. Nie są zbyt hojni w dzieleniu się uczuciami. Ale widać, że nie jesteś mu obojętna i że to dobry człowiek.

– To jest dobry człowiek. Bardzo dobry. – Uzmysławiam sobie, jak wiele musiała kosztować Jana znajomość ze mną, jak dużo zmieniłam w jego poukładanym życiu w ciągu zaledwie kilku dni, i mam ochotę wrócić do niego jeszcze dzisiaj, prosić o wybaczenie, a potem zacałować go do nieprzytomności. A jak się już ocknie, kochać się z nim, aż oboje padniemy z wycieńczenia. – Ja go naprawdę lubię...

– To dobrze.

– I myślę nawet, że... – Czuję, że serce mi zaraz pęknie. – Że zakochałam się w nim na zabój.

– Tym bardziej nie rezygnuj z niego tak łatwo. Spotykajcie się, rozmawiajcie, poznawajcie się, uprawiajcie seks, szanujcie swoje słabości i uwielbiajcie mocne strony. Po prostu postaraj się tym razem być dla niego bardziej wyrozumiała. Nie naciskaj go, kiedy się przed czymś wzbrania, i doceniaj to, że się dla ciebie stara. On może nawet nie wiedzieć, że swoim zachowaniem sprawia ci przykrość. Może nie rozumieć twoich emocji lub postępowania. Wtedy musisz mu wyłożyć wprost, jak chłop krowie na granicy, jak się czujesz i czego od niego oczekujesz. Na spokojnie, jasno, konkretnie, precyzyjnie, szczegółowo, na przykładach – bo jeśli on jest Asem, to tak właśnie przyswaja świat. Im bardziej będziesz go naciskać, tym będzie gorzej. Daj mu swobodę, spokój i tyle czasu, ile potrzebuje. Autyzm to zaburzenie, nie choroba. Można nauczyć się z tym żyć, a on i tak radzi sobie z tym świetnie. Nie zmuszaj go do relacji międzyludzkich, nie wyciągaj na imprezy, wspólne wyjazdy ze znajomymi, skoro już wiesz, że tego nie lubi. To, że trzyma się kurczowo swoich zasad i jest schematyczny, daje mu poczucie bezpieczeństwa. Nie wkręcaj go w swoje ironiczne żarty, bo z tego, co mówisz, on zwyczajnie ich nie rozumie. A wiem, że ty potrafisz dosrać i często ironizujesz. Myślę, że Jan, nawet gdyby próbował sprostać twoim wymaganiom i przestawił się na tryb żartownisia, to znając upodobanie Aspi do zdobywania wiedzy, nauczyłby się na pamięć wszystkich dowcipów, które znalazłby w internecie, żeby cię zadowolić. Z czasem pewnie zaczniesz rozumieć twoje

poczucie humoru, bo będzie cię obserwował i powiełał twoje żarty tak, jak robił to do tej pory w życiu, przyglądając się innym ludziom ze swojego otoczenia. To może potrwać. A może też nigdy nie nastąpi. Po prostu zaakceptuj go takim, jaki jest. Możliwe, że nie będzie między wami idealnie, ale na tyle dobrze, żebyś czuła się z nim szczęśliwa. Pytanie tylko, czy tego chcesz?

W chwili, kiedy o to pyta, rozlega się sygnał nadchodzącej wiadomości.

Zerkam na wyświetlacz i wstrzymuję oddech.

Jesteś w domu?

- Tośka, Jan napisał. Kończę.
- Jasne. Powodzenia. I daj mi znać, na czym stanęło.
- Dobrze. Dzięki wielkie za rozmowę. Jesteś kochana.
- Mam nadzieję, że pomogłam.
- Bardzo! Buziaki.

Rozłączam się i od razu odpisuję na wiadomość:

Jestem.

Czuję, że się pocę. Tętno wali jak szalone. Nadchodzi SMS:

Stoję pod twoim blokiem.

Mogę wejść?

O cholera! Automatycznie zerkam po sobie. Jestem w samych majtkach i pogniecionym T-shircie. W mieszkaniu sajgon.

Teraz?

Teraz.

Mam bałagan
i nie jestem ubrana.

Pierwsze mnie nie obchodzi,
a za drugim tęskniłem.

Rozlega się dźwięk domofonu. Puls mi przyspiesza, w żołądku panoszy się rój motyli. Odkładam telefon na stół, wycieram spocone dłonie o koszulkę i podchodzę do drzwi. Ponowny dzwonek. Biorę głęboki wdech i wpuszczam Jana na klatkę schodową.

Niby mogłabym się szybko ogarnąć, uczesać, włożyć spodnie, położyć łóżko, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Co on tu robi? Co mam mu powiedzieć? Zapytać go wprost, czy cierpi na zaburzenia ze spektrum autyzmu? A co, jeśli nawet o nich nie wie? Tośka mówiła, że większość dorosłych z Aspergerem jest niezdiagnozowanych. A co, jeśli wie, że jest autystyczny, ale nie chce, żebym ja wiedziała? A może się tego wstydzi? Albo jest zupełnie normalny, a ja robię z niego zaburzonego?

Rozlega się pukanie do drzwi. Uderza mnie fala gorąca. Sięgam po klamkę; mam sucho w ustach. Otwieram drzwi i... serce mi staje na widok Jana.

Jasna cholera, ale się odpicował. Niezaprzeczalnie jest to jedyny mężczyzna, którego znam, który w trzyrzędom garniturze prezentuje się jak model na wybiegu. I ten męski zapach, od którego aż mrowi mnie podbrzusze.

– Ściąłeś włosy – stwierdzam i przyglądam się nowej fryzurze. Jest krótsza niż zwykle, pasuje mu.

– Tak. – Przesuwa wzrokiem po moich nagich nogach. Żyłka na jego czole pulsuje. – Mogę wejść?

Otwieram szerzej drzwi i wpuszczam go do środka. Jan zaczyna ściągać buty, a ja reflektuję się, że w pokoju na dywanie jest przecież pełno okruszków po chipsach.

– Lepiej ich nie zdejmuj. Mam nieposprzątane mieszkanie. Pobrudzisz sobie skarpetki.

Waha się przez moment.

– Dobre wychowanie nakazuje, by zdejmować buty przed wejściem do czyjegoś mieszkania – oświadcza niepewnie.

– A logika nakazuje, by zostać w butach, jeśli gospodyni ma chlew na dywanie. – Uśmiecham się.

– Słuszna uwaga.

– Wchodź, Janie. – Wskazuję na pokój.

– Panie przodem.

Śmieję się.

– Skąd ta wizyta okraszona uroczą dżentelmenerią? – Siadam na kanapie.

Jan rozpina guziki marynarki i zajmuje jedno z krzeseł. Siedzi wyprostowany, skupiony, widzę po nim, że zamierza wygłosić jakąś dłuższą mowę.

– Chciałbym się z tobą podzielić kilkoma przemyśleniami i prosiłbym, żebyś mi nie przerywała, kiedy będę mówił. Jeśli będziesz miała pytania, to zostaw je na koniec. Na wszystkie odpowiem.

A nie mówiłam!

– W porządku.

Jan wyciąga z kieszeni marynarki kartkę. Rozkłada ją, przebiega po niej wzrokiem, poprawia krawat, na skroni pojawia się pot. Robi mi się go szkoda. Jest cholernie zdenerwowany. Wiem, że miałam się nie odzywać, ale muszę go jakoś rozluźnić, bo mi tu facet wykituje, zanim wypowie pierwsze słowo.

– Denerwujesz się?

– Tak. – Nie odrywa wzroku od kartki.

– Ja też.

Podnosi na mnie wzrok.

– Dlaczego?

– Pewnie z tego samego powodu co ty. Co tam masz? – Wskazuję brodą na kartkę.

– Spisałem listę rzeczy, które chcę ci powiedzieć.

– Sądziłam, że masz świetną pamięć.

– Bo mam. Aczkolwiek stres w dużym natężeniu wpływa negatywnie na powstawanie śladów pamięciowych. Wolałem się zabezpieczyć.

– Słusznie. Co masz jako pierwsze na liście?

Jan zerka na kartkę, bierze głęboki wdech, po czym podnosi na mnie spojrzenie.

– Ostatnie dwa dni spędziłem na oglądaniu najbardziej popularnych komedii romantycznych wszechczasów – wyznaje, a ja robię wielkie oczy. – Założyłem, że skoro tak lubisz ten gatunek filmowy, to być może zawiera się w nim klucz do poprawienia naszych relacji.

– Tak? I znalazłeś ten „klucz”? – pytam zszokowana i oczarowana jednocześnie.

– Jak najbardziej. W dziewięćdziesięciu siedmiu procentach filmów pojawił się schematyczny punkt kulminacyjny, w którym stosunki między głównymi bohaterami, kobietą i mężczyzną, uległy drastycznemu pogorszeniu. W wyniku mojej analizy okazało się, że w osiemdziesięciu dwóch procentach przyczyną nieporozumienia był niski poziom kompetencji jednego lub obojga partnerów

w obszarze komunikacji werbalnej. Najczęściej popełniane przez nich błędy to: niemówienie prawdy lub celowe jej zatajanie, nieprawidłowe precyzowanie własnych myśli, nieumiejętność doboru słownictwa. W związku z powyższym uznałem, że początkowo poczynione przeze mnie postanowienie o celowym ukrywaniu przed tobą istotnej prawdy na mój temat przyczyniło się do wywiązania między nami kłótni, której następstwem było opuszczenie przez ciebie mojego domu.

– Ale wiesz, że filmy to fikcja odbiegająca od rzeczywistości? Nie możesz porównywać tego jeden do jednego.

– Wiem. To był jednak najlepszy i najszybszy sposób na uporanie się z problemem, który mnie męczył. Nie rozumiałem, czym cię rozgniewałem, że zdecydowałaś się wyjechać. Powiedziałaś, że idziesz potańczyć. Kiedy po dwóch godzinach wyszedłem z gabinetu, a ciebie już nie było, zrozumiałem, że to była ironia.

– Boże, Jan... – Wstaję z kanapy, chcę go przytulić, przeprosić...

– Usiądź, proszę. – Unosi dłoń. – Chcę dokończyć.

– Jasne. – Wycofuję się.

– Zdecydowałem się w tej rozmowie postawić na absolutną szczerość. Nie wiem, czy wpłynie to pozytywnie na naszą relację, ale żadne inne rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Rozwahałem jednoczesne wręczenie ci czerwonych róż. To dosyć częsty motyw pojawiający się w filmach. Ogólnie uważa się, że czerwone róże to symbol pożądania i głębokiego uczucia mężczyzny do kobiety. Uznałem jednak, że skoro odmówiłaś przyjęcia ode mnie zegarka, to sytuacja mogłaby się powtórzyć również z bukietem kwiatów. Aczkolwiek jeśli pomyliłem się z interpretacją i jesteś gotowa je przyjąć, to czekają w aucie. – Zerka na kartkę nieco zagubiony, a moje serce dosłownie wyrywa się z piersi. – Jak pewnie zauważyłaś, nie jestem biegły w posługiwaniu się ironią, żartem ani przenośnią. – Powraca do mnie spojrzeniem. – Niełatwo jest mi odczytywać emocje z wyrazu twarzy, intonacji wypowiedzianych zdań. Mam tak, odkąd pamiętam, choć pragnę zauważyć, że z biegiem lat nauczyłem się rozpoznawać i stosować wiele zachowań interpersonalnych. To wymagało dużo czasu i skupienia, i niechętnie przyznaję, że kiedy byłem młodszy, szło mi z tym fatalnie. W szkole byłem obiektem drwin wśród rówieśników. Szydzili ze mnie i uważali, że jestem upośledzony umysłowo. Nazywali mnie dziwakiem, odludkiem, sztywniakiem, niemową, świrem i debilem, mimo tego, że miałem najwyższą średnią w szkole z przedmiotów ścisłych. Nie chodziłem na dyskoteki ani imprezy, bo było za głośno. Nie jadałem w stołówce, bo nic mi nie smakowało. Nie jeździłem na klasowe wycieczki, bo nie byłem w stanie usnąć

nie w swoim łóżku. Nie miałem przyjaciół ani dziewczyny, bo nie umiałem z nimi rozmawiać. To były lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte. Wtedy nikt nie diagnozował takich dzieciaków jak ja. Starłem się dopasować, naśladować i powielać zachowania innych, stosowałem działania zastępcze, miałem duże wsparcie w matce. Ojcu byłem obojętny. Zawsze lubiłem się uczyć, ale nie znosiłem swojej szkoły. Była głośna, tłoczna, dziwnie pachniała i czułem, że do niej nie pasuję. Rodzice byli zamożni, więc po skończeniu podstawówki rozpocząłem naukę w prywatnym liceum, gdzie było znacznie spokojniej, a nauczyciele przykładali większą wagę do moich potrzeb. Podejrzewam, że profesor matematyki posiadał podobną przypadłość jak ja. Bardzo mnie wspierał, nie tylko pod kątem zdobywania wiedzy, lecz również emocjonalnym. Myślę, że to głównie dzięki niemu dostałem się na studia i ukończyłem je z wyróżnieniem. To za jego namową założyłem swój pierwszy zeszyt. Spisywałem w nim zachowania ludzi, to jak się do mnie odnosili, kiedy się ze mnie śmiali albo na mnie krzyczeli. Spędzałem z matką dużo czasu na interpretacji tych zapisków, żeby lepiej zrozumieć ludzi i nauczyć się odpowiednich reakcji na daną sytuację. Dzięki nim zrozumiałem między innymi, że nie zawsze pożądanym jest, by wyrażać wprost swoje zdanie, bo można stać się obiektem drwin lub urazić czyjeś uczucia. – Jan zerka ponownie na kartkę, a ja jestem o krok od tego, żeby się poryczeć. Słucham jednak dalej. Nie chcę mu przerywać, ponieważ widzę, że ma dokładnie zaplanowane, co powiedzieć w następnej kolejności. – Przez dwadzieścia osiem lat żyłem w ciągłym napięciu. Wiedziałem, że jestem inny, ale nie miałem pojęcia dlaczego. Dopiero kiedy poznałem moją byłą żonę, wszystko stało się jasne. Kamila jest z wykształcenia psychologiem, pracuje jako headhunterka i doradca zawodowy. Poznaliśmy się podczas rekrutacji, którą prowadziła dla jednej z firm, gdzie ubiegałem się o pracę. Po naszej pierwszej rozmowie zapytała mnie wprost, czy diagnozowano mnie kiedyś w kierunku zespołu Aspergera. Gdy zaprzeczyłem, zaproponowała spotkanie z psychiatrą oraz neurologiem. Byłem zaintrygowany tematem, więc się zgodziłem. Obaj specjaliści jednoznacznie potwierdzili przypuszczenia Kamili. Dzień, w którym dowiedziałem się o diagnozie, był jednym z najszcześniejszych w moim życiu. Poczułem ulgę na wieść o tym, że moje niedostosowanie społeczne, reaktywność na hałas, zbyt mocne światło, umiłowanie do zasad, porządku i nauki posiada swoją nazwę. Że na świecie są miliony takich ludzi jak ja i że w porównaniu z wieloma osobami z łagodnym spektrum autyzmu radzę sobie naprawdę świetnie. – Zerka ponownie na kartkę, odchrząkuje, poprawia krawat. – Kiedy po rozwodzie analizowałem swój związek z byłą żoną, doszedłem do wniosku, że wystąpiły cztery powody, które przyczyniły się do naszego rozstania. Pierwszym był fakt, że zostałem jej partnerem wyłącznie z wdzięczności, a nie dlatego, że

coś do niej czułem, drugim była moja ułomność w okazywaniu jej uczuć, trzecim moja bezpłodność, a czwartym dążenie Kamili do uczynienia ze mnie człowieka neurotypowego. Byliśmy ze sobą cztery lata, pięć miesięcy i dwanaście dni. Od początku moja była żona robiła wszystko, by mnie zmienić, starała się przekonywać mnie do nowych wyzwań, zmian, chociaż doskonale wiedziała, że przychodzi mi to z trudem. Mimo to starałem się sprostać jej oczekiwaniom. Była pierwszą kobietą po mojej matce, która wykazała mną głębsze zainteresowanie, uznałem więc, że jest odpowiednią kandydatką na żonę, tym bardziej że od samego początku naciskała na małżeństwo. Poprosiłem ją o rękę i zgodziłem się na huczne wesele, w którym w zasadzie nie uczestniczyłem, z wiadomych powodów. Zmieniłem pracę na lepiej płatną, choć kosztowało mnie to wiele nieprzespanych nocy, zmianę harmonogramu dnia i dużo stresu. Kupiłem nam apartament i dom, dałem jej w prezencie luksusowy samochód, ale to jej nie wystarczało. Jej wymagania rosły, a ja miałem coraz mniejszą ochotę, żeby im sprostać. Byłem zmęczony wspólnym życiem i jej pomysłami na naszą przyszłość. Mieszkanie razem stało się katorgą. Ciągłe kłótnie, wyrzuty, że nie wykorzystuję w pełni swojego potencjału, że nie chcę być taki jak inni mężczyźni, choć mnie na to stać. W pewnym momencie zaczęła obsesyjnie wierzyć w to, że jeśli pojawi się w naszym związku dziecko, to wszystko się między nami ułoży. Jakby noworodek był w stanie uczynić ze mnie innego człowieka. Stworzyła swoją psychologiczną teorię, która miała mnie uzdrowić. Sądziła, że ojcostwo rozbudzi we mnie nieznane dotąd pokłady wrażliwości emocjonalnej i wykształci nowe, pozytywne nawyki prospołeczne. Naprostowanie mnie przez rodzicielstwo stało się jej obsesją. Z każdym dniem było coraz gorzej. Kamila nie mogła zająć się ciążą, obarczała mnie za to winą. W końcu jej uległem i poddałem się badaniom na płodność, ale tę część historii już znasz. – Spogląda na kartkę, a ja z bólem serca przetrawiam jego wyznanie. Z jednej strony jestem wściekła na jego byłą żonę i uważam ją za egoistyczną sukę, lecz z drugiej dociera do mnie, że być może sama zaczęłam podążać podobną ścieżką co ona. Oczekiwałam, że Jan zrezygnuje dla mnie ze swojego ułożonego życia. Zażądałam podziału dni, żeby dostosować go do mojego widzimisię. Na samą myśl o tym, że jestem podobna do jego byłej, robi mi się niedobrze.

Kurwa, ale ze mnie mała!

– Zrobiłam dokładnie to samo co ona, prawda? – pytam wprost, czując, jak serce wali mi głośno.

Jan podnosi wzrok znad kartki i ściąga brwi.

– Nie rozumiem.

– Już na początku postawiłam ci ultimatum, że albo dostosujesz się do moich oczekiwań z podziałem dni, albo wyjadę. Chciałam cię zmienić, tak jak twoja była żona.

Kręci głową.

– To co innego. Ty zaproponowałaś kompromis. Zasugerowałaś rozwiązanie, w którym uwzględniłaś zarówno swoje, jak i moje potrzeby. Część dni było twoich, część moich. Choć jesteśmy razem zaledwie od czterech dni i ośmiu godzin, wykazałaś się otwartą postawą i kreatywnym podejściem do usprawnienia wzajemnej relacji. Chciałaś ze mną rozmawiać, poznać powody mojego zachowania w restauracji. Zaproponowałaś wspólne spędzenie sylwestra, a ja odmówiłem, nie podając konkretnej przyczyny. Miałaś prawo się zezłościć. Powinienem był ci powiedzieć, z czego wynika moja niechęć do tego typu imprez. Moja była żona, mimo że doskonale wiedziała, jaki jestem, stawiała mi wymagania i jednocześnie nie dawała od siebie niczego w zamian.

Patrzę na niego i serce wali mi jak młotem. A to dlatego, że oprócz tak wielu ważnych słów użył dwóch, których się zdecydowanie nie spodziewałam.

– Nadal jesteśmy razem? – Wpatruję się w niego uważnie, aby nie przegapić żadnego zmarszczenia czoła i ani jednego mrugnięcia.

– Nie ukrywam, że życie bez ciebie byłoby o wiele prostsze. Kiedy wyjechałaś, poniekąd odczułem ulgę, że wrócę do normalnego rytmu dobowego. Mimo to nie potrafiłem się skupić na żadnej czynności. Czułem, jakby czegoś mi brakowało. Początkowo sądziłem, że jestem głodny. Zacząłem więc jeść. W ciągu niecałej doby zużyłem zapasy z trzech dni i choć byłem syty, nadal czułem się tak samo. To, że dodatkowo wyczuwałem wszędzie twój zapach, widziałem cię w mojej kuchni, w moim łóżku, na mojej kanapie, pomogło mi zrozumieć, że nie jestem spragniony jedzenia, tylko ciebie. Nigdy nie czułem czegoś podobnego. I choć byłoby mi znacznie łatwiej żyć bez ciebie, to naprawdę bardzo tego nie chcę.

O najświętsze zastępy niebios. To sobie Jan ułożył mowę.

– Czy wiesz, że to był najbardziej romantyczny tekst, jaki kiedykolwiek słyszałam? – Wstaję i podchodzę do niego.

– Nie chciałem powielać gotowych monologów z filmów. Nie byłem pewien, które już oglądałaś.

– Myślę, że większość. I twój bezapelacyjne bije wszystkie na głowę.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję. – Zbliżam się do niego. – Czy mogę teraz usiąść ci na kolanach i cię pocałować? Obiecuję, że nie będę cię miziać, tylko złapię cię za

ramiona tak mocno, jak tylko potrafię.

– Czy siadanie mi na kolanach i całowanie oznacza, że nadal jesteśmy razem? – Patrzy mi prosto w oczy, a ja siadam na nim okrakiem.

– W rzeczy samej, panie Engler. – Wbijam palce w jego ramiona, a on obejmuje mnie w talii. – Czy pamięta pan, że ma jeszcze do odbioru swoją nagrodę?

– Nagrodę?

Zbliżam usta do jego ust.

– Za spróbowanie kawałka placka ziemniaczanego bez sosu w restauracji. – Ujmuję jego dłoń i przesuwam ją niżej na mój pośladek.

Jego oczy się rozszerzają, a w źrenicach pojawia się błysk. Załapał.

– W szafce przy łóżku mam wszystko, czego nam trzeba – szepczę wprost w jego wargi i składam na nich pocałunek.

Jan przywiera do mnie mocno i zamyka dłonie na moich półdupkach. Zaczynamy się zachłannie całować, jakbyśmy nie widzieli się co najmniej tydzień, a nie dwa dni. Ocieram się o niego, czuję, że robi się twardy. Jego dłonie wędrują po moim tyłku, biodrach, wsuwają się pod koszulkę, błędzą po plecach. Jan łapie za mój T-shirt, ściąga go i rzuca na podłogę.

– Nieładnie tak bałaganić. – Uśmiecham się.

– Później posprzątam. Daję słowo. – Chwyta w usta mój sutek. – Masz idealnie symetryczne piersi. – Przenosi wargi na drugą, ssie brodawkę, a mnie przechodzi dreszcz.

– Lubisz symetrię? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Uwielbiam. Zwłaszcza twoją. – Łapie mnie za tyłek, nie odrywając ode mnie ust. – Dwie perfekcyjne krągłości.

Unoszę nieznacznie biodra, a on zaciska palce na obu pośladkach, mocno, władczo.

– Idziemy. – Podnosi się wraz ze mną.

Oplatam go nogami w pasie. Całuję jego szyję, ocierając wargami o kołnierzyk koszuli, która pachnie świeżym praniem i perfumami. Jezu, uwielbiam tego faceta.

Jan kładzie mnie na łóżku, staje nade mną i wbija we mnie pożądliwe spojrzenie. Wiję się z podniecenia, kiedy zdejmuje krawat, marynarkę, kamizelkę, rozpina spinki od mankietu, guziki koszuli, spodnie... Wsuwam niecierpliwie dłoń w majtki, obserwując, jak obnaża przede mną wyrzeźbione ciało. Odnajduję wrażliwe miejsce, jestem mokra, gotowa.

– Zdejmij je. – Ujmuje kutasa i przesuwa po nim dłonią.

Ściągam majtki. Leżę przed nim na plecach całkiem naga.

– Rozłóż nogi. – Wpatruje się w moją cipkę i przyspiesza ruch dłonią. Jego oczy płoną, a oddech staje się coraz szybszy. Wygląda teraz tak męsko, tak podniecająco, że zaraz dojdę.

– Czy taka symetria też się panu podoba, panie Engler? – Przesuwam palcami po wargach sromowych.

– Cała mi się podobasz, Mario.

– Tylko podobam?

– Nie tylko. – Podnosi wzrok, podchwytuje moje spojrzenie, zaprzestaje masturbacji. – Nigdy nie czułem czegoś takiego do żadnej kobiety – wyznaje całkiem poważnie.

Moje serce na moment staje; zamieram w bezruchu. Patrzę na niego i tracę ochotę na mocny i dziki seks, o jakim myślałam jeszcze kilka minut temu. Pragnę czegoś więcej.

– Kochaj się ze mną – mówię.

Ściąga brwi.

– Chyba nie jestem w tym dobry.

– Po prostu bądź ze mną, jak najbliżej się da. – Wyciągam do niego rękę, a wtedy on się pochyla i zawisa nade mną, opierając dłoń przy mojej twarzy. Nasze ciała się stykają; jego biodra ocierają się o wnętrze moich ud. Jan sięga do penisa i zaczyna powoli się we mnie wsuwać. Wypełnia mnie stopniowo, patrząc mi w oczy. Przeszywa mnie dreszcz, moje ciało ogarnia ciepło, które zapiera mi dech w piersi.

– Tak jest dobrze? – Nie odrywa ode mnie spojrzenia. Widzę, jak bardzo się stara, żeby było idealnie.

– Jest cudownie. – Pod powiekami zbierają mi się łzy.

Jasna cholera, zaraz się tu poryczę. Po raz pierwszy czuję, że komuś tak bardzo na mnie zależy. I naprawdę nie chcę tego zepsuć. Pragnę, żeby nam się udało. Wiem, że czeka nas wiele wyrzeczeń, trudności, rozmów, nieporozumień. Ale nie zamierzam odpuścić. Dla takiego mężczyzny jak Jan warto pójść na kompromis, zrezygnować z wielu przyjemności, które do tej pory wydawały się czymś zwyczajnym, czymś oczywistym i naturalnym.

Jan całuje moje usta, porusza się we mnie spokojnym rytmem. Czuję na sobie jego oddech, jego zapach, jego bliskość, jego zaangażowanie. I nie wyobrażam sobie, że mogłabym być już kiedykolwiek z innym mężczyzną. Nie chcę innego, chcę jego. Ze wszystkimi dziwactwami, przywarami, z całą jego innością.

Łza wymyka mi się z kącika oka i spływa po policzku, po niej kolejna i następna.

Jan zamiera. Patrzy na mnie zdeorientowany.

– Co się stało?

Ocieram łzę.

– Ty się stałeś, Janie.

– Mówiłem, że nie jestem w tym dobry. Może jednak spróbujmy seksu analnego?

Śmieję się przez łzy. Boże, ten facet mnie rozbraja. Ujmuję jego twarz w dłonie. Mocno, tak jak lubi.

– Jestem w tobie zakochana.

– Nie rozumiem.

– Płaczę, bo jestem w tobie zakochana. To ze szczęścia.

– Czyli jednak jestem w tym dobry?

– Wręcz perfekcyjny.

Na jego twarz wypływa uśmiech, lecz po chwili znika tak szybko, jak się pojawił.

– Czy to oznacza, że od dzisiaj będziemy uprawiać seks tylko w taki sposób?

Wybucham głośnym śmiechem.

– Nie ma takiej opcji. Bądź spokojny.

– To dobrze. To całkiem wygodna pozycja i wyglądasz teraz pięknie, ale lubię też patrzeć na twój tyłek podczas seksu.

– Wiem. Chcesz sobie teraz popatrzeć?

Jego oczy się zapalają.

– Bardzo. – Zaczyna się we mnie poruszać.

– Weźmiesz mnie od tyłu?

– Tak.

Czuję, jak wypełnia mnie cała. Oddychamy coraz szybciej i narasta w nas ponowne pożądanie.

– W moją ciasną dziurkę?

– Tak. – Stęka gardłowo. Jego źrenice płoną żądzą.

Wstrząsa mną dreszcz. Jestem blisko spełnienia.

– Sięgnij do szafki. Jeszcze chwila i dojdę.

Wysuwa się ze mnie cały rozogniony, otwiera szufladę przy łóżku, a ja odwracam się i klękam, oparłszy się na dłoniach z szeroko rozłożonymi nogami.

– Używasz sztucznego członka? – pyta zdziwiony.

– To się nazywa wibrator. I tak, używałam go dosyć często. Ale raczej nie będzie mi już potrzebny.

– Mhm.

Dociera do mnie dźwięk pompki z dozownika od lubrykantu i rośnie we mnie podekscytowanie. Jan całuje moje pośladki, rozsmarowuje żel na ciasnej dziurce, po czym wsuwa we mnie palec. Dreszcz rozchodzi się na miejsca intymne, a serce bije mi jak szalone. Wypycham instynktownie tyłek i czuję, jak oddech Jana spowija moją cipkę. Zaczyna mnie całować po wargach sromowych, zlizuje moje soki, jednocześnie zadowolając mnie palcem. Otwieram się na niego, rozluźniam wszystkie mięśnie.

– Jestem gotowa – dyszę.

– Jeszcze chwila. – Rozpycha mnie palcem, dokłada następnego i wsuwa język w moją cipkę.

Napieram na niego pośladkami. Prąd przebiega po moim ciele. Sięgam palcami do łechtaczki, zatracam się w pieszczotach, pragnę więcej.

– Dobrze ci? – Jego niski głos sprawia, że przyjemne mrowienie rozchodzi się do podbrzusza.

– Tak, wejdź we mnie.

Wyciąga ze mnie palce; słyszę ponowny dźwięk pompki. Zerkam przez ramię: Jan przesuwając dłoń po wilgotnym, twardym kutasie. Ten widok dodatkowo mnie nakręca, niecierpliwie zataczam palcami kółka na łechtaczce, napływa gorący prąd...

Jan pociera penisem o moją ciasną dziurkę i zaczyna powoli się wślizgiwać, masując dłoń pośladki. Wypełnia mnie stopniowo, rozwiera ostrożnie. Jego oddech przyspiesza, z ust wydobywa się erotyczny pomruk.

– Jasna cholera, zaraz dojdę od samego patrzenia – stęka.

– Jeszcze nie. Głębiej. – Brakuje mi powietrza. Pocę się. Pocieram szybciej o łechtaczkę.

Jan wysuwa się nieznacznie, nawilża nas żelem, po czym wchodzi ponownie, głębiej niż poprzednio. Łapię dłoń za kołdrę. Przechodzą mnie ciarki.

– O Chryste, jak ciasno. – Zaczyna się we mnie poruszać. Zaciska dłoń na moich pośladkach. – Masz zajebisty tyłek, Mario. – Daje mi mocnego klapsa.

Przyspieszam ruch palcami. Jestem już na granicy.

– Zaraz dojdę – jęczę z rozkoszy, zatracam się, wstrząsa mną dreszcz. Jak zza ściany dociera do mnie ponowny odgłos pompki od lubrykantu i nagle Jan wsuwa w moją cipkę wibrator.

To mnie rozwała.

– O tak!

Wypełnia mnie nim do końca, jednocześnie wchodzi głębiej kutasem w ciasną dziurkę.

Następuje eksplozja zmysłów. Wstrząsa mną potężny orgazm. Rozchodzi się po całym ciele. Czuję go wszędzie, na karku, piersiach, brzuchu, udach, miejscach intymnych... A te zacieśniają się na członku i wibratorze, potęgując jeszcze doznania.

– O tak, tak... – Jan porusza się we mnie szybciej, krótkimi pchnięciami. Dociera do mnie jego zmysłowy jęk. Ledwo się trzymam, rozpadam się. – Maria... – Jego głos jest niski, chrapliwy i tak cholernie seksowny, że jego echo przeszywa moje ciało, nasilając odpływającą powoli falę spełnienia.

Słyszę, jak Jan dochodzi z gardłowym stęknieniem. Pozostaje we mnie z pulsującym członkiem, po czym wyciąga ze mnie delikatnie wibrator i dopiero po chwili wychodzi powoli i ostrożnie z ciasnej dziurki.

Opadam bezwładnie na brzuch. Jestem wypompowana, ale szczęśliwa i spełniona. Jan kładzie się obok mnie na wznak. Włosy ma wilgotne od potu, uspokaja oddech, patrzy mi w oczy. Jest piękny. Jest mój. Uwielbiam go. I tak bardzo chcę się do niego przytulić, że zaraz oszaleję.

– Mario?

– Tak? – Leżę wpatrzona w niego jak w obrazek. Aż mnie świerzbią palce, żeby przesunąć nimi po czarnych włoskach na jego piersi.

– Czy to spojrzenie oznacza, że chcesz się przytulić, czy po prostu podziwiasz moją rzeźbę?

Uśmiecham się.

– I to, i to. Dodatkowo chciałabym pomiziać też twoje włoski na kłacie.

Krzywi się.

– Mizianie zdecydowanie odpada. Możemy się przytulić i, jeśli chcesz, to ja mogę miziać ciebie.

– Prześwietny pomysł. – Przysuwam się do niego cała w skowronkach i wtulam w szeroką pierś.

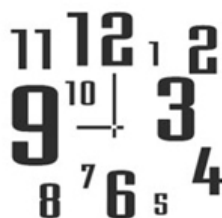
Jan mnie obejmuje i zaczyna sunąć palcami po mojej ręce. W górę i w dół. Od ramienia po nadgarstek, od nadgarstka do ramienia. Robi to powoli, jednostajnie

i wyciszająco, sprawiając, że się rozluźniam. Spokojne bicie jego serca i miarowy oddech dają mi poczucie bliskości i bezpieczeństwa. Jest mi ciepło, przyjemnie, jestem spełniona i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Powoli odpływam, zatracam granicę między jawą a snem...

I wtedy dociera do mnie niski głos:

– Też jestem w tobie zakochany, Mario.

No proszę, ale się zrobił uczuciowy ten MÓJ SZEFE.



EPILOG

Po roku bycia neurotypową dziewczyną dla mojego AS-a jestem w stanie obalić kilkanaście mitów na temat ludzi z zespołem Aspergera. Oto najważniejsze z nich:

Mit pierwszy: AS nie potrafi odczytywać mowy ciała.

Potrafi, pod warunkiem, że jesteś z nim szczerą i nie odciągasz jego uwagi w innym kierunku.

Przykład:

Moment, niech przybiorę zdumiony wyraz twarzy... O, jest!

– Papieros? Jaki papieros? – Patrzę na Jana z miną pod tytułem: „nie mam pojęcia, o czym mówisz”.

– Ten, który wyrzuciłaś przed chwilą w krzaki. Poza tym czuć, że paliłaś. Znowu.

– A, to. – Zbywam go machnięciem ręki. – Sąsiad właśnie rozpalił w kominku i cała przeszłam dymem. A to, co widziałeś, to była nikotynowa guma do żucia. I właśnie muszę wziąć następną. – Pakuję sobie obrzydliwą pastylkę do ust. – Wiem, nie powinnam śmiecić, zaraz to sprzątnę. Naszykowałeś już nasz sprzęt narciarski?

– Tak. – Zerka w krzaki, więc od razu zasłaniam mu pole widzenia.

– Jesteś niezastąpiony.

– Dziękuję.

– To może spakujemy jeszcze kanapki, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli?

– Trafiony pomysł.

– Doskonale. Zaczyniesz? Zaraz do ciebie przyjdę, zadzwonię jeszcze do Tośki i ustalę szczegóły sylwestra.

Tak. Jestem wredną kłamczuchą i ściemniam mojemu facetowi, że nie palę. Ale jest progres, bo rzucałam już chyba z siedem razy i w efekcie z jednej paczki zesłałam do dwóch papierosów dziennie.

Ten, który właśnie moknie w śniegu, był dzisiaj moim pierwszym. Tym najlepszym i wyczekiwanym od czternastu godzin.

Do tej pory Jan przyłapał mnie na paleniu trzy razy. To był czwarty. Jest mi głupio i jestem na siebie zła. Nigdy tak tego nie postrzegałam, ale odkąd jestem z Janem, czuję, że papierosy rządzą moim życiem, zmuszają mnie do kłamstwa i manipulacji. Muszę się ich wreszcie definitywnie pozbyć z mojego życia.

Z nowym rokiem rzucam te kurwy na dobre.

Mit drugi: AS nie posiada uczuć.

Bzdury! Posiada, i to ogromne. Potrafi być wrażliwy, delikatny, współczujący, namiętny, tylko na swój sposób. Niestety bywa, że emocje przegrywają z logiką. Ta druga bezsprzecznie jest ulubienicą Jana.

Przykład:

– Poczekaj. – Wyciszam dźwięk telewizora, w którym właśnie lecą wiadomości, i odwracam się zszokowana w stronę Jana. – Chcesz powiedzieć, że nie rusza cię, że ten pieprzony zamachowiec wysiadł z ciężarówki, która była jeżdżącą bombą, pojął na rynku przypadkowe dziecko, po czym wysadził się razem z nim w powietrze?!

– Dzięki temu, że wysiadł z ciężarówki i pojął dziecko, ojciec chłopca był w stanie zawiadomić policję, która zarządziła natychmiastową ewakuację rynku. W rezultacie życie straciły tylko dwie osoby, a nie dwieście.

Empatia kontra logika – 0:1

Mit trzeci: AS bywa chamski.

Nie. Jest po prostu świetnym obserwatorem, szczerym do bólu. Mówi, co myśli, a ludzie neurotypowi niestety mają kłopot z przyswajaniem gorzkiej prawdy.

Przykład:

– Jan, a ta może być? – Przeglądałam się w lustrze w sklepowej przebieralni.

Sukienka jest w naszych narodowych barwach, bo to na mecz siatkówki, który zamierzamy wspólnie z przyjaciółmi obejrzeć w telewizji. Jest szeroka w biodrach i ramionach, twarzowy styl, podobno bardzo teraz modny.

Jan mruży oczy.

– Wyglądasz jak bus kuriera Poczty Polskiej. Idziemy stąd. To jaskrawe światło mnie dobija.

Dupek!

Mit czwarty: AS jest egoistą.

Nazwałabym to raczej skupieniem się na wykonywanych czynnościach, które totalnie odciągają go od rzeczywistości.

Przykład:

– Jan, wychodzimy za dziesięć minut. Impreza zaczyna się o dwudziestą.

– Nie.

– Co nie?

– Mam inne plany. – Zerka na zegarek.

– Przecież się umawialiśmy. Szykowałyśmy tego sylwestra z Tośką od miesiąca.

– A ja planowałem to od pół roku.

– Ale co? To jakaś cholerna wymówka, żeby nie iść na imprezę? Mówiłam ci, że każdy będzie miał swoje słuchawki z bluetoothem, więc muzyka nie będzie ci przeszkadzać. Światło będzie przytłumione. Mają podać osobno pieczone ziemniaki i ogórki kiszzone, a polędwiczki będą mocno wysmażone. Tak jak lubisz. Wszystko dla ciebie, a ty mówisz, że nie idziesz. Zamówiłam już taksówkę.

– Więc ją odwołaj. – Poprawia krawat w lustrze i zerka ponownie na zegarek.

Zaraz zacznę wyć z bezradności. Mój facet to cholerny egoista!

Spokojnie, tylko spokojnie.

– Ale dlaczego? – staram się mówić opanowanym głosem. – Jesteś naszykowany, ja też. Co jest teraz takiego ważnego, że nie możemy jechać na sylwestra?

Odwraca się w moją stronę. Po raz kolejny poprawia krawat. Jest skupiony, spięty. Kurde, co on taki blady?

– Co się dzieje? – pytam, a wtedy on klęka przede mną na jedno kolano, wyciąga z kieszeni spodni czarne pudełeczko i je otwiera.

– Mario, chcę, żebyś została moją żoną.

Zamieram. O. Mój. Boże! Wpatruję się oniemiała w pierścioneł z błyszczącym kamieniem i brak mi słów. Pomijam fakt, że to najbardziej drętwe oświadczenia, jakie słyszałam, a trochę tych komedii romantycznych już w życiu widziałam. Lecz prawda jest taka, że lepszych nie mogłam sobie wymarzyć. Bo są szczerze, bo są takie janowe, bo kocham tego faceta nad życie.

– Planowałeś to od pół roku?

- Tak.
- Dlaczego akurat dzisiaj?
- Bo dziewięć to twoja ulubiona cyfra, która zawsze stawia na swoim.

Nie wierzę, że to zapamiętał.

- No tak, ale dzisiaj jest trzydziesty pierwszy grudnia, Janie.

– Wiem.

- Więc? Gdzie tu dziewiątka?

– Dziewięć tysięcy godzin temu pocałowałaś mnie po raz pierwszy. Uznałem, że to odpowiednia okazja, żeby poprosić cię o rękę.

Jezuniu, jaki on kochany. Czuję, jak łzy zbierają się pod powiekami. Podchodzę do niego bliżej.

- Teraz cię pocałuję.

- Czy to oznacza, że za mnie wyjdiesz?

– Hm. – Robię minę myśliciela. – Powiedzmy, że na dziewięćdziesiąt osiem procent. – Cytuję siebie sprzed ponad roku czy, jak kto woli, sprzed dziewięciu tysięcy godzin, kiedy to pocałowałam go po raz pierwszy.

– A te dwa pozostałe procenty? – Jan patrzy mi prosto w oczy. Uśmiecha się. Pamięta tę kwestię.

– Możesz uznać za błąd statystyczny. – Ujmuję (mocno) jego twarz i jeszcze mocniej całuję go w usta.

- Mario?

- Hm?

– Pieczone ziemniaki, o których wspomniałaś, będą z piekarnika czy z frytkownicy?

Mój ci on!

Od Autorki

(zawiera spoiler książki!)

Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku,

powieść *Mój szef* powstała na motywach świątecznego opowiadania erotycznego, którego rozdziały umieszczałam codziennie przez dwa tygodnie aż do Wigilii, na stronie wattpad.com. Miał to być prezent gwiazdkowy dla moich czytelniczek, okazał się również prezentem dla mnie. Odzew był tak pozytywny i tak dużo osób prosiło mnie o napisanie dalszych losów Marii i Jana, że zdecydowałam się rozwinąć opowiadanie w powieść.

Czy mi się to udało? Osobiście jestem z niej bardzo zadowolona i bawiłam się naprawdę świetnie przy jej pisaniu. Jednak ostateczna ocena i tak należy do Ciebie.

Jeśli czytałaś/czytałeś moje pozostałe książki, to pewnie już wiesz, że staram się poruszać w nich istotne tematy. Tak też stało się w przypadku *Mojego szefa*.

Po ukończeniu pracy nad tekstem byłam szczęśliwa i usatysfakcjonowana tym, co stworzyłam. Mimo to momentami nachodziły mnie pewne wątpliwości. Zastanawiałam się, czy to, że zdiagnozowałam Jana na kartach powieści – nazwałam jego dziwactwa i zachowania przy użyciu słów „zespół Aspergera”, „spektrum autyzmu”, „autystyczny”, nie wzbudzi u zbyt wielu czytelniczek nieprzyjemnych skojarzeń, a co za tym idzie, czy nie wpłynie negatywnie na ostateczny odbiór Jana i złą ocenę całej książki. Bo przecież spore grono kobiet sięga po erotyki i romanse, by sprawić sobie przyjemność i pomarzyć o idealnym mężczyźnie, który zmienia się dla swojej kobiety, a nie o takim, który boryka się z zaburzeniem i musi się naprawdę mocno postarać, żeby dostosować się do otoczenia i żyć normalnie.

Podczas redakcji *Mojego szefa* biłam się z myślami, byłam niespokojna, zastanawiałam się, jak tego typu temat w romansie zostanie odebrany przez czytelniczki.

Wydawanie książek to ruletka, nigdy nie wiesz, co tak naprawdę spodoba się większości.

Na szczęście mam mądrą przyjaciółkę Agę, która powiedziała mi coś, co mnie uspokoiło i rozwiąło moje wątpliwości:

Z jednej strony – ktoś może powiedzieć, że „popsułaś” takiego fajnego faceta. Z drugiej strony – można powiedzieć, że przełamałaś banalny schemat romansu biurowego z idealnym kolesiem, który sra brokatem. Stworzyłaś nietuzinkowego bohatera, który ma jakąś „skazę”, jednak nie ujmuje mu ona tak naprawdę zabieistości, a dodaje tylko realizmu.

To, że dogodzenie każdemu czytelnikowi jest niewykonalne, wiem już od debiutu, który miał miejsce w 2013 roku. Dlatego trzymam za siebie kciuki, żeby wśród osób, które sięgną po moją trzynastą książkę, jaką jest *Mój szef*, było więcej takich, które szukają w powieściach „nietuzinkowego bohatera” i realizmu niż „kolesia, który sra brokatem” :)

Powieść tę wydaję samodzielnie, dlatego jeśli uznasz, że jest ona godna polecenia, to będę wdzięczna za każdą wzmiankę o niej wśród Twoich znajomych, na grupach czytelniczych, na Facebooku, Instagramie, w lokalnej bibliotece, oraz za dodanie opinii o książce na stronie lubimyczytac.pl.

Codziennie zmagam się z nielegalnymi udostępnieniami e-booków moich powieści w internecie, co niestety rzutuje negatywnie na ilość sprzedanych egzemplarzy, a co za tym idzie, uszczupla znacząco moje wynagrodzenie za wykonaną pracę i tym samym ogranicza drastycznie możliwość publikacji następnych moich książek. Dlatego jeśli czytasz wersję elektroniczną *Mojego szefa*, uszanuj moją pracę i nie rozpowszechniaj, proszę, dalej tego e-booka.

Dziękuję wszystkim, którzy byli ze mną podczas pisania tej powieści i pomogli mi w jej promowaniu.

Dziękuję Tobie, drogi czytelniku, że zdecydowałeś się mi zaufać i zakupić moją książkę. Zachęcam Cię do dzielenia się ze mną swoją opinią i spostrzeżeniami na temat moich powieści.

Znajdziesz mnie na:



facebook.com/melissa.darwood



@melissadarwood



lubimyczytac.pl/autor/81650/melissa-darwood



wattpad.com/user/MelissaDarwood

Będzie mi miło, jeśli pozostawisz po sobie ślad i napiszesz tam kilka słów od siebie. Zachęcam Cię do odwiedzania mojej strony internetowej, przez którą możesz zamówić moje powieści z imienną dedykacją: www.melissadarwood.com.

Każdy zakupiony przez Ciebie egzemplarz jest cegiełką, dzięki której jestem w stanie rozbudowywać mój pisarski dorobek i tworzyć dla Ciebie kolejne historie.

Dziękuję, że sięgasz po moje książki.

Ściskam Cię mocno i pozdrawiam ciepło! :)

Melissa Darwood

Przypisy

- [1] Googol – największa nazwana liczba na świecie, czyli jedynka i sto zer.
- [2] Seks po hiszpańsku – stosunek międzypiersiowy. Mężczyzna wykonuje ruchy frykcyjne, trzymając członek między piersiami kobiety.
- [3] Prezydium – kilkuosobowy organ kierowniczy, w tym wypadku zarządu firmy.
- [4] Tłum. z ang.: *Nie chcę wiele z okazji świąt
Potrzebuję tylko jednego
Nie zależy mi na prezentach
Pod choinką
Chcę tylko mieć cię dla siebie
Bardziej niż mógłbyś sobie to wyobrazić
Spełnij moje życzenie
Wszystko, czego pragnę na święta, to ty*
- [5] Tłum. z ang.: *W ostatnie święta oddałem Ci serce
Ale zwróciłaś mi je już nazajutrz
W tym roku oszczędzę sobie łez
I ofiaruję je komuś wyjątkowemu*
- [6] Tłum. z ang.: *Dziwne, widziałam już gdzieś tę twarz,
Widziałam go kręcącego się wokół moich drzwi,
Niczym jastrzęb polujący na zdobycz,
Niczym noc czekająca na dzień.*
- [7] Cebula – żart. staroświecki zegarek kieszonkowy, najczęściej z dewizką.

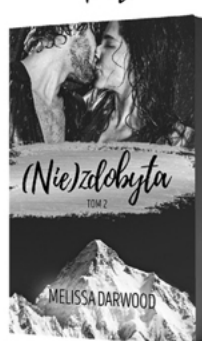
Pokochaj czytanie
Read and fall in love

Seria (Nie)zdobyta

(Nie)zdobyta
Tom 1



(Nie)zdobyta
Tom 2



SERIA GORDIAN

TOM.1
GORDIAN. GRZECH.



TOM.2
GORDIAN. KARA.



Wszystkie książki dostępne są z rabatem i dedykacją na stronie:
www.melissadarwood.com



Seria Wysłannicy

Tom 1.
Larista



Tom 2.
Guerra

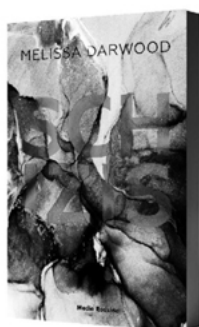


Tom 3.
Gedyno



Powieści jednotomowe

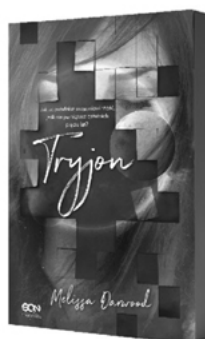
Schizis



Luonto



Tryjon



Pryncypium



Wszystkie książki dostępne są z rabatem i dedykacją na stronie:
www.melissadarwood.com



Polska pisarka wydająca pod pseudonimem.
Pochodzi z urokliwej, leśnej miejscowości w okolicach Łodzi.
Tworzy powieści z gatunku romans, erotyk, Young Adult, New Adult oraz fantasy. Jej książki charakteryzują: lekki styl, romantyczność, solidna dawka emocji, wyraziści bohaterowie, zaskakujące zwroty akcji i oryginalność. Melissa debiutowała w 2013 roku. *Mój szef* jest jej trzynastą opublikowaną książką.

Wydała do tej pory następujące powieści:

Seria (Nie)zdobyta:

(Nie)zdobyta. Tom 1, (Nie)zdobyta. Tom 2.

Seria Gordian:

Tom 1 - Gordian. Grzech, Tom 2 - Gordian. Kara.

Seria Wysłannicy:

Tom 1 - Larista, Tom 2 - Guerra, Tom 3 - Cedyno.

Powieści jednotomowe:

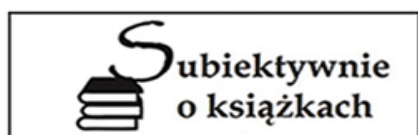
Luonto, Pryncypium, Tryjon, Schizis.

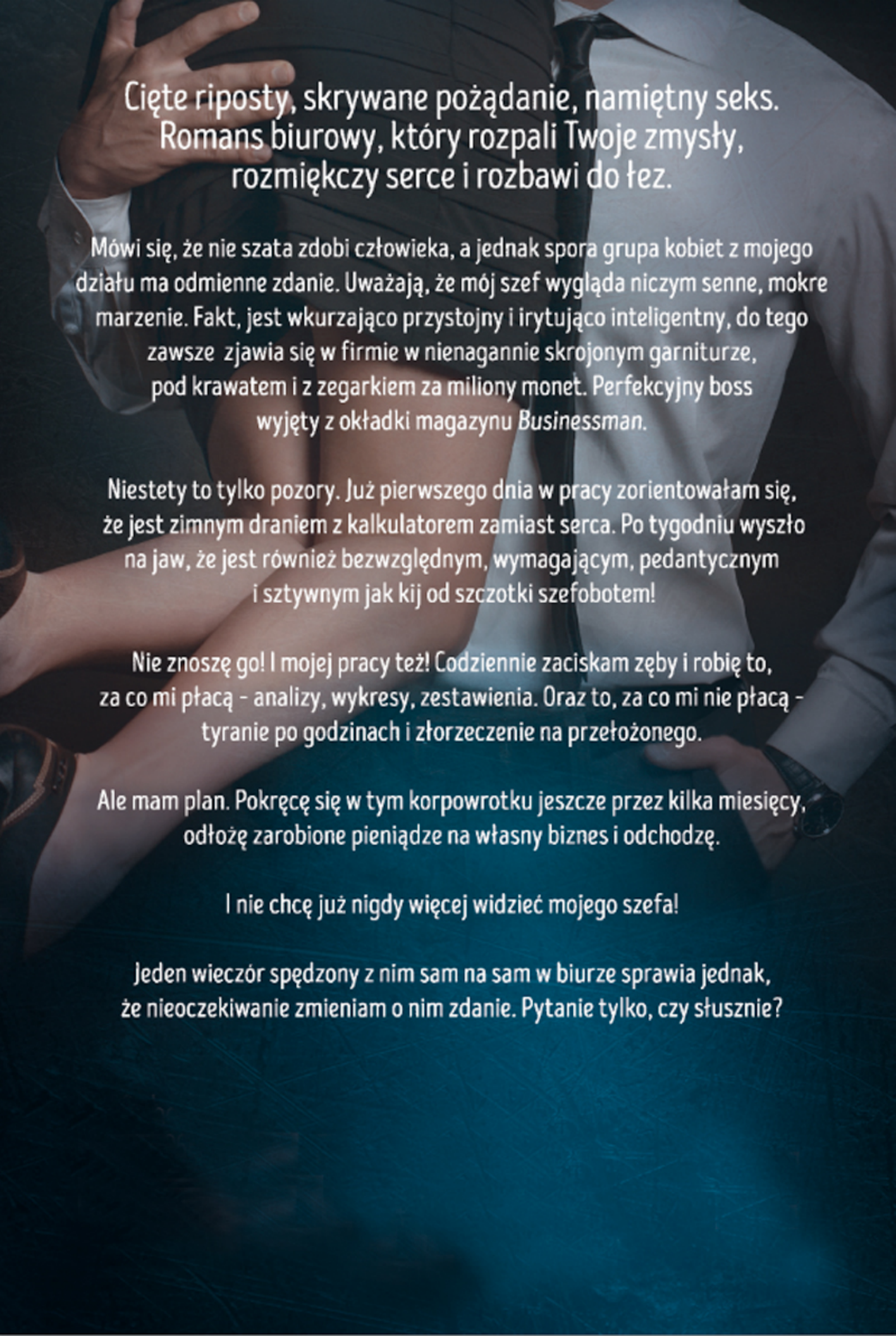
Odwiedź autorkę na: www.melissadarwood.com



Spodobał Ci się *Mój szef*?
Przeczytaj także serię
(Nie)zdobyta!
Kup z dedykacją
na www.melissadarwood.com

Patroni książki





Cięte riposty, skrywane pożądanie, namiętny seks.
Romans biurowy, który rozpali Twoje zmysły,
rozmiękczy serce i rozbawi do łez.

Mówi się, że nie szata zdobi człowieka, a jednak spora grupa kobiet z mojego działu ma odmienne zdanie. Uważają, że mój szef wygląda niczym senne, mokre marzenie. Fakt, jest wkurzająco przystojny i irytująco inteligentny, do tego zawsze zjawia się w firmie w nienagannie skrojonym garniturze, pod krawatem i z zegarkiem za miliony monet. Perfekcyjny boss wyjęty z okładki magazynu *Businessman*.

Niestety to tylko pozory. Już pierwszego dnia w pracy zorientowałam się, że jest zimnym draniem z kalkulatorem zamiast serca. Po tygodniu wyszło na jaw, że jest również bezwzględny, wymagającym, pedantycznym i sztywnym jak kij od szczotki szefobotem!

Nie znoszę go! I mojej pracy też! Codziennie zaciskam zęby i robię to, za co mi płacą - analizy, wykresy, zestawienia. Oraz to, za co mi nie płacą - tyranie po godzinach i złorzeczenie na przełożonego.

Ale mam plan. Pokręcę się w tym korpowrotku jeszcze przez kilka miesięcy, odłożę zarobione pieniądze na własny biznes i odchodzę.

I nie chcę już nigdy więcej widzieć mojego szefa!

Jeden wieczór spędzony z nim sam na sam w biurze sprawia jednak, że nieoczekiwanie zmieniam o nim zdanie. Pytanie tylko, czy słusznie?